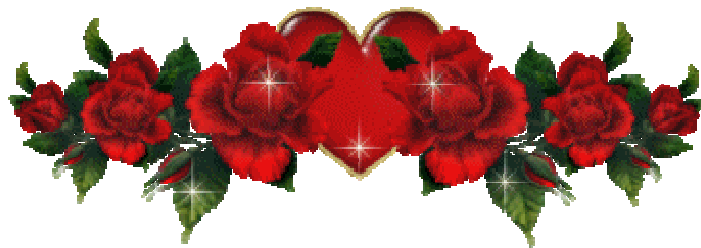




*Isabel Wolff*



*Niezapominajka*

*Pokaż mi swój ogród, a ja powiem ci, kim jesteś.*

Przysłowie chińskie

RS

## *Rozdział I*

Trudne rozstanie, co? - odezwał się tata. Skinęłam głową, dygocząc lekko z zimna. W połowie lutego wciąż utrzymywała się niska temperatura. Patrzyliśmy na tylną ścianę domu z oknami połyskującymi ponuro w słońcu późnego popołudnia. - Smutno wygląda, taki ogołocony ze wszystkiego. Może nie powinnaś była przyjeżdżać. Pokręciłam głową.

- Chciałam go zobaczyć ten jeden, ostatni raz. - Czułam drobną rączkę Milly w swojej dłoni. -I żeby Milly go zobaczyła ostatni raz.

Zaglądałam tu już kilka razy, żeby pomóc tacie w pakowaniu, ale to było ostateczne pożegnanie. Jutro przyjedzie ciężarówka z Surrey Removals i nasza długoletnia więź z tym domem zostanie zerwana. Gdy tak stałam, wspomnienia przemykały mi przez głowę jak klatki starego filmu. Widziałam siebie w różowych szortach, na huśtawce; rodziców pozujących razem pod wiśnią do zdjęcia z okazji srebrnego wesela; widziałam Marka rzucającego piłki tenisowe Bobowi, naszemu border collie; widziałam Cassie fikającą gwiazdy na trawniku.

- Pójdę tam jeszcze raz - powiedziałam. - Żeby sprawdzić... no wiesz... czy nic nie zostawiłam. - Tata kiwnął głową ze zrozumieniem. - Chodź, Milly.

Weszliśmy do środka, klucząc między skrzyniami czekającymi w holu; nasze kroki na gołych podłogach odbijały się słabym echem. W milczeniu pożegnałam się ze staroświecką kuchnią z jej czarno-czerwonymi

kafelkami, a potem z wielkim salonem z wykuszowym oknem i ścianami poznaczonymi widmowymi zarysami obrazów, które wisiały tu trzydzieści osiem lat. Przeszliśmy na górę do łazienki.

- Jozgwiazdy! - zawołała Milly, wskazując palcem zasłonki.

- Rozgwiazdy. Zgadza się. I muszelki, popatrz, i koniki morskie... -  
Uwielbiałam te zasłonki, ale były zbyt zniszczone, żeby je zatrzymać.

- Ziąbki! - wykrzyknęła Milly. Złapała szczoteczkę do zębów taty. -  
Ziąbki, mamusiu! - Stała na palcach, pulchną rączką sięgając do kurka.

- Nie teraz, szkrabie. A to szczoteczka dziadka. Przecież nie używamy cudzych szczoteczek, tak?

- Nie tak.

Otworzyłam szafkę nad umywalką. Zostały w niej tylko przybory do golenia taty, jego pasta do zębów i tabletki nasenne. Twierdził, że wciąż musi je zażywać. Na półce niżej leżało kilka drobiazgów mamy: puderniczka, ciemnoróżowy lakier do paznokci - nieużywany, teraz już z bezbarwnym paskiem - i ledwie napoczęty balsam do ciała, który dałam jej na ostatnie urodziny. Wtarłam odrobinę w grzbiet dłoni i zamknęłam oczy.

„Jak miło, kochanie. Uwielbiam Shalimar. I jaki wielki słój - wystarczy mi na całe wieki!”

- Mamusiu! Chodź! - Otworzyłam oczy. - Chodź! - zarządziła Milly.

- Chwyła mnie za rękę i poprowadziła na ostatnie piętro, tupiąc różowymi bucikami po schodach.

- Chcesz iść do zabawek?

- Tak, mamusiu - wysapała. - Do ziąbajek!

Pchnęłam lakierowane drzwi pokoju dziecinnego, wdychając znajomy stęchły zapach starego kurzu. Sprzątnęłam już stąd większość zabawek, kilka najmniej zniszczonych zatrzymałam dla Milly. Na stole wciąż leżała sterta wiekowych gier planszowych, kłęb kostiumów w koszu, a zielone linoleum zaścielały stare komiksy. Resztki szczęśliwego dzieciństwa, pomyślałam, podnosząc pożółkły egzemplarz *Dandy 'ego*.

Milly sięgnęła do małego różowego wózka.

- Pać! - Wyciągnęła jedną z moich lalek Sindy z triumfalną i zaskoczoną miną gwiazdy, której wręczono Oscara.

- Och... pamiętam ją... - Wyjęłam Sindy z rączki Milly; lalka patrzyła na mnie pustym wzrokiem. - Miałam takich pięć czy sześć. Lubiłam je przebierać. Ta Sindy była w zniszczonej kraciastej koszuli i okropnie brudnych bryczesach. Jej niegdyś bujne nylonowe pukle zostały bezlitośnie obcięte; to, jak sobie teraz przypomniałam, sprawka Cassie. Przeciągając kciukiem po najeżonej lalczynej główce, poczułam ukłucie dawnego oburzenia.

„Wiem, że Cassie ci dokucza, kochanie, powiedziała wtedy mama. Ale staraj się pamiętać, że jest sześć lat młodsza od ciebie i nieumyślnie jest takim utrapieniem”.

- Cały czas jest utrapieniem - szepnęłam. Podsunęłam lalkę Milly. - Chcesz ją zatrzymać, skarbie?

- Nie. - Milly potrząsnęła ciemnymi lokami. - Nie, nie, nie. - Brzydka fryzura widocznie ją odstręczała. Wrzuciła lalkę z powrotem do wózka.

Szybko zebrałam parę rzeczy do worka na śmieci. Gdy to robiłam, na podłogę sfrunął banknot z monopolu.

- Pięćset funtów... - Obróciłam go w dłoniach. - Szkoda, że nie jest prawdziwy, przydałoby nam się teraz trochę gotówki. A to - podniosłam poobijanego land-rovera - było Marka. - Na samochodziku łuszczyła się farba i brakowało mu koła. - Pamiętasz wujka Marka? Tego, który ci przysłał dzidziusia Annabelle? - Milly kiwnęła głową. - Wujek mieszka bardzo daleko, w Ameryce.

- W Mejice - powtórzyła jak echo Milly.

- Widziałas go tylko... raz - mówiłam - na swoim chrzcie. - Rozejrzałam się po pokoju. - Mark i ja często się tu bawiliśmy. - Pamiętałam, jak przestawialiśmy semafony w jego kolejce i ustawialiśmy maleńkie jodły wzdłuż torów. - Bardzo się przyjaźniliśmy, ale teraz nawet się nie widzimy. To smutne.

I nieobojętne dla Milly, pomyślałam. W jej życiu nie ma wielu mężczyzn. O ojcu trudno właściwie mówić, żadnych braci, tylko jeden dziadek, a Mark, jedyny wujek, mieszka w San Francisco już od czterech lat.

- No dobrze, kochanie, idziemy. Pa, pa, zabawki - dodałam, zamykając za nami drzwi.

- Pa, ziabajki!

Przeszliśmy na drugą stronę podestu schodów, do mojego dawnego pokoju. Gdy usiadłyśmy na łóżku, spojrzałam na kulisty klosz lampy z matowego szkła, w którym zauważyłam martwego wielkiego pajaka. Musiał tam być od miesiący. Popatrzyłam na szyby w oknie. Na dolnej lewej widniały wydrapane duże, koślawe gryzmoły.

- Ja to zrobiłam - powiedziałam. - Kiedy miałam sześć lat. Babcia trochę się na mnie złościła. Byłam niegrzeczna.

- Niegjećna - zaszczebiotała radośnie córeczka.

- Uwielbiałabyś babcię. - Posadziłam sobie Milly na kolanach i poczułam, jak obejmuje mnie za szyję. - A ona uwielbiałaby ciebie. - Wrócił tak dobrze mi już znany ból na myśl o tym, co straciła moja matka.

- Wielbiała... - powtórzyła Milly.

Wstałyśmy. Pożegnałam się w duchu i zamknęłam drzwi swojej sypialni po raz ostatni. Zajrzałam też do pokoju Marka, obok mojego.

W pustym pomieszczeniu zakurzone białe ściany upstrzone były pinezkami. Mark opróżnił pokój, nim wyjechał do Stanów. Ogołocił go ze szczeniem, jakby nigdy nie miał zamiaru wracać. Bardzo dotknęło to rodziców. W końcu zeszyliśmy na dół i stanęłam w drzwiach ich sypialni.

- Tutaj się urodziłam, Milly...

„Zjawiłaś się trzy tygodnie za wcześnie, Anno. Z powodu strasznej śnieżycy nie mogłam dojechać do szpitala, więc odbyłam poród w domu. Tatus cię przyjął - wyobraź sobie! Ciągłe żartował, że jest inżynierem, a nie położną, ale potem przyznał, że miał pietra. Rzeczywiście, to było dość dramatyczne...”

Ich mahoniowa szafa - i inne niepotrzebne meble - została sprzedana razem z domem. Otworzyłam „stronę” mamy - rozległ się cichy klekot wieszaków. Przed oczyma stanęły mi sukienki, które wisiały tutaj jeszcze kilka miesięcy temu. Dopiero po dwóch latach tata zajął się likwidowaniem jej garderoby. Mówił, że najtrudniej było mu patrzeć na buty, wyobrażać sobie, jak je wkłada.

Zeszyliśmy na dół, by pożegnać się z ogrodem, który mama pielęgnowała i kochała. Zaczynał budzić się z zimowego snu, wciąż jeszcze

bezlistny i błotnisty. Przypomniałam sobie klomby pełne floksów i piwonii w środku lata, lawendę wylewającą się na ścieżkę, majowy bez z bladym podszyciem konwalii, śliczną różę odmiany Albertine, pnącą się po łukowatej pergoli. Znałam każde drzewo, krzew i roślinkę. *Ceanothus* - pienista masa błękitu pod koniec kwietnia; japońska pigwa ze szkarłatnymi kwiatami. Każdej jesieni mama przerabiała jej zielone, plamiste owoce na galaretkę, pamiętałam muślinowe woreczki ciężkie od słodkiego, rozgotowanego miąższu.

„*Chaenomeles*. To właściwa nazwa pigwy, Anno. *Chaenomeles*. Umiesz to powiedzieć?”

Matka uwielbiała uczyć mnie łacińskich nazw roślin i zaczęła to robić, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Gdy dreptałam za nią po ogrodzie, wyjaśniała, że to nie są po prostu różowe kwiatki, żółte krzaczki czy czerwone jagody, ale *Dianthus*, *Hypericum*, *Mahonia* albo *Cotoneaster*.

- To fioletowe pnącze, tam - mówiła - to *Clematis*. Nazywa się *jackmanii* na cześć człowieka, który pierwszy wyhodował tę odmianę. Ten bladozłoty to też *Clematis*, ale *tangutica*. Te kwiatki są jak latarenki wrózek, prawda? - Otwierała pyszczki lwich paszczy, pokazywała mi fuksje z ich kwiatami przypominającymi baletnice. - Popatrz na ich wspaniałe spódniczki! - Kręciła łodyżkami, zmuszając je do „tańca”. Jesienią, delikatnie pocierając, otwierała „pieniążki” srebrzystej miesięcznicy z perłową wyściółką, by pokazać mi płaskie nasionka. Stopniowo, dzięki powtórkom, zapamiętywałam nazwy i w ten sposób przyswoiłam sobie botaniczny leksykon - lingua franca roślin. Kiedy byłam starsza, wyjaśniała mi stopniowo, co znaczą te słowa. - Łacińskie nazwy są bardzo opisowe -



mówiła. - Na przykład tamto małe drzewko to magnolia, ale nazywa się *Magnolia stellata*, bo *stellata* znaczy „w kształcie gwiazdy”, a jej kwiaty wyglądają jak białe gwiazdy... Widzisz? Ta roślina tutaj to *Funkia tardiflora*, czyli funkia późnokwiatowa, bo *tardus* znaczy- „późny”, a ta duża budleja to *Buddleia globosa*, bo ma kuliste kwiaty jak małe globusy. A to tutaj to *Berberis evanescens*, co znaczy...

- Znikający - usłyszałam teraz własny głos. - Bo szybko znika z oczu. - Z goryczą pomyślałam o Xanie.

I znów przypomniałam sobie, co mi poradziła, gdy miałam dwadzieścia lat i serce złamane po raz pierwszy.

- Jason był bardzo... miły - zaczęła ostrożnie, gdy zalewałam się łzami w łóżku. -I owszem, przystojny, dobrze ubrany... no i miał ten śliczny samochód. - Z bólem pomyślałam o jego lotusie elise. - Ale to mężczyzna nieodpowiedni dla ciebie, kochanie.

- Jak możesz tak mówić? - wychrypiałam. - Widziałas go tylko raz.

- Ale to mi wystarczyło, żeby stwierdzić, że był, jak ja to nazywam, używając botanicznej przenośni... efektowną rośliną jednoroczną. Robią wrażenie, a potem znikają. Ty, Anno, tak naprawdę potrzebujesz odpornej byliny. - Nagle stanął mi przed oczami mój własny ślub z forsycją. - Odporna bylina cię nie zawiedzie. Będzie kwitnąć rok po roku, solidna, godna zaufania... i niezawodna. Jak twój ojciec - dodała. - Zawsze był przy mnie. Cokolwiek...

Wzięłam Milly na rękę.

- Nie posłuchałam babci - szepnęłam. - Ale to nieważne, bo przecież mam ciebie. A ty jesteś -dotknęłam nosem jej noska - najśłodsza na świecie. Miodzio słodzio.

- Modzio sodzio. - Zachichotała. Uściskałam ją i postawiłam na ziemi.

- Popatrz na te kwiatuszki, Milly. Nazywają się przebiśniegi. Umiesz to powiedzieć? Przebiśniegi?

- Psieśniegi...

- A te fioletowe to krokusy...

- Kojkusy. - Jej oddech unosił się maleńkimi chmurkami w mroźnym powietrzu.

- A ten, jeśli chcesz wiedzieć, to miniaturowy fiołek alpejski.

- Fikołek. - Milly znów zachichotała.

- Babcia mówiła, że mają takie „potargane” buzie, jakby wystawiły główki przez okno samochodu. - Gdy wstałyśmy i ruszyłyśmy przez trawnik, wyobraziłam sobie, nie pierwszy raz, jak za kilka lat powiem Milly, jak to było z moją mamą.

„Miałaś wspaniałą babcie”, słyszałam własne słowa. „Była uroczą, radosną osobą. Interesowała się mnóstwem rzeczy, a przede wszystkim ogrodnictwem. Dużo o nim wiedziała i była w tym bardzo dobra, sama nauczyła się nazw wszystkich roślin. I ciebie też by nauczyła, Milly, tak jak nauczyła mnie, ale niestety nigdy nie miała okazji, bo umarła rok przed twoimi narodzinami...”

Na odgłos kroków podniosłam wzrok. Tata wyszedł przez rozsuwane drzwi, trzymając tekturowe pudło. Tak jak i dom, wydawał się smutny i

zaniedbany. Kiedyś trzymał się całkiem dobrze jak na swój wiek, wyglądał nawet młodo. Dobiegając siedemdziesiątki, wciąż był przystojny, ale żałoba dodała mu lat.

„Nigdy nie myślałem, że będę musiał żyć bez twojej matki”, powtarzał często po jej śmierci. „Była dwanaście lat młodsza ode mnie. Po prostu nigdy mi to nie przyszło do głowy. Nie wiem, co zrobię”.

Teraz, po trzech latach, już wiedział. W końcu poczuł się na siłach sprzedać dom i przeprowadzić się do Londynu, w miejsce oddalone o półtora kilometra ode mnie i Milly.

- Kochałem go - powiedział, patrząc na dom. - Mieszkaliśmy tu prawie czterdzieści lat.

Pomyślałam sobie: jak wiele ludzkich emocji zostało w tych ścianach. Rozmowy i śmiech, płacz i wrzaski, a nawet krzyki bólu przy porodzie. Wyobrażałam sobie nas wszystkich, zastygłych w tkance tego domu niczym skamieliny.

Usłyszałam westchnienie taty.

- Ale teraz pora wyrwać własne korzenie i ruszać dalej.

- Dobrze, że tak zdecydowałeś - odparłam. - Londyn będzie bardziej absorbujący. Poczujesz się tam szczęśliwszy... a przynajmniej może mniej nieszczęśliwy.

- Nie wiem - odrzekł. - Ale na pewno się cieszę, że zamieszkam tak blisko ciebie i Milly. - Zauważyłam srebrną szczecinę na jego szczęce. - Mam nadzieję, że będę mógł wpadać od czasu do czasu.

- Dlaczego tak mówisz? - zaprotestowałam łagodnie. - Przecież wiesz, że możesz przychodzić, kiedy zechcesz. Powtarzam ci to kolejny raz.

- Postaram się nie naprzykrzać. - Przewróciłam oczami. -I będę się opiekować małą. Powinnaś mnie zatrudnić na pełny etat, Anno. Opiekunki są drogie.

- Dzięki za pomoc, ale ty także musisz się zająć swoimi sprawami, spotykać się ze znajomymi, zaglądać do klubu, a poza tym mam teraz Luisę.

- Też prawda.

Pomodliłam się w duchu z wdzięczności za instytucję au pair. Nigdy nie mogłabym sobie pozwolić na dochodzącą nianię, szczególnie przy opłatach za przedszkole Milly. A tak, za siedemdziesiąt funtów tygodniowo mam Luisę do pomocy nawet przez pięć godzin dziennie i dodatkowe dwa wieczory w tygodniu. Bóg mi ją zesłał.

- Ja niezbyt często wychodzę - mówiłam tacie. - Pracuję zwykle, kiedy Milly śpi. Wtedy mogę najwięcej zrobić.

- Powinnaś częściej spotykać się z ludźmi - zauważył. - Dobrze by ci to zrobiło. Szczególnie w twojej sytuacji. - Ruszył przez ogród, ja i Milly za nim, i zatrzymał się, by odsunąć zwisającą gałąź zimowego jaśminu. Wszystko było takie zaniedbane. - Dzięki za pomoc w porządkach przez ten ostatni miesiąc - dodał, gdy poszliśmy dalej. - Wiem, że się powtarzam, ale naprawdę to doceniam.

- Przyjechałam do Oxted raptem parę razy i nie sprzątnęłam wszystkiego.

- Ale wspaniale było mieć cię tutaj. Gdybym to robił sam, pewnie wpadłbym w niezły dołek.

Pomyślałam z irytacją o moim rodzeństwie. Mark siedzi w Stanach, zgoda. Ale Cassie mogła pomóc. Pojawiła się tylko raz, żeby opróżnić własny pokój. Tata jest wyrozumiały, ale traktuje Cassie, jakby miała dziewięć lat, a nie dwadzieścia dziewięć. Najmłodsza w rodzinie, zawsze była rozpieszczana.

Żwir chrząścił nam pod nogami, kiedy szliśmy za tatą długą wąską alejką, mijając srebrną brzozę i cieplarnię. Znow pojawił się obraz mamy w słomianym kapeluszu, schylonej nad tacą siewek. Wyobraziłam sobie, jak unosi głowę i macha do nas. Szliśmy dalej, pomyślałam więc, że tata niesie pudło do garażu, by schować je do samochodu. Ale zatrzymał się przy miejscu na ognisko i zaczął układać stertę drewna na poczeriałym kawałku ziemi.

- Widziałem wczoraj Xana - powiedział, rozbijając nogą starą skrzynkę.

Moje serce zatrzymało się na ułamek sekundy, jak zawsze na dźwięk imienia Xana.

- A gdzież to? W wiadomościach o dziewiątej? - Uśmiechnęłam się gorzko. - O pierwszej? W *Panoramie!*

- W wieczornych *Faktach*.

- Aha. - Sroka przefrunęła nam nad głowami. - O czym mówił?

- O imigrantach.

- Aha...

- Martwię się o ciebie. - Tata oparł się o widły i patrzył na mnie z troską. - Radzisz sobie bardzo dobrze, Anno, ale bycie samotną mamą to nie to, czego twoja matka i ja chcieliśmy dla ciebie.

„Potrzebujesz odpornej byliny. Kogoś, kto zawsze będzie przy tobie. Cokolwiek...”

- Nie zrozum mnie źle - dodał szybko. - Ogromnie kocham Milly... - Wyciągnął rękę, by pogłodzić małą po główce, a ja zauważyłam mocno przetarte mankiety koszuli. Muszę zabrać go na zakupy. - Po prostu chciałbym, żebyś lepiej się urządziła w życiu.

- Cóż... ja też bym chciała.

- Na pewno nie jest ci łatwo.

- Nie jest. - Prawdę mówiąc, jest ciężko, pomyślałam ponuro. Choćby nie wiem jak kochało się swoje dziecko, niełatwo wychowywać je samemu. Trudno żyć, nie mając nikogo, z kim dzieliłoby się codzienne niepokoje, odpowiedzialność, chwile radości, nie wspominając już o długich samotnych nocach, kiedy dziecko jest malutkie, i o przerażeniu, kiedy zachoruje. - Ale tak się właśnie urządziłam. Dzieci, które nie mają żadnego kontaktu ze swoimi ojcami, nie należą do wyjątków. - Pomyślałam o Jenny, mojej przyjaciółce ze szkoły rodzenia. - Milly przynajmniej ma jakąś namiastkę związku ze swoim tatusiem... - Ugryzłam się w język. Wypowiedziałam zakazane słowo na T, i reakcja była natychmiastowa:

- Tatuś! - zawyła Milly. - Tatuś! - Widziała Xana tylko sześć razy w ciągu dwóch i pół roku swojego życia, ale ubóstwiała go. - Tatuś! - powtórzyła z oburzeniem. Tupnęła nóżką, aż podrygując z podniecenia, i

nagle odrzuciła głowę do tyłu. - Tatuuuuś! - krzyczała, jakby sądziła, że zdoła go przywołać.

- No już, już, kochanie - przemawiałam uspokajająco. - Niedługo zobaczysz tatusia. - Nie było to niewinne kłamstewko, ale najbezcenniejsze, najbardziej oczywiste z możliwych kłamstw, jako że nie miałam bladego pojęcia, kiedy zobaczymy Xana. Milly musi się zadowalać jego widokiem w telewizji. Jest rozradowana przez tych kilka chwil, gdy widzi go na ekranie, a potem wybucha płaczem. I dobrze wiem, jak się czuje.

- Tattuuuś... - Buzia Milly zmarszczyła się, a wielkie szaroniebieskie oczy napełniły łzami. Dziadek zajął ją, angażując do pomocy przy zbieraniu liści. Kiedy się schyliłam, by też podnieść kilka, spojrzałam na tekturowe pudło pełne jakichś starych papierów. Na jednej z pozółkłych kopert rozpoznałam staranne pochyle pismo mamy.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił tata, gdy Milly podniosła garść gałązek rączkami w rękawiczkach. - Pozbierajmy tamte liście, dobrze? Są suchutkie. Świetnie, szkrabie. A teraz stań sobie koło mamusi, a ja rozpalę ogień.

- Zawsze myślałam, że będę taka jak mama - powiedziałam, właściwie do siebie, gdy Milly objęła moje kolana. - Myślałam, że będę miała całkiem zwyczajną rodzinę, tak jak ona. - Tata nie odpowiedział. Próbował podpalić drewno, ale zapalki wciąż się łamały. - Myślałam, że będę miała męża i dzieci. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę samotną matką... - Pokręciłam głową.

- Ale przydarzyło ci się życie - powiedział cicho tata. Zapalka zapłonęła wreszcie; osłonił ją dłonią i przytknął do szczap.

- Tak. Właśnie to mi się przydarzyło. Życie. - Trzaskały płonące liście, kręta smużka sinego dymu sunęła w górę, nasycając powietrze swoim zapachem.

Tata się wyprostował.

- Na pewno wzięłaś z domu wszystko, co chciałaś? Sprzątacze wyrzucają rzeczy, które zostały. Odłożyłem sporo książek ogrodniczych mamy. Widziałaś je?

- Tak, dzięki. Wybrałam trzy; zatrzymam też jej rydel i widły.

- Ucieszyłaby się. - Pokiwał głową. - Bardzo by jej się spodobało to, co robisz. Nie tylko dlatego, że tak kochała ogrodnictwo, ale zawsze uważała, że praca w City jest dla ciebie za ciężka... Harowałaś tyle godzin.

- Teraz też dużo pracuję.

- Prawda. - Tata zaczął wachlować ogień zardzewiałym wieczkiem puszek po ciastkach. - Teraz przynajmniej nie jesteś płatną niewolnicą, pracujesz dla siebie i Milly. No i o wiele lepiej czujesz się w tym, co robisz.

- O niebo - przyznałam szczerze. Zaświergotał strzyżyk siedzący na ostrokrzewie. - Uwielbiam projektować ogrody.

- I jesteś wziętą projektantką, sądząc po tym artykule w „Timesie”, co?

- Ten niespodziewany artykuł rzeczywiście dodał mi pewności; Sue, moja była asystentka, wypatrzyła go i zadzwoniła do mnie. Pogadanki w GMTV też na pewno pomogły. Ostatnio nagrałam kilka krótkich programów o przygotowaniu ogrodu na przyjście wiosny.



- A co z kontraktem w Chelsea, na który miałaś nadzieję?

- Z tym w Boltons?

- Tak.

- Obejrzałam już teren i w sobotę przedstawię projekty. Jeśli się uda, to będzie moje największe zlecenie.

- Trzymam kciuki. Ale gdybyś kiedykolwiek potrzebowała gotówki, to wiesz, że ci pożyczę. Mogę być niejawnym wspólnikiem w twojej firmie - dodał z uśmiechem.

- To miło z twojej strony, ale przez pierwsze dwa lata radziłam sobie jakoś, chociaż było krucho z pieniędzmi, i nigdy nie poprosiłam cię o pomoc. -W przeciwieństwie do Cassie, pomyślałam jadownie. Ona wiecznie wyciąga pieniądze od taty. W zeszłym roku, kiedy to po prostu musiała pojechać do ośrodka Ashtanga Jogi w Bhutanie, „by odnaleźć samą siebie”, tata „pożyczył” jej większość z potrzebnych na wyjazd trzech i pół kawałka. - A poza tym -ciągnęłam - w tym roku powinno już być trochę łatwiej. - Rozległ się głośniejszy trzask i z ogniska buchnęły iskry, jak lawa z miniaturowego wulkanu.

- No dobrze... - Zapadło niezręczne milczenie. Tata odchrząknął i zobaczyłam, że zerknął na pudło. - Pewnie chcesz już powoli wracać, co?

- Chyba tak. - Spojrzałam na zegarek. Dopiero wpół do czwartej. Nie czułam się jeszcze gotowa do ostatecznego pożegnania, a przy ognisku było przyjemnie ciepło.

- Wiem, że nie lubisz jeździć po ciemku.

- Zgadza się.

- I niedługo pora położyć Milly do łóżka.

- Mhm.

- A ja, prawdę mówiąc, mam coś do zrobienia.

- Och. - Tacie zwykle nie spieszyło się do rozstania z nami; wręcz przeciwnie. - Okej, no to... się zbieramy. - Rzuciłam okiem na tekturowe pudło. - Może trzeba ci w czymś pomóc, zanim pojedę?

- Nie. Muszę tylko uporać się z tym, póki jeszcze widno.

- A co to jest?

- To... tylko stara korespondencja. - Zobaczyłam nagle, jak czerwona plama wpęła na szyję taty. - Kartki walentynkowe, które wysyłałem twojej mamie... Takie tam różne...

Nie przypomniałam mu, że dziś są walentynki. Ja nie dostałam nawet zwichniętego płatka, pomyślałam z żalem. W moim życiu panowała kompletna posucha, jeśli chodzi o romanse.

- Nigdy ich nie wyrzucała - odezwał się tata. - Kiedy nareszcie zabrałem się do przejrzenia rzeczy w jej biurku, znalazłem te kartki. - Pokręcił głową. - Wszystkie co do jednej. Trzydzieści sześć - mówił ze zdumieniem. - Mama była bardzo sentymentalna. No i przeczytałem też listy, które ona mi przysyłała.

Zapięłam Milly guzik pod szyją.

- Dlaczego do ciebie pisała? Przecież byliście małżeństwem. Tata odgonił od nas dym.

- Pisała, kiedy wyjechałem do Brazylii. - Spojrzał na mnie. - Ty pewnie tego nie pamiętasz.

- Jak przez mgłę... Pamiętam, że byliśmy na lotnisku z mamą i Markiem, kiedy odlatywałeś.

- W siedemdziesiątym siódmym miałś pięć lat. Rozłąka trwała osiem miesięcy.

- Dlaczego wyjechałeś?

- Nadzorowałem poważny remont konstrukcji mostu niedaleko Rio. Linie telefoniczne były do niczego, więc mogliśmy się kontaktować tylko listownie.

Teraz przypomniałam sobie wędrówki na pocztę w każdy piątek z cieniutkimi kopertami poczty lotniczej. Ja nie umiałam pisać, więc w moich listach rysowałam kwiatki.

- Tęskniłeś za nami, prawda?

- Bardzo.

- Cassie jeszcze nie było na świecie? Złamał na pół niewielką, przegniłą gałąź.

- Urodziła się w następnym roku.

Znów spojrzałam na pudło - skarbnicę tylu uczuć.

- Jesteś pewien, że nie chcesz ich zatrzymać? Chyba szkoda...

- Zatrzymam je. - Tata postukał się w pierś. - Tutaj. Ale nie chcę siedzieć w nowym mieszkaniu otoczony rzeczami, które sprawiają, że czuję się... -Głos mu zadrżał. - Więc... chcę je przeczytać ostatni raz, a potem spalić.

- Rozumiem - odparłam. - W takim razie jedziemy. Zadzwoń, kiedy będziesz już w Londynie, to do ciebie wpadniemy. - Tata skinął głową. - Kochanie, powiedz dziadkowi pa, pa.

Milly uniosła buzię do całusa.

- Pa, pa, skarbie.

Uściskałam go. . .

- Pa, tatusiu. - Do diabła. Znów to **zrobiłam**.

- Taatuuuś! -rozryczała się Milly.

Zapięłam ją w foteliku. Gdy wyjeżdżałyśmy z podjazdu, nie płakała już, ale skandowała „Tatuś! Tatuś!” z pasją i zacięciem kibica sportowego.

- Już dobrze, kochanie - uspokajałam. - Zobaczymy tatusia, ale nie tak znów prędko, bo teraz jest zajęty.

- Tatuś. Jęty - powtórzyła. - Jęty. Tatuś!

- Och! Popatrz na tego konika - próbowałam odwrócić jej uwagę.

- Konik! Tatuś!

- I jakie śliczne krówki-mu. Popatrz.

- Kjówki-mu. Tatuuuuś...

Gdy stanęłyśmy na czerwonym świetle, zerknęłam w lusterko i ujrzałam w nim oczy Xana, w kolorze mikołajka nadmorskiego. Czasem wołałabym, żeby Milly nie była do niego aż tak podobna. A teraz, gdy przymknęła powieki, uśpiona pomrukiem silnika i ciepłem w kabinie, przypomniał mi się dzień, kiedy poznałam Xana. Nie mogłam wtedy wiedzieć, jak bardzo skomplikuje się moje życie.

Puściłam sprzęgło i ruszyłam, pogrążona we wspomnieniach. Do tamtej chwili byłam taka ostrożna. Pod tym względem podobna do Marka - rozsądna i przewidująca. Zupełnie inna niż Cassie.

- Trzeba mieć życiowy plan - mawiał starszy o dwa lata brat. Byliśmy ze sobą blisko, więc go słuchałam. - Ja będę lekarzem.

W wieku czternastu lat ja też miałam własny plan: będę ciężko pracować, pójdę na przyzwoite studia, znajdę dobrą pracę i kupię

mieszkanie. Przed trzydziestką znajdę sobie tę swoją odporną bylinę, wyjdę za mąż, urodzę trójkę dzieci i wrócę do pracy, kiedy najmłodsze pójdzie do szkoły. Moja pensja nie będzie najważniejsza w domowym budżecie, ale wystarczająca, by kupić domek nad morzem albo gdzieś we Francji, do którego ja i odporna bylina przeniesiemy się na emeryturze i będziemy się cieszyć częstymi odwiedzinami naszych dzieci i wnuków - aż w końcu umrzemy sobie spokojnie, we śnie, mając dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Przez wiele lat trzymałam się ściśle swojego planu. Skończyłam historię na uniwerku York, a potem dostałam pracę w City, w funduszu inwestycyjnym, gdzie w dziale analiz zbierałam informacje na temat planowanych inwestycji - analizowałam „podstawy zysków poszczególnych sektorów”, jak to określano. Praca nie zawsze była interesująca, ale bardzo dobrze płatna. Kupiłam mały domek w Brook Green, spłacałam hipotekę, oszczędzałam na emeryturę, a za resztę dobrze się bawiłam. Jeździłam na nartach, nurkowałam, uczestniczyłam w pieszych wyprawach. Zapisalam się na siłownię. Chodziłam do opery, gdzie siadywałam w lożach. Spędzałam czas w ogrodzie, z rodziną, z przyjaciółmi. Byłam na najlepszej drodze do realizacji życiowego planu.

Kiedy stuknęła mi trzydziestka, zaczął się kołowrót przyjęć zaręczynowych, wieczorów panieńskich i ślubów. To mnie jeszcze bardziej mobilizowało do poszukiwania odpowiedniego partnera. Zapisalam się do klubu tenisowego, urządzałam imprezy i chodziłam na randki. Przy tym wszystkim cały czas miałam w pamięci staroświeckie przykazania mojej matki:

- Odczekaj, zanim do któregoś oddzwonisz. Niech myśli, że jesteś zbyt zajęta, by się z nim spotykać. Nigdy, przenigdy nie uwieszaj się mu na szyi. Zachowaj odrobinę tajemniczości. - Jęczałam, słuchając tego wszystkiego, ale ona powtarzała, że taniec zalotów musi zostać odtańczony i udzielanie mi kobiecych rad jest jej obowiązkiem. - Wszystkie matki powinny tak postępować - oświadczyła kiedyś z gwałtownością, która mnie zaskoczyła. - Moja matka nic mi nie powiedziała - dodała gorzko. - To było dla niej zbyt żenujące. Szkoda, że tego nie zrobiła, bo byłabym roztropniejsza.

Co zapewne wyjaśniało, dlaczego wyszła za tatę, mając ledwie dwadzieścia lat.

- To był huragan, nie romans - mawiała wstydliwie, ilekroć wypłynął ten temat.

- Istne tornado - komentował tata z kwaśnym uśmiechem. Stanęli na ślubnym kobiercu dwa miesiące po tym, jak poznali się w herbaciarni Lyons Corner House na Strandzie\*.

*\*Strand - jedna z najstarszych i najmodniejszych ulic londyńskich, przecinająca City (przyp. tłum.).*

- Padało - opowiadała mama - więc w kawiarni brakowało wolnych stolików. Nagle podszedł do mnie bosko przystojny mężczyzna, który zapytał, czy może się przysiąc... I już!

Ale mnie bawiło, że moja matka, przeżywszy tylko tę jedną romantyczną historię, koniecznie chciała edukować mnie w sprawach serca.

Mężczyźni, z którymi się spotykałam - atrakcyjni, inteligentni i czarujący - byliby materiałem na męża, gdyby nie to, że każdy z nich miał ja-

kaś niemożliwą do zaakceptowania wadę. Duncan był wziętym maklerem, ale też częstym bywalcem lokali ze striptizem, co bardzo mi się nie podobało. Gavin nie mógł dojść do siebie po rozwodzie. Henry, autor tekstów reklamowych, omijał korki uliczne, jeżdżąc po chodnikach. Gdy dostał drugie upomnienie, powiedziałam dość. Potem poznałam Tony'ego, wydawcę, na pewnym weselu w Wiltshire. Bystry facet i zabawny. Ale kiedy po sześciu miesiącach oznajmił, że nie chce się wiązać na stałe, skończyłam z nim. Nie mogłam sobie pozwolić na marnowanie czasu.

- Nie musisz się śpieszyć, kochanie - przekonywała mnie matka.

Siedziałyśmy w ogrodzie na ławce pod śliwą. Był dziesiąty maja, urodziny mamy. Kiedy objęła mnie ramieniem, poczułam zapach balsamu Shalimar, który podarowałam jej tego ranka. - Masz tylko trzydzieści dwa lata, Anno. - Mój wzrok powędrował ku błękitnym chmurkom niezapominajek nad klombami. - Wciąż jesteś młoda. Dziś kobiety rodzą dzieci o wiele później, dzięki Bogu.

I wtedy nagle zapytałam ją o coś, co zawsze chciałam wiedzieć:

- Gdybyś mogła cofnąć swój zegar, mamó, to czekałabyś dłużej z założeniem rodziny? - Urodziła Marka, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat.

- Cóż... - Zarumieniła się lekko. - Nie... nie wydaje mi się, by urodzenie dziecka było błędem w jakimkolwiek momencie. - Nie to miałam na myśli. - Ale owszem, zaczęłam bardzo wcześnie - ciągnęła - i nigdy nie pracowałam, w przeciwieństwie do ciebie. Ale ty masz szczęście, Anno; kobiety z twojego pokolenia mogą rozwijać się zawodowo, robiąc karierę,

cieszyć się niezależnością, a potem udanym życiem rodzinnym. Wszystko przed tobą. - Poglądziła mnie po włosach. - Masz jeszcze mnóstwo czasu.

Którego, jak się okazało, ona sama nie miała, bo niecały miesiąc później umarła.

Teraz, skręcając na autostradę, wspominałam - jak to często robię, gdy prowadzę i moje myśli mogą błądzić swobodnie - tamten koszmary, koszmary czas. Byłam tak ogłuszona, że ledwie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że ktoś wcisnął w moim życiu guzik pauzy. Co ja pocznę bez mamy? Czułam się, jakby ktoś zepchnął mnie z urwiska.

A jeśli i mnie zostały tylko dwadzieścia trzy lata? - zaczęłam się wtedy zastanawiać, gdy noc po nocy leżałam, wpatrując się w ciemność. A jeśli zostało mi tylko dziesięć lat albo pięć, albo rok? Teraz zrozumiałam coś, co nie docierało do mnie do tej pory: nasze życie wisi na włosku.

Dostałam dwutygodniowy urlop okolicznościowy - musiałam zorganizować pogrzeb, nie mogąc liczyć na tatę, który wpadł w depresję. Powrót do pracy był w pewnym sensie ulgą, choć pamiętam, że czułam się wtedy dziwnie. Koledzy, mili i współczujący, z czasem, naturalnym biegiem rzeczy, przestali się interesować moim samopoczuciem, jakby należało oczekiwać, że życie będzie się teraz toczyć normalnie. Tyle że nic już nie wydawało mi się „normalne”. I gdy mijały kolejne tygodnie, coraz bardziej uwierało mnie moje codzienne życie - wyszukiwanie informacji o możliwych inwestycjach, przegryzanie się przez liczby, codzienne dojazdy do pracy. Teraz „analizowałam podstawy” własnej egzystencji i w końcu doszłam do wniosku, że cele, do których dążyłam, były banalne. Musiałam więc coś zmienić.



Często marzyłam, że porzucam wyścig szczurów i zostaję projektantką ogrodów. Nie potrafiłam wejść do czyjegoś domu, nie kombinując od razu, jak wyglądałby ogród, gdyby był inaczej rozplanowany, gdyby z większą wyobraźnią dobrać rośliny. W ramach przyjacielskiej przysługi zaprojektowałam już dwa ogródki - śródziemnomorski dziedziniec dla mojej asystentki Sue w jej domu w Kent i wiejski ogród dla starszego małżeństwa mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Starsi państwo byli zachwyceni rozbuchanymi kępami malw i naporstnicy, a ja, zajmując się tym, czułam się jak na haju.

Zapisałam się więc na roczny kurs projektowania ogrodów w londyńskiej szkole ogrodniczej w Chelsea. A potem poszłam do mojego szefa, Milesa.

- Jesteś całkowicie pewna? - zapytał, gdy siedziałam w jego gabinecie; serce mi łomotało i nie opuszczała myśl co tracę: bezpieczną, dobrze płatną pracę w zespole, ludzi, z którymi się zżyłam przez dwanaście lat. Miles obrócił złote wieczne pióro między palcami.

- Poświęcasz bardzo wiele, Anno, w tym szansę na stanowisko dyrektorskie za dwa albo trzy lata. - Nagle zobaczyłam swoje nazwisko na welinowej firmowej papeterii. - Nie myśl, że próbuję cię odwieść od tego pomysłu - ciągnął Miles - ale jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - Wyjrzałam przez okno. Samolot przecinał kobaltowe niebo, zostawiając za sobą jasną, śnieżną smugę. - Ostatnio wiele przeszłaś - usłyszałam głos szefa. - Czy to nie jest po prostu reakcja na śmierć mamy?

- Tak - odparłam cicho. - I dlatego jestem pewna, że chcę to zrobić. Dzięki.

Przepracowałam okres wypowiedzenia, a potem, na początku września, Miles wydał na moją cześć pożegnalną imprezę w sali posiedzeń. Widząc niemałą frekwencję, cieszyłam się, że włożyłam mój najlepszy kostium od Prady - byłam zachwycona, bo kupiłam go za pół ceny - i moje ukochane buty od Jimmy'ego Choo. Pewnie długo nie włożę tych szpilek, rozmyślałam, krążąc między gośćmi. I długo sobie żadnych nie kupię - mając przez najbliższy rok dochody równe zeru. Nie będę też pić szampiana, dumałam, delektując się trzecim kieliszkiem bąbelków.

Nagle Miles brzęknął w kryształowy pucharek i przecesał dłonią blond loki. Wyglądał jak przerośnięty cherubin.

- Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? - zaczął, gdy gwar trochę przycichł. - Chciałbym przez chwilę pozawstydząć naszą Annę. - Poczulałam nagle, że twarz mi płonie. Miles poluzował swój żółty jedwabny krawat. - Anno, to bardzo smutny dzień dla wszystkich w Arden Fund Management z tego prostego powodu, że byłaś wymarzoną koleżanką.

- I wymarzoną szefową! - wykrzyknęła Sue. Uśmiechnęłam się do niej. - Teraz żałuję, że zachęcałam cię do tej ogrodniczej fuchy!

- Byłaś wspaniałym członkiem zespołu - ciągnął Miles. - Twoje drobiazgowość badania pozwalały nam pracować lepiej i wiele ułatwiały. Mógłbym przekopywać się przez informacje, wyręczając nas wszystkich. A teraz postanowiłaś przekopywać coś innego. - Uśmiechnęłam się. - Anno, będzie nam ciebie brakować bardziej, niż potrafimy to wyrazić. Ale życzymy ci sukcesów i szczęścia w nowej pracy, w której, mamy nadzieję, przydadzą ci się te drobne dowody naszej dozgonnej wdzięczności.

Podeszłam bliżej, a on wręczył mi wielką, zdumiewająco ciężką torbę, z której wyjęłam posrebrzaną konewkę z wygrawerowanym moim nazwiskiem i datą, oraz parę wyjątkowo topornych zielonych kaloszy. Roześmiałam się i wygłosiłam krótką mówkę, uściskałam wszystkich, ledwie powstrzymując łzy, bo wreszcie dotarło do mnie, że to dzieje się naprawdę. Na lekko chwiejnych od szampana nogach i ze swoim prezentem w garści poszłam na kolację z Sue.

Dziwnie się czułam, przechodząc po raz ostatni przez obrotowe drzwi firmy i po raz ostatni machając chłopakom z ochrony. Poszłyśmy z Sue do restauracji za rogiem, Chez Gerard, na naszą pożegnalną kolację. Gdy złożyłyśmy zamówienie, spojrzałam na Sue; młodsza od mojej mamy tylko o siedem lat była dla mnie jak ciotka, której nigdy nie miałam.

- Anno... - Sue odłożyła menu - pracowałam dla ciebie przez pięć lat i nie przypominam sobie ani jednego złego dnia.

- Byłaś kimś więcej niż asystentką, Sue. - Poczułam dławienie w gardle. - Byłaś prawdziwą przyjaciółką.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

- I to się nie zmieni. - Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę owiniętą w kolorowy papier. - Ja też mam coś dla ciebie. - Była to przepiękna książka o górskich kwiatach, które zawsze uwielbiałam, z odlotowymi zdjęciami delikatnej gencjany, szarotek i goździków z Karpat, Pirenejów i Alp.

- Dziękuję. Jest śliczna. - Otworzyłam stronę tytułową i przeczytałam dedykację Sue: „Anno, rośnij i rozkwitaj jak te kwiaty...” - Mam nadzieję, że tak będzie - powiedziałam niespokojnie.

- Na pewno - odparła Sue.

Później, gdy już piłyśmy kawę, Sue wspomniała, że umówiła się ze swoją koleżanką Cathy na późnego drinka.

- Może pójdziesz z nami? - zaproponowała nagle. Upiłam łyk espresso.

- Och... No nie wiem.

- Poznałaś już Cathy na imprezce z okazji moich czterdziestych piątych urodzin, pamiętasz?

- Rzeczywiście... Była miła.

- Spotykamy się w tym nowym klubie koło Oxford Circus, a potem razem wracamy pociągiem do Dartford. Zgódź się, Anno.

- No...

Sue spojrzała na zegarek.

- Jeszcze nie ma nawet dziesiątej. A ty nie masz dziś wieczorem nic innego do roboty, prawda? - Pokręciłam głową. - Więc?

- Więc... okej. Dzięki. Czemu nie?

- W końcu dzisiaj jest twój ostatni dzień w City po dwunastu latach - dodała, kiedy wyszłyśmy na ulicę.

- Dwanaście lat - powtórzyłam. - To więcej niż jedna trzecia mojego życia. - Kręciło mi się w głowie - dużo emocji i chyba za dużo szampana.

- Chyba nie chcesz, żeby to się tak po prostu... ulotniło jak bąbelki?

- Nie. Musi się zakończyć w pamiętny sposób.

- Z fajerwerkami, nie z podkulonym ogonem!

- Tak jest!

Kiedy weszłyśmy na ruchome schody na stacji metra Bank, prawy obcas utknął mi między stalowymi płytami. Zaklinował się. Byłyśmy

coraz niżej, zbliżyliśmy się do końca; wpadłam w panikę. Wreszcie wyrwałam obcas ze szpary, ale odłamał się od buta.

- Cholera! - Kuśtykałam, a Sue zakrywała usta ręką, wystraszona i ubawiona jednocześnie. - Można w tym dostrzec swego rodzaju metaforę - stwierdziłam, patrząc na amputowaną szpilkę. - Zostawiam bezpieczną posadkę w City, więc obniży mi się stopa życiowa.

- Bzdura, odniesiesz wielki sukces. Teraz skorzystaj z mojej rady...

- Wiem, superglue - przerwałam. - Masz przy sobie?

- Wkładaj zielone kalosze!

- O nie!

- O tak. - Sue zachichotała. - A niby co zrobisz? Pójdiesz boso?

- Boże! - wykrzyknęłam, gdy włożyłam gumki, przyciągając rozbawione spojrzenia przechodniów. Popatrzyłam na nogi. - Nieźle. No dobra, jestem ubrana i obuta jak należy. Przynajmniej rozmiar dobry - dodałam, człapiąc korytarzem. - Ale moje stopy wydają się w nich ogromne.

- Wyglądasz zachwycająco etnicznie - Sue się roześmiała.

- Raczej dziwacznie.

- Cóż, sama powiedziałaś, że chcesz mieć pamiętny wieczór.

Przejechałyśmy pięć przystanków i na stacji Oxford Circus, przy bramkach biletowych czekała na nas Cathy. Zarejestrowałam jej zdumione spojrzenie.

- Obcas mi się złamał.

- Nie przejmuj się - odparła współczująco. - Przy takim uśmiechu jak twój nikt nie zauważy stóp. - Miałam ochotę ją ucałować. - IsoBar jest tutaj. - Dwóch barczystych bramkarzy odsunęło się na bok, by wpuścić nas

za fioletowy sznur. - Lokal jest otwarty od niedawna - wyjaśniła Cathy, gdy zeszliśmy po schodach do sklepionego wnętrza. - Ostatnio widziałam tutaj Clive'a Owena. Naprawdę puścił do mnie oczko.

- Szczęściara - skwitowałam. - Ale napijmy się jeszcze szampana. Ja przyniosę, a wy poszukajcie stolika.

Podeszłam do obleżonego baru. Czułam się głupio w kaloszach, choć na szczęście było dosyć ciemno - ale jakoś nie mogłam ściągnąć wzroku barmana. Stałam tak co najmniej dziesięć minut, mocno wkurzona, a do tego rozdrażniona migającym światłem reflektorów, od których bolała mnie głowa. Nagle zauważyłam, że mężczyzna stojący po mojej prawej stronie bez skrepowania macha do barmana i wskazuje mnie obiema rękami. Zamówienie zostało przyjęte. Kiedy nieznajomy zobaczył, że na niego patrzę, uśmiechnął się.

- Dzięki - powiedziałam. Przyjrzałam mu się jak należy i poczułam nagłe tapnięcie w klatce piersiowej. Moją uwagę przyciągnęły ciemne kręcone włosy opadające na kołnierzyk i oczy w kolorze przydymionego błękitu. Miał około trzydziestu pięciu lat, był wysoki i szczupły, ale szeroki w ramionach. - To bardzo miło z twojej strony - dodałam. - Barman jakoś uparcie mnie nie zauważał.

- Nie mam pojęcia, dlaczego - odparł nieznajomy. - Jesteś bardzo zauważalna. Wyglądasz jak... - Miałam nadzieję, że powie Gwyneth Paltrow. Albo Kirsten Dunst. Ludzie czasem mi to mówią, jeśli wypiją wystarczająco dużo.

- ...góra lodowa - usłyszałam resztę zdania. - Jesteś taka wysoka i jasna, i... chłodna.

- I oczywiście mam ukrytą głębię.

- Z pewnością. - Jak na złość to stwierdzenie kazało mu spojrzeć na moje stopy. Uniósł brew, zaskoczony. - Wracasz z marszu przełajowego, czy jak?

- Nie. - Wyjaśniłam, co mi się przytrafiło.

- Rzeczywiście, pech.

- Jeszcze jaki. - Zapłaciłam za butelkę taittingera. - Ale zawsze noszę ze sobą buty na zmianę.

- No właśnie widzę. To bardzo praktyczne.

- W każdym razie dziękuję za pomoc. Jesteś dżentelmenem.

- Czasami - powiedział smętnie. - Ale nie zawsze.

Teraz, parkując samochód przed domem, pomyślałam, jak inne byłoby moje życie, gdybym tak to zostawiła - gdybym pożegnała się uprzejmie z przystojnym nieznajomym i odszukała Cathy i Sue. Ale ja napełniłam kieliszek szampanem i podałam mu. Gestowi temu towarzyszyło bardziej zuchwałe spojrzenie - alkohol wprowił mnie w różowy nastrój i dodał śmiałości. Nieznajomy odpowiedział zainteresowaniem.

- Jesteś tu z kimś? - zapytałam, po trosze spodziewając się, że za chwilę zobaczę jakąś olśniewającą urodą kobietę, która po prostu mi go zabierze.

- Z kolegą, ale on wyszedł zadzwonić do żony.

- A gdzie jest twoja? - Zdumiała mnie moja własna bezpośredniość.

Wydawał się nieco zaskoczony.

- Ja... nie mam.

- A masz dziewczynę?

- Nie... - odparł powoli. - Ale powiedz - stuknął kieliszkiem o mój kieliszek - co takiego świętujesz?

Pomyślałam o mojej matce.

- Nic. Ale właśnie zaczynam nowe życie.

- Nowe życie? - Uniósł kieliszek; bąbelki popłynęły w górę jak falujące serpentyny. - Więc wypijmy za twoje nowe życie. Co to będzie? Emigrujesz? Wychodzisz za mąż? Wstępujesz do klasztoru? Może widzisz siebie w cyrku?

- Nic z tych rzeczy. - Wyjaśniłam mu, że to był mój ostatni dzień w City, a od poniedziałku zaczynam kurs projektowania ogrodów.

- Więc porzucasz firmy krzaki dla strzyżonych żywopłotów.

- Tak jest.

- Pomnażanie zysków dla rozmnażania roślin. - Uśmiechnęłam się. - Giełdę papierów wartościowych dla giełdy ogrodniczej. Mam mówić dalej?

- Nie. - Zachichotałam. - Nasłuchałam się dość ogrodniczych dowcipów na przyjęciu pożegnalnym.

Oparł się o bar.

- I co dalej, kiedy już skończysz ten kurs?

- Założę własną Firmę. Anna Temple - Projektowanie Zieleni.

- Anna Temple... ? Z takim nazwiskiem powinnaś być obiektem kultu\*. Masz zapewne tłumy wiernych wyznawców?

Pokręciłam głową.

\* Temple (*ang.*) - świątynia (*przyp. tłum.*).



- Niestety nie.

- Naprawdę? Dziwne.

- A jak ty masz na imię? - zapytałam. - Trudno cię skutecznie podrywać, nie znając go.

Znow się uśmiechnął.

- Xan. Przez X.

- Bo jesteś rozmiaru XL? - Bawiłam się swoją świeżo odkrytą bezczelnością. Mijała ledwie druga godzina mojego nowego życia, a ja już odkrywałam zupełnie nowe strony własnej osobowości. Cassie, urodzona flirciara, byłaby pod wrażeniem.

- Nie. - Xan się roześmiał. - To zdrobnienie od Alexander.

Pociągnęłam kolejny łyk szampana.

- Chyba bardziej eleganckie niż Alex, co?

- Zdaje się, że tak właśnie uznała moja mama.

Kiedy wrócił kolega i powiedział, że musi już iść, zaprosiłam Xana, by przyłączył się do mnie, Sue i Cathy, które nareszcie znalazły wolny stolik. Z początku grzecznie zagadywał wszystkie trzy, ale w końcu jakoś tak wyszło, że rozmawialiśmy już tylko we dwójkę. Powiedział mi, że spędził dziesięć lat w Hongkongu, pracował w bankowości, ale rzucił to dla pracy w BBC.

- I jak na tym wyszedłeś? - Napiłam się szampana.

- Czuję się wspaniale. Żałuję, że nie zdecydowałem się na ten krok dużo wcześniej. Życie jest krótkie, trzeba robić to, co się kocha.

- Doszłam właśnie do takiej samej konkluzji - stwierdziłam z przejęciem.

- Jestem na praktyce w dziale wiadomości. Całe szczęście, że zechcieli przyjąć takiego podstarzałego „studenta”.

Sue i Cathy zaczęły się zbierać.

- Musimy zdążyć na pociąg - powiedziała Sue. Podniosła swoje torby i schyliła się, by mnie uściskać. - Wygląda na to, że twój wieczór będzie baaardzo pamiętny - szepnęła. - Oby naprawdę zakończył się fajerkami. - Zachichotała i wyprostowała się. - Więc do zobaczenia w poniedziałek, Anno... och! Niestety, nic z tego. - Uściskała mnie jeszcze raz. - Ale zadzwonię do ciebie.

- Koniecznie, Sue... I dzięki za książkę.

Xan już wstawał, ale Sue machnęła na niego, by usiadł z powrotem.

- Nie, nie... siedźcie sobie.

Więc siedzieliśmy - jak długo, nie pamiętam, aż w końcu Xan spojrział na zegarek.

- Lepiej już pójde - powiedział. - Północ.

- Och. - Poczułam ukłucie żalu podszytego paniką. - Karoca z dyni woła, panie Kopciuszek?

- Raczej łóżko. Mam jutro dużo pracy.

- No cóż... - Wstałam, dopiero teraz zdając sobie sprawę, ile wypilałam. - To i ja się zbieram. Ale cieszę się, że cię poznałam. - Wciągnęłam rękę. - Dzisiaj wydarzyło się coś bardzo dla mnie ważnego, a bez ciebie ten dzień nie byłby taki sam.

- Naprawdę?

- Tak. Nie jestem do końca pewna, dlaczego. Mówiąc wprost - dałam, podnosząc torebkę i pakunki - mam dziwne uczucie, że to było przeznaczenie.

Xan gapił się na mnie.

- Gdzie mieszkasz?

Poczułam elektryzujący dreszczyk.

- W Brook Green.

- A ja na Notting Hill. Wracam taksówką, podrzucę cię. Jeśli chcesz - dodał niepewnie.

Chmura motyli zerwała się do lotu w moim żołądku.

- Tak. Chętnie skorzystam. Dziękuję.

Wyszliśmy na Oxford Street, gdzie wpadła na nas grupka wyśpiewujących na całe gardło podpitych mężczyzn. Xan obronnym gestem otoczył mnie ramieniem; poczułam podniecające mrowienie skóry. Siąpił deszcz, więc taksówek było jak na lekarstwo. Nagle zobaczyliśmy żółte światelko; Xan wyszedł na jezdnię i pomachał na auto; taksówka stanęła obok nas z basowym pomrukiem diesla.

- Proszę do Brook Green - podał kierowcy adres, otwierając przede mną drzwiczki. - A potem na Notting Hill.

Wsiadłam.

- Najpierw podwieziesz mnie?

- Oczywiście.

- Naprawdę jesteś dżentelmenem-powiedziałam. Samochód ruszył.

- Staram się - powtórzył Xan. Spojrzał za okno. Na szybie perliły się krople deszczu, rozszczepiając światła sklepowych neonów. - Ale czasami mnie kusi, żeby zachować się bardzo nie po dżentelmeńsku.

- Doprawdy? - Patrzyłam, jak dwie kropelki wody spływają krętymi drózkami po szybie, a potem stapiają się ze sobą z delikatnym drzeniem. - A teraz cię przypadkiem nie kusi?

Przez chwilę panowała cisza, zakłócana tylko warkotem silnika i szumem mokrych opon.

- Owszem - odparł cicho Xan. - Kusi.

Słyszając to, wsunęłam mu rękę pod ramię i przysunęłam się odrobinę bliżej. Poczułam ciepło jego uda przylegającego do mojego. Pędziliśmy Bayswater Road przez Notting Hill, a potem Holland Park Avenue, przy której platany, stojące niczym przednia straż parku, gubiły wielkie liście.

- Już niedaleko - mruknęłam. Profil Xana migał w świetle ulicznych latarni. - Będziemy na miejscu za pięć minut. - Śmiało uniosłam rękę do jego twarzy i odgarnęłam mu włosy za ucho. - Możesz mnie odwozić do domu, kiedy tylko zechcesz - powiedziałam. Xan wbił we mnie wzrok. Obwiodłam linię jego ust koniuszkiem palca i pocałowaliśmy się. Wargi Xana smakowały solą i szampanem.

- Anno - szepnął ledwie dosłyszalnie. Przytuliłam się do niego. Używał wody z cytrusową nutą. - Anno...

Pocałowaliśmy się jeszcze raz, bardziej drapieźnie; wodziłam dłonią po jego klatce piersiowej, schodząc coraz niżej, aż wyczułam nabrzmiały członek. Byłam tak napalona, że niemal zrobiło mi się słabo.

- Która ulica, kolego? - usłyszeliśmy rubaszny głos kierowcy.

- Och... - Staralam się oprzytomnieć. - Havelock. - Twarz mi płonęła.  
- Na samym końcu, po lewej. Dom na rogu. - Samochód się zatrzymał, a ja szamotałam się ze swoimi torbami. Xan otworzył drzwiczki i wysiedliśmy. Serce łomotało mi jak szalone z niepokoju. Xan, zamiast zapłacić kierowcy, stał nieporadnie przy samochodzie, patrząc na mnie.

- Cóż... dziękuję - wymamrotałam. - Za podwiezienie... i... - Dlaczego się wahał? Może skłamał, że jest singlem. A może jest nieśmiały i nie chce za dużo sobie wyobrażać. Tak, to właśnie go paraliżuje, uznałam. Jest nieśmiały. Wypowiedziałam więc słowa, które miały zmienić moje życie.

- Nie chcesz wejść? - zapytałam cicho. - Na... No nie wiem, na kawę, czy coś?

- Na kawę? - powtórzył Xan z takim zaskoczeniem, jakbym powiedziała coś w niezrozumiałym dla niego języku - „gazpacho”.

- Tak. Na kawę. - Podniosłam kołnierz dla ochrony przed gęstniejącym deszczem. - Etiopską albo gwatemalską. Bezkofeinową albo ekstrakofeinową. Możesz dostać espresso albo latte. Możesz dostać czekoladę na gorąco, mam bardzo smaczną, organiczną. Z certyfikatem Fair Trade, oczywiście - dodałam z pijackim chichotem. - Może być nawet ciepłe mleczko. - Widziałam, że taksówkarz się niecierpliwi. - Kakao? - zaproponowałam z uśmiechem. Ale Xan wciąż stał. Pomyliłam się. Nie był zainteresowany. Odwróciłam się, rozczarowana.

Usłyszałam ciche trzaśnięcie drzwiczek taksówki i warkot silnika, gdy odjeżdżała.

Ale gdy przekreśliłam klucz w zamku, za moimi plecami nagle rozległy się kroki, a potem głos Xana:

- Ale herbatki na trawienie pewnie nie masz?

Teraz, zjeżdżając w gęstniejącym zmroku z autostrady, z ukłuciem bólu wspominałam tę dziką radość, z jaką wtedy walczyłam z zanikiem i dźgałam palcem przyciski wyjącego alarmu. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że dom wygląda świeżo i zapraszająco. Na kominku w salonie ładnie prezentował się dzbanek z liliami tygrysimi, wszędzie panował porządek. W jadalni na stole stało pudełko po butach pełne kartek z kondolencjami, bo nareszcie zabrałam się do pisania podziękowań. Weszłam do kuchni i powiesiłam żakiet na oparciu krzesła.

Xan wszedł za mną gdy napełniałam czajnik, zobaczyłam, że patrzy na zdjęcie moich rodziców. Nie mówiłam mu o mamie i nie chciałam mówić, bo gdybym powiedziała, jej śmierć stałaby się jeszcze bardziej prawdziwa.

- A więc na co masz ochotę? - zapytałam, otwierając szafkę. - Nie uraczę cię herbatką na trawienie, ale mogę zaproponować kenijską, darjeeling, cejlon, assam, zieloną, rumiankową, a jeśli życzysz sobie coś naprawdę wymyślnego, mam to - uniosłam pudełko jaśminowo-lawendowej. - Więc na co masz ochotę? - powtórzyłam z uśmiechem.

- Na nic - odparł.

- Przecież czegoś musisz chcieć - szepnęłam uwodzicielsko.

- No więc, owszem, chcę. - Odwrócił wzrok, trochę nieśmiało, i znów na mnie spojrzał. - Chciałbym, żebyś... coś zdjęła...

Poczułam gęsią skórkę na szyi.

- A co takiego? - Xan ruchem głowy wskazał moje stopy. - Proszę bardzo... - Zachichotałam, ściągając kalosze.

- O wiele lepiej - powiedział cicho. Gapił się na moje nogi. - Wiesz co, Anno? Masz bardzo ładne kostki.

- Dziękuję. Moje łokcie też są niczego sobie.

Xan nie odpowiedział. Po prostu stał tak, patrząc na mnie, jakby mnie wyceniał. Zrobiłam więc krok w jego stronę i pocałowaliśmy się. Potem, nie mówiąc ani słowa, powoli rozluźniłam mu krawat i poprowadziłam po obitych białą wykładziną schodach do sypialni. Zdjęłam mu koszulę - pierś miał szeroką i gładką- a potem zsunęłam rękę niżej. Nigdy w życiu nie przejmowałam w ten sposób inicjatywy. Rozpięłam mu spodnie, lekko pchnęłam na łóżko i jednym ruchem pozbyłam się bluzki, czując jego dłonie pieszczące moje nagie biodra. Ogarnęło mnie pożądanie, jakiego nie czułam nigdy w kontakcie z mężczyzną. Pragnęłam go. Potrzebowałam go.

- Teraz - szepnęłam, a on wszedł we mnie. Poruszaliśmy się w cudownej zgodzie, aż do zatracenia w gwałtownych spazmach rozkoszy. Potem leżeliśmy, przytuleni, w ciemności. Xan szybko zasnął, ja nie mogłam spać. Wpatrywałam się w linię jego szczęki z lekkim cieniem zarostu, przyglądałam ładnym długim rzęsom.

To może być początek nowego związku, myślałam radośnie, który rozpocznie się wraz z moim nowym życiem...

W końcu zasnęłam i przyśniła mi się mama. Był to niepokojący sen - szła w moją stronę przez ogród, a ja bardzo pragnęłam, by mnie przytuliła, ale wiedziałam, że tego nie zrobi. Potem nie byłam już nawet pewna, czy

to ona, bo jej twarz zmieniała się, stawała się niewyraźna i obca. Obudziłam się smutna i dezorientowana.

Co by sobie pomyślała o tym zdarzeniu? - zastanawiałam się, wpatrzona w smużkę szarego światła wczesnego poranka, widoczną przez szparę okiennic. Byłaby rozczarowana.

„Och, Anno, jak mogłaś? Dopiero się poznaliście. Co ci zawsze powtarzałam? Że jeśli mężczyzna ci się podoba, o wiele lepiej jest poczekać...”

Nagle ogarnęła mnie panika. Miejsce Xana w łóżku było puste. Usiadłam, gapiąc się na zagłębienie, wygniecione w poduszce przez jego głowę. Po chwili wstałam. Na pewno jest w łazience. Ale wszechobecna głucha cisza powiedziała mi, że to nieprawda. Jego rzeczy, rozrzucone po dywanie, zniknęły.

Spojrzałam na zegarek. Szósta trzydzieści. Zbiegłam na dół w nadziei, że zostawił kartkę - ale nie znalazłam nawet śladu, który wskazywałby, że w ogóle był w tym domu, z wyjątkiem jego zapachu na mojej pościeli i skórze.

Klapnęłam na kanapę; dom mroził mnie swoją pustką. Pękała mi głowa, w ustach miałam kwaśny posmak. Zza okna dobiegał zawodzący odgłos silnika wózka mleczarza. Dlaczego Xan musiał sobie pójść?

Zupełnie nie tak to sobie wyobrażałam, myślałam teraz, jadąc przez południowy Londyn w gęstniejącej ciemności. Spojrzałam w lusterko na Milly. Spała mocno z kciukiem w buzi i wskazującym placem owiniętym wokół nosa.



Nim zasnęłam tamtej nocy, wyobrażałam sobie naiwnie, że spędzimy poranek w łóżku i poleniuchujemy, mocząc się w mojej wielkiej wiktoriańskiej wannie. Potem w pobliskim barze gadalibyśmy, jedząc jajka na bekonie, mając wrażenie, że znamy się od zawsze. Może wybralibyśmy się na spacer do Holland Parku. Umawialibyśmy się na randki przez trzy błogie miesiące, po których Xan porwałby mnie do Florencji, by się oświadczyć. I latem odbyłoby się przyjęcie weselne w Belvedere, tydzień po zakończeniu mojego kursu.

Dlaczego przynajmniej nie mógł mnie obudzić, żeby się pożegnać? - pomyślałam ze złością. Dlaczego nie mógł „po dżentelmeńsku” zostawić liściku z informacją, że nie chciał mi przeszkadzać i zadzwoni później, z pytaniem w postscriptum, co robię dzisiaj wieczorem?

Ale Xan nic takiego nie zrobił. Po prostu zwiął - jakby popełnił jakąś straszliwą pomyłkę. Gdy tak siedziałam, z gardłem obolałym od tłumionego szlochu, myślałam, za jaką wspaniałą uwodzicielkę się uważałam, choć w rzeczywistości byłam tylko napalona i bezceremonialna.

- Poszłam do łóżka z facetem, którego znałam dwie godziny. - Ukryłam twarz w dłoniach. Dlaczego zachowałam się tak lekkomyślnie? Przecież on mógł być mordercą albo wariatem, albo złodziejem. Tyle że wiedziałam, nie jest ani jednym, ani drugim czy trzecim - był czarujący, inteligentny i miły - i to właśnie było najgorsze. - Podobał mi się - jęczałam. - Naprawdę mi się podobał. - Ale on najwyraźniej uznał to za jednorazówkę. Dostał co chciał i zniknął starym, męskim, uświęconym przez czas zwyczajem. Staroświeckie rady mojej matki okazały się słuszne.

Była dopiero siódma. Napuściłam wody do wanny i zanurzyłam się w niej - grube łzy rozczarowania mieszały się na moich policzkach z warstwą wilgoci ze skroplonej pary.

Nie wychodziłam z domu przez cały ranek, na wypadek, gdyby zadzwonił, ale nie zadzwonił. W porze lunchu wygłaszałam obłąkańcze monologi pod jego adresem - tłumaczyłam, że moje zachowanie z poprzedniego wieczoru było absolutnie dla mnie nietypowe i że w przeciwieństwie do tego, co sobie zapewne pomyślał, nie miałam w zwyczaju wskakiwać do łóżka z mężczyznami, których dopiero co poznałam.

Późnym popołudniem byłam już radioaktywna z oburzenia...

Niewychowany łajdak, powtarzałam sobie z furją, zdzierając pościel. Wyobrażał sobie, że może się tak po prostu ze mną przespać, a potem zniknąć, jakbym była... łatwa? Wyszarpnęłam poduszkę z powłoczki. A może kłamał, kiedy mówił, że nie ma dziewczyny. Czy tak atrakcyjny mężczyzna może nie mieć dziewczyny? To dlatego się wahał, teraz to rozumiałam - przez poczucie winy. I dlatego wyszedł tak wcześnie - żeby ona się nie zorientowała, że nie było go całą noc.

To zapewne ktoś z pracy. Wyobrażałam ją sobie - długonogą brunetkę z wielkimi brązowymi oczami i bajeczną figurą. A może poznał ją w Hongkongu. Teraz widziałam smukłą Chinkę o złocistej skórze i z płaszczem włosów tak błyszczących, że można by się w nich przejrzeć. Poczułam ukłucie zazdrości, do której - o czym doskonale wiedziałam - nie miałam prawa, znając go niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Nie jest wart, by w ogóle o nim rozmyślać, uznałam w końcu, upychając do pralki poszwę z kołdry. Ustawiłam pokrętko na dziewięćdziesiąt stopni, by wygotować go ze swojej pościeli. Powiedział, że nie zawsze jest dżentelmenem, pomyślałam, zatrzasnąjąc drzwiczki pralki. Cóż, przynajmniej w tej sprawie mówił prawdę.

„Drryń!”

Wyprostowałam się, słysząc dzwonek do drzwi. „Drrrrryń!”

Z łomoczącym sercem wyjrzałam do przedpokoju. Za panelami z kolorowego szkła majaczyła wysoka sylwetka. Skontrolowałam swoje odbicie w okrągłym lustrze u dołu schodów, wzięłam głęboki oddech i otworzyłam zasuwkę.

Ogarnęła mnie fala żalości - a potem nadziei.

- Pani Temple? - Przed drzwiami stał mężczyzna z bukietem w rękach.

- Tak?

- To dla pani.

- O, dziękuję - odparłam słabo, gdy wręczył mi kwiaty. - Bardzo dziękuję. - Pomyślałam, że chyba się zaraz rozplączę z ulgi. A potem wściekłam się na siebie, że tak idiotycznie podchodziłam do całej sprawy; ostatecznie miałam trzydzieści dwa lata, nie szesnaście.

Zaniosłam kwiaty do kuchni i położyłam na blacie. Była to wiązanka z brązowych chryzantem, żółtych róż i kremowych gerber. Przecięłam złotą wstążeczkę, która zsunęła się na podłogę. Oczywiście zauważyłam przypiętą do wstążki kopertę, ale odsunęłam ją na bok. Chciałam jeszcze chwilę odłożyć przyjemność przeczytania bileciku od Xana.

Znalazłam biały dzbanek i wstawiłam do niego kwiaty, dorzucając dwupensówkę, jak nauczyła mnie mama, bo miedź sprawia, że kwiaty dłużej się trzymają, a ja chciałam, by te stały wiecznie. W końcu podniosłam kopertę. Wydawała się grubsza niż zwykle, zauważyłam, wsuwając kciuk pod klapkę, ale to dlatego, że zawierała nie standardowy bilecik, ale cały list. Rozłożyłam go drżącymi rękami.

„Droga Anno”, zaczęłam czytać. Jego pismo było bardzo nieporządne. „Przykro mi, że musiałem wyjść tak wcześnie, ale miałem dziś poranną zmianę, która skończyła się dopiero teraz...”

- Hura! - krzyknęłam. I przypomniałam sobie, co mówił - że czeka go pracowity dzień. Palnęłam się w czoło, mocno, otwartą dłonią. Byłam tak zdenerwowana - i skacowana - że zapomniałam. Może i zachowywałam się jak femme fatale, ale daleko mi było do niej. Zwyczajnie nie potrafiłam zachować zimnej krwi.

„Zadzwońbym do Ciebie, ale nie znam Twojego numeru i, niestety, nie ma go też w książce telefonicznej”. Znów palnęłam się w czoło. „W każdym razie wspaniale było Cię poznać...”

- Tak!

„...i bardzo chętnie spotkałbym się z Tobą jeszcze raz.”

- Tak!

„Ale myślę, że najpierw powinniśmy porozmawiać”.

- Och... - Nagle oklapłam jak podcięta róża. „Masz czas jutro wieczorem? Xx”.

Powinnam pójść za radą matki i powiedzieć Xanowi, że mam wcześniejsze zobowiązania - ale teraz już za późno na taki wybieg. Kości

zostały rzucone, a poza tym dręczył mnie niepokój. Co on chce mi powiedzieć? Spotkaliśmy się w Havelock Tavern, restauracji z pubem niedaleko mojego domu. Znalazłam stolik w zacisznym miejscu, a tymczasem Xan poszedł po drinki. Dla mnie wziął skromną krwawą mary, a dla siebie butelkę piwa Stella.

Uniósł szklanekę i uśmiechnął się smutno.

- Miło cię znów widzieć, Anno. Wyglądasz uroczo.

- Naprawdę? Och. Ty też - dodałam nerwowo, zaniepokojona faktem, że na trzeźwo on wydaje mi się jeszcze bardziej atrakcyjny niż po pijanemu. Kolana mi się trzęsły, więc położyłam na nich lewą dłoń. -Ale...

- wzięłam głęboki oddech. - Napisałeś, że musimy porozmawiać. Xan zmarszczył brwi.

- Myślę, że powinniśmy. Serce mi zamarło.

- Dobrze... ale najpierw chciałabym coś powiedzieć. Spojrzał na mnie, zdumiony.

- Słucham.

- No więc... - napiłam się soku pomidorowego - to... co się stało w piątek wieczorem, nie było... typowe dla mnie. Nie chciałabym, żebyś sobie tak pomyślał.

Wzruszył ramionami.

- Nie pomyślałem sobie nic szczególnego. Zagapiłam się na małą wyspę lodu w moim drinku.

- Nie chciałabym, żebyś sądził, że mam w zwyczaju wskakiwać do łóżka z mężczyznami, których znam od paru minut, tylko dlatego, że tak się stało w tym wypadku.

- Ale...

- Nie jestem taka. Wręcz przeciwnie. W kontaktach z mężczyznami jestem raczej nieśmiała.

- Naprawdę? - Jego zaskoczenie zirykowało mnie. - Hm... w piątek nie byłaś szczególnie nieśmiała, Anno.

Poczułam, że się czerwienię.

- No więc usiłuję ci wyjaśnić, że to była kompletna aberracja. Nie bardzo wiem, dlaczego tak się stało - dodałam, wciąż zastanawiając się, co we mnie, u licha, wstąpiło. - Zwykle spotykam się z facetem przynajmniej miesiąc, zanim dochodzi do czegokolwiek w tym temacie...

Zamyślony łyknął piwa.

- Rozumiem...

- Minimum dziesięć randek. Skinął powoli głową.

- No tak. A czy to mają być kolacje, czy te randki mogą obejmować też lunche i śniadania?

- Czy mógłbyś być poważny, z łaski swojej?

- A podwieczorki?

- Xan, posłuchaj mnie przez minutę, próbuję ci wyjaśnić, że moje zachowanie było absolutnie nietypowe dla mnie... naprawdę z jakiegoś powodu nie byłam sobą... więc czuję się...

Położył dłoń na moim rękawie.

- Spokojnie. - Zauważyłam, jak piękne są jego dłonie: duże i żylaste, o silnych, prostych palcach. - Nie ma powodu się tak przejmować. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, i jesteśmy dorośli, zgadza się?

- Oczywiście, ale ja o wiele za dużo wypiałam... z powodu pożegnalnej imprezy... a potem było jeszcze morze szampana, i chyba dlatego wskoczyłam z tobą do łóżka. Alkohol pozbawia hamulców.

- Och. - Cofnął rękę. - Dzięki.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Chodzi mi tylko o to, że w normalnych okolicznościach nie pozwalam sobie na nieformalny seks.

- Więc na co sobie pozwalasz, na formalny seks? Masz na sobie suknię balową i diadem, a facet jest ubrany w smoking?

- Nie wygłupiaj się. Xan odstawił szklanę.

- Nie wygłupiam się. Po prostu nie rozumiem, dlaczego czujesz, że musisz się wytłumaczyć z tego, co się stało. Nie musisz, Anno. Po prostu bardzo się sobie spodobaliśmy.

Zagapiłam się na niego.

- Tak... - szepnęłam. - To prawda.

- I dalej się sobie podobamy - ciągnął niepewnie. - Zgadza się? Moje serce łomotało jak wielki tam-tam.

- No... tak. Ale powiedziałaś, że musimy porozmawiać, i zabrzmiało to groźnie, jakbyś miał mi do powiedzenia coś nieprzyjemnego.

- Na przykład co?

- No... że się z kimś spotykasz albo że jesteś zaręczony czy żonaty, albo że z kimś mieszkasz, albo że bierzesz narkotyki, albo podejrzewasz, że możesz być gejem. Nie znamy się, więc to może być cokolwiek... hm... choćby nawet to, że zamordowałeś własnego ojca i spałeś z matką, albo że miałeś romans z owcą... nie żebym cię choć przez chwilę podejrzewała o

coś tak wstępnego jak międzygatunkowe związki... Nie wyglądasz na takiego, ale...

- Anno...? - Xan kręcił głową ze zdumieniem i rozbawieniem. - Powiedziałem tylko, że moim zdaniem powinniśmy najpierw porozmawiać, to znaczy - rozłożył bezradnie ręce - no, porozmawiać.

- Och, rozumiem. O czym?

- O czymkolwiek... W piątek nie rozmawialiśmy zbyt wiele, prawda? Ale widocznie nie wyraziłem się dość jasno... Kwiaciarnię już zamykali, spieszyło mi się. - Wzruszył ramionami. - Chodziło mi tylko o to, że chciałbym - znów wzruszył ramionami - poznać cię lepiej.

- Więc... dlaczego się zawahałeś, zanim wszedłeś?

- Dużo wypijaś i nie byłem pewien, czy powinienem. Mówiłem ci, staram się zachowywać jak dżentelmen. - Napił się piwa. - Zadowolona?

Kiwnęłam głową.

Odstawił szklanekę i spojrzał na mnie.

- Zawsze jesteś taka skomplikowana? Uśmiechnęłam się do niego.

- Nie.

Tak więc przy kolacji rozmawialiśmy. Wyglądało na to, że Xan nie ma żadnej koszmarnej, ukrytej wady; odetchnęłam z ulgą i odzyskałam pewność siebie. Rozpływałam się nad kursem projektowania ogrodów, który miał się zacząć następnego dnia.

- Wszystko odbywa się w Ogrodzie Botanicznym w Chelsea - wyjaśniłam. - To cudowne miejsce, istny tajemniczy ogród, pełen rzadkich drzew i ziół leczniczych. Będę się uczyć ogrodnictwa i architektury zieleni, kształtowania krajobrazu, rysunku technicznego, wykorzystania



oświetlenia ogrodowego i elementów dekoracyjnych, takich jak rzeźby czy oczka wodne... - Aż drżałam z radosnego oczekiwania. - Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

Potem Xan opowiedział mi o swoim dwuletnim stażu w BBC, który właśnie dobiegał końca. Podniósł rękę.

- Teraz składam podania o pracę. To dosyć stresujące.

- W którym dziale BBC chcesz pracować?

- Sam nie wiem. Na razie jestem w redakcji informacyjnej i chwalebę sobie, ale zwalnia się kilka stanowisk reporterskich, co również mnie interesuje, jako że bawiłem się już zbieraniem danych dla BBC World. Mogłbym się też nastawić na jakąś robotę w sekcji biznesowej, żeby wykorzystać swoje doświadczenie z sektora finansowego. Są różne możliwości, ale konkurencja zawsze jest ostra.

Dowiedziałam się trochę o jego rodzinie. Ojciec pracował dla Instytutu Brytyjskiego, więc dzieciństwo Xan spędzał w najróżniejszych miejscach na świecie.

- Jesteśmy nomadami - wyjaśnił. - Wiecznie na walizkach. Przeprowadzki mam we krwi.

- To wspaniale. - Westchnęłam tęsknie. Pomyślałam sobie, że jestem nudna i prowincjonalna. - Ja, obawiam się, mam we krwi siedzenie na miejscu. Mieszkaliśmy w tym samym domu przez trzydzieści pięć lat.

- My, to znaczy...?

- Moi rodzice... no, teraz już rodzic. - Poczułam bolesne ukłucie. - Mama zmarła trzy miesiące temu. Dziś mijają trzy miesiące. - Zdałam sobie nagle sprawę. - To było ósmego czerwca, w niedzielę. - Gdy o tym

mówiłam, znów miałam wrażenie, jakby ktoś położył mi na piersi stos cegieł.

- Chorowała? - zapytał łagodnie Xan. Pokręciłam głową.

- Trzymała się świetnie. Jej śmierć była kompletnie niespodziewana.

Grom z jasnego nieba - dodałam gorzko.

- Więc... co się stało?

Zapatrzyłam się na samotną różową różę w smukłym wazonie.

- Skręciła nogę w kostce. - Xan patrzył na mnie, zdziwiony. - Tata powiedział, że poślizgnęła się na schodach, schodząc na lunch. Kostka mocno spuchła, więc zawiózł mamę do szpitala, gdzie założono jej opatrunek. Jeszcze tego samego wieczoru leżała na kanapie, co było dla niej utrapieniem, i nagle źle się poczuła. Myślała, że to reakcja organizmu na środki przeciwbólowe, które zażyła, ale tak naprawdę działo się coś straszego... W nodze wytworzył się skrzep i przemieścił się przez całe ciało, docierając do płuc. Tata mówił, że oddychała z trudnością... - Wciągnęłam głęboko powietrze, jakbym usiłowała jej pomóc. - Zadzwoił po karetkę; przyjechali po dziesięciu minutach, ale było już za późno, umarła mu na rękach. Skręciła kostkę, a kilka godzin później już nie żyła. Nie mogliśmy w to uwierzyć - wychrypiałam. - Wciąż nie możemy.

- To straszne - odezwał się Xan po chwili. Położył dłoń na mojej dłoni. - Na pewno czujesz się... nie wiem... osierocona.

Spojrzałam na niego.

- Osierocona...? To najbardziej właściwe słowo. - W tym momencie zrozumiałam, że właśnie dlatego zachowałam się tak lekkomyślnie dwie noce wcześniej. To było coś więcej niż fizyczne pożądanie. To wydarzyło

się dlatego, że przez trzy miesiące byłam skulona w sobie, na wpół martwa z rozpacz, i chciałam znów poczuć się... żywa.

- Ile miała lat?

Jego rysy rozmywały się przed moimi oczami.

- Pięćdziesiąt pięć.

- Taka młoda... - Xan kręcił głową. - Mogła się spodziewać jeszcze przynajmniej dwudziestu lat.

- Nikt z nas nie może się tego spodziewać - powiedziałam cicho. - Jedynie mieć nadzieję. Teraz rozumiem to dobrze, a wcześniej było abstrakcją.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- A co z resztą twojej rodziny? - zapytał Xan. Opowiedziałam mu o Cassie i Marku. - A twoje życie prywatne? Faceci?

Wzruszyłam ramionami.

- Już dość długo nie spotykałam się z nikim.

- Jesteś bardzo atrakcyjna... na swój lodowy sposób, więc na pewno masz propozycje.

- Dziękuję. Czasami mam. Ale nie od facetów, którzy by mi się szczególnie podobali. - Zaczęłam się bawić serwetką. - Jak jest u ciebie?

- Miałem kogoś, ale rozstaliśmy się w maju.

- Jaka ona była?

- Naprawdę urocza - odparł z żalem. Poczulałam ukłucie zazdrości. - Cara była bardzo inteligentna. Bardzo atrakcyjna. Bardzo przebojowa...

- Po prostu boska - podsumowałam oschle. - Więc co poszło nie tak?

- Cóż, spodziewała się po tym związku zbyt wiele, zbyt szybko. Byliśmy razem trzy miesiące, a ona już zaczęła naciskać na wspólne zamieszkanie. .. Mnie to wszystko jakoś nie leżało. Wciąż żądała odpowiedzi, dokąd zmierza nasz związek. W końcu nie mogłem już tego znieść.

- Ja taka nie jestem - powiedziałam. - Przyznaję, że byłam, zanim zmarła moja mama, ale jej śmierć zmieniła wszystko i mój zegar biologiczny ustawił się na długą drzemkę. Kurs ogrodniczy trwa cały rok, potem muszę rozkręcić firmę, więc moim priorytetem jest teraz życie zawodowe. - Spojrzałam na zegarek. - A skoro o tym mowa, to chyba już pójdę, jutro muszę być w Ogrodzie Botanicznym o dziewiątej. Dzięki za kolację.

Xan wstał.

- Mogę cię odprowadzić? Uśmiechnęłam się.

- Jasne.

- Bardzo chciałbym jeszcze się z tobą spotkać, Anno. - Staliśmy przed furtką mojego domu. Wisteria oplatająca budynek była w okresie drugiego kwitnienia i powietrze przesycił upajający zapach. Xan pogłaskał mnie po policzku. - Zgadzasz się?

- Zgadzam - potwierdziłam w radosnym uniesieniu.

- Ale... bez...

- Zobowiązań? - dopowiedziałam cierpko. Pokręcił głową.

- Nacisków. Po prostu bez... nacisków. Okej? - Pocałował mnie. Gdy ruszył wąską ulicą, odwrócił się i pomachał.

- Bez nacisków? - powtórzyłam cicho. - Ależ skąd.

## Rozdział 2

Zaparkowałam samochód na zwykłym miejscu przed domem i wróciłam myślami do cudownej jesieni, którą spędziłam z Xanem. Czysty blask słońca i wydłużające się cienie jakoś pasowały do głębokiego smutku po śmierci mamy, ale i do tej niemal euforycznej radości, jaką przepełniało mnie bycie z nim.

- To wszystko dzięki tobie - powiedziałam Sue przez telefon. - Gdybyś mnie nie namówiła na wspólny wypad do klubu, nie poznałabym Xana. Byłaś moją dobrą wróżką!

- Zawsze do usług. Bardzo się cieszę - odparła. - On jest przystojny, inteligentny, a ty potrzebujesz ciepła i miłości, zwłaszcza teraz. Krótka się znacie - ostrzegła - więc nie zakochuj się po uszy, dobrze?

- Oczywiście że nie. Ale już się zakochałam.

Spotykaliśmy się przynajmniej dwa razy w tygodniu; chodziliśmy do kina, czasem do teatru, albo po prostu siedzieliśmy czy to u mnie, czy u niego na Notting Hill w mieszkaniu pełnym egzotycznych pamiątek z wędrownego dzieciństwa Xana. Były tam, między innymi, antyczna japońska zbroja, kolorowe tkaniny z Gwatemali i Sumatry, kawałek delikatnego, wachlarzowatego koralowca, który zerwał na Belize.

- I do tej pory gryzie mnie sumienie - mówił Xan - ale to było trzydzieści lat temu, a wtedy nikt się zbytnio nie przejmował ochroną przyrody.

Miał też mnóstwo książek podróżniczych i zabytkowy globus, który podarowali mu rodzice na osiemnaste urodziny. Od dawna byli na emeryturze i mieszkali w Hiszpanii.

- Tak długo przebywali za granicą, że nie potrafili się tu zadomowić - wyjaśnił Xan, gdy spacerowaliśmy po spółdzielczym parku na tyłach jego mieszkania, tydzień po naszym pierwszym spotkaniu. Liście zaczynały już brązowieć we wrześnieowym słońcu. - Moja siostra, Emma, też wybrała inny kraj. Uczy angielskiego w Pradze. A jak jest z twoim rodzeństwem? Powiedz mi o nich coś więcej.

- Mark jest chirurgiem okulista, już ci mówiłam. Kiedyś byliśmy bardzo zżyci... - Zrobiło mi się smutno. - Ale mniej więcej rok temu odsunął się od nas.

- Dlaczego?

- Bo... doszło do okropnej awantury z rodzicami z powodu jego nowej dziewczyny.

- A o co chodziło?

- Uważali, że ona jest absolutnie... nieodpowiednia. Ale Mark był zauroczony tą kobietą. Kiedy zadzwonił do mnie i powiedział, że poznał kogoś naprawdę wyjątkowego, zaczęłam go wypytywać. Muszę przyznać, że po tej rozmowie podzielałam zdanie rodziców. Była osiem lat starsza od niego... czterdziestojednoletnia rozwódka z dwójką nastoletnich dzieci. Mark twierdził, że ogromnie mu na niej zależy. Powiedział, że ma gdzieś jej wiek, a nawet to, że nie chciała mieć więcej dzieci. Był pewien, że chce z nią spędzić resztę życia.

- Czym się zajmowała?

- Jest aktorką.

- Znaną?

- Nie sądzę... Nazywa się Carol Gowing. - Xan wzruszył ramionami.

- Ja też o niej nie słyszałam - ciągnęłam - ale potem widziałam ją w telewizji, grała drugoplanowe role w serialach *Miasteczko Holby* czy *Rachunek*. W kwietniu zobaczyłam ją na zdjęciu w „Hello!” Była na jakiejś gali BAFTA\* z bratem artystą, i ojcem, sir Johnem Gowingiem, właścicielem Northern TV. Odbierał nagrodę za „szczególne osiągnięcia”. W artykule napisano, że Carol odnosiła sukcesy jako dwudziestolatka, ale jej gwiazda przygasła. To naprawdę piękna kobieta, Mark zakochał się bez pamięci.

- Więc przyprowadził Carol do domu, żeby przedstawić rodzicom...

- Nie, na to było jeszcze za wcześnie. Ale zabrał ją do

Glyndebourne\*\* na urodziny; przypadek sprawił, że moi rodzice też tam się znaleźli i natknęli na nich w przerwie między spektaklami. Więc we czwórkę urządzili sobie piknik i najwyraźniej... rodzice z miejsca poczuli do niej antypatię.

- Z powodu różnicy wieku?

- Pewnie tak. Na dodatek Carol chlapnęła, że nie chce mieć więcej dzieci, więc rozumiem, że mama mogła się poczuć rozczarowana. Ale z drugiej strony... - Nie dokończyłam zdania.

\* *BAFTA (British Association of Film and Television Arts)* - *Brytyjskie Stowarzyszenie Twórców Filmowych i Telewizyjnych.*

*\* \* Glyndebourne - siedemsetletnia opera, mieszcząca się w wiejskiej posiadłości w okolicach Lewes we wschodnim Sussex, od 1934 roku odbywa się tam letni festiwal operowy (przyp. tłum.).*

- To było życie Marka. Westchnęłam.

- No tak. Moja mama była wspaniała pod wieloma względami, ale...

- Poczułam się nielojalna. - Czasem się... wtrącała. Na swój dobrotliwy sposób - dodałam, targana wyrzutami sumienia. - Zawsze chciała dobrze. Wierzyła, że wie, co jest najlepsze dla jej dzieci, również dla tych dorosłych. Nie przyjmowała do wiadomości, że każdy musi popełniać własne błędy. - Pomyślałam o wszystkich radach, których mi udzieliła. - Następnego dnia mama pojechała do Marka, do jego mieszkania w Fulham, i wtedy, zdaje się, doszło do tej kłótni. Kategorycznie zabroniła mi wiązać się z Carol. Nie znam szczegółów, bo Mark nie chciał o tym rozmawiać, ale krótko potem się rozstali. Może zresztą Carol nie zależało na Marku aż tak bardzo, tego się nigdy nie dowiem, ale jestem pewna, że chłód mojej matki mógł ją zniechęcić. - Nagle przyszło mi do głowy, czy, jeśli oczywiście kiedykolwiek poznam rodziców Xana, jego mama mnie zniełubi. - Mark winił za to rodziców - ciągnęłam. - Szczególnie mamę. Był na nią wściekły, powiedział, że już nigdy się do niej nie odezwie, i po tej historii oddalił się od nas wszystkich. Potem nagle się okazało, że dostał pracę w szpitalu w San Francisco.

- Przyjeżdża do domu? Żal ścisnął mi serce.

- Nie. Przyjechał na pogrzeb mamy, oczywiście, ale został tylko na jedną noc. Wyglądał... koszmarne. Jego twarz była jak maska. Ale musiał



się czuć jeszcze gorzej niż my wszyscy. Nie mógł dojść do siebie po rozstaniu z Carol.

Nad naszymi głowami - staliśmy pod kasztanowcem - rozległ się szelest. Dwie wiewiórki goniły się po gałęzi; nagle zatrzymały się, odwrócone pyszczkami do siebie, z wygiętymi grzbietami i drżącymi ogonami.

- A ty byłaś u niego? Pokręciłam głową.

- Nie sądzę, by chciał, żebym go odwiedzała. Prawie nie mamy z nim kontaktu, poza jakimś mailem od czasu do czasu czy obowiązkową kartką na urodziny. Napisałam do niego, że rozumiem, co czuje, ale mnie też jest bardzo przykro, prosiłam, żeby nie zrywał z rodziną. Jego reakcja była bardzo chłodna. Zupełnie jakby chciał ukarać nas wszystkich.

- To chyba niesprawiedliwe.

- Rozmawiałam o tym z tatą, który powiedział, że jego zdaniem Mark „musi się odnaleźć”. A potem dodał z wielkim żalem, że on i mama „fatalnie rozegrali” tę sprawę.

Znów usłyszeliśmy szelest liści. Spadający kasztan wylądował na ziemi z cichym odgłosem; kolczasta zielona łupina pękła od uderzenia.

- A Cassie? - usłyszałam słowa Xana, gdy schyliłam się, by podnieść kasztan. - Jest podobna do ciebie?

Wyłuskałam kasztan z białej miękkiej koszulki, czując pod palcami jego aksamitną gładkość.

- Nie - odparłam. - Zupełnie nie. Fizycznie jest moim przeciwieństwem. Niska, krągła i bardzo ciemna, można by ją wziąć za Włoszkę lub Hiszpankę.

- A tymczasem ty mogłabyś być... Islandką. Masz taką jasną skórę, widzę żyłki na skroni, a twoje włosy... - odgarnął kosmyk za ucho - są tak jasne, że prawie białe.

- Mark też ma włosy jasnobłond jak tata, kiedy był młodszy. Cassie jest odrobinę podobna do mamy, ale zupełnie nie przypomina reszty z nas ani z wyglądu, ani z charakteru.

- Czym się zajmuje?

- W tym właśnie sęk, że właściwie niczym, a raczej mnóstwem rzeczy, ale każda jest z innej parafii. - Usiedliśmy na drewnianej ławce, otaczającej pień drzewa niczym obroża. - Głównie łapie dorywcze prace, przeskakuje z posady na posadę. Ma już dwadzieścia sześć lat, więc próbuję ją przekonać, żeby jakoś zaplanowała swoją karierę. Ale ona wciąż cytuje ten kawałek z Biblii o liliach polnych, co to ani nie pracują, ani nie przędą.

- Jest religijna?

- Cassie? - parsknęłam. - Ani trochę. Pracowała między innymi jako modelka prezentująca bieliznę i na szczęście rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli, a potem jako krupierka; byli przerażeni, ale ona twierdziła, że świetnie się na tym zarabia. Wiecznie jej brakuje pieniędzy.

- Dlaczego?

- Bo żyje ponad stan. Wynajmuje mieszkanie w Chelsea; jest bardzo małe, ale kosztuje fortunę. Mówiłam jej, że powinna kupić coś w tańszej dzielnicy, ale ona nie ma zamiaru rezygnować z dobrego adresu. A poza tym ma bardzo kosztowny gust: firmowe ciuchy, luksusowe wakacje, ele-

ganckie restauracje. Ja przy swojej pensji w City zastanawiałabym się nad takimi wydatkami, a Cassie po prostu idzie na całość.

- Więc jest hedonistką.

- Absolutną. Ma starego mg, który się wiecznie psuje. Ciągle przybiega do taty, żeby płacił jej rachunki za naprawy.

- Ojca to nie irytuje?

- Chyba nie. Zawsze ją rozpieszczał, przez całe życie. - Poczułam znajomą szpilę urazy. - Zupełnie jakby próbował jej coś wynagrodzić - dodałam nagle, choć do tej pory taka myśl nie przyszła mi do głowy.

Xan wyciągnął swoje długie nogi i skrzyżował je w kostkach. Zapatrzyłam się na jego buty z jasnego zamszu.

- A jak tata radzi sobie po śmierci mamy? Westchnęłam głęboko.

- Nie za dobrze.

Jeździłam do domu co weekend. Tata niewiele mówił, więc oglądaliśmy telewizję i zajmowaliśmy się różnymi praktycznymi sprawami - zakupami, ogrodem, praniem i prasowaniem. Przestał słuchać muzyki, bo doprowadzała go do łez. Zostawił wszystkie rzeczy mamy na miejscu. Potrzebował trzech tygodni, żeby umyć kieliszek po winie, którego używała. Na brzegu wciąż był różowy ślad jej szminki.

Nie potrafiłam pocieszyć taty, tak jak nie potrafiłam pocieszyć siebie, ale robiłam, co w mojej mocy, by zająć mu głowę czymś innym. Zachęcałam go, by dzwonił do znajomych albo chodził do klubu golfowego.

- Jeszcze nie - odparł cicho. - Po prostu... nie mogę.

Przez cały ten tydzień spędzałam wolny czas z Xanem. Budziłam się w jego ramionach, podniecona, a jednocześnie przedziwnie spokojna. Miałam wrażenie, jakbyśmy znali się już wiele lat wcześniej i niedawno spotkali znowu, by z radością odnowić nasz związek. Jednak prawda była taka, że nie znałam go zbyt długo.

Jak długo? Zadałam sobie to pytanie pewnego ranka pod koniec października, siedząc na wykładzie. Wykładowca prosił nas o rozrysowanie planu obsady dla suchych, zacienionych warunków. *Anemone japonica*, zapisałam, i *Helleborus argutifolius*. *Acanthus mollis* też doskonale ma się w cieniu, podobnie jak *Pulmonaria*, która świetnie się czuje w ciemnych kątach, a jej cętkowane liście wciąż są ładne, kiedy kwiaty już opadną. Minał miesiąc, od kiedy poznałam Xana. Wyrzałam na leżący poniżej ogród, podziwiając indyjską surmię pod oknem. Nie, zdałam sobie sprawę; dłużej. Poznaliśmy się w piątek dziesiątego września, więc minęło - dyskretnie zerknęłam do terminarza - prawie siedem tygodni. Przerzuciłam kartki terminarza wstecz, potem znów do przodu, a potem jeszcze kawałek do tyłu. I zobaczyłam, że jeden z dni pod koniec sierpnia zakreślony jest czerwonym kółkiem.

Przeszył mnie nagły dreszcz...

Już się zdarzało, że okres mi się spóźniał, powiedziałam sobie, w porze lunchu, idąc szybko Flood Street w stronę King's Road. Cykl pewnie mi się zmienił z powodu stresu. Szok potrafi tak zadziałać, rozmyślałam, wchodząc do apteki. Spojrzałam na całą gamę testów.

- Te mamy w paczkach po trzy w cenie dwóch, jeśli jest pani zainteresowana - powiedział dobrotliwie farmaceuta.

- Nie, dziękuję - odparłam, płacąc. Jeden to aż nadto, myślałam z łomoczącym sercem, na wpół biegnąc z powrotem do ogrodu botanicznego.

Nie jestem w ciąży, powtarzałam sobie, siusiając na sztyfcik.

Gdybym była, wiedziałabym o tym, bo przecież pierwsze objawy pojawiają się dosyć wcześnie, prawda? W popłochu przypominałam sobie symptomy. Mdłości, oczywiście. Kiedy się przeważnie zaczynają? Czy nie słyszałam gdzieś, że wczesną oznaką jest posmak metalu w ustach?

Wsunęłam sztyft do kasetki; czekałam na wynik, który miał się pojawić po dwóch minutach. Spłukałam muszlę, umyłam ręce. A czy wskazówką nie jest przypadkiem wzdęcie? - zastanawiałam się, wyszarpując papierowy ręcznik. Nie czułam się wzdęta. Jeszcze minuta. Obrzmiałe piersi?

Pobieżne obmacywanie nie potwierdziło. Dwadzieścia sekund... Czy ja wyglądam na ciężarną? Przyjrzałam się sobie w lustrze. Nie. No już...

Wstrzymując oddech, jakbym miała zanurkować, podniosłam test...

Spadłam w przepaść.

Niebieski krzyżyk w drugim okienku oznacza, że jesteś w ciąży.

Gapiałam się na niebieski krzyżyk - tak wyraźny, że zdawał się pulsować. Drżącymi rękami sięgnęłam po opakowanie i jeszcze raz przeczytałam ulotkę. Klapnęłam na krzesło, zamykając oczy. I nagle przypominałam sobie, co powiedziałam Xanowi tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy: Właśnie zaczynam nowe życie...

Xan... muszę ci coś powiedzieć...

Nie mogłam mu przekazać takiej wiadomości przez telefon. Trzeba się spotkać. Ale on miał teraz zdjęcia w Glasgow, a potem jechał do

Hiszpanii odwiedzić rodziców, więc miałam go zobaczyć dopiero za pięć dni.

W tym czasie próbowałam wyobrazić sobie jego reakcję. Będzie w szoku. Chociażby dlatego, że nie życzył sobie, bym go naciskała. Roześmiałam się ponuro. Ja, naciskać? A więc - nie, nie wpadnie w zachwyty. Jednak gdyby tylko potrafił się z tym pogodzić - choćby niechętnie - to by mi w zupełności wystarczyło.

Ale co ja zrobię z kursem? I co z moją karierą? Ze zmartwienia robiło mi się niedobrze. Potem znów wracał dobry nastrój i zabawiałam się przyjemną fantazją; Xan obejmował mnie czule i mówił, że owszem, to rzeczywiście trochę za szybko, ale wszystko będzie dobrze i kupimy sobie dom, trochę dalej od centrum, z dużym, ładnym ogrodem. I właśnie urządziłam w duchu ten ogród, widząc w nim huśtawkę, zjeżdżalnię i domek na drzewie - tak, naprawdę wspaniały domek na drzewie - kiedy zadzwonił telefon. Moje serce zabiło szybciej.

- Anna...?

- Xan... - Z ulgą padłam na fotel.

- Wróciłem już i... - Miał zmęczony głos, ale przecież wrócił z podróży.

- Tęskniłam za tobą, Xan.

- Ja za tobą też. - Zabrzmiało to jakoś dziwnie. Jakby był smutny i zaskoczony. - Ale... Słuchaj, muszę się z tobą zobaczyć. Mogę przyjść?

- Tak... Tak, ugotuję coś. Bądź o ósmej.

Zjawił się o wpół do dziewiątej, z wielkim bukietem różowych róż. Pocałował mnie w policzek, co wydało mi się dziwnie formalnym powitaniem. Był jakby nieobecny, ale przypisałam to zmęczeniu.

- Zadałaś sobie dużo kłopotu - powiedział niemal z żalem, gdy jedliśmy risotto.

Spojrzałam na jego talerz.

- Ale ty tak mało zjadłeś.

- Tak... - odparł zamyślony. - Ty też.

-To... to dlatego, że... - Adrenalina buzowała mi w żyłach.-Xan... -

Odłożyłam widelec. - Muszę ci coś powiedzieć... I powiedziałam.

Xan zeszywniał, jakby ktoś oblał go ciekłym azotem. W ciszy, która nastąpiła, słyszałam tylko mruczenie mojego komputera.

- Jesteś w ciąży? - wyszeptał. - Ale jak to się stało?

- Cóż... - Wzruszyłam ramionami. - W tradycyjny sposób.

- Ale... - Kręcił głową. - Byliśmy tacy ostrożni.

- Nie za pierwszym razem. Wtedy nie byliśmy. - Przypomniałam sobie grzebanie w nocnej szafce, już w trakcie, w poszukiwaniu prezerwatywy, która od wieków leżała na dnie szuflady.

- Za pierwszym razem?

- Myślę, że to się stało wtedy. Prawdę mówiąc, jestem pewna.

Xan pobielał na twarzy.

- Boże drogi... - Patrzył na mnie, mrugając, jakby nic nie rozumiał. - Chcesz powiedzieć, że zaszłaś w ciążę tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy?- Wybuchnął suchym śmiechem. - Ale... znaliśmy się dwie godziny!

- Tak... - Skinęłam nerwowo głową. - Na to wychodzi.

- Więc to było...?

- Siedem tygodni temu.

- Siedem tygodni?

- To by się zgadzało z tym, co powiedział mój lekarz. I w poniedziałek zrobiłam sobie pierwsze USG. Raczej nie ma wątpliwości. Szaroniebieskie oczy Xana wpatrywały się we mnie dziko.

- Ale... to straszne. - Moje serce zapadło się w czarną dziurę. - To chyba najgorsze, co mogło się zdarzyć.

- No więc, Xan, owszem, zdarzają się gorsze rzeczy, naprawdę - jękałam, zbita z tropu jego wrogością. - Okej, to bardzo poważna sprawa, absolutnie nie zaprzeczam, ale codziennie zdarzają się nieporównywalnie większe tragedie, po których ludzie nie potrafią się otrząsnąć. Mówiłam ci o mojej matce. Po tym trudno się pozbierać. Ale teraz przynajmniej... przynajmniej nikt nie umarł, prawda?

- Nie - przyznał ponuro Xan. - Wręcz odwrotnie! - Wstał i podszedł do okna. - Jezu, Anno... - Odwrócił się i spojrzał na mnie. W jego dymnoniebieskich oczach były uraza i furia.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Rozumiem, że jesteś... wstrząśnięty. Ja też byłam, zapewniam cię.

- Doprawdy? - Wpatrywał się we mnie z jawnym powątpiewaniem.

- Tak, byłam! Nie zrobiłam tego umyślnie, jeśli o to ci chodzi! Ale - zniżyłam głos, starając się za wszelką cenę, by ta rozmowa przebiegała możliwie spokojnie - miałam pięć dni na przemyślenie tego i wierzę, że będzie okej. Naprawdę tak myślę.

- Nie, nie będzie okej! To katastrofa!



Wytrąciła mnie z równowagi jego gwałtowna reakcja, ale usiłowałam zachować spokój.

- Posłuchaj, Xan, przemyślałam wszystko, i oczywiście nie oczekuję, że się ze mną ożenisz ani nawet że zamieszkasz ze mną, jeśli nie chcesz.

- Cóż, to rzeczywiście bardzo wielkoduszne podejście - stwierdził nie bez ironii. - Mówię wprost: nie zrobię ani jednego, ani drugiego!

Jakby mi dał pięścią w brzuch.

- Dobrze - szepnęłam. - Jeśli tak uważasz. Uniósł ręce.

- Oczywiście, że tak uważam! Znam cię niecałe dwa miesiące! I skąd w ogóle mam wiedzieć, że to moje? - Poczułam ból w piersi. Xan zadał mi następny cios. - Mówisz, że to się stało tej nocy, kiedy się poznaliśmy. Ale skąd mogę wiedzieć, czy poprzedniego dnia nie rzuciłaś się na jakiegoś innego nieszczęśnika?

Wstałam.

- Nie musisz mnie obrażać. To jest twoje dziecko.

- Jaką mam pewność, do cholery?

- Nie kłamałabym w takiej sprawie, to po pierwsze.

- Dlaczego nie? - wysyczał. - Mnóstwo kobiet to robi!

- A po drugie, oświadczam ci, że nie spałam z nikim przez sześć miesięcy, zanim cię poznałam. Zrobimy test DNA, jeśli mi nie wierzysz.

Coś w jego łagodniejącej twarzy powiedziało mi, że jednak uwierzył. Usiadł na kanapie i oparł głowę na dłoniach. Oddychał głęboko, jakby próbował się uspokoić.

- Góra lodowa - mruknął. - Tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, powiedziałem, że wyglądasz jak góra lodowa. Żałuję, że nie byłem

ostrożniejszy. Bo wybiłaś mi dziurę w burcie i pójdę przez to na dno. -  
Jęknął głośno.

Usiadłam na fotelu, tuż przy nim.

- Proszę, nie zachowuj się tak, Xan - zaczęłam drżącym głosem. - Nie ma potrzeby. Oboje jesteśmy po trzydziestce, oboje mamy środki do życia, i powtarzam, że nie musisz się ze mną wiązać w żaden sposób. Przyznaję, że sytuacja nie jest idealna, i sama byłam chora z niepokoju, ale postrzegam ją z rozsądnym optymizmem, bo przecież mieszkamy tak blisko siebie i...

- Anno... - przerwał ze znużeniem.

- Proszę, pozwól mi skończyć. I to jest właśnie najważniejsze, że będziesz w pobliżu.

- Ale...

- Co do odpowiedzialności - ciągnęłam - nie spodziewam się, że będziemy ją dzielić po połowie, również w kwestii finansowej. Zawsze byłam niezależna i to się nie zmieni. Chciałabym tylko... - Gardło ścisnęło mi się boleśnie. - Chciałabym tylko - spróbowałam jeszcze raz - żebyś po prostu był. Żebyś odegrał jakąkolwiek rolę, choćby najmniejszą. Żebyś był ojcem... - Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. - Nawet jeśli nasz związek się zakończy, co zapewne nastąpi, sądząc po twojej reakcji... - Przycisnęłam rękaw do oczu. - Tylko bądź.

- Ale ja nie mogę być. - Spojrzałam na niego. Wyglądał raczej na skruszonego niż zagniewanego. - Właśnie w tym problem.

Gapiałam się na niego, nie rozumiejąc.

- Ależ możesz. Mieszkamy ledwie trzy kilometry od siebie.

- Tak - odparł. Nadzieja wezbrała w mojej piersi. - Teraz tak. Ale od przyszłego tygodnia... już nie będziemy.

- O czym ty mówisz?

Xan westchnął głęboko, jakby wyrwał to westchnienie z samego dna duszy.

- Dostałem pracę, Anno. Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

Zbierałem się przez cały wieczór.

- Naprawdę? Wspaniała wiadomość.

- Nie do końca. - Westchnął znów. - Nie. Bo ta praca oznacza, że wyjeżdżam z Londynu. Prawdę mówiąc - dodał cicho - w ogóle z Anglii.

Poczułam się nagle tak, jakbym zsuwała się po lodowym stoku.

- Wyjeżdżasz z Anglii? Dlaczego?

- Będę korespondentem zagranicznym.

- Korespondentem zagranicznym - powtórzyłam jak echo. - Gdzie? W Paryżu? - przemknęło mi przez głowę, zanim siekiera opadła.

Może w Rzymie? Rzym nie jest tak daleko. Gdyby wyjechał do Rzymu, moglibyśmy spędzać razem weekendy. Madryt też byłby okej - albo Dublin, jeszcze lepiej.

- W Indonezji - powiedział.

Zza okna dobiegło ciche zawodzenie policyjnej syreny.

- W Indonezji? Och. Ale to... daleko.

- Bardzo daleko, Anno. Przykro mi.

- Indonezja to... prawie Australia.

- Tak. I właśnie dlatego nie będzie mnie przy tobie, jeśli postanowisz urodzić.

Jeśli postanowisz urodzić...

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

- Na jak długo wyjeżdżasz?

- Dwa lata. - Westchnął. - Jeżeli nie przedłużą mi kontraktu. Chociaż bardziej prawdopodobne jest, że potem poślą mnie gdzie indziej.

- Kiedy jedziesz?

- W przyszły czwartek. Teraz załatwiają mi pozwolenie na pracę.

- Nie mówiłeś, że się starasz o posadę za granicą. Pokręcił głową.

- Nie starałem się. Zdecydował przypadek. Facet, który miał jechać, zrezygnował z powodu problemów rodzinnych. Musieli szybko znaleźć zastępstwo, najlepiej kogoś, kto dobrze zna region, a wiedzieli, że ja znam. Mieszkałem tam jako nastolatek, potem robiłem interesy, pracując w Hongkongu, moi rodzice byli na placówce w Dżakarcie.

- Aha - powiedziała słabo. - Rozumiem. - Podeszłam do stołu, pozbierałam talerze i zniosłam je do kuchni.

- Jestem włóczykijem, Anno. Mieszkanie za granicą to dla mnie nie problem.

Walnęłam miską o blat.

- Ale ja chcę, żebyś mieszkał tutaj. Niedaleko. Będę cię potrzebować, Xan. My będziemy cię potrzebować. - Łzy ciekły mi po policzkach.

- Wybacz. Nie mogę.

- Powiedz, że nie przyjmujesz tej posady- wyszlochałam.- Powiedz, że zmieniły się okoliczności. Powiedz im, że ty też masz „rodzinne problemy”!

- Wszystko już jest ustalone... A przede wszystkim, ja chcę jechać.

Przycisnęłam serwetkę do oczu.

- Przyszedłeś tu dzisiaj, żeby ze mną zerwać - wyszeptałam. Xan patrzył za okno. - To dlatego przyniosłeś mi kwiaty.

- Ja... Bardzo mi przykro, Anno, ale nie rozumiesz? Miałem szczęście, że dostałem tę posadę, trafiła się fantastyczna okazja. Owszem, wiedziałem, że moja decyzja oznacza koniec związku. Powiedzenie ci tego nie przyszło mi łatwo, bo naprawdę cię lubię i było mi smutno na myśl, że nie będę z tobą, ale teraz... to...? - Kręcił głową. - Proszę cię, Anno. Proszę cię, nie rób tego. Byliśmy razem niecałe dwa miesiące. Za krótko.

- Mnie wystarczyło! - krzyknęłam. Poderwałam ręce do twarzy. - Mnie to w zupełności wystarczyło, żeby się w tobie zakochać!

Xan westchnął, sfrustrowany.

Moim rodzicom też to wystarczyło, pomyślałam. To samo przydarzyło się im, w o wiele mniej liberalnych czasach, ale mój tata po prostu postąpił jak należy.

- W takim razie ja też pojedę - wychrypiałam. I przez ułamek sekundy, zanim Xan odpowiedział, widziałam siebie nad wiklinową kołyską na werandzie, w gorącą, wilgotną noc, pod powoli obracającym się wentylatorem.

- Nie - powiedział. - To nie wchodzi w grę. Zapatrzyłam się w maleńką plamkę na dywanie.

- Masz rację - wyszeptałam po chwili. Dopiero co zaczęłam kurs i ojciec mnie potrzebował. Nie powinnam go teraz opuścić. Spojrzałam na Xana. - Nie mogłabym jechać. Nawet gdybyś chciał.

- Anno... Spotykamy się zbyt krótko, by snuć jakiegokolwiek plany, a co dopiero mieć dziecko. Dziecko? - powtórzył. - Jezu Chryste!

Przypomniało mi się ślubne zdjęcie moich rodziców - podejrzenie duży bukiet czerwonych róż w dłoni mojej matki, nie całkiem zasłaniający jej brzuch.

- A gdybyś nie wyjeżdżał za granicę? - zapytałam. - Jak wtedy widziałbyś tę sprawę? Gdybyś zostawał tutaj?

- Dokładnie tak samo - odparł chłodno.

- Aha - powiedziałam cicho. - Rozumiem. - Znów gapiłam się w dywan, uważnie studiując plamkę. Teraz dostrzegłam, że miała kształt samolotu.

- Nie rób tego, Anno - odezwał się po chwili Xan. - Zrujnujesz życie sobie i mnie... I jemu. - Jakoś nie mógł wydusić słów „naszemu dziecku”. - To nie fair wobec niego, że nie będzie miało ojca od samego początku. Dzieci mają prawo, by przyjść na świat w stabilnej rodzinie, z dwójką kochających rodziców. - Wbiłam w niego wzrok. - Proszę cię, Anno, nie rób tego. Chcę mieć dzieci, kiedyś w przyszłości, ale pragnę być dla ich ojcem, a nie jakimś obcym, nieobecnym facetem. - W oczach błyszczały mu łzy. - Jeszcze jest wcześnie, jeszcze masz wybór. Błagam, Anno, nie rób tego. Proszę cię... - powtórzył cicho.

Wpatrywałam się w niego, zbyt zdruzgotana, by odpowiedzieć. Po chwili wziął swoją torbę i wyszedł z domu. Odgłos zamykanych drzwi definitywnie zakończył nasz związek.

## Rozdział 3

Prywatna przychodnia o nazwie Centrum Zdrowia Kobiety imienia Audrey Forbes, w której zarejestrowałam się tydzień później, mieściła się w poplamionym od deszczu biurowcu z lat sześćdziesiątych przy High Street w Puenty, obok księgarni. Spojrzałam w witrynę sklepu, na kolorową stertę książek dla dzieci: *Idziemy tropić misia*, *Gruffalo*, *Strasznie głodna gąsienica*. Ja sama nie byłam ani trochę głodna, choć od rana, zgodnie z poleceniem, nic nie jadłam ani nie piłam.

Podaliśmy nazwisko recepcjonistce na parterze, po czym wcisnęłam guzik, by ściągnąć windę. Ku mojemu rozczarowaniu, przyjechała od razu. Wnętrze zalatywało stęchłym dymem papierosowym i taniością, co jeszcze podsyciło moje mdłości, które męczyły mnie cały dzień. Zatrzymała się na piątym piętrze z szarpnięciem, od którego wywrócił mi się żołądek.

Gdy weszłam do wielkiej poczekalni, poczułam dziwną woń, jakby środka dezynfekcyjnego i plastikowych krzeseł. Było tu chyba z osiemdziesiąt siedzeń- i ponad połowę zajmowały kobiety, niektóre młode, prawie dzieci, inne mocno wiekowe, jak babcie. Może naprawdę były babciami, pomyślałam. Przecież to możliwe, żeby być ciężarną babcią -a nawet prababcią, jeśli zaczęło się odpowiednio wcześniej.

Po mojej lewej dwie kobiety - jedna tuż po dwudziestce, druga przed czterdziestką - rozmawiały przyciszonymi głosami. Gdy stanęłam w kolejce do recepcji, uchwyciłam fragmenty ich rozmowy.

Och, wszystko będzie dobrze... Jakieś dwie godziny... Nie płacz... Zostawił cię na lodzie, co...? Nie przejmuj się tak... Ja nawet nie

powiedziałam mężowi... Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział... Nie, prawie nie boli... Nie płacz.

- Nazwisko poproszę - powiedziała pielęgniarka.

- Anna Temple - wybąkałam. Ogarnął mnie wstyd.

- A jaka forma płatności? Przyjmujemy mastercard, visę, maestro, american express, potwierdzone czek... albo gotówkę - dodała miłym głosem.

Podaliśmy jej kartę kredytową.

- Pięćset dwadzieścia pięć funtów - poinformowała, wsuwając kartę do terminalu. - Łącznie z półtoraprocentową opłatą manipulacyjną. - To chyba miało sprawić, że cena wyda mi się wyjątkowo korzystna. Byłam ciekawa, czy zaproponuje mi trzy zabiegi w cenie dwóch, jak aptekarz, albo kupon zniżkowy do wykorzystania w przyszłości. Podała mi podkładkę do pisania. - Proszę wypełnić formularz.

Odsunęłam się na bok, wypełniłam i oddałam. Z kolei podała mi do „wypełnienia” plastikowy kubeczek i powiedziała, że zostanę wezwana w ciągu godziny.

Idąc do toalety, przeglądałam w głowie, chyba po raz tysięczny w ciągu tych siedmiu dni, listę Ośmiu Ważnych Powodów, by usunąć tę ciążę. Teraz wymieniłam je znów, od najważniejszego do najmniej istotnego.

Xan złamał mi serce. Jeśli urodzę jego dziecko, nigdy się nie pozbieram.

Urodzenie dziecka Xana, kiedy on tego nie chce, nie wydaje mi się słuszne.



Nie chcę sprowadzać na świat dziecka, które nie będzie miało ojca. Będzie mi o wiele trudniej znaleźć sobie kogoś innego. Urodzenie dziecka w tym momencie złamie moją nową karierę. Przez bardzo długi czas nie będę miała żadnych dochodów. Będę zbyt pochłonięta własnymi problemami, by pomagać tacie, który mnie potrzebuje.

Samotna matka ma ciężkie, smutne życie.

Gdy myłam ręce, z kabiny wyszła dziewczyna. Wyglądała na jakieś czternaście lat. Jej matka - mniej więcej w moim wieku - opierała się o umywalkę, z rękami założonymi na piersi i wyrazem bolesnej rezygnacji na twarzy. Szłam za nimi, wracając do recepcji, i było mi przykro, że nikogo przy mnie nie ma - ale kto mógłby być? Nie Xan, oczywiście, nawet gdyby nie siedział teraz w samolocie, przekraczając pięć stref czasowych, by dotrzeć na drugi koniec świata. Nie Cassie. Z niej nie miałabym żadnej pociechy. Czy chciałabym, żeby była tu mama? Nie. Nie ma mowy - ona sama przez to przechodziła, ale poradziła sobie. Zateśkniłam nagle za babcią Temple, która zawsze była pragmatyczna i pełna zrozumienia - ale ona zmarła w 2001 roku.

Zajmując z powrotem swoje miejsce niedaleko zamontowanego na ścianie telewizora - był program *Dziś nowy dzień*, a na ekranie gotowali coś obrzydliwego z czerwoną soczewicą - przypomniałam sobie rozmowę z moją lekarką. Było już za późno na pigułkę wczesnoporonną, więc pozostała mi metoda chirurgiczna.

- To trwa pięć minut - mówiła lekarka uspokajająco. - I bardzo szybko dochodzi się do siebie, już po paru godzinach. No więc, jest pani pewna? - zapytała, podpisując oświadczenie, że powiadomiła mnie o fakcie, iż

moja zdolność podejmowania świadomych decyzji będzie zaburzona w czasie zabiegu.

- Tak. Jestem całkowicie pewna. - Skłamałam.

Xan złamał mi serce, powtarzałam sobie jak mantrę. Jeśli urodzę jego dziecko, nigdy się nie pozbieram. Urodzenie dziecka Xana, kiedy on tego nie chce, nie wydaje mi się słuszne. Nie chcę sprowadzać na świat dziecka, które nie będzie miało ojca...

Jaki był czwarty powód? Nie mogłam sobie przypomnieć. Co to było?

- Anna Temple! - Wstałam. - Pani następna wchodzi na oddział - powiedziała pielęgniarka - ale najpierw proszę iść do szatni, rozebrać się, schować swoje rzeczy do szafki, włożyć papierową koszulę i czekać. - Zrobiłam, jak kazano. Potem, ściskając w garści tył koszuli, która była nieprzyjemnie przewiewna i rozchełstana, usiadłam z dwiema innymi kobietami w małej poczekalni. Nagle zawstydziłam się swoich gołych stóp. Lakier na paznokciach się łuszczył, na piętach miałam obwódkę stwardniałej skóry. Ale na myśl o upiększającym pedikiurze jako przygotowaniu do aborcji zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, niż było do tej pory.

Podniosłam ulotkę o antykoncepcji, by przypadkiem nie spojrzeć w oczy którejs z tych dwóch kobiet czekających ze mną.

- Anna Temple? - odezwał się kolejny kobiecy głos, po jakimś tygodniu, który w rzeczywistości trwał chyba ze dwadzieścia minut.

Poszłam za lekarką pełnym przeciągów korytarzem do niewielkiego pokoju.

- No dobrze. - Przejrzała mój formularz. - Omówimy jeszcze kilka rzeczy, zanim wykonam zabieg.

- Proszę mi wytłumaczyć, na czym to polega - powiedziałam.

- Cóż, to całkiem proste- odparła miłym głosem. Zauważyłam wziernik leżący na stalowej tacy na wózku obok niej i kilka strzykawkę w opakowaniach. - Znieczulę pani miejscowo szyjkę macicy, a kiedy znieczulenie zadziała, delikatnie ją rozciągnę, wprowadzę do macicy plastikową rurkę i płód...

- Płód?

- Tak jest. Zostanie usunięty z macicy.

- Płód zostanie usunięty z macicy - powtórzyłam bezwiednie.

Kręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy. Byłam w ósmym tygodniu ciąży. „Płód” miał jakieś dwa i pół centymetra. Miał serce, które było już od pięciu tygodni - serce, które nagle obudziło się do życia. Miał załążki kończyn, z których wyrastały maleńkie paluszki, które z kolei miały już nawet własne maciupieńkie paznokietki. Miał rozpoznawalną, ludzką twarz w miniaturze, z nozdrzami i powiekami, miał nawet załążki zębów...

Lekarka zdzierała osłonkę ze strzykawkę.

- Gdyby pani zechciała wskoczyć na fotel... Wstałam.

- Muszę wyjść. Spojrzała na mnie.

- Musi pani wyjść?

- Tak.

- Łazienka jest tam, z tyłu, przy wyjściu przeciwpożarowym.

- Nie - odparłam słabo. - Nie o to mi chodzi. Muszę wyjść... stąd. Nie mogę tego zrobić. Nie wiem, jak w ogóle mogłam tak pomyśleć. To... nie w porządku, przynajmniej ja tak uważam. Mój chłopak... teraz już były chłopak... nie chce, żebym urodziła. Kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, bardzo się zdenerwował. Jego zdaniem dziecko ma prawo przyjść na świat, kiedy jest pełna rodzina i dwójka kochających rodziców. Może coś w tym jest. Ale teraz, kiedy tu przyszłam, zrozumiałam, że przede wszystkim dziecko ma prawo w ogóle przyjść na świat.

Patrzyła na mnie.

- Więc rozmyśliła się pani?

- Tak. Przepraszam - dodałam, jakbym sądziła, że będzie zawiedziona.

- Ależ nic nie szkodzi. - Westchnęła. - Nie pani pierwsza. - Skreśliła moje nazwisko z listy i dała mi coś do podpisania. - Powodzenia - rzuciła, kiedy wychodziłam.

Wyjęłam swoje rzeczy z szafki i ubrałam się. Wyszłam. Mijając recepcję, nawet nie powiedziałam dyżurnej pielęgniarce, że rezygnuję, i nie spytałam - ani nawet nie myślałam o tym - czy mogę odzyskać swoje pieniądze.

Nie czekałam na windę, ale zbiegłam pięć pięter po schodach i przez chwilę stałam przed budynkiem, wdychając głęboko powietrze; czułam, jak moje tętno powoli zwalnia. Potem weszłam do księgarni po sąsiedzku, odnalazłam półkę dla rodziców, wyjęłam egzemplarz *Czego się spodziewać, kiedy się spodziewasz* i zaniiosłam do kasy.

- Będę miała dziecko - powiedziałam.

Tego wieczoru posłałam Xanowi długi mail, wyjaśniając swoją decyzję.

Odpisał mi jednym zdaniem: „Nigdy Ci tego nie wybaczę”.

Kliknęłam „odpowiedz”: „A ja nigdy sobie nie wybaczę, jeśli to zrobię”.

Następnego ranka pojechałam do ojca.

- No cóż... - odezwał się po chwili. Siedzieliśmy przy kuchennym stole. - To... niespodzianka, Anno. Nie mogę zaprzeczyć. - Kręcił głową, zdumiony i rozczarowany, jakbym właśnie przyniosła ze szkoły niespodziewanie złą cenzurkę.

- Mam nadzieję, że mnie nie potępiasz - zaczęłam, przerywając niezręczną ciszę, która zapadła po jego słowach. - Naprawdę nie widzę powodu, byś miał to robić - ciągnęłam - bo po pierwsze, w dzisiejszych czasach mnóstwo kobiet samotnie wychowuje dzieci, a po drugie, to samo przytrafiło się tobie i mamie.

Zobaczyłam niemal panikę w oczach taty, ale przecież i on, i mama zawsze prześlizgiwali się nad tematem swojego błyskawicznie zawartego małżeństwa, zupełnie absurdalnie moim zdaniem, skoro dwumiesięczny poślizg między datą ich ślubu i narodzinami Marka był tak rażąco oczywisty.

- Przepraszam, tato - powiedziałam. - Nie chciałam cię zawstydzać. - Milczał, a ja się zastanawiałam, czy moi rodzice kłócili się o tę nieplanowaną ciążę, czy tata po prostu pogodził się z faktem, że musi postąpić "jak należy". - Przepraszam - powtórzyłam. - Ale to mnie po prostu.. wytrąciło z równowagi.

- Nic nie szkodzi - mruknął.

- I doskonale zdaję sobie sprawę - mówiłam dalej - że jestem w takiej samej sytuacji, jak mama trzydzieści pięć lat temu. Ale ona miała szczęście... bo miała ciebie. Ty jej nie porzuciłeś ani nie wrzeszczałeś na nią, tak jak Xan na mnie. Po prostu stawiałeś czoło sytuacji, a potem wiodłeś szczęśliwe życie - ścisnęło mnie w gardle - przez niemal czterdzieści lat, póki śmierć was nie rozłączyła. I choć może dziwić zazdrość w stosunku do własnych rodziców, ja zazdroszczę tobie i mamie.

- Poczułam łzy pod powiekami. - Bo wiem, że takie szczęście jak wasze nie będzie moim udziałem.

„Ty potrzebujesz odpornej byliny”.

- Zamierzam wychować dziecko sama. Nie tego oczekiwałam w życiu. - Łza popłynęła mi po policzku. - Będzie mi ciężko i źle.

- Wiem - powiedział tata, podając mi swoją chustkę. - I wiem też, że zaznasz wiele radości, bo tak to jest z dziećmi; kiedy się już zjawiają, myślę, że po prostu trzeba je zaakceptować. - Spojrzał za okno.

- O czym myślisz? - zapytałam cicho.

- Myślę, że to nowe życie zaczęło się dlatego, że życie twojej matki dobiegło końca.

Poczułam, jak włoski jeża mi się na karku. „Mam dziwne uczucie, że to było przeznaczenie”.

- Może i tak...

Tata przykrył dłonią moją dłoń.

- Nie będziesz zdana na siebie, Anno. Ja ci pomogę, kochanie. I Cassie też.

Wątpiłam, by Cassie mogła mi pomóc choćby w najmniejszym stopniu, ale ona przynajmniej była zachwycona moją nowiną.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła, kiedy zadzwoniłam do niej tego wieczoru i oznajmiłam, że będzie ciocią. - Brawo, Anna! Gratulacje!

- Dziękuję. - Byłam szczerze wzruszona jej entuzjazmem. - Ale pozwól, że powtórzę: nie jestem z ojcem dziecka, Xanem. Wyjechał do Indonezji. Nie chce słyszeć o dziecku. Nie chce, żebym je urodziła. Po prostu mnie porzucił. Jestem całkiem rozbita.

- Tak, wiem - odparła Cassie rzeczowo. - Słyszałam za pierwszym razem.

- Więc dlaczego tak się z tego cieszysz?

- Bo uważam, że będąc samotną mamą, poprawisz swój wizerunek. Zawsze byłaś o wiele za bardzo... no nie wiem... poukładana pod każdym względem, zawsze planowałaś wszystko z wyprzedzeniem, a teraz walnęłaś takiego krzywusa.

- Cóż, cieszę się z twojej aprobaty - ironizowałam. - Koniecznie daj mi znać, jeśli będziesz chciała, żebym uzależniła się od narkotyków albo popełniła przestępstwo.

- Zacznę dziergać coś dla dziecka na zajęciach moim kółku Ploty przy Drutach. Najpierw buciki, a potem kilka eleganckich sweterków. Ciekawe, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka...? Może się dowiesz, kiedy pójdziesz na USG. Albo nie... Już wiem, zrobię wszystko w kolorze żółtym. Podoba ci się ścieg pończoszniczy?

Mój prowadzący na kursie okazał się bardzo wyrozumiały. Zajęcia polegały głównie na projektowaniu - oprócz zaliczenia codziennych

wykładów trzeba było rozrysować profesjonalne projekty czterech różnych ogrodów. Potem, w czerwcu, czekały mnie dwa egzaminy z ogrodnictwa - sprawdzian umiejętności praktycznych. Dziecko miało się urodzić tydzień po nich. Mogłam więc normalnie kontynuować naukę i tylko się modlić, by nie urodzić za wcześnie. Podniosły mnie na duchu opowieści, że pierwsze dziecko często się spóźnia. Tak więc, wbrew obawom, moje życie nie zostało kompletnie zdezorganizowane, ale toczyło się dalej mniej więcej tak samo jak do tej pory, tyle tylko że bez Xana. Było za to jego dziecko, jakby po prostu zamienili się miejscami. Od czasu do czasu zdejmowałam z półki książkę od Sue i czytałam jej niezamierzone proroctwo. Rosłam i rozkwitałam jak trzeba.

Co dzień czułam w sobie dziecko. Podczas badania USG patrzyłam w nabożnym zdumieniu na podwodne wywijasy, które wyczyniało. Widziałam jego profil, gdy tak bujało się w swojej żywej kołysce, filigranowe kostki, nie większe niż u ptaszka, i łuk kręgosłupa, niczym sznurek małych perełek.

- Kocham cię - szeptałam do niego każdej nocy, gdy leżałam z dłońmi na rosnącym brzuchu, czując, jak podskakuje i tańczy. - Przykro mi, że nie będziesz mieć tatusia, ale ja będę cię kochać pięć razy mocniej, żeby ci to wynagrodzić.

Wysłałam do Xana mail z najnowszymi doniesieniami, ale nie dostałam odpowiedzi. Jego wroga obojętność raniła mnie, ale i pomagała, sprawiając, że moje poharatane serce otoczyło się ochronną skorupą bliznowatej tkanki.



Ale oglądanie go w telewizji nie było łatwe. Za pierwszym razem rozplakałam się. Zjawił się nagle na ekranie, niewiarygodnie przystojny, opowiadając o jakimś ważnym spotkaniu dygnitarzy na Jawie. Dwa dni później znów go pokazali; mówił o Jemaah Islamiah, organizacji stanowiącej zagrożenie dla indonezyjskiej demokracji. Pojawiał się coraz częściej i rozbijał mnie emocjonalnie do tego stopnia, że przestałam się na oglądanie wiadomości na ITV. Nie mogłam ryzykować, że jego niespodziewany widok zrujnuje mi dzień.

W połowie kwietnia poszłam na pierwsze zajęcia do szkoły rodzenia, które odbywały się w sali parafialnej w Brook Green.

Byłam bardzo zdenerwowana, a podły nastrój pogłębił się jeszcze, gdy do dużej, pełnej przeciągów sali zaczęły jedna po drugiej wchodzić czulące się do siebie pary. Przygotowałam się na taką okoliczność, wkładając na serdeczny palec wielki pierścionek z akwamarynem, odziedziczony po mamie; dzięki temu czułam też jej bliskość, choćby w niewielkim stopniu. Pomyślałam, że ona przyszlaby ze mną na zajęcia i nie czułabym się taka samotna.

Dyskretnie rozejrzałam się po sali; wszystkie kobiety przyholowały ze sobą swoich facetów; w świetle jarzeniówek połyskiwały złote obrączki i pretensjonalne pierścionki zaręczynowe.

Była blondynka po dwudziestce z mężem - przez cały czas trzymali się za ręce. Była energiczna brunetka z małżonkiem okularnikiem. Była kobieta przed czterdziestką; wyglądała, jakby miała wystrzelić z siebie dziecko lada moment. Była też potężna kobieta z długimi rudymi włosami, wyłupiastymi niebieskimi oczami i niemal idealnie okrągłą twarzą,

przypominającą talerz. Wydała mi się znajoma, choć nie wiedziałam, skąd. Może widywałam ją w okolicznych sklepach. Ale na pewno była najstarsza z nas - mocno po czterdziestce - i dwa razy większa od swojego męża, który z czerwonymi policzkami i przylepionym uśmiechem przypominał mi kukiełkę brzuchomówcy.

Rudowłosa stłumiła nagle beknięcie i poklepała się po piersi.

- Wiatry - wyjaśniła ze skąpym uśmieszkiem, jakby sądziła, że może nas to interesować.

Kobiety gawędziły półgłosem albo popijały gaviscon, by złagodzić zgagę. Wyglądało na to, że wszyscy już są. Zorientowałam się nagle, że jestem jedyną samotną matką; oklapłam tak, że omal nie spłynęłam na podłogę. Instruktorka, Felicity, rozdawała materiały informacyjne - w zestawie było karmienie piersią, domowe ćwiczenia na miednicę, rzeczy, które należy spakować do szpitala, i tym podobne. Ale gdy już miała rozpocząć zajęcia, jeszcze jedna kobieta, chyba niewiele starsza ode mnie, weszła do sali sama. Odetchnęłam z ulgą.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytała mnie miłym głosem.

- Tak, tak. - Uśmiechnęłam się do niej promiennie. - Cześć.

Nowo przybyła, ubrana od stóp do głów w czarne ciuchy, martensy, miała ciemne, bardzo krótkie włosy i ładną twarz o regularnych rysach bez śladu makijażu. Na kciuku prawej ręki nosiła grawerowaną srebrną obrączkę, ale lewej dłoni nie zdobiła żadna biżuteria.

- No dobrze - zaczęła Felicity. - Skoro są już wszyscy, przedstawmy się sobie.

- My jesteśmy Nicole i Tim - powiedziała unisono parka gołąbków, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nazywam się Tanya - odezwała się energiczna brunetka - a to mój mąż, Howard. - Mężczyzna, uśmiechając się z roztargnieniem, sprawiał wrażenie, jakby wcale nie chciał tu być.

- Ja jestem Katie, mój narzeczony ma na imię Jake, i spodziewamy się bliźniąt. - Po sali przebiegł szmer współczucia.

Przyszła kolej na potężnego rudzielca. Kobieta z cierpliwym uśmiezkiem poczekała, aż zapanuje cisza.

- Citronella Pratt, dziennikarka. - Teraz zrozumiałam, dlaczego wydała mi się znajoma. Co tydzień ukazywał się jej felieton w „Sunday News”. - Towarzyszy mi mój mąż, Ian Barker-Jones - dodała przymilnym tonem.

- Jestem bankierem - poinformował napuszony małżonek.

Byłam tak zbita z tropu wyniosłą autoprezentacją Pratt-Barkerów-Jonesów, że aż zapomniałam, że to moja kolej. Felicity ponagliła mnie, chrząknąwszy dyskretnie. Teraz byłam w centrum uwagi.

- Och. Nazywam się Anna Temple - zaczęłam. - Moje dziecko ma się urodzić osiemnastego czerwca, a... hm... - Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco, więc zrobiłam tę tchórzliwą, i jak się potem okazało, głupią rzecz. - Moja druga połowa - przełknęłam nerwowo ślinę - Xan... pracuje za granicą. Jest reporterem telewizyjnym. W Indonezji - dodałam, zdając sobie sprawę, że mój głos brzmi o oktawę wyżej niż normalnie. - I niestety będzie tam przebywał co najmniej kilka miesięcy, więc... - zaczęłam

kręcić pierścionkiem w tę i z powrotem - na zajęcia będę przychodzić sama.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam Citronellę, która z głową przechyloną na bok uśmiechała się do mnie; jej wszystkowiedzące spojrzenie i uśmiech poraziły mnie tak, że ścisnął mi się żołądek.

Ale w tej chwili przemówiła kobieta, która przyszła ostatnia.

- Nazywam się Jenny Reid. - Mówiła pewnie, z miękkim, północnoirlandzkim akcentem. - Będę rodzić na początku czerwca. Jestem tu sama, bo nie mam partnera, ale nie przeszkadza mi to.

Zobaczyłam, że oczy Citronelli robią się okrągłe z podniecenia; w końcu jednak twarz przybrała wyraz teatralnego zatroskania.

W przerwie na kawę, kiedy rozmawiałam z Jenny, przyczłapała do nas.

- Ależ jesteś dzielna - powiedziała, splatając grube palce na masywnym brzuchu. - Szczerze cię podziwiam.

- Za co? - rzuciła Jenny oschle z drwiącym uśmieszkiem.

- No cóż. - Citronella wzruszyła ramionami. - Za to, że samotnie przeżywasz coś tak doniosłego, jak narodziny dziecka.

- Dziękuję za troskę - odparła spokojnie Jenny - ale, jak już powiedziałam, zupełnie mi to nie przeszkadza.

- Nie, nie - upierała się Citronella. - Uważam, że zasługujesz na słowa uznania, jesteś wspaniała, naprawdę. Obie jesteście - dodała, ze skinieniem w moją stronę. Gorączkowo zaczęłam szukać jakiejś odpowiedzi, ale odpowiednio cięta riposta jakoś nie przychodziła mi do głowy.

- A ja myślę, że to ty jesteś dzielna - usłyszałam słowa Jenny.

Nozdrza Citronelli załopotwały.

- A to dlaczego? - spytała zaczepnie.

- No wiesz, decydować się na dziecko w tak późnym wieku... Myślę, że to bardzo odważny krok - ciągnęła uprzejmie Jenny. - Ale, cóż... tak trzymaj!

Kiedy Jenny odwróciła się z powrotem do mnie, tylko jej rumieńce zdradzały emocje. Zakonotowałam sobie, by nigdy jej nie obrażać.

Citronella zrobiła taką minę, jakby dostała policzek. Jednak, zdecydowana odzyskać twarz, uśmiechnęła się, ukazując kwadratowe zęby koloru sera edamskiego, i poszła sobie. Ani Jenny, ani ja nie komentowałyśmy tego więcej, ale obie miałyśmy świadomość, że tamtego dnia połączyła nas szczególnego rodzaju więź i zawarłyśmy niepisany sojusz.

Razem wykonywałyśmy ćwiczenia i plotkowałyśmy na przerwach, ale Jenny, choć bardzo serdeczna, była zamknięta w sobie, nigdy nie mówiła o sprawach osobistych. Kiedy przyznałam jej się, że tak naprawdę nie jestem z Xanem i po rozstaniu z nim jest mi ciężko, gładziła uspokajająco moją dłoń, okazując w rozmowie zrozumienie i współczucie, ale sama nie odwzajemniła się zwierzeniami. Wiedziałam o niej tyle, ile powiedziała mi na pierwszych zajęciach - że wychowała się w Belfaście, jako nastolatka wyjechała do Londynu i do zeszłego roku uczyła historii w bardzo „bandyckiej” szkole średniej w północnym Londynie, ale zrezygnowała z tego i poszła na kurs dla psychoterapeutów.

Z taką determinacją trwała w swoim postanowieniu, by żyć samotnie, że nawet się zastanawiałam, czy nie doświadczyła tego co ja: zaszła w ciążę i facet puścił ją kantem. Ale ona nie sprawiała wrażenia kobiety zawiedzionej i bezradnej - chyba w przeciwieństwie do mnie; jej pewność siebie i chłodny spokój graniczyły z wyzywającą buntowniczością. To podsunęło mi myśl, że mogła zająć w ciążę z rozmysłem, z przygodnym partnerem, z pomocą przyjaciela albo nawet banku spermy, choć jako trzydziestoczterolatka wydawała mi się za młoda na taką decyzję.

Za to o Citronelli wiedziałam już wszystko i miałam wyrobione zdanie. Wystarczyły mi do tego jej samochwalcze perory w szkole rodzenia, i artykuły pióra „znakomitej” dziennikarki, które czytałam w Internecie, wiedzona dziwną, podszytą niepokojem ciekawością.

Przede wszystkim uderzyła mnie wulgarność tej kobiety. Żaden szczegół z jej życia nie wydawał się zbyt intymny - ani nawet zbyt obrzydliwy - by podzielić się nim z czytelnikami: pisała więc, że jej piersi już „ciekną”, że „seks jest niekomfortowy” i jej kiszkom „przydałoby się wsparcie”. Jednak zasadniczym tematem cotygodniowych felietonów było jej „szczęście”. Ma „szczęście”, że los dał jej dziesięcioletnią córkę Sienne, która „szczęśliwie” jest „niezwykle inteligentna, lubiana i piękna” i która „na szczęście” jest „zachwycona”, że będzie miała brata lub siostrę. Dowiedziałam się, że pierwsze małżeństwo Citronelli z producentem pieluch skończyło się osiem lat temu, ale miała „szczęście” poznać wkrótce swojego „męża Iana, bankiera”, z którym czuje się „o wiele szczęśliwsza”.

Kolejnym ulubionym tematem było leczenie bezpłodności, „Ian i ja nigdy nie zdecydowalibyśmy się na zapłodnienie in vitro - napisała

Citronella na początku maja. - Oboje uważamy, że to absolutnie nie w porządku, by coś tak świętego jak życie miało się poczynać w jakimś słoiku po dżemie! No i oczywiście jest jeszcze ryzyko raka..." Miałam nadzieję, że Katie i Jake nie czytali tego - oni mówili otwarcie, że skorzystali z pomocy przy poczęciu bliźniaków. „Zgoda, wiem, że nie ma na to dowodów -wywodziła Citronella - ale człowiek czuje instynktownie, że taka ingerencja hormonalna musi wyrządzać nieodwracalne szkody. Ja, na szczęście, poczęłam w sposób naturalny, choć przyznaję, że nie spodziewałam się tego gigantycznego błogosławieństwa, jakim jest kolejne dziecko. Ale teraz, jako ciężarna czterdziestoczterolatka, ogromnie współczuję moim niezamężnym przyjaciółkom. Wszystkie są mniej więcej w moim wieku i z pewnością czują coraz wyraźniej, że mają małe szanse na małżeństwo i dzieci. Muszą stawić czoło perspektywie samotnej starości".

Wydawało mi się nieprawdopodobne, by wyrażając takie opinie, Citronella miała jakiegokolwiek przyjaciółki, zamężne czy nie. W kolejnym tygodniu tematem artykułu zatytułowanego „Czy to w porządku rodzic samotnie?" były samotne mamy.

Banały, stwierdziłam, przebiegając tekst wzrokiem. Ale gdy przeczytałam kolejne zdanie, poczułam się, jakbym weszła do sauny. „W szkole rodzenia, do której chodzę, są nie mniej, nie więcej jak dwie samotne matki - napisała. - Oczywiście nikt nie podziwia ich bardziej niż ja - Citronella uwielbiała przystrajać swoją obrzydliwą litość w piórka wielkoduszności. - Ale nie można się nie zastanawiać - pomijając już kwestię fatalnego wizerunku społecznego, bo to osobna sprawa - jak ich dzieci



będą sobie radzić w życiu bez przewodnictwa stanowczej, kochającej postaci ojca..."

- Widziałaś, co ona napisała? - szepnęłam do Jenny, gdy czekałyśmy na kolejne zajęcia. Przyszłyśmy pierwsze i w sali nie było nikogo prócz nas.

Jenny przewróciła oczami.

- I owszem. Czy ona nie wie, że pisze się „ni mniej, ni więcej”, a nie „nie mniej, nie więcej”? Ta baba to nieuk.

- Ale jej uwagi na temat samotnych matek... - Przechyliłam do ust buteleczkę pepsodentu. - Jakbyśmy my dwie były najgorszym elementem.

- Cóż... - Jenny wzruszyła ramionami. - Przynajmniej nie wymieniła naszych nazwisk.

- Nie, ale to, co napisała o naszych dzieciach. Jaki znów „fatalny wizerunek społeczny”? Jak ona śmie! To wcielone zło - dodałam ponuro.

- Zło? - Jenny zrobiła zaskoczoną, niemal urażoną minę. - O nie, Citronella nie jest zła - oświadczyła dziwnie autorytatywnym tonem, który mnie zdumiał, dopóki nie przypomniałam sobie, że wychowała się w Bel-faście, gdzie, jak mówiła, strzały i wybuchy były na porządku dziennym. - Ale jak się dołoży dwie litery, wyjdzie nam dość trafne określenie: zołza. Ignoruj ją, Anno - ciągnęła spokojnie. - Urodzisz dziecko. Tylko to się liczy. Twoje życie wypełni niewyobrażalna miłość... - Jenny powiedziała to z niemal mistyczną żarliwością, która mnie zaintrygowała. - A po dzisiejszych zajęciach nie będziemy już musiały jej oglądać.

Poczułam ulgę, ale i smutek, że zajęcia już się kończą.



- Pozostaniemy w kontakcie, prawda? - zagadnęłam Jenny, kiedy wszyscy już wyszli. - Chciałabym, żebyśmy się... przyjaźniły.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Przecież już się przyjaźnimy - odparła, a ja nagle poczułam się dziwnie szczęśliwa. Podniosła torbę. - Ja rodzę pierwsza, więc dam ci znać.

- Odwiedzę cię, jeśli pozwolisz - zaproponowałam.

- Tak, koniecznie przyjdź mnie odwiedzić... a raczej nas. - Uśmiechnęła się i ku mojemu zaskoczeniu i radości, uściskała serdecznie. - Powodzenia na egzaminach.

Skrzywiłam się.

- Dzięki.

Ostatecznie egzaminy poszły mi całkiem dobrze, a nawet poniekąd sprawiły mi frajdę, choć za każdym razem, gdy zakłuło mnie w brzuchu, panikowałam, że zaraz odejdą mi wody; dziecko miało się urodzić za niecałe dziesięć dni.

Przy braku drugiej połowy postanowiłam nie prosić nikogo, by towarzyszył mi przy porodzie. Nie chciałam, by ktokolwiek widział mnie w takim stanie. Pół biedy mąż, oglądający żonę, ryczącą jak wół - ale narażać na coś takiego przyjaciół? W zupełności wystarczyły mi dwie położne - poznałam niektóre podczas badań prenatalnych - i Mozart. Pakując torbę do szpitala, postanowiłam, że nie będę panikować i zaufam matce naturze. Ostatecznie jednak ta musiała pójść w odstawkę.

W niedzielę rano, po ostatnim egzaminie, obudziłam się z koszmarным bólem głowy i dziwnym uczuciem buzowania w górnej

części tułowia, jakby w mojej klatce piersiowej zamieszkał rój pszczół. Czekałam, aż to minie, ale jakoś nie mijało. Dowlokłam się do łazienki i zwymiotowałam. Pewna, że coś jest nie w porządku, wezwałam taksówkę i pojechałam do szpitala. Położne stwierdziły, że mam wysokie ciśnienie.

- Jak wysokie? - zapytałam pielęgniarkę w pokoju zabiegowym. - Mówimy tu o Primrose Hill czy Mount Evereście? - Kręciło mi się w głowie, brakowało tchu i bolała mnie głowa.

- Sto czterdzieści na sto - odparła. - A z pani karty wynika, że przez całą ciążę bez większych wahań trzymało się na poziomie sto dziesięć na siedemdziesiąt.

- Więc co to znaczy?

- Sugeruję stan przedrzucawkowy. Czy pani stopy i dłonie zwykle są tak spuchnięte?

- Nie. - Wyglądały, jakby ktoś nadał je pompką rowerową. Skrzywiłam się, gdy pielęgniarka wbiła wenflon w grzbiet mojej prawej dłoni.

- Ciśnienie powinno się szybko obniżyć po podaniu leków - mówiła, podwieszając kroplówkę. - Więc proszę się nie martwić.

- A jeśli nie spadnie?

- Wtedy będziemy musieli odebrać dziecko dzisiaj.

Mój żołądek wykonał mdłego fikołka.

- Przez cesarskie cięcie? - Na myśl, że mnie rozetną, zrobiło mi się słabo.

- Tak, bo trzeba będzie działać szybko. A jak tam z pani partnerem? - ciągnęła, otaczając moją potężną talię pasem czujników, by zbadać tętno dziecka.

- Nie mam partnera. - Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. - Nie chciałam, żebym urodziła to dziecko. Teraz mieszka w Indonezji.

- Och... -Na jej twarzy malowało się współczucie. - Cóż, proszę się nie przejmować. - Poglądziła mnie po ręce. - Teraz nie wolno się denerwować. - Na jej plakietce widniało imię „Amity”\*. Pasowało do niej. -Nic pani nie będzie i dziecku też. Proszę posłuchać... - Obróciła monitor, bym mogła słyszeć podwodne jamby serca dziecka. - Ale do kogoś jednak powinna pani zadzwonić, na wypadek, gdyby to się stało dzisiaj. Może przyszedłby ktoś z rodziny? - dodała.

- Beznadziejna sprawa- mruknęłam, wzruszając ramionami. Cassie wyjechała na weekend do jakiegoś modnego spa w Austrii, a taty nie chciałam niepokoić, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Czy głowa ciągle panią boli?

- Piekielnie.

Weszła dyżurna lekarz położnik, przedstawiła się, sprawdziła moje odruchy oraz ciśnienie, i poszła sobie. Wróciła po piętnastu minutach, znów zbadała jedno i drugie, ale tym razem minę miała trochę bardziej pochmurną.

\* Amity (*ang.*) - przyjaźń, zgoda (*przyp. tłum.*).

- I jak? - zapytałam, gdy rękaw ciśnieniomierza z sykiem oklapł na moim ramieniu.

- Nie najlepiej - stwierdziła. - Sto pięćdziesiąt na sto dwadzieścia. -  
Uniosła rękę. - Czy widzi pani podwójnie?

- Nie jestem pewna. - Płakałam teraz i wszystko było zamazane. - Ale  
głowa - zaskomlałam. - Strasznie... boli.

- Zaraz to minie.

- Jakim cudem? Utnie ją pani?

- Nie. - Posłała mi śliczny uśmiech i przysunęła krzesło, by usiąść  
koło mnie. - Urodzimy dziecko.

Zalała mnie fala strachu.

- Kiedy?

- Cóż, teraz jest najlepszy moment.

- Och - powiedziałam słabo. - Rozumiem.

- Ma pani stan przedrzucawkowy - wyjaśniła. Popadałam w coraz  
większą panikę. - A lekarstwem jest rozwiązanie. Teraz musi się pani  
przebrać w ten uroczy zielony ciuszek, żeby ładnie wyglądać na sali ope-  
racyjnej, okej?

Kiwnęłam smętnie głową. Nigdy nie czułam się bardziej samotna.  
Amity pomagała mi przy rozbieraniu; gdy zdejmowałam bluzkę, usłysza-  
łam sygnał mojej komórki. Pielęgniarka podała mi torbę, wyłowiłam te-  
lefon.

- Anna? Cześć! Dzwonię, żeby spytać, jak ci poszły egzaminy.

- Och. Dzięki, Sue... Chyba dobrze. Szczerze mówiąc, nie bardzo  
pamiętam... jak przez mgłę, bo, widzisz... - Głos mi się załamał.

- Anno, dobrze się czujesz?

- Nie bardzo. Prawdę mówiąc, zaraz... będę rodzić. - Wyjaśniłam jej, co się dzieje.

- Masz kogoś przy sobie?

- Nie. - Ledwie wydusiłam przez ściśnięte gardło. - Jestem sama.

- Chcesz, żebym przyjechała? Ostatecznie urodziłam dwójkę, a poza tym czuję się po części odpowiedzialna za twoją ciążę... Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

Spojrzałam na zegar. Było piętnaście po czwartej.

- No... byłoby mi bardzo miło - odparłam. - Dobrze mieć przy sobie przyjazną duszę... ale nie dasz rady dotrzeć na czas.

Usłyszałam kroki Sue stukające po kamiennej podłodze.

- Nie jestem w domu. Jestem w Galerii Tate'a - mówiła jednym tchem. - Z siostrą. Ale już jadę do szpitala. Chelsea i Westminster, tak? Wskoczę w taksówkę. Zadzwoń później, Liso - rzuciła. - Anna rodzi. - Usłyszałam, że zbiega po schodach. - Na którym... jesteś oddziale? - Podniosła głos, by przekrzyczeć ryk samochodów na Embankment. - Taksi!!! Daj mi góra... dwadzieścia minut. Zaraz będę.

Lampy oślepiły mnie, kiedy wjechałam na wózku do sali operacyjnej; musiałam osłonić oczy. Gdy usiadłam na stole operacyjnym, anestezjolog powiedział, że da mi znieczulenie zewnątrzoponowe i że nie mogę się poruszyć. Patrząc, jak napełnia strzykawkę środkiem znieczulającym, usłyszałam głos Sue.

- Jestem, Anno! - zawołała. - Za dwie sekundy będę przy tobie. - Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich, ubrana w zielony kitel, czepek

i białe buty ochronne. Pogłaskała mnie po rękę. - Wszystko pójdzie dobrze. To najszczęśliwszy dzień twojego życia...

Kiwnęłam głową i wielka łza plasnęła mi na kolano, tworząc niemal czarną plamę na zielonej koszuli. Gdzieś z tyłu pani doktor, w chirurgicznym kitlu i maseczce, naradzała się z pielęgniarkami wykładającymi narzędzia.

Sue głaskała mnie po rękę, gdy wbito mi igłę w dolną część kręgosłupa.

- Proszę siedzieć całkiem nieruchomo - przypomniał lekarz. Skupiłam wzrok na dużym ściennym zegarze; sekundowa wskazówka przesunęła się piętnaście razy. - Brawo, nawet pani nie drgnęła - pochwalił anestezjolog. - No dobrze - powiedział po mniej więcej pięciu minutach. - Sprawdźmy, czy zadziałało. Czuje pani ten zimny sprej? - Psiknął czymś z małej buteleczki na moje piszczące.

- Nie - odparłam. - Nic nie czuję.

- A to? - Zrobił to samo na udzie.

- Nie.

- A to? - Napsikał mi na brzuch.

- Czuję się jak kawał polędwicy.

- Więc jest pani gotowa. Położymy panią.

Pielęgniarka uniosła mi nogi na stół, po czym w połowie mojego tułowia umieszczono niebieski parawan, zasłaniając przede mną dolną część ciała. Sue siedziała na krześle przy mojej głowie, gdy wbili we mnie skalpel. Trzymała mnie za rękę i opowiadała o wystawie, z której właśnie

wyszła, jakby piła ze mną cappuccino, a nie patrzyła, jak mnie wybebeszają.

- Piękne akwarele... - mówiła. - Martwe natury i pejzaże... i kilka boskich kompozycji kwiatowych... - Od czasu do czasu zerkała nerwowo na drugą stronę parawanu. - Byłabyś zachwycona, Anno.

- Wszystko idzie bardzo dobrze - powiedziała lekarka. - Teraz poczuje pani lekki ucisk...

Doznałam osobliwego wrażenia, gdy tak grzebała w moich wnętrznościach, jakby robiła pranie.

- I jeszcze muszę trochę ucisnąć... - Wydawało mi się, że za coś ciągnie. Potem był dziwny, mlaszczący odgłos, przywodzący na myśl cofającą się falę. Uniosłam wzrok - parawan został opuszczony - i zobaczyłam ręce lekarki w gumowych rękawiczkach, unoszące to... stworzenie jak z kosmosu, koloru surowej wątróbki, z główką pokrytą białoniebieską substancją, z wyciągniętymi rączkami, rozcapierzonymi palcami, z załzawionymi oczkami zmrużonymi w jaskrawym świetle.

- To twoje dziecko - powiedziała Sue łamiącym się głosem.

- Tak - usłyszałam głos lekarki. - Oto i ona.

- Dziewczynka...? - Poczułam dziwną ulgę.

- Przepiękna dziewczynka - mówiła Sue. - Jest śliczna, Anno. - Ścisnęła moją rękę.

Pociekły mi łzy. Dziecko wydało z siebie przeszywający krzyk; natychmiast zabrano moją córeczkę i po standardowym oporządzeniu trafiła do łóżeczka.

Spojrzałam na zegar. Było pięć po szóstej, Ale jaki dzień?  
Oczywiście. Ósmy czerwca.

„Mam dziwne uczucie, że to było przeznaczenie". Była pierwsza rocznica śmierci mojej matki.

RS



## *Rozdział 4*

Spędziłam w szpitalu trzy noce; pierwszą z nich na oddziale intensywnej opieki. Milly leżała obok mnie w łóżeczku z pleksi, w białej czapeczce i kaftaniku, wywijając maleńkimi kończynami, które poruszały się bez przerwy, niczym kwiaty na wietrze. Na lewym nadgarstku miała tasiemkę z napisem: „Dziecko Temple”.

- Amelia Lucy Mary Temple - szepnęłam do niej, gdy leżała w moich ramionach. - Amelia i Lucy po moich dwóch babciach, Mary po mojej mamie, a Temple po rodzinie. Więc jesteś panną Milly Temple. - Pocałowałam ją w czubek głowy. - Witaj na świecie.

Szpitalne noce były ciężkie, płacz około dwudziestu noworodków nie pozwalał zasnąć. Niektóre dzieci miauczały jak kociaki; inne - w tym Milly - skrzeczały jak pawie; było jedno dziecko, które specjalizowało się w trąbiących dźwiękach, płacząc jak maleńki słonik, a maluch w następnym boksie wydawał z siebie nieustanne, drżące pobekiwanie zmarzniętej owieczki.

W dzień dołował mnie widok kobiet odwiedzanych przez mężów, obsypywanych gratulacjami i całusami, a potem zabieranych do domu z pompą należną zwyciężskim olimpijkom. Po mnie przyjechał tata, ale to nie było jego obowiązkiem. Xan powinien mnie odebrać, myślałam, przechodząc przez obrotowe drzwi z dzieckiem w samochodowym foteliku.

Wysłałam Xanowi mailem trzy zdjęcia Milly. Jej rysy już teraz tak bardzo przypominały jego, w żeńskiej miniaturce, że sądziłam, iż zmięknie. Nie odpisał. Ale potem - jakby tytułem rekompensaty za jego chłód - rodzina i znajomi zasypali mnie górą prezentów i kwiatów. Codziennie

zjawiała się jakaś przewiązana wstążką paczka z misiem, grzechotką czy maleńką różową sukieneczką.

Najlepszy prezent dostałam od taty.

- Chcę, żebyś miała opiekunkę, pielęgniarkę położną- oznajmił mi jeszcze na początku maja. Był akurat w Londynie i wpadł, by zobaczyć, jak się miewam.

- Skąd taki pomysł? - Uniosłam głowę znad deski kreślarskiej.

- Cassie mi to podsunęła. Jedna z jej psiapsiółek od szydełka prowadzi agencję specjalizującą się w zatrudnianiu takich opiekunek. A tobie potrzebna będzie pomoc.

- Nie przeczę. Ale za siedemset funtów tygodniowo, nie dla mnie.

- Ja zapłacę. Odłożyłam pióro.

- Nie, naprawdę... To za dużo, a ja na pewno sobie poradzę...

- Musisz mieć kogoś na stałe, przynajmniej przez miesiąc, kto się zajmie tobą. Proszę, pozwól, żebym to dla ciebie zrobił, Anno. W twoim wypadku to nie żaden luksus, tylko konieczność, bo nie masz do pomocy partnera ani nawet matki.

- Nie, ale...

- Mama zamieszkałaby z tobą, pomogłaby ci i pokazała, co i jak robić przy dziecku, prawda?

- Tak - przyznałam ze smutkiem. - Na pewno.

- Więc ja ci chcę dać możliwie najlepsze zastępstwo za nią, wykwalifikowaną pielęgniarkę. Przez sześć tygodni.

- Ale to będzie kosztować prawie cztery i pół tysiąca.

- Dobrze wiesz, jak często pomagałem Cassie. Zawsze ją rozpieszczałem - dodał, wyglądając przez okno. - Miałaś prawo uważać, że to nie fair. - Znow spjrzał na mnie. - Ale teraz chcę zrobić coś dla ciebie. Niech to będzie mój prezent na powitanie dziecka. Byłbym bardzo szczęśliwy.

- No... więc zgoda - powiedziałam cicho. - Dzięki.

Tak więc dzień po moim wyjściu ze szpitala zjawiała się Elaine.

Poznałam ją już dwa tygodnie wcześniej, gdy przyszła na rozmowę. Australijka, przed sześćdziesiątką, szczupła i schludna, z włosami popielatoblond upiętymi w kok, z małymi okularami w szylkretowych oprawkach zawieszonymi na szyi. Bił od niej ten rodzaj spokoju, który sprawia, że instynktownie zniża się głos. Po dziesięciu minutach wiedziałam, że będzie świetna.

I miałam rację. Była przyjacielska bez spoufalania się. Przejęła umiejętnie dowodzenie, nie narzucając swojej woli, ustaliła pory karmienia i snu dla Milly. Poruszała się po domu niezauważalnie jak kot.

Przez pierwsze trzy dni leżałam w łóżku, dochodząc do siebie po operacji. Ale gdy stałam się bardziej mobilna, Elaine pokazała mi, jak używać sterylizatora, jak skuteczniej karmić piersią, jak „odbekiwać” Milly i kapać jej drobne ciało - to przerażało mnie najbardziej - i jak ją opatulać, by czuła się bezpiecznie. Odkryła przede mną zawiloci nosidelka i pokazała, jak składać wózek. Gotowała dla nas i myła naczynia, kazała mi wypoczywać i chodziła do spożywczego, gdy Milly spała.

- Jak tam opiekunka? - zapytał mnie tata przez telefon tydzień po przybyciu Elaine.

- Cudowna. - Westchnęłam. - Jest jak archanioł Gabriel i Florence Nightingale w jednej osobie.

Gdy przywykłyśmy już do siebie, zaczęłyśmy częściej i bardziej szczerze rozmawiać. Elaine pochodziła z Melbourne i pracowała tam jako pielęgniarka. Od ponad roku pozostawała w separacji z mężem.

- W kwietniu zeszłego roku znalazłam na kuchennym stole list od Dona - powiedziała cicho. Siedziałyśmy pod markizą w moim małym ogródku, był słoneczny ranek kończącego się już czerwca. Milly leżała spokojnie w jej ramionach, owinięta w miękki różowy kocyk, mrużąc zaspane oczy. - Napisał, że nie wróci na kolację i że zostawia mnie dla Julie, mojej przyjaciółki. - Xan przynajmniej porzucił mnie dla pracy, pomyślałam. To uznałam za mniej upokarzające. - Oczywiście nie uwierzyłam - mówiła Elaine - bo okrutnym zbiegiem okoliczności był akurat prima aprilis. Ale kiedy zadzwoniłam do Dona, zrozumiałam, że to prawda. Potem się dowiedziałam, że mieli romans od sześciu miesięcy. Nie miałam o tym pojęcia.

- Straszne.

- Przez dwa miesiące prawie nie jadłam i nie spałam. Nie wychodziłam z domu, bo nie mogłam spojrzeć ludziom w oczy. Uwielbiałam Dona, byliśmy małżeństwem trzydzieści jeden lat. Ale pewnego dnia, zupełnie nagle, obudziłam się i powiedziałam sobie: dość tego uzalania się. Mam pięćdziesiąt sześć lat i przede mną jeszcze kawał

życia, jeśli Bóg pozwoli - odpukała w stół. - Więc postanowiłam je przeżyć. Moi dwaj chłopcy są już dorośli, więc mogłam wyjechać.

- Znałaś tutaj kogokolwiek?

- Mam szkolną przyjaciółkę, która mieszka w Bath, i siostrzeńca, Jamiego. On tu siedzi już trzy lata.

Zapatrzyłam się na pszczoły brzęczące nad lawendą.

- Zdecydowałaś się na bardzo odważny krok.

- W pewnym sensie... Choć można by też uznać, że to była ucieczka.

Ale wiedziałam, że tylko całkowita zmiana otoczenia mnie uratuje. -

Pogłaskała wyciągniętą rączkę Milly. - Praca opiekunki położniczej bardzo mi odpowiada. Uwielbiam malutkie dzieci, nie przeszkadza mi nocne wstawanie, bo nie jestem śpiochem, poza tym dużo jeżdżę i poznaję wspaniałych ludzi. Oczywiście brak mi Dona, ale życie, które sobie zorganizowałam, nie jest złe.

- Masz takie pozytywne nastawienie - powiedziałam. - Powinnam wziąć z ciebie przykład i przestać się uzalać nad sobą.

- A... jak jest z twoim facetem? - zagadnęła. Na razie wiedziała tylko, że nie jestem z ojcem Milly. - Oczywiście to nie moja sprawa - dodała - więc wybacz moją australijską bezpośredniość. Nie musisz odpowiadać.

Uśmiechnęłam się.

- Nie mam nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, chętnie ci powiem.

- A co teraz czujesz do niego? - zapytała cicho, kiedy skończyłam.

- Hm... Poniekąd żal mi go. To prawda, że znał mnie bardzo krótko. I prawda, że mogłam bardziej uważać, by nie zająć w ciążę. Ale tamtej nocy... coś dziwnego stało się ze mną i... po prostu nie byłam sobą.

- Ludzie, którzy kogoś stracili, nigdy nie są sobą. - Elaine pokiwała głową.

- Więc... rozumiem Xana, mógł się rozgniewać. Ale, patrząc na to z drugiej strony, on ma trzydzieści siedem lat, nie dwadzieścia dwa, i bynajmniej nie jest biedny, wydaje mi się, że w tej sytuacji powinien się wykazać większą dojrzałością. Milly jest na świecie już od trzech tygodni, a on jeszcze nie uznał jej istnienia. Człowiek bez serca - dodałam ponuro.

- Prawdopodobnie jest przerażony - stwierdziła Elaine.

- Jak ktoś mógłby się bać Milly? - mruknęłam, głaszcząc ją po główce. Włosy miała miękkie jak łabędzi puch.

- Jest przerażony implikacjami. Bo gdy tylko uzna, że ona istnieje, będzie musiał przyznać, że jest ojcem, i pogodzić się z faktem, że długie chłopięctwo się skończyło. A do tego chce cię ukarać.

- To na pewno. Powiedział, że nigdy mi nie wybaczy.

- Ale jego uczucia w końcu się zmieniają. Wszystko się zmieni. Bo zawsze się zmienia.

Spostrzeżenia Elaine były nie tyle uderzająco odkrywcze, ile trafne i sensowne, dzięki czemu pocieszające. Potrafiła też z ogromną wyobraźnią i delikatnością, dostrajać się do uczuć innych ludzi.

Pracowała sześć dni w tygodniu, a niedziele miała wolne.

Wyjeżdżała rano do przyjaciółki i wracała dwadzieścia cztery godziny później. Pierwsze dwie niedziele spędził ze mną tata, a trzeciej niedzieli odwiedziła mnie Cassie i przyniosła dziergane ubranka dla Milly.

- Przepraszam, są trochę zwichrowane - tłumaczyła się. Każdy ciuszek miał jakieś mankamenty. - Ale tyle plotkujemy na Plotach przy Drutach, że orientowałam się, jak już było za późno, a nie cierpię pruć.

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Są... urocze. - Szkoda, że z własnego życia nie potrafiła „wydziergać” czegoś bardziej konkretnego.

- A to dla ciebie. - Otworzyłam małą różową torebkę. W środku była tubka creme de la mer.

- Rozpieszczasz mnie, Cassie... Dzięki!

- Pomyślałam sobie, że przyda ci się odrobina luksusu, przecież dopiero co urodziłaś dziecko. A skoro o tym mowa - podała Milly mały palec, który ta chwyciła natychmiast - jest... śliczna. Prawda, kochanie? Ślicznotka z ciebie, skarbie. Jest podobna do mamy, prawda? - dodała cicho. Zaskoczyło mnie to, bo Cassie rzadko wspomina mamę, jakby to było dla niej za trudne.

- Faktycznie, trochę. Usta. I podbródek.

- A jest grzeczna?

- Jak aniołek.

- Dobrzeje?

- Mało mi cycka nie odgryzie.

- A on się odezwał? - zapytała Cassie z typową dla siebie bezpośredniością.

- Nie - mruknęłam. - Nie odezwał się, i szczerze mówiąc, wołałabym o nim nie rozmawiać.

Cassie klapnęła na fotel.

- Chyba wiem, dlaczego wam nie wyszło.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytałam ze znużeniem. - Widziałas go raz, przez pięć minut.

- Prawda, ale od razu poznałam, że to... niespokojny duch. Jakby lada moment miał się zerwać do lotu.

- Nie możesz oceniać kogoś, kogo nie znasz - zaprotestowałam. - Tym bardziej, że nic ci o Xanie nie mówiłam.

- Widziałam jego buty - odparła.

- Co? Mogłabyś jaśniej się wyrażać?

- Zauważyłam jego zamszowe buty, a takie często noszą mężczyźni, którzy dużo podróżują. - Gapiłam się na nią. - A do tego mieliście beznadziejnie niekompatybilne imiona. Jak mogłaś chodzić z facetem, który ma na imię Xan, skoro ty jesteś Anna? - ciągnęła. - Xan-i-Anna nie brzmi najlepiej, nie sądzisz? Ani Anna-i-Xan, choć w sumie moglibyście o sobie mówić „Xanna”... - Zwinęła swoje długie włosy w ciasny węzeł i spięła je ołówkiem, zastanawiając się nad tą kwestią.

- A jak tam twoje austriackie spa? - zapytałam, byle tylko zmienić temat.

- Interesujące, choć może trochę zbyt rygorystyczne. Do jedzenia dostawaliśmy tylko więzienne racje naturalnego jogurtu i chleba na zakwasie, a każdy kawałek trzeba było przeżuć siedemdziesiąt pięć razy.

- Ile musiałaś zapłacić za tę przyjemność?

- W sumie dwa kawałki.

- Za jeden weekend? Boże święty. Czyli nieźle ci się powodzi. Co teraz robisz?

- Nic, co mogłabyś pochwalić.



- Wciąż pracujesz dorywczo?

- Cóż... Agencja chwilowo nie ma wiele do zaoferowania, więc żeby związać koniec z końcem, zaczęłam dorabiać sobie wieczorami.

- W jakim charakterze? -zapytałam podejrzliwie.

- Po prostu rozmawiam sobie z ludźmi przez telefon...

- Z jakimi ludźmi?

- Płci męskiej - odparła. Wyciągnęła ołówek z włosów; opadły z niemal słyszalnym szelestem. - Z mężczyznami.

- Rozmawiasz przez telefon z mężczyznami? To jakieś badania rynku, czy co?

- Nie. - Westchnęła. - Dlatego, że są samotni i trochę... smutni.

Dotarło do mnie.

- Boże drogi, pracujesz w sekstelefonie. Błagam, nie mów mi, że to sekstelefon - powiedziałam, zastanawiając się, nie pierwszy i nie ostatni raz, jakim cudem z tych samych składników mogą powstać tak różne osoby, jak Cassie i ja. Trudno nawet powiedzieć, że różnimy się jak niebo i ziemia - bo ostatecznie, jeśli się uprzeć, niebo i ziemię można zaliczyć do tej samej kategorii zjawisk. Nie, w naszym przypadku to raczej jak niebo i, powiedzmy, żyrafa.

- No... Ja to wolę nazywać „telefoniczną rozrywką dla dorosłych”.

- Możesz to sobie nazywać jak chcesz, ale i tak będzie... obleśne.

- Przesadzasz - rzuciła pojednawczym tonem. - Przecież tylko z nimi rozmawiam... Mam pseudonim Jade... Taka rozmówka nie trwa długo. Przeciętnie jakieś sześć minut, no wiesz... A w trakcie mogę robić na drutach... Niektórzy chcą rozmawiać na dość niezwykle tematy i...

- Oszczędź mi szczegółów. Nie pojmuję, jak możesz coś takiego robić! - Prychnęłam ze złością.

- Oj tam - odparła spokojnie Cassie. Moja siostra rzadko się obraża. - Mogę, bo nie jestem pruderyjna i mam bardzo żywą wyobraźnię; w ogóle dla mnie to wszystko jest po prostu częścią naszego fascynującego świata - dodała lekkim tonem. - A co ważniejsze, wyciągam nawet sto pięćdziesiąt funtów za godzinę.

Pod koniec czerwca zadzwoniła Jenny i zaprosiła mnie na herbatę. Urodziła córeczkę dziesięć dni wcześniej - z dwutygodniowym opóźnieniem - więc to była pierwsza okazja, żeby się spotkać i obejrzeć swoje dzieci.

W niedzielę nakarmiłam Milly, wsadziłam do nosidelka, na główkę włożyłam jej różowy kapelusik przeciwsłoneczny i wyruszyłam pieszo do Hesketh Gardens po drugiej stronie Goldhawk Road. Po kilku minutach mała zasnęła, ukołysana moimi krokami i ciepłym dniem; główka jej opadła jak więdnąca róża. Spanikowana, że nie może oddychać, próbowałam przechylić ją do tyłu, ale główka opadała znowu, więc delikatnie podtrzymywałam ją lewą dłonią. Na Wimbledonie trwał akurat turniej; idąc wzdłuż hali, słyszałam przez otwarte okna pykanie piłek tenisowych i wybuchy huraganowych braw.

Jenny miała mieszkanie w suterenie, na końcu ulicy. Zeszłam po żelaznych schodkach. Zamrugął na mnie alarm antywłamaniowy, okna były poszatowane kratami, a drzwi obklejono dużymi nalepkami ze stanowczymi zakazami, mającymi zniechęcić domokrażców i roznosicieli ulotek. Był tu też duży znak straży sąsiedzkiej.

Wcisnęłam guzik dzwonka i po chwili usłyszałam zgrzyt odciąganej zasuw, przekręcanego klucza i w końcu zdejmowanego łańcucha.

- Masz porządne zabezpieczenia - powiedziałam, gdy Jenny otworzyła drzwi. - Istny Fort Knox!

- Bo ta dzielnica jest trochę... niespokojna. Mieszkam w suterenie, sama, z dzieckiem... No wiesz.

- Jasne, ostrożności nigdy za wiele.

- Wejdz. - Uśmiechnęła się. - Pokaż no ją... - Zdjęłam Milly kapelusik. - Prześliczna.

Przepełniła mnie matczyna duma.

- Dzięki.

Przeszliśmy wąskim korytarzem do niewielkiego salonu, gdzie na środku kanapy stał wiklinowy koszyk. Zajrzałam do środka. Córeczka Jenny leżała na plecach, z uniesionymi rączkami w pozie „poddaję się”, którą tak często przyjmują małe dzieci. Jej główkę pokrywał puch, usta przypominały idealny łuk kupidyna, zaspane oczy były wielkie, ocienione gęstymi rzęsami. Policzki miały kolor dojrzałej brzoskwini.

- Jest piękna - powiedziałam. - Ma buzię aniołka.

- Aniołka - powtórzyła Jenny. Wyczułam smutek w jej głosie i zadałam sobie w duchu pytanie, czy myśli o ojcu dziecka; może tęskni za nim, tak jak ja wciąż tęskniłam za Xanem.

- Jest podobna do ciebie - dodałam.

- Naprawdę? - Była tak uszczęśliwiona, jakbym nie mogła powiedzieć nic miłszego.

- Tak. A Grace to śliczne imię. - Rozpięłam zatrzaski nosidelka. - Nazwałaś ją tak, bo urodziła się we wtorek\*?

*\* Nawiązanie do dziecięcej rymowanki, określającej cechy dzieci urodzonych w poszczególnych dniach tygodnia, gdzie „Wtorkowe dziecko jest pełne łaski” -Grace (ang.) - łaska (przyp. tłum.).*

Jenny pokręciła głową.

- Wybrałam imię długo przed jej urodzeniem, kiedy się dowiedziałam, że będę miała dziewczynkę.

- Wiedziałaś? Nie pochwaliłaś się.

- Nie mówiłam nikomu, pragnęłam zachować to tylko dla siebie.

- Rozumiem, ale dlaczego chciałaś znać płeć?

- Bo... pomyślałam, że to pomoże mi wytworzyć silniejszą więź z dzieckiem.

- Miałaś jakieś preferencje?

- Nie - odparła ostrożnie. - Ale kiedy radiolog powiedział, że to dziewczynka, trochę mi ulżyło.

- Mnie też - przyznałam, układając sobie Milly na ramieniu. - Ale tylko dlatego, że dziewczynka może trochę łatwiej zniesie brak ojca niż chłopak. Tak mi się wydaje.

Jenny kiwnęła głową. Potem plotkowałyśmy o imionach, które znajome kobiety z kursu nadały swoim dzieciom. Dostawałyśmy kolejne maile, zawiadamiające, że na świat przyszli Louis, Jacob, Amelie, Lucas...

- I Lilia! - wykrzyknęła Jenny.

- Dobrze, że nie Żonkil - dowcipkowałam.

- Albo Mesembryanthemum! - Zachichotała. - Bliźniaki Katie mają na imię Jonah i George.

- No i oczywiście jest też Erasmus! - Nie do wiary. - Chyba tylko Citronella mogła tak „uszcześliwić” swoje dziecko: Erasmus Pratt-Baker-Jones.

- Biedny chłopczyk - przyznała Jenny. - A załączony opis jej porodu? Dostałaś to?

Przewróciłam oczami.

- Ze wszystkimi krwawymi szczegółami, jakbyśmy nie przechodziły tego samego!

- Przynajmniej nie musimy jej więcej widywać - powiedziała Jenny. Przeszłyśmy do kuchni. - A teraz napijmy się herbaty.

- Pomóc ci? Mogę coś zrobić?

- Tak, odprężyć się.

Gdy Jenny napełniała czajnik, stanęłam w otwartych drzwiach tarasowych i wyjrzałam na patio; było prawie puste - ledwie kilka rozwierzonych krzaczków białego geranium, trochę ciemnoróżowej waleriany i ogromna juka w emaliowanej donicy.

- Niestety, mój ogród to obszar klęski - zawołała Jenny.

- Bez przesady. Po prostu trzeba dołożyć parę rzeczy. - Spojrzałam w niebo, mrużąc oczy. - Ale jest od zachodu, to bardzo dobrze.

- Chciałabym, żeby był ładny, ale nie mam pojęcia o ogrodnictwie.

- Mogę ci podrzucić kilka roślin.

- Serio? Wielkie dzięki.

Rozejrzałam się po pokoju. Półki pod ścianami pełne były poważnych powieści i cegłowatych książek o wychowaniu i psychologii: *Siła kobiet i teoria feminizmu, A co z chłopakami? Szkoła a kształtowanie męskości, Cyberfeminizm, Tożsamość płciowa - wykłady*. Nad kominkiem wisiał kolorowy plakat, na jednej ze ścian wypoczywająca golaska w niebieskich pastelach, ale nie było ani jednej rodzinnej fotografii i raptem jedna czy dwie kartki gratulacyjne z powodu narodzin dziecka, jakby nie powiedziała o tym zbyt wielu osobom. Nie było też ani śladu po mężczyźnie współodpowiedzialnym za poczęcie Grace.

Znałam Jenny od trzech miesięcy. Wiedziałam trochę o jej dzieciństwie w Irlandii Północnej; wiedziałam, że ma siostrę bliźniaczkę, która wyszła za mąż i zamieszkała we Francji; wiedziałam sporo o szkole, w której Jenny uczyła, i o agresywnych zachowaniach trudnych uczniów. Ale jeśli chodziło o życie prywatne, Jenny pozostawała enigmą.

- No to mów, jak ci się podoba macierzyństwo - powiedziała, wchodząc z herbatą.

Delikatnie pogłaskałam Milly po plecach, a ona wtuliła się w moją szyję, wydając piskliwe dźwięki.

- Jest cudowne, ale i przerażające.

- Też tak uważam. - Postawiła tacę na stole. - Budzi we mnie strach świadomość, że bezpieczeństwo, zdrowie i dobrobyt drugiej istoty ludzkiej zależą całkowicie od nas; mimo braku doświadczenia nie można pozwolić sobie na błąd. - Uniosła przykrywkę czajniczka, pomieszała zawartość i spojrzała na mnie wyczekująco. Jakby chciała zapytać, czy chcę cukru albo mleka. - Żałujesz czasem? - zapytała nagle.

- Czy żałuję?

- No wiesz... Że postanowiłaś jednak przejść przez to sama. Bo nie będzie łatwo, co? Emocjonalnie... Czasem nawet bardzo trudno... i przykro... bo w samotności... - Zdanie rozpląnęło się, niedokończone.

Czy żałowałam? Przypomniałam sobie, co powiedziała kiedyś mama: „Nie sądzę, by urodzenie dziecka było błędem w jakimkolwiek momencie” - i teraz z całym przekonaniem mogłam powiedzieć to samo.

- Nie, nie żałuję - odparłam. - A ty?

- Myślałam, że będę - powiedziała cicho, nalewając herbatę. -

Najbardziej się bałam, że nie pokocham dziecka. A potrzebowałam tego - ciągnęła z przebłyskiem dziwnej żarliwości, którą czasem u niej dostrzegałam.

- Kochasz ją?

- O tak. - Położyła rękę na piersi. - Bardziej, niż sobie wyobrażałam. I z każdym dniem mocniej. - Spojrzała na Grace. - To cud.

- Masz rację. - Pogłaskałam Milly po policzku. - Ani przez sekundę nie żałuję, że ją urodziłam, ale czasem trochę mi... smutno.

- Dlaczego? - zapytała miękko Jenny.

- Bo Milly jest żywą cząstką człowieka, którego kochałam i z którym miałam nadzieję spędzić życie; on nie odwzajemnia mojej miłości i nie chce być ze mną. - Gardło miałam ściśnięte. - Mimo że urodziłam jego dziecko. - Poczułam, że łza spływa mi po twarzy i wsącza się w kącik ust, pozostawiając słony posmak.

Jenny usiadła obok mnie.

- Potrafię to zrozumieć. - Podała mi chusteczkę. - Kiedy twoja więź z Milly się rozwinie, może poczujesz się tak szczęśliwa, że smutki i tęsknoty zbledną.

- Mam nadzieję. - Pociągnęłam nosem. - Ale równie dobrze może być jeszcze gorzej, gdy ona będzie coraz bardziej podobna do niego albo zacznie pytać o tatusia, kiedy podrośnie. To nie będzie łatwe.

Jenny zmarszczyła brwi.

- Nie. - Westchnęła. - To nie będzie łatwe. - Podała mi herbatę. Na kubku widniał wielki, różowy nadruk: „Za każdą wielką kobietą stoi ona sama!” - Odezwał się do ciebie?

Pokręciłam głową.

- Ale kiedy się odezwie, to będę chciała, żeby zobaczył Milly, choćby dla mnie było to nie wiem jak bolesne. Nie mam prawa odmawiać tego ani jemu, ani jej.

Jenny poruszyła się niespokojnie i wróciła na swój fotel.

- Cóż... W twojej sytuacji to chyba słuszne.

Nagle poczułam się na tyle ośmielona, by zadać jej osobiste pytanie.

- A ty? Jak myślisz, zobaczysz jeszcze tatę Grace? - Może po urodzeniu dziecka trochę złagodniała.

- Nie - odparła stanowczo. Słyszałam, że odetchnęła głęboko, jakby chciała się uspokoić. - Już ci mówiłam, jest nieobecny...

- A pomoże finansowo?

- O nie. - Zadrżała, jakby z obrzydzenia. -I nie chciałabym tego, nawet gdyby... - spojrzała za okno - sprawy wyglądały inaczej. - Napila się



herbaty. Na jej kubku widniał napis: „Myślę, więc jestem singlem”. - A jak tam twoja opiekunka? - zapytała, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

- Jest wspaniała. - Otarłam usta Milly chusteczką. - Szkoda, że nie może zostać na stałe.

- Świetnie poradysz sobie sama - przekonywała Jenny, odganiając muchę od wiklinowego koszyka. - Dzieci dużo śpią, a w tym czasie można mnóstwo zrobić. Mnie się udało odwalić kawał roboty, odkąd Grace się urodziła, wczoraj napisałam nawet pół eseju na kurs psychoterapii.

Odstawiłam kubek.

- Ale ty chyba masz jakąś pomoc? Mamę? Jenny uśmiechnęła się chłodno.

- Chciałabym...

- Och. Ja... myślałam, że ci pomaga.

- Nie dziwię się, to naturalne, ale moi rodzice nawet nas nie odwiedzili. - Grace zaczęła się wiercić, więc Jenny podniosła ją i rozpięła bluzkę.

- Mieszkają daleko? - zapytałam, zdumiona tym wyznaniem. Może wciąż mieszkali w Belfaście.

- Nie - odparła Jenny, zaczynając karmić córeczkę. - Mieszkają całkiem niedaleko, w Acton. Grace jest ich pierwszą wnuczką, więc można by sądzić, że będą przynajmniej ciekawi, co? - dodała z goryczą.

Poprawiła sobie małą na ręce i pogłaskała ją po policzku, by zachęcić do ssania, jak uczono nas na kursie.

- Nie układa ci się z rodzicami? - Parłam dalej, zdając sobie sprawę, że stąkam po cienkim lodzie.

- Kiedyś było dobrze. - Westchnęła. - Ale oni, hm... nie pochwalają mojej decyzji, łagodnie mówiąc.

- Bo nie jesteś z tatą Grace? - Słyszałam, jak lód trzeszczy pode mną.

- Coś w tym rodzaju. - Jenny znów westchnęła. - Prawdę mówiąc, to trochę bardziej skomplikowane.

To znaczy? - chciałam zapytać. Pod jakim względem bardziej skomplikowane? Proszę, powiedz mi!

- Są bardzo religijni - dodała, jakby to wszystko wyjaśniało. I zmieniła temat, a ja uznałam, że nie będę ryzykować, iż urażę ją jeszcze większym wścibstwem.

Idąc do domu, wykombinowałam, że Jenny musiała mieć romans z żonatym mężczyzną. Bo z jakiego innego powodu jej rodzice byliby tak krytycznie nastawieni? Miała romans z żonatym mężczyzną i sprawa wyszła na jaw. Wyobraziłam sobie okropną scenę: oszalała kobieta łomocze nad ranem do drzwi Jenny i wyzywa ją od najgorszych. Wyobraziłam sobie sąsiadów otwierających okna, żeby zobaczyć, co to za awantura, i przestraszonego męża zmykającego do domu, by uniknąć skandalu. A potem wyobraziłam sobie rodziców Jenny. Surowi prezbiterianie, tak oburzeni, że córka „zaszła” w ten sposób, odcięli się od niej, nie zważając na wnuczkę.

Mama nigdy by się tak nie zachowała, pomyślałam, otwierając drzwi mojego domu. Nic nie mogłoby jej utrzymać z dala od wnucząt, w jakikolwiek sposób przyszłyby na świat. I gdyby Mark został z Carol i miał z nią dziecko, mama zasypałaby wszystkie przepaści i byłaby wspaniałą babcią. Poczułam bolesne ukłucie, jak zwykle na myśl o tym, co

moja mama straciła, nie poznając Milly - i co traciła Milly, nie znając jej. Ale dlaczego, zastanawiałam się, rozpinając nosidełko, „były” Jenny się wyrzekł kontaktów z własnym dzieckiem? Może to cena, której zażądała żona w zamian za pozostanie z nim - a może był zadowolony, że nie musi się angażować. A może w ogóle nie miał pojęcia, że Jenny urodziła jego dziecko. To też całkiem możliwe.

Może Jenny jest lesbijką, pomyślałam, nie po raz pierwszy zresztą, karmiąc Milly - ale krótkie włosy i brak makijażu to nie dowód. Może ten mężczyzna jest ojcem któregoś z jej uczniów, spekulowałam, delikatnie sadzając Milly, by jej się odbiło. To by wyjaśniało, dlaczego porzuciła pracę nauczycielki. Albo postawiono ją przed komisją dyscyplinarną i wylano. Cokolwiek to było, Jenny nic nie mówiła o swojej sytuacji. Może przyjdzie czas, że się otworzy, myślałam. Tego wieczoru dostałam maila od Xana.

Ze zdjęć, które przysłałaś, wynika, że test DNA jest zbędny. Chciałbym pomagać Ci finansowo. Podaj mi, proszę, swoje dokładne dane, żebym mógł założyć konto na ten cel. X. Gapiłam się na to „X”; kiedy byłam z Xanem, widziałam w nim całusa - teraz po prostu definiowało nasz zerwany związek. Kliknęłam „odpowiedz”: „Dzięki, ale nie”.

Ulga, którą poczułam, kiedy Elaine wróciła następnego ranka, szybko zniknęła, ustępując miejsca panice, że opuści mnie za niecałe dwa tygodnie. Jej kojąca obecność wprowadziła mnie w stan takiego odprężenia, iż prawie zapomniałam, że niedługo będę musiała pracować. Zamówiłam więc firmową papeterię i zleciłam założenie strony

internetowej. Zamieściłam reklamy w dwóch londyńskich czasopismach. Z pomocą Elaine dokończyłam urządzenie gabinetu do pracy na strychu - przedtem używałam tego pomieszczenia jako składziku. Ale wiosną kazałam go odnowić, i teraz pod świeżo pomalowanymi ścianami stały półki z książkami o ogrodnictwie, głównie po matce. Przydałoby się je skatalogować, kiedy będę miała więcej czasu, pomyślałam, wycierając ściereczką ich pomarszczone grzbiety.

Kupiłam wielką wiktoriańską komodę do przechowywania projektów i kilka drewnianych segregatorów, w których były materiały informacyjne o sklepach budowlanych, szkółkach roślin, fachowcach od kamieniarki, urządzeń wodnych, zewnętrznego oświetlenia i kowalstwa artystycznego. W najdalszym kącie pokoju miałam deskę kreślarską, komputer i stertę czasopism ogrodniczych. Na półkach leżały próbki cegieł, dekoracyjnej kostki brukowej i skałek.

- Widzę, że jesteś gotowa do pracy - stwierdziła Elaine, lustrując pokój.

- Niezupełnie. Potrzebuję jeszcze dwóch rzeczy: pierwszego zlecenia i wykonawcy.

- Po co ci wykonawca?

- Bo jako projektantka nie mogę sama murować i brukować.

Potrzebuję kogoś, kto to będzie robił, ale tyle się ostatnio działo, że nie miałam czasu poszukać kogoś odpowiedniego. Po prostu będę musiała przejrzeć żółte strony w książce telefonicznej i zadzwonić do paru firm.

- Mogę ci pomóc - powiedziała Elaine.

- Dziękuję, to nie zajmie mi wiele czasu.

- Co innego miałam na myśli. Znam kogoś, kto mógłby być pomocny.

- Naprawdę? A kto to taki?

- Mój siostrzeniec Jamie, ten, o którym ci mówiłam. Jest budowlańcem, bardzo solidny, i mieszka ledwie pięć minut spacerem od ciebie. Nigdy nic nie wiadomo. - Wzruszyła ramionami. - Może się okazać przydatny. Chcesz go poznać?

- No proszę, jaki zbieg okoliczności. Dziękuję ci, oczywiście chciałabym go poznać.

Tak więc dwa dni później przeszłyśmy się spacerem na Blythe Road; Elaine miała Milly w nosidełku, żebym mogła porozmawiać z Jamiem, nie budząc jej. Otworzył nam, gdy zadzwoniła do drzwi.

- Moja święta ciocia! - Rozpromienił się. - Wejdz, Elaine. Hej, co za ślicznotka - powiedział, patrząc na Milly. - Cześć. - Podał mi rękę. - Ty pewnie jesteś Anna.

Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat, był kilka centymetrów wyższy ode mnie i potężnie zbudowany; miał szczerą, pogodną twarz, szopę ciemnoblonde włosów i ciepłe brązowe oczy, które zniknęły, gdy się uśmiechał. Ubrany był w białą koszulkę przyozdobioną ciemnozielonym napisem „Pejzaże Olimpu” i dżinsy sprane niemal do białości, wytarte na kolanach.

Przeszłyśmy za nim przez hol. Na stoliku pod ścianą zauważyłam kilka zdjęć pięknej kobiety, trochę młodszej od niego.

- To Thea - wyjaśniła Elaine. - Żona Jamiego.

- Śliczna - powiedziałam, trochę zbita z tropu zarówno faktem, że Jamie jest już mężem, choć wygląda tak młodo, jak i olśniewającą urodą jego żony.

- Och, Thea jest boska - mówiła Elaine. - Pobrali się zeszłego lata. To dopiero było weselisko, prawda? - dodała, gdy Jamie otworzył drzwi do swojego gabinetu.

- I o to chodziło, ciociu Elaine.

- Przyjęcie było na statku na Tamizie.

- Wspaniale. - Poczułam się odrobinę zazdrosna.

- Wypiliśmy razem parę piwek, co, Jamie?

- Oczywiście. Miło powspominać. No dobrze... Wybaczcie bałagan.

- Na dywanie leżały wyciągi bankowe i faktury, przyciśnięte srebrnym trofeum sportowym, by nie rozwiał ich podmuch z otwartego okna. - Przepraszam - mruknął Jamie. Rzucił statuetkę na kanapę i pozbił dokumenty. - Rozliczam swój VAT. - Usiadł za małym biurkiem, zastawionym pudłami z napisami „Faktury zakupu”, „Faktury sprzedaży” i „Bank”. Zauważyłam w kącie kij do krykieta. - No więc, Anno - zaczął w chwili, kiedy zaświergotała jego komórka. - Szukasz kogoś od brudnej roboty?

- Ja bym tego tak nie ujęła.

Jamie spojrział na numer i pozwolił, żeby odebrała za niego poczta głosowa.

- Żartuję. - Uśmiechnął się. - Chodziło o wykonawcę, tak? Kiwnęłam głową.

- Potrzebuję kogoś, kto będzie budował ogrody, które zaprojektuję. Idealnie byłoby, gdyby ten ktoś współpracował ze mną na stałe.

- Cóż, w tej chwili jestem dosyć zajęty... - Jego komórka znów zadzwoniła. Spojrzał na wyświetlacz, ale nie odebrał.

- Co właściwie budujesz?

- Proszę. - Podał mi swoje portfolio. Jego telefon znów zaśpiewał, i tym razem Jamie odebrał, gdy ja przeglądałam duży czarny skoroszyt. Były w nim zdjęcia nowych garaży i przybudówek, podjazdów i szklarni. - Świetnie - rzucił do słuchawki. - Tylko piasek budowlany... Spoko... Odbiorę jutro. Trzymaj się, kolego.

- Długo się tym zajmujesz? - zapytałam, gdy zamknął komórkę. Patrzyłam na zbliżenia detali jego dzieł.

- Ponad dwa lata. Zatrudniam sześciu chłopaków.

- Masz kwalifikacje?

- Skończyłem trzyletni kurs budowlany w Australii.

- A ile ogrodów już urządziłeś?

- Szczerze powiedziawszy, żadnego.

- To nieprawda - wtrąciła Elaine. - Urządziłeś swój. Jamie spojrzał na nią zdumiony.

- O tym zapomniałem.

- Powinieneś pokazać go Annie. Podrapał się w głowę.

- No dobra.

Poprowadził nas przez kuchnię, otworzył tylne drzwi i wyszliśmy do sporego, zamkniętego ogrodu.

Ziemia wybrukowana była czerwoną cegłą z odzysku, ułożoną w kolisty wzór, wykończony na obrzeżach kawałkami indyjskiego piaskowca, ciętymi po skosie, co optycznie dawało efekt większej przestrzeni. Wzdłuż jednej ściany ogródka ciągnęła się pojedyncza rabata na podmurówce, o lekko falistym konturze, wypełniona ostróżkami, piwoniami, łąbinem i pnącymi różami, z poduchami amarantowego żagwinu, przelewającymi się przez murek.

- Ty to zbudowałeś? - Zajrzałam do jadalni na powietrzu, elegancko osłoniętej rządkiem splecionych młodych grabów.

- Zbudował i zaprojektował - powiedziała Elaine.

- Bez przesady, naskrobałem tylko kilka szkiców - zaprotestował Jamie. - Ale to było istne złomowisko, kiedy wprowadzaliśmy się sześć miesięcy temu, prawda?

- Nie mogłam na to patrzeć - przyznała Elaine. - Kupa śmieci.

- Wspaniale sobie poradziłeś - chwaliłam. - Świetne wykorzystanie przestrzeni, bardzo ładny kamień, i naprawdę podoba mi się takie zestawienie roślin. A to puste miejsce?

- Przeznaczyłem je pod małą piaskownicę albo huśtawkę.

- Macie dzieci?

- Pracujemy nad tym. - Roześmiał się. Jego komórka znów zadzwoniła. - Cześć, kochanie... Właśnie o tobie mówiłem... O rany, czterdzieści trzy stopnie? To musisz chronić swoją śliczną buzię przed słońcem, skarbie. Słuchaj, kotku, mogę oddzwonić za dziesięć minut? - Zazdrościłam Thei faceta, który okraszał swoje słowa tyłoma czułościami.



- Thea znów wyjechała? - zapytała Elaine Jamiego, gdy wróciliśmy do środka. - Pracuje w agencji promocji sportu - wyjaśniła mi. - Więc sporo podróżuje.

- Pojechała na pięć dni do Dubaju - dodał Jamie. - Jeden z jej klientów sponsoruje tam zawody żeglarskie.

- No tak - mruknęła Elaine.

Zobaczyłam wszystko, co mnie interesowało. Powiedziałam Jamiemu, że chciałabym z nim współpracować, kiedy dostanę pierwsze zlecenie.

- W porządku - odparł. - I przekonamy się, czy jesteśmy kompatybilni.

- Dokładnie tak. Podaj mi numer telefonu. - Zapisałam go w swojej komórce.

Wyciągnął rękę.

- Miło cię było poznać, koleżanko.

- Nawzajem, kolego.

- Pa, ciociu Elaine. Pa, pa, księżniczko - szepnął do Milly, która mocno spała. Delikatnie ujął jej maleńkie stopki w swoje wielkie szerokie dłonie. - Prawdziwe z ciebie złotko, mała... Pozwólcie, że was odprowadzę.

- Cześć, Jamie - powiedziałam, gdy stałyśmy już na schodku od frontu. - Odezwę się. - Zauważyłam sportowego bentleya continentala w kolorze wyścigowej zieleni, zaparkowanego przed jego mieszkaniem. - To twój? - Wskazałam samochód ruchem głowy.

- Chciałbym. - Roześmiał się. - Należy do moich sąsiadów. Oboje pracują w banku i są nadziani. Mój jest tamten. - Niebieski pikap stał nieco dalej. - No dobra, więc do zobaczenia, drogie panie! Miłego dnia!

- Spodobał mi się - przyznałam się Elaine, gdy szłyśmy z powrotem.

- Jamie to wspaniały chłopak. Wiem, co mówię, bo znam go od urodzenia, czyli dwadzieścia osiem lat. - A więc był starszy, niż wyglądał.

- Jego ogród jest fantastyczny, naprawdę robi wrażenie. A rzeczy, które buduje, wyglądają solidnie.

- Jest też bardzo utalentowanym sportowcem.

- Tak?

- Grał zawodowo w krykieta.

- To stąd trofeum, które widziałam?

- Tak, ma ich mnóstwo.

- W jakiej drużynie grał?

- Nowej Południowej Walii. Był doskonałym miotaczem.

- A co go sprowadziło do Anglii?

- Grał dla Surrey przez dwa sezony w przerwie rozgrywek w Australii i spodobało mu się tutaj.

- Dlaczego już nie gra? - zapytałam, gdy ruszyłyśmy obrzeżami Brook Green. - Jest jeszcze młody.

- Miał wypadek samochodowy sześć lat temu i zmiotło mu nogę.

- To straszne.

- Rzeczywiście, to było straszne, zwłaszcza że został wytypowany do reprezentacji Australii. Potem przekwalifikował się na budowlańca. Ciągłe grywa w krykieta, ale tylko dla zabawy, z jakąś cyrkową drużyną, która

zbiera pieniądze na leczenie dzieci. Tak poznał Theę. Robiła kampanię reklamową dla jednej z akcji charytatywnych, w której brał udział, i... no cóż, można powiedzieć, że wygrał sobie pannę młodą. Na pewno będziesz zadowolona ze współpracy z Jamiem - dodała. - On cię nigdy nie zawiedzie.

Zadzwoiłam do niego w następnym tygodniu. Dostałam pierwsze zlecenie przez stronę internetową, i choć niewielkie, bardzo podniosło mnie na duchu. Mogłam wreszcie zacząć. Klienci powiedzieli mi, że nie mają funduszy na nowy ogród w swoim domu w Chiswick; chcieli tylko odświeżyć istniejący.

Spotkałam się z nimi, żeby omówić szczegóły. Zdecydowali się usunąć sadzawkę, jako że oczekiwali dziecka; chcieli też odnowić trawnik, poza tym byli otwarci na wszelkie inne pomysły. Zaproponowałam im więc usunięcie rabat, które były niepotrzebnie szerokie i zacieśniały już i tak niewielką przestrzeń.

- A co z tym? - zapytałam, patrząc na bezlistną akację, z której został właściwie tylko wielki pień.

- Chętnie byśmy ścięli - wyjaśnił mąż - szczególnie że zajmuje kawał trawnika, ale jest pod ochroną, więc nie do ruszenia.

- W takim razie można zmienić pień i tych parę gałęzi w całkiem ładny element dekoracyjny, obsadzając wszystko pnącymi roślinami - zaproponowałam. - Po jednej stronie mieliby państwo klematis... Jest taka nowa odmiana o nazwie Ice Blue, która kwitnie od maja do października. A po drugiej stronie pnącą różę, na przykład Felicite Perpetue, o kredowobiałych, bardzo pachnących kwiatach. Na niższej gałęzi

bezpiecznie można zawiesić małą huśtawkę, a pień obudować kolistą ławką. Będzie wyglądać naprawdę uroczo.

- Co jeszcze by pani zrobiła? - zainteresowała się żona. Spojrzałam na tylną ścianę domu, całkiem gołą, zwróconą na południe, a potem obejrzałam patio, wyłożone zwykłymi cementowymi płytami.

- Możemy rozweselić te kamienie, wystarczy je wyczyścić i ułożyć inaczej. Moglibyśmy też zbudować dużą altanę nad patio, dzięki czemu uzyskamy zacienione miejsce do jedzenia na dworze albo do zabawy dla dziecka. To nie będzie dużo kosztować. Puściłabym na nią letni jaśmin albo kapryfolium, jest taka śliczna czerwona odmiana, Dropmore. Pokażę państwu, mam ze sobą katalogi roślin.

Umówiliśmy się, że ostateczny koszt wyniesie trzy tysiące funtów. Jamie podjął się prac budowlanych i w ciągu trzech dni zabrał się do roboty. Kiedy wpadłam, by sprawdzić postępy, zastałam go na kolanach przy opróżnionej sadzawce.

- Skacz sobie do woli, ale i tak cię złapię - mamrotał, wbijając wzrok w błoto.- Mam cię!

- Co ty robisz, Jamie? Uniósł głowę.

- Cześć, Anna. Łapię żaby. Muszę je wszystkie usunąć, zanim chłopaki zaorzą trawnik, bo nie chcemy tu ofiar śmiertelnych. Chodź tu, mała... - Złożył dłonie w rękawicach i zanurzył je w żółtym wiaderku. -To już chyba wszystkie.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam z tuzin zielonobrunatnych żab, skrobiących bezradnie ścianki. Przyglądałam im się kilka sekund.

- Lubisz żaby? - zapytał Jamie.

- Nieszczególnie... Zastanawiam się tylko, którą pocałować.

Roześmiał się.

- A masz taką potrzebę?

- Czasem tak mi się wydaje. - Uśmiechnęłam się. - Co z nimi zrobisz?

Wrzucił kilka starych cegieł na taczkę.

- Znalazłem dla nich rodzinę zastępczą trzy domy dalej. W sumie mogły same tam doczłapać, ale nie chciałem ryzykować. Traszki też tam będą- dodał, wskazując ruchem głowy drugie wiaderko, pełne wody i wodorostów.

Dobre serce Jamiego wzruszyło mnie - odmówił też ścięcia śliwy, gdy zobaczył na niej jakieś zapóźnione pisklęta w gnieździe - a jego wykonawstwo było pierwszorzędne. Razem z dwoma pracownikami w ciągu jednego dnia usunął rabaty, drugiego dnia przeorał trawnik i rozłożył nową darni, a kolejnych dwóch dni potrzebował na zbudowanie altany i ławki wokół akacji. Potem ja wkroczyłam z roślinami. W niecały tydzień ogród uległ przeobrażeniu. Klienci polecieli mnie swojemu znajomemu - młodemu prawnikowi, który chciał, by całkowicie przeprojektować jego ogród. Interes zaczynał się kręcić.

Tymczasem opuściła mnie Elaine - miała się zająć kolejnym dzieckiem w Norfolk - ale obiecała nas odwiedzić, kiedy wróci do Londynu. Płakałam przez dwie godziny, kiedy wyszła; nie dlatego, że zostałam bez pomocy, bardziej żał mi było naszej przyjaźni. Musiałam się jednak pogodzić z faktem, że mój „urlop macierzyński” dobiegł końca, a „nowe życie”, którego tak pragnęłam, zaczęło się na dobre.

## Rozdział 5

Dopóki Milly nie skończyła trzech miesięcy, wszędzie zabierałam ją ze sobą, starając się tak umawiać na spotkania, by nie kolidowały z jej porami karmienia. Tak więc towarzyszyła mi podczas rozmów z klientami i wypraw do szkółki ogrodniczej w Chobham, gdzie kupowałam wszystkie rośliny, i do składu budowlanego w Maida Vale, w którym oglądałam deki, bruki i cegły. W domu spała w wiklinowym koszyku, gdy pracowałam nad rysunkami, albo leżała obok mnie pod „edukacyjną zawieszka”, młócąc maleńkimi rączkami dyndające zabawki, a czasem po prostu trzymałam ją na lewej ręce. Szło nam całkiem dobrze, ale bywały też trudne dni; zdarzało się, że miała kolkę, wtedy niewiele mogłam zrobić. Wiedziałam, że gdy podrośnie, będę musiała zatrudnić opiekunkę. Jedyną opcją była au pair, biorąc pod uwagę moje niepewne dochody - i już za pierwszym razem mi się poszczęściło. Czeszka Pavlina okazała się idealną nianią.

Ta dwudziestosześcioletka była poważna, zorganizowana, cicha i pracowita. Wcześniej już zajmowała się dziećmi, miała świetne referencje i zgodziła się zostać prawie dwa lata. Opiekowała się małą do południa, kiedy ja jechałam na miejsce robót, by się spotkać z Jamiem, albo na rozmowy z klientami. Po południu Milly bawiła się w kojcu, który stał obok mnie, lub próbowała swoich sił w chodziku. Oglądała *Małego Einsteina* czy *Teletubisie*, gdy ja załatwiałam telefony i biurowe sprawy. Kiedy potrzebowałam dodatkowej pomocy, płaciłam Pavlinie ekstra. Jej też to odpowiadało, bo oszczędzała na mieszkanie w Pradze.

Milly miała już dziewięć miesięcy, kiedy przyszedł mail od Xana - mail, na który tak czekałam i którego tak bardzo się bałam: „Będę w Londynie przez pięć dni od 25 marca i chciałbym poznać Milly. X”.

Poczułam się, jakby wrzucono mnie do studni. Nie odezwał się od dawna. Teraz, mając przed sobą perspektywę emocjonalnej burzy, chciałam odmówić. O ileż łatwiej byłoby po prostu usunąć go z obrazka, jak zrobiła to Jenny ze swoim eks - ale musiałam myśleć przede wszystkim o Milly.

Napisałam odpowiedź. „Przyjdź w niedzielę, 27, około czwartej”. W końcu, ze ściśniętym żołądkiem, kliknęłam „wyślij”.

Serce tłukło mi się o żebra, kiedy w niedzielę po południu rozległ się dzwonek do drzwi. Poprzedniej nocy prawie nie spałam, padłam dopiero przed świtem. Jeszcze raz skontrolowałam swoje odbicie w okrągłym lustrze u stóp schodów, wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi.

Trzymałam Milly na rękach i oczy Xana natychmiast pojaśniały na jej widok; błysnęła w nich mieszanina zachwytu, rozpoznania i poczucia winy. Dopiero wtedy dostrzegł mnie. Kiedy przestąpił próg, zauważyłam, że jest opalony, ma krótko ścięte włosy i na jego skroniach pojawiły się nitki siwizny. Próbował mnie pocałować, ale się odwróciłam, traktując go z chłodną godnością. W końcu nazywał mnie „górami lodową”.

- Napijesz się herbaty? - zapytałam, odsuwając wózek z drogi. -  
Niestety, wciąż nie mam herbatki na trawienie - zażartowałam kwaśno. -  
Powinnam kupić na tę okazję.

Xan nie zareagował.

- Z przyjemnością napiję się kawy. - Zdjął skórzaną kurtkę i powiesił na wieszaku.

Posadziłam Milly na macie do zabawy i wyszłam do kuchni. Gdy wróciłam z tacą - ręce tak bardzo mi się trzęsły, że filiżanki grzechotały na spodkach - Xan stał przy oknie, w tym samym miejscu, gdzie stał tamtego wieczoru, błagając mnie, bym nie rodziła Milly. Trzymał ją w ramionach i wpatrywał się w nią w milczeniu.

„Wszystko się zmieni. Bo zawsze się zmienia”.

Ku mojemu zdumieniu, Milly nie płakała i nie wyrywała się. Po prostu patrzyła na Xana jak zaklęta. Może czuła podświadomie, że jest z nim nierozzerwalnie związana - tak jak ja zrozumiiałam w tej chwili, że będę z nim związana do końca życia.

- Cześć - powiedział cicho Xan. - Pewnie się zastanawiasz, kim jestem. .. No więc... może ci się to wyda trochę dziwne... - Słyszałam, że głos mu się łamie. - Ale widzisz, skarbie, jestem twoim tatą. Tak, kochanie, właśnie tak. Nie żartuję. - Milly położyła pulchną rączkę na jego policzku. Usta Xana drżały przez moment, ale moje serce nie zmiękło. Dość się przez niego napłakałam. - Jest po prostu... słodka - wyszeptał.

- Dzięki. Ja też tak myślę. - W duchu pogratulowałam sobie opanowania. - A więc, Xan... - Usiadłam. - Co teraz? Czy ciekawość wreszcie zwyciężyła?

- Nie bądź taka uszczypliwa, Anno - mruknął. - Wiem, że z twojego punktu widzenia zachowałem się fatalnie.

- To prawda. Zachowałeś się fatalnie. Chcesz mleka? Dawno cię nie widziałam i niestety już nie pamiętam, jaką lubisz herbatę. A tak przy



okazji, mieliśmy śliczne chrzciny. Gdyby cię to ciekawiło, chrzestną matką Milly jest moja dawna asystentka, Sue. Może pamiętasz, była ze mną tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, a ojcem chrzestnym jest mój brat, Mark.

- Doszliście do porozumienia?

- Właściwie nie utrzymujemy kontaktów - odparłam. - Ale też tylko o to go prosiłam... żeby nie palił za sobą mostów. Tak czy inaczej, przynajmniej tu przyleciał. Wielka szkoda, że tobie się nie udało - dodałam uprzejmym tonem. - Na chrzest własnej córki.

- Proszę cię, Anno. - Xan westchnął. - Nie rób mi tego. Tak strasznie się miotalem.

- Biedactwo. Bo przecież ja tu miałam jedną wielką balangę jako pracująca samotna matka.

- Proszę, nie karz mnie - ciągnął. - Chcę zachować się fair, ale musisz zrozumieć mój gniew, że nie miałem nic do powiedzenia w kwestii dziecka.

- Przecież miałeś coś do powiedzenia - odparłam spokojnie. - Bo zdecydowałeś się przespać ze mną tamtej nocy, a jak wszyscy wiedzą, jeden plus jeden czasem daje trzy.

- Czuję się okropnie - mówił dalej. - Trudno było mi się skupić na pracy, w ogóle nie mogłem spać. Myślałem tylko o Milly. - Ciekawe, ile myślał o mnie. - Byłem jak sparaliżowany, nie wiedziałem, co robić. Stopniowo doszedłem do wniosku, że jedyny sposób, by kiedykolwiek poczuć się lepiej, to poznać ją. - Nie odpowiedziałam. - Mogłem ją zobaczyć w grudniu - dodał po chwili. Spojrzałam na niego. -

Przyjechałem do Londynu na trzy dni... - Poczułam nagły bolesny skurcz na myśl, że był tak blisko. - Chciałem ją zobaczyć, ale czułem się taki... zagubiony. Przeszedłem nawet pod twoim domem...

- No nie - mruknęłam.

- Zabrakło mi jednak odwagi. Przepraszam cię, kochanie - szepnął do Milly łamiącym się głosem, przytulając ją mocniej. - Będę cię odwiedzać, córeczko, obiecuję.

- A jak często? Posadził Milly na macie.

- Trudno powiedzieć. Pewnie trzy razy w roku. Częściej nie mogę, mieszkam jedenaście tysięcy kilometrów stąd.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziałam ponuro. Wcisnęłam sitko kafetierey. - Mimo wszystko Milly powinna cię znać. I mogłeś przynajmniej odpowiadać na moje maile - dodałam z goryczą.

- Ja... przepraszam, Anno. Bałem się. Może to zabrzmie dziwnie, ale byłem przerażony. - Analiza Elaine okazała się trafna. - Teraz spróbuję jej to wynagrodzić.

Sięgnął do torby i wyjął reklamówkę z Harrodsa. Wyłonił się z niej miękki, karmelowy miś z lawendową wstążką i słodko zdezorientowanym wyrazem pyszczka. Milly przycisnęła go do buzi obiema rączkami, piszcząc z zachwytu.

- Zamierzam dokładać się do jej utrzymania - ponowił dawną propozycję Xan, gdy nalałam mu kawy. - Nie pozwoliłaś mi na to, ale ja chcę.

- Cóż... Teraz, kiedy już się poznaliście, nie mam nic przeciwko. Nie chciałam twoich pieniędzy. - Westchnęłam. - Zależało mi na twoim

zaangażowaniu. Ale nie zaprzeczę, że niewielka pomoc finansowa będzie mile widziana.

- Otworzyłem już dla niej konto. Proszę. - Sięgnął do torby i podał mi wyciąg. - Wpłacam pieniądze co kwartał. Dopiszę cię jako współwłaścicielkę, żebyś miała do niego dostęp. Przyślę dokumenty.

- Dzięki. - Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, ale odwróciłam wzrok.

- Nie jestem byle gnojkiem, Anno - powiedział cicho. Szamotałam się w sobie, by stłumić tęsknotę, która wciąż mnie nie opuszczała - sprawiała mi niemal fizyczny ból.

- Wiem, że nie jesteś. - Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybyś był, pomyślałam smętnie. Wtedy mogłabym się odkochać.

- Przepraszam, że tak się zachowałem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Jego rysy zaczęły się rozmywać, gdy do oczu napłynęły mi łzy.

- Tak - szepnęłam. - Wybaczę...

Nagle sięgnął po moją dłoń, a ja mu na to pozwoliłam, obezwładniona znajomym dotykiem jego dłoni.

- Nie płacz, Anno - odezwał się po chwili. - Proszę, nie płacz. - Podał mi chustkę; przycisnęłam ją do oczu. - Czy możemy być przyjaciółmi? - zapytał. - Dla dobra Milly?

Przyjaciółmi...

Moje serce przepełnił smutek.

- Oczywiście.

Od tamtej pory Xan odpowiadał na moje maile. Przysyłał małej prezenty - indonezyjskie lalki i rzeźbione zwierzątka, kolorowe makaty na ściany. Od czasu do czasu dzwonił i mówił do niej. Jej buzia rozświecła się jak mały fajerwerk na słowo „tatuś” i Milly gulgotała radośnie do słuchawki. Radość dziecka była dla mnie jednocześnie cierniem w sercu i ogromną pociechą. Wystawiłam zdjęcie Xana ściągnięte ze strony internetowej BBC, jako że sama nie miałam żadnej dobrej fotki. Dla dobra Milly musiałam puścić wszystko w niepamięć, tłumaczyłam jej więc, że choć tatuś mieszka daleko, będzie nas odwiedzał, kiedy tylko czas mu pozwoli. Oglądałyśmy wiadomości o szóstej, na wypadek, gdyby się pokazał.

Któregoś dnia - Milly miała już prawie rok - Nicole, koleżanka ze szkoły rodzenia, wydała pierwsze przyjęcie urodzinowe dla swojego synka Jacoba. Wcześniej było już kilka spotkań, ale ja nie mogłam pójść.

- Mam nadzieję, że nie będzie tam Citronelli - powiedziałam do Jenny, gdy pchałyśmy spacerowe wózki, idąc do Nicole w słoneczny majowy dzień.

- Ma być - odparła.

Powiodłam wzrokiem po wszystkich kwitnących roślinach we frontowych ogródkach - azaliach, klematisach, tulipanach i lakach. Gdyby Citronella była rośliną, pomyślałam nagle, to jaką? Bluszczem. Zdradzieckim, trudnym do wytepienia i podstępnie niszczącym. Jenny byłaby mimozą- pięknie wyglądającą w ogrodzie, ale zwijającą listki pod najlżejszym dotknięciem. Cassie - muchołówką amerykańską,

uwodzicielską, ale niebezpieczną. Xan byłby... słonecznikiem - pysznącym się wspaniałą, lecz szybko przemijającą urodą.

A ja? - zastanawiałam się, dzwoniąc do drzwi Nicole. *Dicentra spectabilis* - stwierdziłam z goryczą - krwawiącym sercem.

Pozostałe mamy były już w przystrojonym balonami ogródku; siedziały na kocach ze swoimi wiotkimi latoroślami na kolanach lub prowadziły je, a maleństwa wyglądały jak przebierające nóżkami marionetki.

- Jonah chodzi już od dwóch tygodni.

- Mam pocałować, żeby nie bolało, kochanie?

- Erasmus chodził już w dziesiątym miesiącu.

- Ja ciągle jeszcze karmię Phoebe piersią.

- Brawo! Mnie to zupełnie nie szło.

- Trzeba było jeść więcej trawy!

- Będzie chodził do Pachnącego Groszku - usłyszałam słowa Citronelli. Załamalam się. Było to przedszkole, do którego zapisałam Milly. -Czy nie jest boski? - zapytała mnie nagle Citronella, patrząc na Erasmusa z uwielbieniem i dumą.

- Hm, tak - odparłam uprzejmie. W twoich oczach! - pomyślałam. Miał na sobie granatową koszulkę z napisem „Jestem nowym facetem mamusi!” Odziedziczył po Citronelli mocną budowę i miedziane włosy.

- Dostałaś już zaproszenie na urodzinki Erasmusa? - zapytała.

- Ee... otrzymałam - potwierdziłam bez entuzjazmu. - Dzięki.-Aż się zachłysnęłam, gdy je otworzyłam, nie tyle z zaskoczenia, że mnie zaproszono, ile na widok załączonej listy mile widzianych prezentów z

sugerowanymi sklepami, jak na ślub. Jenny powiedziała mi, że swoje wyrzuciła. - Ale nie wiem... czy damy radę... przyjść - jękałam, podnosząc Milly. - Mam tego popołudnia spotkanie z klientem.

- A twoja niania nie może jej przyprowadzić? - zapytała ostrym tonem Citronella.

- Nie mam niani - odparłam. - Au pair w czwartki po południu zabiera małą na Małpią Muzykę\* ... Ty uwielbiasz Małpią Muzykę, prawda, kochanie? - Milly zaklaskała w ręczki. - Ale dam ci jeszcze znać - dodałam, w nadziei, że to zakończy rozmowę.

*\* Monkey Music (Małpia Muzyka) - popularne zajęcia muzyczne dla maluchów (przyp. tłum.).*

Ale było jasne, że Citronella jeszcze nie skończyła.

- Czy twój ogrodniczy interes dobrze prosperuje? - indagowała.

- Nieźle, dzięki. - Zaskoczyło mnie to nagle zainteresowanie.

Odgoniłam osę. - Teraz akurat jest sezon, ale rzeczywiście jestem dość zajęta.

- Twój partner, Xan, też jest chyba zajęty, widziałam go - zaczęła podstępnie i wgrzyła się w bułkę z parówką.

- Taak. - Szczerze żałowałam i nie mogłam sobie darować, że wymieniłam imię Xana, a także wspomniałam o jego zawodzie.

- Widzieliśmy go w telewizji. Jest świetny - dodała, strzepując okruchy bułki ze swoich masywnych kolan.

Zastanawiałam się, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Czy Erasmus już mówi? - zagadnęłam z nadzieją, że temat chwyci.

- Pewnie się ucieszycie, kiedy wróci. - Ciągnęła uparcie poprzedni wątek. Jakby nie słyszała pytania.

- Och... oczywiście, szczególnie Milly. Uwielbiasz tatusia, prawda, szkrabie?

- Ta-ta! - Milly się rozpromieniła, śliniąc z radości. Uchwyciłam spojrzenie Jenny.

- No dobrze... Idę się poudzielać. Miło cię było spotkać, Citronello. Citronella z gracją oblizwała końce palców, wydając mlaszczące dźwięki.

- A wiesz, że akurat jest o nim artykuł w ostatnim „Hello!”?

Poczułam się, jakbym wpadła do szybu kopalni.

- Naprawdę? To znaczy... coś wspominał. Jeszcze nie kupiłam.

- Mam ten numer przy sobie - rzuciła niewinnie. - Chcesz zobaczyć?

- Okej. - Czulałam, że puls mi przyspiesza. - Dzięki.

Citronella uniosła obfite cielsko, którego gabaryty nie zmniejszyły się po porodzie, i po minucie wróciła z czasopismem.

- Strona sto dwanaście - podsunęła usłudźnie, podając mi gazetę, i zajęła się rozmową z Tanya, siedzącą po jej drugiej stronie. Odnalazłam właściwą stronę, szybko wyłowiłam zdjęcie Xana pośród innych przedstawionych korespondentów BBC, i z łomoczącym sercem przebiegłam wzrokiem tekst.

„Xan Marshall, trzydzieści dziewięć lat... korespondent BBC w Indonezji. .. na placówce w Dżakarcie... były bankowiec w Hongkongu...” Nagle twarz mi zapłonęła. „Marshall od sześciu miesięcy mieszka ze swoją partnerką, Trishą Fox, korespondentką CNN na teren południowo-

wschodniej Azji... Dwudziestoosmioletnia panna Fox, z dyplomem Harvardu, jest wschodzącą gwiazdą CNN..."

Drżącymi rękami zamknęłam gazetę; poczułam, jak zółć podchodzi mi do gardła.

- Nic ci nie jest? - szepnęła Jenny.

- Już? - Usłyszałam pytanie Citronelli. - Ja tego jeszcze nie czytałam - dodała z miną niewiniątka.

- Tak, dzięki. - Oddałam jej czasopismo i wstałam. Nogi się pod mną uginały. - Musimy już iść.

- Jaka szkoda - wyraziła swój żal tonem pełnym słodyczy.

- Cześć, Nicole - powiedziałam. - Bawiłyśmy się świetnie.

Zdenerwowałam się tak, że przez resztę dnia nie mogłam pracować. Nie wiedziałam, co zabolalo mnie bardziej: unaocznienie tego, co, moim zdaniem, było przecież nieuniknione, czy złośliwość Citronelli. Podczas wizyty Xana bardzo się pilnowałam, by rozmowa dotyczyła wyłącznie Milly. Nie chciałam nic wiedzieć o jego życiu osobistym.

- Oczywiście, że czytała artykuł - powiedziałam do Jenny, kiedy zadzwoniła do mnie później. Powstrzymując łzy, opowiedziałam, co się stało. - Zrobiła to z wyrachowaniem. Ona naprawdę jest zła.

- Nie jest - zaprzeczyła uparcie Jenny. - Nie wiesz, co to prawdziwe zło, jeśli tak myślisz. - Dlaczego zawsze musi być taka drażliwa w tej kwestii? - pomyślałam ze złością. - Ale z pewnością jest wstrętne. Co ja jej takiego zrobiłam? - Rozpłakałam się na dobre. - Ta kobieta to nie jest zwykły bluszcz, to trujący bluszcz!



- Nic jej nie zrobiłaś - odparła Jenny. - Co tylko dowodzi, że musi być bardzo nieszczęśliwa.

- Chyba żartujesz! To najbardziej zadowolona i pewna siebie baba na świecie. Wiecznie wypisuje w tej swojej obrzydliwej rubryce, jak los „szczodrze ją obdarowuje”, jakie ma w życiu „szczęście” i jacy „smutni” albo „dzielni” są inni ludzie.

- Toteż właśnie. Wszystkich musi przedstawiać w krzywym zwierciadle. Ale czy naprawdę szczęśliwi ludzie tak robią?

- Nie - przyznałam po chwili. - Nie robią tak.

Przez chwilę zastanawiałam się, z jakiegoż to powodu Citronella może się czuć nieszczęśliwa. Mąż bankier nie jest dość bogaty? Dom w Luxembourg Gardens nie jest dość wielki? W końcu wrzuciłam jej zaproszenie do kosza.

Wreszcie zdołałam wmówić sobie, że Citronella wyświadczyła mi przysługę. To dobrze, że Xan był z kimś związany, bo to oznaczało, że muszę się wyzbyć wszelkich uczuć, które wciąż do niego żywiłam, i spojrzeć na sprawę inaczej. Pocieszałam się nawet, że i ja znajdę sobie kogoś, choć nie wyobrażałam sobie, by mogło to nastąpić, zanim Milly opuści dom - kiedy będę miała pięćdziesiąt jeden lat. Materiał na sage, rozmyślałam smętnie.

Nim Milly skończyła dwa lata, Xan widział się z nią jeszcze cztery razy. Była w nim już tak zakochana, że pędziła do telewizora, ilekroć pojawił się na wizji, i całowała go, aż Pavlina musiała wycierać ekran, zapakany odciskami jej rączek i warg. „Opowiadała” o Xanie bez przerwy i „dzwoniła” do niego codziennie ze swojego telefonu Listonosza Pata, a

jeśli nie miała go pod ręką - z mojego kalkulatora, z dużej muszli kauri, z korka do wanny albo po prostu z własnej dłoni. Ich rozmowy zawsze były ożywione i często czułam się odsunięta na bok. Próbowalam nie myśleć o dziewczynie Xana, a jeśli musiałam się z nim skontaktować, dzwoniłam zawsze na komórkę, nigdy na domowy numer. Załamałabym się, gdybym usłyszała jej głos.

Kiedy Milly skończyła dwa lata, opuściła nas Pavlina. Zaoszczędziła dość pieniędzy, by wpłacić zadatek na mieszkanie. Chciała wrócić do Pra-  
gi i pracować w turystyce. Żałowałam, że musimy się rozstać - była zrów-  
noważona, kompetentna i godna zaufania. Próbując znaleźć kogoś na jej  
miejsce, zrozumiałam, że takiej jak ona już nie będzie.

Ta sama agencja przysłała mi cztery kolejne dziewczyny, i wszystkie okazały się beznadziejne - jeśli nie wręcz niebezpieczne. Najpierw była Gabi z Bonn, która całkiem dobrze wystartowała, ale zaczęła tak bardzo tęsknić za domem, że wyjechała po trzech tygodniach. Potem miałam Na-  
talie, Francuzkę. Podziękowałam jej za usługi po miesiącu, nie tylko dla-  
tego, że była leniwa i niezorganizowana, ale i dlatego, że przyłapałam ją,  
jak hojną ręką smarowała siedzenie Milly creme de la mer. Następna, Lu-  
cia z Rzymu, kładła się do łóżka na tydzień za każdym razem, kiedy miała  
okres; Svetla z Bułgarii - nawet mi się podobała, dopóki - wbrew moim  
instrukcjom - nie podała Milly jajka. Na szczęście alergiczna reakcja, którą  
wywołało, była „tylko” ostra, a nie śmiertelna.

Pewnego poranka pod koniec stycznia wybrałam się po mleko, roz-  
myślając z rozpaczą o tym wszystkim, gdy mój wzrok przyciągnęło ogło-  
szenie w witrynie kiosku z gazetami: „Ja chcę pracuje au pair. Ja dobre

serce. Ja kocha dzieci i psów. Zaczęłam od razu. Wy nie żałujecie, że ja u was pracuje. Bardzo dobre referencjas. Do widzenia! Luisa... xx".

Tak bardzo potrzebowałam kogoś do pomocy - od przyszłego tygodnia miałam co rano wygłaszać pogadanki w GMTV - że zadzwoniłam pod podany numer komórkowy. Luisa posługiwała się mówionym angielskim równie fatalnie jak pisany, ale zdołałyśmy ustalić, że jeszcze tego samego dnia przyjdzie na rozmowę.

Przebywała w Anglii od miesiąca, ale przez rok pracowała u rodziny w Marbelli. Była dwudziestotrzyletnią Kolumbijką, dość pulchną, o ładnej, pełnej wyrazu twarzy i z ujmującą, żywiołową osobowością. Moim największym problemem byłoby porozumiewanie się z nią.

- Ja chce naumieć angielski bardzo dobry - zaczęła, gdy usiadłyśmy w salonie. - Ja chodzę szkoła każde dnie. Naumie angielski bardzo szybki.

Milly trzymała się mojego kolana, mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Chciałabym sprawdzić twoje referencje - powiedziałam. - Możesz mi powiedzieć, do kogo mam przedzwonić?

Luisa spojrzała na mnie, nie rozumiejąc.

- Telefonować - powiedziałam. Wskazała uczynnie aparat na kredensie. - Nie. Do kogo ja mam zatelefonować? - Dźgnęłam się palcem w pierś, a potem wykonałam gesty wybierania numeru i przykładania słuchawki do ucha. - Żeby sprawdzić twoje referencje?

- Ach. *Referenda. Si.* Moja bardzo dobre *referenda.* - Pogrzebała w tylnej kieszeni džinsów i wyciągnęła pomięty list z zagięciami szarymi od

kurzu. Napisany po hiszpańsku, ale był też numer telefonu, który zanotowałam.

- Kiedy mogłabyś zacząć? - zapytałam. - Gdybyśmy się zdecydowały na tak?

- Natak? - powtórzyła Luisa, wyraźnie zdezorientowana.

Uznałam, że tracę czas.

- Posłuchaj, Luisa... Jesteś bardzo miła, ale naprawdę nie sądzę, żeby coś z tego wyszło, strasznie mi przykro...

Nagle stało się coś zdumiewającego. Luisa, która od czasu do czasu uśmiechała się do Milly, wyciągnęła rękę.

- *Venga aqui, preciosa!*

W mgnieniu oka porwała małą na kolana i zaczęła ją huścić, robiąc prześmieszne miny. A Milly, zamiast się rozplakać i zacząć wrywać, roześmiała się. Po chwili Luisa dała jej siarczystego całusa w policzek - i było po sprawie.

Oczywiście sprawdziłam jej referencje. Łamanym angielskim ojciec rodziny powiedział mi, jak bardzo wszyscy kochali Luisę i jak wspaniale opiekowała się ich synkiem, teraz już pięcioletnim, i jak było im smutno, kiedy wyjechała do Londynu, gdzie, jak sądziła, będzie miała większe szanse.

Szanse na co? - zdziwiłam się w duchu.

- No i śpiewa - dodał.

- Spawa?

- Nie. Śpiewa - powtórzył wyraźnie. - Tra la la la. Luisa ma śliczny głos. Naprawdę śliczny.

- O - powiedziałam. - To miło.

Następnego dnia Luisa wprowadziła się do nas. Przyjechała autobusem z Shepherd's Bush, gdzie wynajmowała mieszkanie z kilkoma osobami. Powietrze było czyste jak kryształ, ścisnął potężny mróz. Zadzwoniła do drzwi o umówionej godzinie - szóstej trzydzieści, jeszcze po ciemku - i uśmiechnęła się promiennie do mnie i Milly, stojąc w progu w swojej srebrnej puchowej kurtce, z małą niebieską walizką i gitarą.

- *Hola!* - Pomachała do Milly, która trzymała się kurczowo mojej nogi.

- Cześć, Luisa - powiedziałam. - Wejdz.

- Takie dziś gbiaździsta noc - dodała, wchodząc do domu.

- Słucham?

Wskazała niebo za swoimi plecami.

- Dziś gbiaździsta noc. Wyjrzałam na dwór, wyciągając szyję.

- Ach, tak. Faktycznie. Nieczęsto widzimy tutaj gwiazdy. Proszę, Luisa. Witamy.

Zdjęła czapkę z pomponem.

- *Gracias.*

Przez następnych kilka dni powtarzałam sobie, że wiele au pair na początku słabo mówi po angielsku - dlatego chcą być au pair. Ale tak bardzo zależało mi na tym, by Luisa się uczyła, że gdy przyznała się do braku pieniędzy, obiecałam zapłacić za jej kurs angielskiego - pięćset funtów za sześć miesięcy. Miała chodzić do szkoły w Bayswater rano we wszystkie dni robocze, gdy Milly była w przedszkolu, potem odbierać ją o

pierwszej, dawać jej lunch i bawić się z nią przez całe popołudnie, żebym ja mogła pracować.

Może dlatego, że miałam tak niewygórowane oczekiwania, byłam mile zaskoczona. Luisa świetnie radziła sobie z pracami domowymi i utrzymywała porządek w ubrankach i zabawkach Milly; nieproszona robiła też różne użyteczne rzeczy. Lubiła gotować i była w tym dobra, choć zwykle przyrządzała hiszpańskie lub kolumbijskie potrawy i wkrótce zauważyłam, że Milly krzywi się na paluszki rybne i kiełbaski, a z przyjemnością pałaszuje *chorizo* i odsmażaną fasolę. Luisa bardzo poważnie traktowała alergię Milly. Zawsze czytała skład na opakowaniach i nauczyła się słowa "Jajka" w dziesięciu językach. W jednym ze starych egzemplarzy „Hola!" znalazła nawet przepis na ciasto bez jajek.

Lubiłam latynoskie ciepło Luisy, które bardzo doceniałam po chłodnym dystansie Pavliny. Ale, co najlepsze, wyglądało na to, że uwielbia Milly. Lubiła się z nią bawić, nawet w wolnym czasie. Oglądała z nią CBeebies i często, gotując kolację dla nas wszystkich, słyszałam, jak śmieją się do łez z *Pingu*\*. Luisa bez przerwy przytulała Milly i dawała jej głośne całusy. Wkrótce przekonałam się też, że rzeczywiście potrafi śpiewać. Pierwszy raz usłyszałam ją jakiś tydzień po tym, jak u nas zamieszkała. Leżałam w łóżku, by chwilę odpocząć.

- *Starry starry night...* - popłynął z kuchni dźwięczny, folkowy kontralt. - *Paint your palette blue and grey...* - Jej akcent brzmiał trochę obco, ale głos był czysty i z lekką chrypką, która poruszała serce. - *Look out on a summer 's day, with eyes that know the darkness in my soul...*\*\*

Rzeczywiście „śpiewała ślicznie” - tak ślicznie, że nigdy mi to nie przeszkadzało, nawet kiedy pracowałam. Jej głos zawsze mnie uspokajał.

\* *CBeebies* - brytyjski kanał dla dzieci do lat siedmiu; *Pingu* - szwajcarski film animowany o rodzinie sympatycznych pingwinów z bieguna południowego (przyp. tłum.).

\* \* „*Gwiazdzista, gwiazdzista noc maluje twoją paletę na niebiesko i szaro. Spójrz na letni dzień oczami, co znają mrok mojej duszy...*” Vincent (*Starry Starry Night*), Donald McLean, Universal/MCA Music Ltd. (przyp. tłum.).

- Mogło być o wiele gorzej - mamrotałam do siebie, jadąc z Surrey do Londynu po ostatecznym pożegnaniu z rodzinnym domem. - Ta dziewczyna kocha moją córkę i ma podejście do dzieci; Milly bardzo chętnie z nią zostaje, kiedy ja muszę wyjść. Luisa ciężko pracuje i jest troskliwa. Czegóż więcej chcieć? Jej angielski z czasem się poprawi.

Trochę mnie już dziwiło, jak małe robi postępy. Miała piętnaście godzin zajęć tygodniowo, a jednak nie zauważyłam żadnej poprawy przez te trzy tygodnie, od kiedy zaczęła u mnie pracować. No cóż, trzeba dać jej czas, myślałam.

- Jak tam twoje lekcje? - zapytałam ją wieczorem po powrocie z ostatniej wizyty w Oxted. Odstawiłam pudło z narzędziami mojej matki i trzema ogrodniczymi książkami: wzięłam *Kwiaty południowych Włoch*, *Ogrodniczą łacinę* i *Całkiem nowy ogródek*, prawdziwy klasyk. - Pracujesz nad swoim angielskim, Luisa?

- Ach! *Si!* - Entuzjastycznie pokiwała głową. - *Absolutamente!* Mój ojciec przeprowadził się do Londynu następnego dnia. Jego mieszkanie



znajdowało się na ostatnim piętrze nowoczesnego apartamentowca na Campden Hill, z oknami wychodzącymi na Holland Park.

- Jaki wspaniały widok - zachwycalam się, pomagając mu ustawiać meble dwa dni później. - Widzę nawet London Eye... I masz śliczny balkon. Można tu podziwiać zachody słońca, a latem będziesz słyszał operę na wolnym powietrzu.

- I pawie - dodał tata żałośnie.

- Przywiozę ci kilka ładnych donic - obiecałam, patrząc na zasuszone krzaczki geranium w popękanych terakotowych korytkach. - Chromowane dobrze by wyglądały.

- To dopiero fanaberia, przenieść się do Londynu w moim wieku! - Tata westchnął. Pomogłam mu rozpakować książki i tych kilka obrazów, które zatrzymał. Zobaczyłam, że otworzył kolejne pudło i postawił na stoliku swoje zdjęcie ślubne. Miałam czternaście lat, gdy zobaczyłam nagle, że mama jest w ciąży. Nigdy nie zapomnę tego szoku. Raz, wiele lat później, po kilku drinkach wspomniałam o tym żartem.

- Ślub rzeczywiście był przyśpieszony - powiedziała z nerwowym śmiechem i zmieniła temat, a mnie zrobiło się jej żal, że po tylu latach wciąż się tego wstydzi, jakby kogokolwiek mogło jeszcze coś takiego bulwersować.

Kiedy tata wyszedł do kuchni, znów spojrzałam na zdjęcie. Zdziwiłam się, że brzuch mamy był tak widoczny po zaledwie dwóch miesiącach, ale ona była raczej okrągła, a u kobiet cięższych ciąża jest widoczna wcześniej niż u takich chudych jaszczurek jak ja.



- No dobrze, jeśli wszystko w porządku, tato, to będę spadać. -

Pozbierałam kilka kawałków porozrzucanej folii pakowej i wepchnęłam je do worka na śmieci. - Powiedziałam Luisie, że wrócę przed dziewiątą. No i muszę jeszcze dokończyć projekty na sobotnie spotkanie z klientami.

Tata pokazał mi, że trzyma kciuki, i posłał całusa.

Spotkanie było umówione na drugą. Zgodziłam się na rozmowę z klientami w niedzielę, bo wchodziło w grę poważne zlecenie. Jamie też miał w tym uczestniczyć.

Wstałam wcześniej, by móc jeszcze pojechać na zakupy z Milly. Koniecznie potrzebowała nowych koszulek, które kupuję zwykle w Marks & Spencer w Hammersmith. Tak więc po śniadaniu wsadziłam ją do wózka i wsiadłyśmy do autobusu jadącego na King Street. Do jedenastej załatwiłyśmy już wszystko co trzeba, więc przeszłam do działu spożywczego i kupiłam kilka rzeczy. Wyszłam ze sklepu, zadowolona, że się tak szybko uwinęłam, kiedy nagle spojrzałam na wózek.

- Och, Milly - jęknęłam. - Gdzie twój bucik?

- Bucik padł, mamusiu! - Brakowało prawego. - Nie ma bucika - dorzuciła radośnie, oglądając swoją stopę.

- Pewnie znowu go skopałaś. Prosiłam, żebyś tego nie robiła, kochanie - biadoliłam, zawracając na miejscu i pędząc z powrotem do sklepu. - Teraz musimy go poszukać. Pamiętasz, gdzie ci spadł?

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie, nie, nie!

Rozglądałam się po podłodze w poszukiwaniu różowego, zapinanego na pasek bucika. Jeszcze tego mi brakowało. Musiałam dotrzeć do domu na tyle wcześnie, żeby przygotować wszystko na spotkanie. Kiedy

kupowałam jej ubrania, miała na sobie oba buty, więc musiała zgubić go później.

Przeszłam po sklepie po własnych śladach, gapiąc się na wykładzinę, i zatrzymałam ekspedientkę, żeby zapytać, czy ktoś go nie znalazł. Gdy dziewczyna poszła do biura obsługi klienta, by to sprawdzić, ja wróciłam do działu spożywczego i rozmawiałam z kasjerką, która nas obsługiwała.

- Przykro mi, kochana - powiedziała. - Nikt nie oddał. Rzeczywiście to pech. - Pokręciła głową. - Przy dzisiejszych cenach dziecięcych bucików...

- Toteż właśnie - mruknęłam. - Trzydzieści pięć funtów.

Spojrzałam na zegarek. Za pięć dwunasta. Na dotarcie do domu potrzebowaliśmy pół godziny, potem będę musiała skompletować rzeczy i pojechać do The Boltons, a na dodatek korki po prostu niewyobrażalne - była sobota i drużyna Chelsea grała u siebie. Jamie już dzwonił, żeby mnie ostrzec.

Podeszła do mnie ekspedientka.

- Przykro mi, ale nic nie zwrócono.

- Dzięki za fatygę. - Pogrzebałam w torebce i podałam jej wizytówkę. - Mogę pani zostawić numer na wypadek, gdyby bucik się znalazł?

Wybiegłam ze sklepu, porządnie zirytowana, i stałam na King Street, obok Curry's, próbując złapać taksówkę, jako że nie mogłam już marnować czasu na autobus, gdy usłyszałam, że zegar wybija dwunastą. I oczywiście wszystkie taksówki były zajęte.

- Cholera!

Nagle usłyszałam zza pleców okrzyk:

- Przepraszam! - Odwróciłam się. - To pani własność? - Elegancko ubrany mężczyzna po czterdziestce stał na chodniku, trzymając but Milly.

- Tak. Dziękuję! - Z ulgą położyłam dłoń na piersi.

- Milly bucik! - wykrzyknęła mała z oburzeniem, wskazując go oskarżycielsko palcem. - To Milly bucik, mama!

Mężczyzna podał mi but.

- Widziałem, że pani go szuka - tłumaczył się - ale wybiegła pani ze sklepu, zanim zdążyłem panią zatrzymać.

- Nie ma pan pojęcia, jak mi ulżyło. Ogromnie dziękuję. - Mogłabym go ucałować.

- Nie ma za co.

- To byłaby katastrofa, gdybym go zgubiła - mówiłam, zapinając but na nodze Milly. - Dopiero co je kupiliśmy, w zeszłym tygodniu - trajkotałam, mocno zaniepokojona, że nieznajomy wydaje mi się bardzo pociągający. - Są trochę za duże i widocznie go ściągnęła. Zresztą, nieważne. - Wyprostowałam się i uśmiechnęłam. - Dziękuję panu.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Zobaczyłam, że zerknął na moją lewą dłoń. Milczeliśmy przez chwilę i już miałam uprzejmie się pożegnać, gdy nagle powiedział: - Może zechciałaby pani napić się ze mną kawy? - Spojrzałam na niego, osłupiała. Rozmawialiśmy niecałą minutę. - Tam niedaleko, koło teatru, jest całkiem miła kawiarnia, a ja mam ochotę na cappuccino i pomyślałem sobie... gdyby pani też miała ochotę...

- Och... Raczej nie - wyjąkałam, zażenowana, ale jednocześnie i owszem, bardzo mile połączana. - Widzi pan, musimy już iść, bo... hm... - Nie musiałam się tłumaczyć. Nie znałam faceta.

- Tatuś! - wrzasnęła nagle Milly.

- Nie, kochanie, to nie jest tatuś - powiedziałam cierpliwie. - To całkiem obcy pan.

- Mój tatuś! - upierała się. W tym momencie zauważyłam, że wskazuje palcem witrynę Curry's. Odwróciłam się i spojrzałam. Za szybą stało kilka telewizorów z płaskim ekranem, z których największy był nastawiony na News 24. A na ekranie był Xan, zabójczo przystojny, wygłaszający jakiś komentarz na tle starożytnej świątyni - wyglądała na Angkor Wat.

- Tatuś! - krzyknęła znów Milly. - Tatuś! - Zaczęła płakać.

- Tak, skarbie.

- Chcę do tatusia!

- Wiem, że chcesz, kochanie. - Nagle zobaczyłam taksówkę i zaczęłam machać ręką. - Przepraszam - powiedziałam do mężczyzny. - To bardzo miło z pańskiej strony, ale musimy już jechać.

- Rozumiem - odparł. Podjechała taksówka. Przytrzymał mi drzwiczki, gdy pakowałam do samochodu wózek Milly. - Do widzenia - powiedział z żalem.

- Do widzenia. - Uśmiechnęłam się przez otwarte okienko. -I dziękuję. Gdy jechałyśmy taksówką, przypomniałam sobie, że widziałam go w dziale spożywczym. Rzeczywiście chyba zwrócił na mnie uwagę, gdy go mijaliśmy, ale byłam tak zajęta czym innym i tak odzwyczajona

od męskiego zainteresowania, że ledwie to zauważyłam. Tak czy siak, rozmyślałam, mężczyzna bardzo atrakcyjny, dobrze wychowany i powiedział mi komplement, co, Bóg mi świadkiem, zdarzało się raczej rzadko. Ale w tej chwili moim priorytetem było dotarcie do domu.

- Daj Milly kurczaka i makaron, proszę cię - szepnęłam do Luisy, wpadając do domu piętnaście minut później. - Tu są filety. - Wetknęłam jej w ręce torbę z zakupami. - A do tego groszek.

- Nie. Ja jej da paella - odparła Luisa, uwalniając Milly z wózka. - Milly ubielbia paella.

- No dobra - zgodziłam się. - Paella. Ale bez krewetek. I bez czosnku. Ostatnio cuchnęła czosnkiem przez parę dni.

Luisa spojrzała na mnie pustym wzrokiem. Złapałam hiszpański słownik, który ostatnio zakupiłam i który był już niepokojąco sfatygowany od częstego przeglądania. *Ajo*. Jak to się wymawia?

- Bez... *ajo*. - Pokręciłam głową i zamachałam dłonią w geście zaprzeczenia.

- Ach. Acccchho. *Si*. - Aż podskoczyła z radości. - Samo chilli.

- Nie, żadnego chilli - krzyknęłam, pędząc na górę po schodach. - Ona tego nie lubi.

- Chcę chilli! - usłyszałam krzyk Milly.

Włożyłam eleganckie spodnie, jedwabną bluzkę i zamszową marynarkę, wyszczotkowałam włosy. Złapałam teczkę, wrzucając do niej przygotowane rysunki ogrodu. Ucałowałam Milly i wskoczyłam do samochodu.

Korki były straszne i potrzebowałam niemal godziny, by dotrzeć na miejsce. Dojechałam za pięć drugą. Pikap Jamiego stał już zaparkowany przed domem numer 63 - który, jak wszystkie domy w ekskluzywnym Boltons, był wielkości supermarketu i miał biały fronton ozdobiony stiukami. Zatrzymałam się przy kościele.

- Cześć, szefowo - zawołał leniwie Jamie.

- Nie jestem twoją szefową - sprostowałam, kiedy zeskoczył ze stopnia kabiny swojej półciężarówki. - Ani nawet oficjalnie twoją współpracowniczką, choć tak dużo razem pracujemy. Jestem...

- Upierdliwą purystką-podsunał, gdy zamykałam drzwiczki samochodu. - Żartuję. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, wydawałaś mi się nadęta, ale potem zyskałaś w moich oczach i teraz sędzę, że jesteś całkiem miła.

- Dziękuję. Ale jak mówię, nie jestem twoją szefową, a ty jesteś... Nie wiem, kim dokładnie jesteś.

- Facetem, który porusza dla ciebie ziemię.

- Ha! W każdym razie wyglądasz elegancko. - Spojrzałam na jego granatową marynarkę.

- To moja najlepsza marynarka klubowa. Thea się uparła. Jej też zależy, żebyśmy dostali tę robotę. Choć oczywiście jej świetnie się pracuje. Prawie się nie widzimy.

- Znowu wyjeżdżała? - zapytałam, gdy otwieraliśmy furtkę.

- Tak - odparł, przewracając oczami. - Była w Rzymie, Nowym Jorku, Monako... a raczej gdzie jej nie było. Jutro znowu wyjeżdża do Kapsztadu na turniej tenisowy. - Biedny Jamie, pomyślałam. Nic

dziwnego, że ciągle nie mają dzieci. - Ale co tam. Jak się miewa księżniczka Milly?

- Świetnie, tyle że dzisiaj rano zgubiła bucik w Marks & Spencer i już straciłam nadzieję, że go znajdę, kiedy nagle pojawił się przystojny mężczyzna i oddał mi go.

- Ho, ho!... - Jamie uniósł lewą brew. - Znowu obcałowywałaś żaby, co? - Często stroił sobie ze mnie żarty na ten temat. -I był to księżę w lśniącej zbroi?

- Nie... - Zarumieniona wcisnęłam wielki mosiężny guzik dzwonka. - Nie mam pojęcia, kim był ani jak się nazywał.

- A porwał cię na bal?

- Niestety nie, ale za to zaprosił mnie na cappuccino. Śmieszne, co?

- Co w tym śmiesznego? Ładna z ciebie lasencja.

- Dzięki. A z ciebie przystojny gość.

- Mam nadzieję, że się zgodziłaś - dodał Jamie, poprawiając krawat.

- Oczywiście, że nie - odparłam wyniośle.

- Dlaczego nie? Ścisnął w garści siekiere?

- Nie widziałam żadnej siekiery.

- Był obrzydliwy?

- Wręcz przeciwnie.

- Więc, moim zdaniem, powinnaś się zgodzić.

- Moje kryteria są trochę bardziej rygorystyczne - powiedziałam, choć przez krótką chwilę rzeczywiście żałowałam, że się nie zgodziłam. Facet bardzo mi się podobał. Szybko jednak odsunęłam żale na bok, teraz należało się zająć bieżącymi sprawami. Wzięłam kilka głębokich

wdechów, chcąc się uspokoić. - Mam nadzieję, że pójdzie nam jak trzeba - szepnęłam.

- A co to właściwie będzie? - odszepnął. - Nowoczesny industrializm, „dzika głusza” czy „ponadczasowa elegancja”?

- „Ponadczasowa elegancja”. Świetnie się prezentuje w portfolio. Wyłącz telefon - przypomniałam, robiąc to samo ze swoim.

Pomyślałam, jak szybko firma zaczęła prosperować. Osiągnęliśmy to dzięki elastyczności. Żadne zlecenie nie było za duże ani za małe. Braliśmy wszystko, od kilku skrzynek w oknie, przez umocowanie paru treliaczy czy wybrukowanie patia, po zbudowanie całego nowego ogrodu od podstaw. Sukcesy zawodowe podniosły mnie na duchu i oderwały myśli od smutku; nawet kiedy zdarzyło mi się zarwać noc przez Milly, wstawałam rano pełna entuzjazmu dla czekającego mnie dnia.

Nagle lśniące czerwone drzwi się otworzyły. Stała w nich Gill Edwards, smukła i żylasta, od stóp do głów przyodziana w „domowe” ciuchy od Gucciego, a kilka kroków za nią, w przepastnym holu, stał jej mąż Martin, wielki jak niedźwiedź, w ceglastych sztruksach i niebieskiej koszuli w kratkę. Słyszałam o Edwardsach, kiedy pracowałam w City -w kręgach biznesowych mówiono, że to „twarde sztuki”. Ona była brokerem w Cazenove, a on, kilka lat starszy od niej, w wieku pięćdziesięciu lat został wiceprezesem Goldman Sachs.

- Anna - Gill się uśmiechnęła. - Proszę.

- To jest Jamie Clark z firmy Pejzaże Olimpu - powiedziałam. - Buduje wszystkie moje ogrody, pomyślałam więc, że powinien tu dziś ze mną być, jeśli nie macie nic przeciwko temu.



- Ależ skąd. - Uścisnęła Jamiemu dłoń. - Te projekty są śliczne - stwierdziła Gill kilka minut później, pochyłona nad moimi rysunkami w wielkim żółtym salonie. Przedstawiłam jej wydruki komputerowej symulacji wyglądu ogrodu pod wszystkimi kątami.

- A to tak zwana plansza klimatyczna. - Podałam ją mężowi.

- Plansza klimatyczna? - powtórzył zdumiony.

- Kolaż zdjęć wszystkich proponowanych elementów architektonicznych, dekoracyjnych i wodnych wraz ze schematem obsady roślin, żebyście mogli wczuć się w klimat projektu.

- Nie chcemy zbyt wielu roślin - wtrąciła Gill. - Oboje jesteśmy bardzo zajęci, a większość weekendów spędzamy na wsi.

- Wzięłam to pod uwagę - powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego komuś chciało się wydawać fortunę na dom w Londynie tylko po to, by uciekać z niego w każdy piątek.

Wyszliśmy na zewnątrz, dygocząc lekko z zimna we wczesnowiosennym słońcu. Ogród był bardzo duży, położony na lekkim wzniesieniu. Zaniedbany trawnik oraz kilka rabat na podmurówkach z wyrosniętymi krzewami ograniczały przestrzeń i przytłaczały swoim widokiem. Wokół całości rozłożono trochę szarych kamiennych płyt z cienką warstwą żwiru pomiędzy nimi, a w samym centrum widniało parę kepek zmarniałych bukszpanów - pozostałość po czymś, co było kiedyś miniaturowym labiryntem z żywopłotu.

- Ostatni lokatorzy mieszkali tu piętnaście lat - wyjaśniła Gill. - I niewiele robili w ogrodzie, jak widzisz. Ale, jak ci już mówiłam,

chcielibyśmy, żeby ogród był przedłużeniem domu, z przeznaczeniem głównie na letnie przyjęcia.

Omówiłam z nimi cały projekt. Teren zostanie zniwelowany, zbudujemy nowe schody. Na środku będzie kwadratowy trawnik, otoczony z trzech stron strzyżonymi kulami bukszpanu o różnych wielkościach, by dodać mu formalizmu. Z tyłu znajdzie się główny element - długie granitowe koryto, z wylotem wody w kształcie dziurki od klucza. Teren wokół trawnika chcielibyśmy wybrukować portugalskim wapieniem, a na brzegach zrobić podmurowane klomby i ustawić wielkie granitowe donice. Na obsadę proponujemy głównie niewymagające, wieloletnie rośliny, takie jak lawenda, wilczomlec, piwonie i akant, a do tego trochę odpornych pnączy i krzewów. Wzdłuż lewej ściany jest dobre miejsce na kącik do siedzenia, oddzielony pnączami cytryńca chińskiego. W tej części znajdzie się też nowoczesny ogrodowy kominek, uzupełniony po bokach robionymi na zamówienie skrzyniowymi ławami z drewna tekowego, w których można przechowywać poduszki. Będzie też system irygacyjny, a w wapień wprawi się dyskretne oświetlenie, żeby wszystko wyglądało interesująco również w nocy.

- Jest bardzo współczesny - uznała Gill - ale też klasyczny. Podoba mi się.

- No cóż... - odezwał się jej mąż. - Mnie się nie podoba... - A niech cię, pomyślałam. - Cholernie mi się podoba! - Odetchnęłam z ulgą. - Ma w sobie, no nie wiem, jakąś taką...

- Ponadczasową elegancję? - podsunął Jamie.

- Tak. Właśnie tak. Ponadczasową elegancję. - Posłałam Jamiemu ostrzegawcze spojrzenie.

- Będiesz chciała usunąć wszystkie rośliny? - zapytała Gill.

Pokręciłam głową.

- Zatrzymam te, które będą pasować do nowego projektu, czyli na przykład ten *Argyrocytisus*, chociaż chciałabym go przesunąć, by miał więcej światła; zatrzymałabym też *Fremontodendron*, macie tu odmianę California Glory, choć trzeba by go przyciąć i odpowiednio ukształtować.

- Hortensje możesz spokojnie wykopać - wtrącił Martin od niechcena.

- W żadnym wypadku! - zaprotestowała małżonka. - Doskonale wiesz, że je uwielbiam.

- A ty doskonale wiesz, że ich nie cierpię, kochanie. Od zawsze. - Nagle wykonał gest, jakby strzelał do nich z karabinu.

- No cóż - powiedziałam zbity z tropu - te są już stare i dość schorowane, więc chciałam je zastąpić nowymi.

- Nie ma potrzeby - upierał się Martin. - Nie cierpię ich, działają na mnie wymiotnie. - Zaczął odstawiać pantomimę dla ilustracji.

- A ja je uwielbiam - powtórzyła Gill. - Czy mógłbyś już skończyć z tym teatrzykiem, kochanie?

- Hortensje są takie... - przywołał na twarz wyraz obrzydzenia-prowincjonalne.

- Nieprawda - obruszyła się jego żona. - Moi rodzice mieli je w Poole.

- Toteż właśnie - mruknął.

- I spójrzmy prawdzie w oczy, kochanie, tobie się podobają mieczyki, które są kompletnie do chrzanu.

- Bzdury.

- A skoro w Oxfordshire mamy całą grządkę tych twoich koszmarnych pomarańczowych mieczyków, naprawdę nie rozumiem, dlaczego ja nie miałabym mieć paru nieszkodliwych hortensji w mieście. Zgadzasz się ze mną, Anno?

- Cóż, muszę przyznać, że je lubię, a ich zasuszone kwiaty stanowią ciekawy element dekoracyjny w zimie. Ale wy jesteście klientami, więc wszystko zależy od was.

Teraz Martin wskazywał hortensje i wykonywał gesty podrzynania gardła.

- Więc może tymczasem - ciągnęła jego żona, przewracając oczami - podyskutujmy o czymś mniej kontrowersyjnym, czyli o pieniądzach. - Spojrzała na mnie wyczekująco.

Wzięłam głęboki oddech.

- To duży projekt - powiedziałam. - I budżet będzie adekwatny. - Podałam jej kosztorysy; przejrzała je od góry do dołu.

- Sto tysięcy? - zmarszczyła brwi. - Zakładam, że to już za wszystko.

- Tak.

- A ile w tym waszego honorarium?

- Jakies sześć procent całości.

- Zrobiłabyś za osiemdziesiąt? Byłam na to przygotowana.

- Nie mogę. - Z powodu kamienia. Za osiemdziesiąt musielibyście się zdecydować na coś o wiele tańszego, jak indyjski piaskowiec.

Oczywiście jest bardzo ładny - zapewniłam ich - ale moim zdaniem portugalski wapień jest kluczowy dla projektu, bo taki sam macie w holu, a powiedziałaś, że chcecie, by ogród był przedłużeniem domu, żeby niemal z niego wypływał.

- Rzeczywiście tego chcemy.

- Mogłabym obciąć koszta do dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy, choć wtedy będę musiała pójść na parę kompromisów.

Martin wzruszył ramionami.

- Szkoda psuć cały statek, by oszczędzić na beczce smoły. - Tym bardziej, że we dwójkę musieli wyciągać przynajmniej ze trzy miliony rocznie, pomyślałam. - A jak długo potrważą prace? Chcieliśmy urządzić huczną parapetówkę pod koniec czerwca.

- Jakież cztery miesiące. Gill wstała.

- No to zaczynajcie jak najszybciej. - Serce podskoczyło mi z radości. - Zgadzasz się, Martin?

- W porządku, pod warunkiem że w umowie będzie „antyhortensjowy” paragraf.

- Więc co dalej? - zapytała mnie Gill, nie zwracając na niego uwagi.

- Prześlę wam dokumenty.

- A ja zrobię kosztorys materiałów - dodał Jamie. - Jeśli się zgodzicie, będę potrzebować trzydziestoprocentowej zaliczki, żeby zacząć robić zamówienia; oczywiście dostaniecie szczegółowe faktury.

- Brzmi to wszystko bardzo przekonująco. - Gill wyciągnęła wypięloną dłoń. - Więc chyba umowa stoi. Tak, Martin?

Kiwnął głową.

- Na to wygląda.

- To... świetnie - powiedziałam, robiąc, co w mojej mocy, by nie okazać zbytnej euforii.

Zostaliśmy z Jamiem jeszcze jakąś godzinę, by dokładniej obmierzyć teren, obliczyć, ile ziemi trzeba będzie usunąć, gdzie i ile nadsypać, i w których miejscach najlepiej umieścić dreny.

Po powrocie do domu sporządziłam umowę i właśnie wkładałam ją do koperty, kiedy zadzwoniła Joanna Silver, żona pastora.

- Chcę tylko przypomnieć pani o przyszłym piątku - usłyszałam. Kompletnie zgłupiałam. - Mam nadzieję, że pani nie zapomniała. O zbiórce pieniędzy na nowe centrum pomocy potrzebującym.

- Och, tak, oczywiście. - Zgodziłam się wystąpić w części *Sto pytań do ogrodnika*.

- Festyn zaczyna się o siódmej - informowała pastorowa - a pani występuje o ósmej, przez pół godziny. Wszystkim o pani opowiadałam, i nie wiem, czy pani widziała, ale zamieściłam też pani zdjęcie w lokalnej gazecie, razem z krótkim opisem imprezy.

- Nie, nie widziałam. - Byłam trochę zirytowana, że nie spytała mnie o zgodę, ale też zadowolona z reklamy.

- Wykorzystałam zdjęcie z pani strony internetowej - ciągnęła. - Już jest spore zainteresowanie. Ale zrobiłam jeszcze coś, co chciałabym z panią omówić...

- Tak?

- Ustaliłam, że pierwszą nagrodą w loterii będzie pani darmowa konsultacja w ogrodzie zwycięzcy. Myślę, że nie ma pani nic przeciwko temu.

Prawdę mówiąc, zupełnie mi to nie pasowało, bo czekało mnie mnóstwo pracy, a było mało prawdopodobne, by taka konsultacja zaowocowała zleceniem.

- Ależ nie mam absolutnie nic przeciwko temu - powiedziałam.

W piątek wieczorem dotarłam wcześniej do sali parafialnej i wypiałam kieliszek wina, by ukoić nerwy. Wkrótce zjawili się Citronella oraz jej mąż i po chwili kiwali już głowami, uśmiechając się łaskawie do wszystkich, jakby byli tu gospodarzami. Musiałam się pogodzić z tym, że nasze dzieci chodzą do tego samego przedszkola, ale na szczęście zwykle przyprowadzała Erasmusa jego włoska niania, Claudia. Citronellę zapewne pochłaniało wylewanie na papier cotygodniowej porcji bzdur.

Przynajmniej inne matki wydają się miłe, myślałam, krążąc wśród gości i słuchając smyczkowego tria, wynajętego na imprezę. Nie znałam ich jeszcze zbyt dobrze, jako że Milly uczęszczała do przedszkola dopiero od miesiąca. Ale zauważyłam Annabell Goodchild przy tomboli i Ninę Taszkanowski przy straganie z roślinami, a pani Navon obsługiwała stoisko z książkami - ona i jej rodzina niedawno przyjechali z Izraela. Była też mama małej Lucy, zawsze taka miła; jak ona miała na imię? Ach tak, Claire.

Porozmawiałam z kilkoma znajomymi osobami i kupiłam parę zabawek dla Milly, w tym wielki znikopis i prawie nowe DVD *Piękna i*

*bestia*. Kupiłam też dwa białe ciemierniki do ogródka Jenny, i w końcu zatrzymałam się przy stoisku z produktami rolnymi.

- Może miodku? - zapytała kobieta zza lady, stukając w wieczko słoika. - Lokalnej produkcji. - Na etykietce widniała duża, pasiasta pszczoła z aureolą nad głową. Napis głosił: „Dobra pszczółka”.

- Nie, dziękuję. Niestety, nie lubię miodu.

- Naprawdę? - Popatrzyła ze zdumieniem i niedowierzaniem, jakbym powiedziała: „Nie lubię wspierać potrzebujących”.

- Dla mnie jest za słodki - wyjaśniłam. - Ale z przyjemnością kupię kilka trufli.

Potem chciałam nabyć kilka biletów loteryjnych, ale, co mnie zaskoczyło, zostały wyprzedane. Wypiłam jeszcze kieliszek wina dla kurażu i zerknęłam na zegarek. Była za dwie ósma. Zobaczyłam, że Joanna Silver macha na mnie ze sceny, wyszłam więc z tłumu. Joanna postukała w mikrofon.

- A teraz gwóźdź programu - zaczęła, gdy ucichł gwar. - Tym, którzy jeszcze jej nie znają, przedstawiam naszą sławną projektantkę ogrodów, Annę Temple. - Wskazała mnie teatralnym gestem. - Anna, którą być może widywaliście ostatnio w GMTV, odpowie dziś na wszystkie wasze pytania dotyczące ogrodnictwa.

Rozległy się uprzejme brawa, kiedy weszłam po drewnianych schodkach na scenę. Usiadłam przy stole, skupiając na sobie spojrzenia wszystkich gości. Poczułam się nagle zażenowana, jakby wystawiono mnie na pokaz. Zapanowała niezręczna cisza, więc dmuchnęłam w mikrofon i wyprostowałam go.



- Dzięki, Joanno... - Głos mi trochę drżał. - Witam wszystkich. Nie jestem wcale sławna i zawodowo zajmuję się projektowaniem ogrodów dopiero od dwóch lat. Ale przez całe swoje dorosłe życie byłam ogrodniczką amatorką tak jak moja matka. Udzieliła mi wielu cennych wskazówek, którymi chętnie się z wami podzielę. Proszę więc pytać o swoje rośliny, skalniaki czy o cokolwiek chcecie, a ja postaram się pomóc w miarę możliwości.

Znów zapadła cisza, którą przerwała Joanna:

- Chcę zapytać o coś, co, jak przypuszczam, interesuje wiele osób. - O tej porze roku obsadza się kosze kwiatowe. Co i jak robić, żeby dobrze wyglądały?

- No więc... - Odchrząknęłam. - Kiedy obsadzamy wiszący kosz, należy zacząć sadzenie od środka, a na końcu powtykać rośliny od zewnątrz. Można użyć obieraczki do ziemniaków, żeby zrobić miejsce na korzenie. Polecam też wykładanie kosza zużytymi torebkami herbaty, zanim wsypie się ziemię, bo stanowią wspaniałą nawóz, a do tego zatrzymują wodę.

- W jaki sposób podlewać rośliny, żeby z kosza nie kapowało? Bardzo trudno tego uniknąć, nawet zachowując ostrożność - kontynuowała temat Joanna.

- Zamiast podlewać, można położyć na górze kilka kostek lodu. Dzięki temu zużywamy też o wiele mniej wody, co jest ważne w naszych czasach, gdy wciąż się słyszy o jej niedoborach.

- Jestem niezbyt wysoka - odezwała się drobniutka kobieta w żółtej kurtce. - Jak mogę sobie ułatwić podlewanie koszy?

- Może pani przymocować kawałek bambusa do ostatniego odcinka węża, by go usztywnić.

- Aha... - Pokiwała głową, jakby ją oświeciło. Siwowłosa pani po prawej uniosła rękę.

- Obsadzam co roku jakieś dziesięć donic. Ale są strasznie ciężkie.

- Może pani zmniejszyć ich wagę, wypełniając dolną połowę kulkami styropianu, a dopiero na nie wysypać ziemię.

Zgłosił się mężczyzna w pierwszym rzędzie.

- Czy jest jakiś sposób, żeby utrzymać pomrowy z dala od donic?

- Smarując je wazeliną co dwa tygodnie. Donice, oczywiście, nie pomrowy.

- Dobrze, że pani to sprecyzowała! - powiedział ktoś i zachichotał.

- Może pan też ustawić donice na dużej tacy z wodą albo jeszcze lepiej z piwem. Proszę jednak nie używać trutki na ślimaki, bo często zjadają ją jeże. Jeszcze innym sposobem jest wysypanie u podstawy donic soli albo potłuczonych skorupki od jajek. Można też trzymać kilka ropuch.

- W naszym ogrodzie jest pełno ślimaków - powiedział inny mężczyzna. - Nie wiem, czemu.

- A ma pan bluszcz?

- Tak. Porasta tylną część ogrodzenia.

- Oto i pański powód, ślimaki go uwielbiają. Więc jeśli nie jest pan do niego bardzo przywiązany, proszę się go pozbyć. Mnóstwo ładniejszych roślin można zasadzić w jego miejsce.

- Czy jest jakiś sposób, żeby rośliny doniczkowe były bardziej zielone?

- Wystarczy co sześć tygodni kapnąć do doniczki kroplę oleju rycynowego. Domowe rośliny uwielbiają też herbatę, najlepiej letnią, a ich liście bardzo skorzystają na przecieraniu piwem.

- Jak odżywić cięte kwiaty? - chciała wiedzieć kobieta w różowym żakiecie.

- Wystarczy wrzucić do wazonu aspirynę. Kwas salicylowy jest bardzo podobny do hormonów wzrostu roślin. Dwupensówka podziela tak samo, miedź sprawi, że odżyją. A żeby woda nie mętniała, można dodać łyżeczkę wybielacza.

- Bardzo lubię tulipany - powiedział jej sąsiad - ale zawsze tak szybko więdną.

- Wiem, to takie przykre - odparłam. - Ale jeśli nakłuje pan łodyżki tuż poniżej główki, nie wytworzy się w nich próżnia i będą mogły zasysać wodę.

Potem przeszliśmy do chwastów.

- Czy można wytepić chwasty na chodniczku bez używania chemikaliów? - zapytał jakiś pan.

- Wrzątkiem z solą. Trzeba dodać około filiżanki na wiaderko wody, ale proszę używać metalowego wiaderka i uważać przy przenoszeniu.

- Mam bardzo ładne, lekkie ogrodowe meble z plastiku, ale są strasznie brudne i żadne szorowanie nie pomaga.

- Więc proszę przygotować pastę z proszku do pieczenia i wody, i wetrzeć w powierzchnię. Wystarczy zetrzeć po półgodzinie i meble zyskają nowe życie.

- Gdzie najlepiej założyć sadzawkę? - zapytał Michał Navon.

- W częściowo zacienionym miejscu, bo bezpośrednio nasłonecznienie pobudza wzrost glonów.

- Do naszego stawiku przylatują czaple - powiedział jakiś mężczyzna. - Bardzo je lubimy, ale wolałbym, żeby nie wyjadały nam ryb i żab.

- Więc proszę im utrudnić życie i dostęp do sadzawki. Proszę posadzić gęste krzewy nad samym brzegiem. Dzięki temu także niewinni przechodnie, chociażby jeże, nie będą wpadać do wody.

- Czy sądzi pani, że niecierpki są prostackie? - usłyszałam czyjeś pytanie. Rozległa się salwa śmiechu.

- Prostackie? Nie, nie uważam. A snobistyczne podejście do takich czy innych kwiatów lub roślin wydaje mi się po prostu śmieszne, ale zdziwilibyście się, jak gorące potrafią być dyskusje na ten temat.

Wykonuję teraz zamówienie dla pewnej rodziny: mąż nie cierpi hortensji, żona je uwielbia i wciąż próbujemy rozwiązać ten spór bez angażowania prawników. Inni moi klienci potrafią się kłócić zażarcie, czy chcą mieć w ogródku dalie, nagietki czy petunie.

- Wariactwo... - mruknął ktoś.

- Zgadza się. W ogrodnictwie są pewne mody, a w tej chwili takim czarnym koniem są, nomen omen, czarne kwiaty. Wyhodowano nowe odmiany czarnego czosnku, czarne świerzbnice czy nawet czarne ostróżki, i wszystkie one mogą stanowić intrygujący, mroczny akcent na waszej rabacie. Ale według mnie rzecz w tym, żeby dobrać odpowiednie rośliny do odpowiedniego miejsca. Właśnie zlecono mi zaprojektowanie ogrodu w stylu włoskim, w Hampstead, więc oczywiście nie wypełnię go

niezapominajkami ani naparstnicą, tylko lawendą, oleandrem, ołownikiem i aromatycznymi roślinami, takimi jak rozmaryn czy tymianek. Ale wracając do niecierpków: często wykorzystuję białe odmiany w okiennych skrzynkach albo do rozjaśnienia ciemnego kąta, więc nie, absolutnie nie uważam, że są niepożądane w dobrym towarzystwie.

Potem omówiliśmy najlepsze sposoby oznaczania roślin.

Zaproponowałam zastosowanie białych plastikowych noży i czarnej kredki świecowej, bo tak robiła moja mama; mówiłam o tym, że malwy będą wyższe, jeśli podleje się je piwem; zapytano mnie też, co zrobić, żeby nowy trawnik szybciej wyrósł. Wystarczy na kilka dni wsadzić nasiona do lodówki, zanim się je wysieje. Spojrzałam na zegarek. Było dwadzieścia pięć po ósmej.

- Hoduję sałatę - krzyknął mężczyzna z tyłu - ale ptaki wciąż się do niej dobierają, chociaż rozwieszam nad nimi paski cynfolii.

- Więc proszę ułożyć na grządkach kawałki węża ogrodowego, mniej więcej metrowej długości. Ptaki pomyślą, że to prawdziwe węże.

W końcu rękę podniosła Citronella.

- Mamy szczęście posiadać dom na wsi. - Przygotowałam się w duchu na jej przechwałki. - Jest tam kort tenisowy. - Spróbowałam wyobrazić sobie Citronellę turlającą się po nim i nie udało mi się. - Ale chcielibyśmy go zasłonić. Co byś poleciła?

- Coś, co nie gubi liści - odparłam, zmuszając się do uprzejmego tonu. - Możesz na jednym końcu zasadzić pnącą różę, polecałabym Veilchenblau albo Rambling Rector, a na drugim zimozielony klematis. Odmiana Armandii jest szczególnie urocza, z bardzo pachnącymi białymi

kwiatami i dużymi, błyszczącymi trójdzielnymi liśćmi, przypominającymi do złudzenia liście rośliny tropikalnej, albo *Clematis montana*, który zawsze świetnie się sprawdza jako roślina maskująca.

- Zmagamy się z istną plagą kretów - żaliła się jakaś kobieta. - Jak się ich pozbyć?

- Kiedy tylko zauważy pani dziurę, proszę w nią wetknąć rabarbar łodygą na dół. Krety go nie cierpią. Można też w każdy kopczyk wetknąć dziecięcy wiatraczek; wibracje również odstraszaają krety. - Spojrzałam na zegarek. Była ósma trzydzieści pięć. Już miałam zakończyć swój występ, gdy męski głos z samego końca zapytał:

- A jak sprawić, żeby nasze ogrody były bardziej atrakcyjne dla pszczół?

Uniosłam wzrok. Mężczyzna wyglądał znajomo. Po czterdziestce. Atrakcyjny. Mój żołądek wywinął salto. To był facet, który znalazł bucik Milly.

- Pszczoły to ogromnie pożyteczne owady w ogrodzie - zaczęłam, czując, że twarz mi płonie. - Zapylają rośliny, nie są agresywne i, naturalnie, robią miód. A odpowiadając na pańskie pytanie, poleciłabym budleję, która oczywiście przyciąga też motyle, a także prusznik, naparstnicę, penstemon i wszystko, co pachnące, jak tytoń, letni jaśmin, lak i kapryfolium. Jeśli jest miejsce na dziki bez, pszczoły również go polubią.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się. Na scenę weszła Joanna.

- Niestety, musimy już kończyć to fascynujące spotkanie - podsumowała. - Chciałabym więc w imieniu nas wszystkich podziękować

Annie, że podzieliła się dziś z nami swoją wiedzą i służyła radą. Raz jeszcze serdeczne dzięki.

Rozległy się uprzejme oklaski. Zeszłam ze sceny; czekały na mnie jeszcze dwie czy trzy osoby. Odpowiadając im na pytania, zauważyłam, że mężczyzna, którego interesowały pszczoły, stoi trochę dalej. Uśmiechnął się do mnie niepewnie.

- Witam - powiedziałam, też z uśmiechem. - To pan... - Miał uroczą, szczerą twarz, przedwcześnie posiwiałe włosy, które dodawały mu dystynkcji, i duże orzechowe oczy, tak jasne, że prawie imbirowe. Wąskie wargi były okolone dwiema półokrągłymi zmarszczkami przypominającymi nawiasy. Na grzbiecie nosa dostrzegłam maleńką, księżycowatą bliznę.

- Miło znów panią widzieć. Kiedy spotkaliśmy się ostatnio, strasznie się pani spieszyło.

- Wybierałam się do potencjalnych klientów i byłam zdenerwowana. Czy pan mieszka gdzieś w okolicy?

Pokręcił głową.

- Kiedyś tak, ale teraz mieszkam na St Peter's Square w Hammer-smith.

- Wiem, gdzie to jest. - Musi dobrze zarabiać, pomyślałam, To był jeden z najładniejszych placów w zachodnim Londynie. - A co pana tu sprowadza?

- Zobaczyłem wzmiankę we wczorajszej gazecie i rozpoznałem w pani nieznaną z soboty, więc pomyślałem - wzruszył ramionami - że przyjdę.

- Och. Ale też... zadał pan miłe pytanie.
- Obawiam się, że było trochę zainscenizowane.
- W jakim sensie?
- Jeśli pani przyjdzie kiedyś do mnie na kolację, przekona się pani.
- Ale... ja pana nie znam. Nie wiem nawet, jak ma pan na imię.
- Patrick. Proszę bardzo. Teraz mnie pani zna.
- Więc może przejdźmy na ty - zaproponowałam, zdumiona własną śmiałością.

- Proszę wszystkich o uwagę! - zawołała głośno Joanna. - Nadszedł czas, żeby ogłosić wyniki loterii, i moja córka, Bella, wylosuje zwycięskie kupony. Zaczniemy więc od trzeciej nagrody, którą jest podpisany przez autora egzemplarz najnowszej książki Richarda Attenborougha *Planeta Ziemia*, i dostanie ją...

Bella, na oko mniej więcej dwunastoletnia, uśmiechnęła się wstydliwie, odsłaniając zakute w metal zęby. Zanurzyła rękę w cylindrze, pogrzebała w nim chwilę i wyciągnęła różowy szatniany numererek.

- Numer dwieście pięćdziesiąt sześć - oznajmiła.

- Numer dwieście pięćdziesiąt sześć! - powtórzyła wyraźnie Joanna. - Czy poznamy właściciela tego biletu? Dwieście pięćdziesiąt sześć? - Nikt się nie zgłosił. - Sprawdzimy potem. Mamy nazwiska i adresy. Ale w takim razie przejdźmy do drugiej nagrody, którą jest lunch dla dwojga w River Cafe...

Bella znów sięgnęła do kapelusza i wyciągnęła niebieski numererek.

- To numer sto trzydzieści siedem - powiedziała, wymachując nim.



- Numer sto trzydzieści siedem - powiedziała Joanna, przebiegając wzrokiem po tłumie. - Kim jest szczęśliwa osoba z biletem sto trzydzieści siedem? - Nikt się nie odezwał. - To dziwne. - Pokręciła głową. - Nieważne, wytropimy naszych zwycięzców. Ale teraz pierwsza nagroda, którą jest bezpłatna konsultacja naszej pani projektant Anny Temple, warta sto funtów. Bello, czy mogłabyś wylosować zwycięski numerek?

Dziewczynka wsadziła rękę do kapelusza po raz ostatni i wyciągnęła niebieski papierek.

- To numer fefć!

Patrick pogrzebał w kieszeni i wyjął cały pasek biletów.

- To ja! - krzyknął. Uśmiechnął się do mnie, szczerząc zęby, i poszedł odebrać nagrodę.

- Gratulacje - rzuciłam kwaśno, gdy wrócił ze złotą kopertą.

- Jestem zachwycony - powtórzył. - Teraz będziesz musiała się ze mną zobaczyć. - Uśmiechnęłam się. - Proszę. - Podał mi wizytówkę. Było na niej napisane, że nazywa się Patrick Gilchrist i jest nieetatowym prezesem firmy Total Technology. Otworzył kopertę. - A twoje dane są tutaj. Więc mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli do ciebie zadzwonię, skoro mam słuszny powód, by to zrobić.

- Nie - odparłam. - Nie będę miała absolutnie nic przeciwko temu.

## Rozdział 6

Zakładałam, że Patrick zadzwoni do mnie w ciągu kilku dni, ale się nie odezwał. Byłam zaskoczona własnym rozczarowaniem, ale jednocześnie, o dziwo, cieszyłam się, bo dowodziło to przynajmniej, że znów potrafię się interesować jakimś facetem.

Tydzień później w miejscowych delikatesach wpadłam na Joannę Silver.

- Bardzo dziękuję pani za pogadankę - powiedziała. Stałyśmy przy ladzie z serami. - Impreza była ogromnym sukcesem. Ten duży kozi, poproszę. Zebraliśmy cztery tysiące funtów. Przypomina pani sobie pana Patricka Gilchrista? To ten, który wylosował pierwszą nagrodę w loterii.

- Tak. - Czułam, jak puls mi przyspiesza.

- Sprawdziliśmy pozostałe zwycięskie numerki i proszę sobie wyobrazić, obydwa też należały do niego.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Co za zdumiewający zbieg okoliczności.

- Niezupełnie - sprostowała. - Okazało się, że kupił prawie wszystkie bilety: czterysta sześćdziesiąt. Po pięćdziesiąt pensów za sztukę! Kiedy zadzwoniłam do niego następnego dnia, wyjaśnił, że nie chciał się ujawniać, żeby nie wyjść na pazerne. Czy to nie miłe?

- Bardzo miłe - przyznałam. Więc jedyną nagrodą, na której mu zależało, była moja konsultacja. Tym dziwniejsze wydawało się jego zachowanie.

Minęły kolejne dwa tygodnie, a Patrick wciąż milczał; pomyślałam, że jest po prostu ekscentrykiem i muszę o nim zapomnieć. Całkiem niespodziewanie dostałam maila od niego, z wyjaśnieniem, że wyjeżdżał, ale teraz już wrócił i bardzo by chciał, żebym obejrzała ogród. Jako że większość roboczych dni spędzałam w Boltons, zaproponowałam, żebyśmy się spotkali w piątek po południu.

„A więc w piątek”, odpisał. „O 4.30. I mam nadzieję, że zostaniesz na drinka”.

Kliknęłam „odpowiedz”: „Jeśli uda mi się to załatwić z moją au pair, z przyjemnością”.

- Teraz wychodzę - wyjaśniłam powoli Luisie o wpół do czwartej w piątkowe popołudnie. - Mam to spotkanie, o którym ci mówiłam. Pamiętasz? Ale powinnam wrócić do wpół do ósmej i sama położę Milly do łóżka. Ja ją położę do łóżka - powtórzyłam. Przechyliłam głowę, opierając ją na złożonych dłoniach, zaniknęłam oczy, żeby zobrazować spanie.

Luisa zrobiła skonsternowaną minę.

- Ty spa teraz?

- Nie, Luisa. - Westchnęłam. - Ja nie spa teraz. Ja pracuję teraz. Ja wraca siódma trzydzieści. - Zapisałam to cyframi. - Ja wraca - „przemaszerowałam” dwoma palcami po stole - Siódma trzydzieści. - Jezu!

- *Ah, si* - powiedziała rozpromieniona. - *Comprendo. Las sietey treinta. Bueno.*

- *Bueno!* - powtórzyła Milly, unosząc wzrok znad książeczki.

- Luisa. - Czułam się bezradna, ale zaczęłam ostro. - Naprawdę musisz bardziej popracować nad swoim angielskim. Jesteś tu już dwa miesiące, a ja nie widzę wielkiej zmiany na lepsze.

- *Si*, bielkie zmiany na lepszy - przyznała radośnie Luisa. Jęknęłam w duchu i schyliłam się, by pocałować Milly. Mój wzrok padł na książeczkę z obrazkami, którą oglądała.

- Skąd ją masz, kochanie? Jest śliczna.

- Luisa mi dać.

- Naprawdę, Luisa? - zwróciłam się do niej. - Dałaś Milly tę książkę? Żeby lepiej mnie zrozumiała, uniosłam książeczkę i wskazałam na Milly.

- *Si*. - Wzruszyła ramionami. -*No, es nada...* nic takie.

- Cóż, to bardzo miło. - Spojrzałam na okładkę z tyłu. Książka kosztowała dwanaście funtów. - Dziękuję. Jest śliczna. Pa, moje kochanie. - Jeszcze raz cmoknęłam Milly.

- *Adiós, mama!* - powiedziała.

Jadąc do Hammersmith, zastanawiałam się, co Luisa właściwie robi przez całe ranki na zajęciach z angielskiego. Byłam zaniepokojona. Bo co będzie, jeśli się zdarzy jakiś wypadek i nie zdoła się z nikim dogadać?

Znalazłam miejsce do parkowania na Black Lion Lane, która prowadzi na St Peter's Square. Maznęłam się perfumami i skontrolowałam swój wygląd we wstecznym lusterku. Załamalam się. Włosy miałam w katastrofalnym stanie. Są bardzo jasne, więc nie muszę robić pasemek, ale są też bardzo cienkie i powinny być dobrze ostrzyżone. Przeciągając po nich grzebieniem, myślałam z zazdrością o długiej, wspaniałej czarnej grzywie

Cassie. Ja miałam szczęście, jeśli udało mi się zapuścić moje do szyi. Zamykając samochód, pomyślałam, że muszę umówić się z Sandrą, moją fryzjerką od dwunastu lat. W końcu poszłam za róg i odnalazłam numer 36.

Dom był wczesnowiktorianańską willą - mniejszą niż pozostałe domy, ale z eleganckimi, łukowatymi oknami. Weszłam na frontowe schodki i zadzwoniłam do drzwi.

- Anna! - Patrick rozpromienił się na mój widok. Był opalony.
- Cześć. Złapałeś trochę słońca. Byłeś w jakimś ciepłym kraju?
- Ciepłym niż nasz. W Nowej Zelandii.
- Podróż w interesach?
- Nie...
- Masz tam rodzinę? Zawahał się na moment.
- Mój syn mieszka w Christchurch.

Musiał bardzo młodo zostać ojcem, pomyślałam, albo chłopak po średniej szkole postanowił zarobić na studia.

- Co tam robi?
- Chodzi do przedszkola. Ma cztery i pół roku.
- Och... - mruknęłam. Poczułam współczucie dla Patricka.
- Nieważne - powiedział. - Wspaniale, że przyszłaś. Napijesz się herbaty, zanim zaczniemy?

- Nie, dzięki, wolałabym przejść do rzeczy, bo została tylko godzina do zmroku.

Zdjął marynarkę z wieszaka i wskazał ruchem głowy nikona wiszącego na mojej szyi.

- Przyniosłaś aparat?

- Fotografuję każdy ogród, który oglądam, żeby potem było porównanie. Ale oczywiście nie musisz mnie zatrudniać - dodałam pospiesznie. - To tylko konsultacja. Możesz mnie pytać o co chcesz albo ja zasugeruję ci, jak go odświeżyć, dodając może kilka nowych roślin albo jakąś bordiurę.

Przeszliśmy przez wyłożony płytkami hol do kuchni; Patrick otworzył kuchenne drzwi. Wyszłam na taras i stanęłam jak wryta.

- Jest śliczny - powiedziałam. - I wielki.

- Wielki jak na Londyn.

Gdy szliśmy przez ogród, zorientowałam się, że został profesjonalnie zaprojektowany z zastosowaniem klasycznych zasad podziału działki na trzy części.

W części najbliższej domu, wybrukowanej cegłą, stało kilka żardynier wypełnionych żółtymi i białymi hiacyntami. Była tu też duża altana, a w niej elegancki stół z kutego żelaza i krzesła. Ukośna ścieżka, prowadziła do trawnika - okrągłego, zamkniętego częściowo bordiurą na niewielkim podwyższeniu, pyszniącą się żonkilami i prymulkami. Za nią kolejna skośna ścieżka wiodła na prawo, aż do końca ogrodu, gdzie królowała dzika przyroda.

- Sprowadziłeś mnie tu podstępem w jakichś niecnym celach - zażartowałam. - Masz piękny ogród.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. Widzę tu mnóstwo ciekawych rozwiązań, te skośne ścieżki zwodzą oko, tak że nie widzi się całego ogrodu od razu, tylko

odkrywa się go stopniowo; bordiury mają świetną obsadę i atrakcyjny kształt. Dojrzałe krzewy... Te kamelie są śliczne... a ta *Magnolia grandiflora* będzie po prostu fantastyczna. Podobają mi się też rośliny w ciemnych kątach, jak te ciemierniki i różnorodne trawy urozmaicające fakturę, no i oczywiście pachnące rośliny... - Czułam uwodzicielski aromat mahonii przypominający lilie. - Latem musi wyglądać cudownie.

- Owszem, całkiem nieźle.

- Ktoś ci go projektował?

- Nie. Wyglądał mniej więcej tak samo, kiedy kupowałem dom.

- Jest idealnie zadbany. Masz ogrodnika?

- Chwilowo nie. Wolę sam wszystko robić, kiedy mam czas. Dla mnie to coś w rodzaju terapii.

- Nie wiem, co ci zaproponować - powiedziałam, gdy zbliżyliśmy się do końca. Krzewy zostały niedawno przycięte, trawa skoszona, brzegi trawnika przystrzyżone; kremowe narcyzy mieszały się z ametystowym śnieżnikiem na półkolistych rabatach. - Jeśli chcesz, możemy coś dosadzić. Mogłabym ci zaproponować kilka niezwykłych jednorocznych roślin, które będą wspaniale wyglądały w lecie. Nie wiem, czy lubisz cynie, jest piękna odmiana w kolorze limonki, albo czosnek olbrzymi, jest też karmazynowy słonecznik, który wygląda naprawdę zjawiskowo... Och.

- Zatrzymałam się jak wryta. Moim oczom ukazała się niewielka sadzawka, za nią trzy powykręcane ze starości, okryte pąkami jabłonie, a pod każdą z nich stał ul z dwuspadowym daszkiem. - Hodujesz pszczoły?

- Tak. Ale nie obawiaj się, są jeszcze ospałe po zimie. Od czasu do czasu wyskoczy jakaś robotnica na rekonesans... jak tamte, widzisz?

Jeszcze za wcześnie na pełną aktywność, choć pewnie niedługo zaczną się ruszać, może w przyszłym tygodniu.

- Od jak dawna je masz?

- Od kiedy wprowadziłem się tutaj dwa lata temu. Przeżyłem koszmarne rozstanie i potrzebowałem osłodzić sobie życie - dodał ze smętym uśmiechem, gdy siedliśmy na drewnianej ławce. - Zobaczyłem w telewizji program o pszczelarstwie i temat mnie wciągnął. Pszczoły to mój konik.

- Pewnie dzięki nim twój ogród jeszcze zyskuje na urodzie.

- Na pewno jest w nim więcej kwiatów, bo pszczoły są świetnymi zapylaczami.

- Więc dlatego pytanie, które mi zadałeś na kościelnym festynie, było inscenizowane. Znałeś odpowiedź.

- Tak. Ale chciałem... żebyś mnie sobie przypomniła. - Uśmiechnął się. - A mówiąc szczerze, to poniekąd leży w moim interesie. Im więcej ludzie mają w ogrodach kwiatów przyjaznych dla pszczół, tym lepiej dla mnie i mojej pasieki.

- Wykupiłeś wszystkie bilety na loterię.

- Do licha... - Poczzerwieniał i znów się uśmiechnął. - Skąd wiesz?

- Spotkałam w delikatesach żonę pastora i wspomniła mi o sprawie.

- No cóż... Chciałem wylosować pierwszą nagrodę.

- Bardzo mi to pochlebia. - Roześmiałam się. - Ale byłoby o wiele taniej po prostu zadzwonić do mnie i zwyczajnie się umówić na konsultację!



- Byłoby, ale pomyślałem, że tak będzie bardziej zabawnie. Muszę przyznać, że lubię ten kościół. Sam, mój synek, był w nim chrzczony - odpowiedział lekko drżącym głosem. - Ale wróćmy do pszczół.

- Tak... Co robisz z miodem?

- Mniej więcej połowę sprzedaję okolicznym sklepom i kawiarniom. Ale resztę daruję na imprezy charytatywne, w końcu to tylko hobby, nie nastawiałem się na zysk.

Przypomniałam sobie słoiki miodu na kościelnym festynie.

- Twój miód nazywa się Dobra Pszczółka?

- Tak.

- W ogrodzie botanicznym w Chelsea widziałam kilka uli, kiedy robiłam tam kurs projektowania, ale nigdy w prywatnym ogrodzie w Londynie.

- Jest ich całkiem sporo w miastach. Mam przyjaciela na Manhattanie, który trzyma dwa ule na tarasie na dachu. Pszczoły wypuszczają się na wiele kilometrów w poszukiwaniu pokarmu, więc wystarczy mieć miejsce na sam ul.

- To dobra zabawa?

- Fascynująca i uspokaja mnie. No dobrze - powiedział nagle. - Zaczyna się ściemniać. Napijmy się czegoś.

Weszliśmy do środka; usiadłam w koralowym salonie, a Patrick zakrzętnął się w kuchni. Na kredensie stało sporo rodzinnych zdjęć, w tym kilka Sama - ślicznego chłopczyka z wielkimi orzechowymi oczami, takimi samymi jak u jego ojca. To musiało być dla niego bardzo bolesne,

że syn jest tak daleko. Byłam ciekawa, dlaczego. Może Patrick miał romans z Nowozelandką.

Pojawił się z tacą- sobie przygotował dzin z tonikiem, a ja popijałam słabego szprycera. Opowiedział mi o swojej pracy - założył firmę internetową piętnaście lat temu, gdy zaczynał się technologiczny boom.

- Specjalizowałem się w systemach płatności za zakupy online - wyjaśnił, sącząc swojego drinka. - Aż w zeszłym roku dostałem od Paypal ofertę nie do odrzucenia i sprzedałem firmę.

- I co będziesz robił dalej? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Prowadzę właśnie ze starym kumplem rozmowy na temat założenia kolejnego internetowego biznesu, ale na razie mój szef dostarcza mi zajęcia i chroni przed obłędem. - Poczęstował mnie oliwką. - A ty? Mówiłaś, że projektujesz ogrody od dwóch lat, więc co robiłaś przedtem? - Opowiedziałam mu o swojej pracy w City. - A twoja córeczka? Ile ma lat? Trzy?

- Skończy w czerwcu.

- Kto się nią teraz zajmuje?

- Moja au pair, Luisa. Jej angielski jest przerażający, ale uwielbia Milly, i vice versa.

- A co z ojcem Milly? - dodał trochę niespokojnie.

- Nie jest z nami. Pozostajemy w dobrych stosunkach - ciągnęłam, starając się sprawiać wrażenie raczej atrakcyjnie pozytywnej, a nie zgorzkniałej i smutnej. - On pracuje w Indonezji. Mieszka tam już od ponad dwóch lat.

Zorientowałam się, że Patrick liczy w myślach.

- Musiało ci być ciężko. Jemu pewnie też - dodał z przejęciem. -Być tak daleko od dziecka.

- Rzeczywiście, nie jest mu lekko - przyznałam. Szczególnie teraz, kiedy związał się z Milly, pomyślałam. Takie nieregularne spotkania, ta konieczność pożegnań pewnie jest gorsza, niż gdyby jej w ogóle nie znał. - Dziecko też to przeżywa. A ty? - zagadnęłam. - Ojcostwo na odległość pewnie jest dla ciebie... trudne, oględnie mówiąc.

Zagrzechotał lodem w drinku.

- Po prostu nieznośne. Sam został zabrany do Nowej Zelandii dzień po swoich trzecich urodzinach.

- Myślałam, że prawo nie zezwala byłym żonom na wywożenie dzieci z kraju - powiedziałam - a tym bardziej na drugą półkulę.

- Matka Sama nie była moją żoną. Nie spieszyło mi się do ślubu - ciągnął, jakby wyczuwając, że powinien się usprawiedliwić - dlatego, że kiedy zaszła w ciążę, znałem ją niecałe trzy miesiące.

- Ucieszyłeś się?

- Nie, z początku nie. Miałem wrażenie, że jestem w pułapce.

- Ale przynajmniej postąpiłeś przyzwoicie i zamieszkałeś z nią. - Mówiąc to, myślałam z przykrością o Xanie, który zdecydował inaczej.

- Rzeczywiście, zamieszkałem z nią, a kiedy Sam przyszedł na świat, byłem zachwycony. Zapewniłem Suzie bardzo przyjemne życie. Nie musiała pracować. Mieszkaliśmy w dużym domu w Brook Green. Miała nianię, gosposię i ogrodnika, jeździliśmy na wspaniałe wakacje. Naprawdę o nią zadbałem.

- Życie jak w bajce. - Westchnęłam tęsknie.

- Można tak powiedzieć. Ale jej to widocznie nie wystarczało, bo kiedy Sam miał dwa lata, odkryłem, że Suzie romansuje z facetem z naszego klubu tenisowego. Trzy miesiące później zostawiła mnie, zabierając syna. To było straszne. Kilka tygodni później wyskoczyła z rewelacją, że ona i Sam przenoszą się do Nowej Zelandii. Wyjechała z kochankiem. On jest stamtąd.

- Nie mogłeś jakoś temu zapobiec?

- Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Ale jako konkubent nie miałem automatycznie nadanych praw, a ona odmówiła przyznania mi praw rodzicielskich. Sprawa trafiła do sądu, ale wyrok był dla mnie niekorzystny.

- Dlaczego?

- Suzie kłamała. - Grymas goryczy pojawił się na jego twarzy. - Kłamała w żywe oczy. Nie miała wstydu. - Ciekawa byłam, czego dotyczyły te kłamstwa. - Wniosłem apelację, ale przegrałem. Zamierzałem iść z tym do Izby Lordów, lecz wtedy adwokat Suzie poinformował mnie listownie, że ona jest w czwartym miesiącu ciąży. Mój prawnik stwierdził, że w takim wypadku sąd nie zechce rozbijać „szczęśliwej komórki rodzinnej” - przewrócił oczami - więc nie było sensu walczyć dalej.

Jakie to straszne, pomyślałam, kiedy ktoś zabierze ci dziecko - wywiezie do kraju na drugim końcu świata - nie mówiąc już o świadomości, że to dziecko wychowuje ktoś inny, w tym wypadku mężczyzna.

- Relacje między Suzie i mną popsuly się potem do tego stopnia, że ostatnie spotkanie odbyło się w obecności pracownika socjalnego, w

biurze niedaleko Holborn, żebym się mógł pożegnać z Samem. - Miałam łzy w oczach. - Dostałem tylko prawo dzwonienia do niego i pisanie „od czasu do czasu”, ale wynegocjowałem w końcu oddzielną ugodę z Suzie, pozwalającą mi odwiedzać go dwa razy do roku. Mam szczęście, że mnie na to stać - mówił - bo w przeciwnym razie nigdy bym go nie zobaczył. Przepraszam... - Nagle zrobił zażenowaną minę. - Nie powinienem wtajemniczać cię w takie sprawy. To przygnębiające, delikatnie mówiąc, ale nie mam na to wpływu, więc po prostu staram się jakoś sobie radzić z urazą, którą czuję, i ze stresem.

- Przykro mi - odezwałam się cicho. Spojrzałam na zegar ze złoczonego brązu stojący na kominku. Była siódma trzydzieści. - Powinnam już iść. - Wzięłam swój aparat. - Bardzo miło spędziłam u ciebie czas, ale powiedziałam Luisie, że o tej godzinie będę już w domu i że chcę sama położyć Milly do łóżka.

- Rozumiem - powiedział, gdy wstaliśmy. - Gdybym mógł to robić, byłbym szczęśliwy.

Przeszliśmy do holu.

- Niestety, nie zaproponuję ci modernizacji tego bajkowego ogrodu - powiedziałam. - Jest wspaniały taki, jaki jest; tradycyjny angielski ogród o idealnych proporcjach, pięknie ukształtowany i obsadzony z wyobraźnią.

- Mimo to cieszę się, że go zobaczyłaś - odparł. -I mam nadzieję, że jeszcze kiedyś przyjdiesz. - Spojrzył na mnie. - Przyjdiesz?

- Może... - Uśmiechnęłam się do niego.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Słucham.

- Widziałem cię w telewizji kilka tygodni temu. Nigdy nie patrzę w telewizor w porze śniadania, ale tego ranka akurat włączyłem. No i był twój program. Wyglądałaś tak... miło. Mówiłaś o roślinach z uczuciem, że są twoją pasją, że według ciebie mają nawet osobowość.

- Bo mają. Także wyraźne i różne charaktery. Moja matka mnie tego nauczyła.

- A jak to było o tych roślinach kopciuszkach?

- Mówiłam o przebiśniegach i innych wczesnowiosennych cebulkowych. Są zamknięte, niewidoczne przez większą część roku, ale w lutym pojawia się szansa, z której korzystają, by pójść na bal. I wszyscy są nimi oczarowani. Potem, gdy wybije dwunasta, znikają w ziemi i znów ich nie widać. A w kolejnym roku dobra wróżka macha czarodziejską różdżką i znów idą na bal.

- Spodobało mi się to. - Patrick się uśmiechnął. - Rozpoznałem cię w sklepie tamtego ranka, znalazłem bucik i okazało się, że należy do twojej córki... - Wzruszył ramionami. - To było przeznaczenie. Pewnie uznałaś mnie za dziwaka - dodał ze śmiechem.

- Nie, pomyślałam, że wyglądasz całkiem miło, ale rzeczywiście byłam kompletnie zaskoczona, kiedy zaprosiłeś mnie na kawę.

- Widzisz, ja czułem, że już się znamy, choć ty nie mogłaś o tym wiedzieć. Ale teraz, gdy poznaliśmy się naprawdę, może przyjdiesz kiedyś na kolację? Bardzo chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać i muszę się pochwalić, całkiem nieźle gotuję. Nie oczekuję odpowiedzi teraz - dodał niepewnie. - Możesz to przemyśleć. - Pocałował mnie w policzek, a ja poczułam rozkoszny dreszczyk.

- Bardzo chętnie, Patricku. Dzięki.

- Bestia! Bestia! - W poniedziałek rano Milly złapała DVD *Piękna i bestia* i zaczęła wymachiwać mi przed nosem. - Oglądać bestię, mamusiu!

- Nie teraz, kochanie - powiedziałam. - Wiem, że to uwielbiasz, ale musimy zjeść śniadanie, a potem iść do Pachnącego Groszku, do twoich kolegów. Więc chodź tu i zjedz swoje ryżowe płatki.

- Płatki - powtórzyła radośnie, gdy wsypałam jej trochę do miski z królikiem Piotrusiem. - *Leche!*

- Słucham?

- *Chcę leche!*

- Masz na myśli mleko? - Otworzyłam lodówkę. - Wolałabym, żebyś nie mówiła po hiszpańsku, kochanie.

- *Leche!*- wrzasnęła, gdy nalałam jej trochę do miski. - *Mas!* Nagle zauważyłam, że Milly ściska w dłoniach lalkę. Nowiutką, o słodkiej, uśmiechniętej twarzy, kręconych rudych włosach, w różowej lamparcjej kurteczce i błyszczących różowych spodniach.

- Kochanie... skąd to masz? - zapytałam. Lalka wyglądała na drogą. Milly posadziła lalkę obok miski.

- Luisa mi dać.

- Aha. - Usłyszałam skrzypienie schodów i pojawiła się Luisa.

Zwykle wychodzi z domu wcześniej, zanim siądziemy z Milly do śniadania, więc nie widuję jej rano. Mała zeskoczyła z krzesła i podbiegła, by dać się uciskać.

- *Caramelo de buenos dias!*- zagruchała Luisa. Podniosła Milly i ucałowała. - Ja do szkoły teraz, Anna. - Uśmiechnęła się.

- Luisa - powiedziałam. - Czy Milly dostała od ciebie tę lalkę?

Skinęła głową.

- *Si.* Bardzo jest ładna.

- Śliczna, ale naprawdę nie możesz tak obdarowywać Milly. Kupiłaś jej książkę dwa tygodnie temu. To bardzo miło z twojej strony, ale proszę cię, nie rób jej więcej prezentów, okej? Przecież nie możesz sobie na takie wydatki pozwolić.

Ku mojemu zaskoczeniu, Luisa zaczerwieniła się, jakbym ją obraziła.

- Moim zdaniem - spróbowałam jeszcze raz - powinnaś zaoszczędzić trochę pieniędzy, nie płacę ci zbyt dużo. - Znów poczerwieniała, co mnie mocno zdziwiło. - Ale dziękuję, że jesteś taka miła.

- Ja do szkoła teraz - powtórzyła. Dała Milly hałaśliwego całusa, przypominającego odgłos przepychacza do zlewu, i zarzuciła na ramię mały niebieski plecak. Pomachała nam. - Ja do szkoła teraz.

- *Hasta la vista!* - krzyknęła Milly.

- To... opowiedz mi o swoich kolegach - zagadnęłam Milly jakiś czas później, gdy szliśmy do Pachnącego Groszku. Pod lewą pachą ścisnęła misia, którego podarował jej Xan. - Jak mają na imię?

- Eee... - Milly przystanęła, by podrapać się w nos, po czym znów wsunęła rączkę w moją dłoń. - Carla.

- Tak, Carla. - Drzewa wiśni, rosnące wzdłuż ulicy, pieniły się od różowych kwiatów.

- Phoebe...

- Tak, jest bardzo miła.



- Alfie... i... Lily... i Ris...
- Iris, tak. A co z Erasmusem?
- Nie. *No me gusta. Me mordeó.*
- Co takiego, kochanie?

Pachnący Groszek mieści się w dużym wiktoriańskim domu, którego okna wychodzą na Brook Green. Poranne zajęcia rozpoczynają się o dziewiątej trzydzieści i rodzice zostają przez chwilę, by zaśpiewać z dziećmi kilka piosenek, zanim zaczną się „lekcje”.

Gdy dotarliśmy na miejsce - jak zwykle klucząc między mnóstwem wózków i hulajnóg - pozostali rodzice wieszali już kurtki i czapki dzieci na kolorowych wieszakach albo pomagali im wkładać fartuszki. Wszedł Erasmus - wystrojony w brązowe sztruksowe pumpy, miniaturową zieloną kurtkę i tweedowy kaszkiet, jakby wybierał się na polowanie. Tego ranka, wbrew zwyczajowi, towarzyszył mu tata. Wiedziałam, dlaczego. Citronella poświęciła cały ostatni artykuł na opis, jak to wylała nianię za kradzież złotego pierścionka. Oskarżenie, niepoparte żadnymi dowodami, wydało mi się zwyczajnym oszczerstwem. Claudia, o czym z dumą poinformowała Citronella, była piątą wylaną nianią w ciągu roku.

*Dzień dobry, witajcie... - zaśpiewaliśmy przy wtórze pianina.*

*Hip hip hip hura!*

*Niech nauka i zabawa trwa,*

*To początek szczęśliwego dnia!*

- Anno? - Dyrektorka, pani Avis, podeszła do mnie, kiedy już wychodziłam z budynku. - Możemy zamienić słówko?

- Tak, oczywiście. - Poszliśmy do jej gabinetu; czułam, że coś się święci.

- Trochę się martwimy o Milly - zaczęła, wskazawszy mi krzesło. - Jej mowa nie jest tak dobra, jak powinna być. Nie wiem, co pani o tym myśli, ale...

- Rzeczywiście, mogłoby być lepiej - przyznałam, zerkając na wielką tęczę namalowaną na ścianie.

- Jej rozumienie języka jest w porządku - mówiła pani Avis - ale ma już prawie trzy lata, więc powinna budować dość spójne zdania.

- Wiem. - Wyjrzałam za okno, na kolorowe drabinki z czerwoną plastikową zjeżdżalnią. - Ale, jak sędzę, każde dziecko rozwija się w innym tempie.

- To prawda... - Pani Avis złożyła palce. - Nas przede wszystkim niepokoi, że Milly zbyt często posługuje się hiszpańskim.

- O rety. Tutaj też to robi? - Pani Avis kiwnęła głową. Westchnęłam. - Nauczyła się wielu słów od kolumbijskiej niani.

- Czy ona nie mówi po angielsku?

- Słabo. Codziennie rano spędza trzy godziny na kursie językowym, ale jakoś bardzo powoli się uczy.

- Więc mówi do Milly po hiszpańsku?

- Przez cały czas. Już jej zwracałam uwagę. - Westchnęłam znów. - Ale jeszcze raz z nią porozmawiam, z pomocą Milly jako tłumaczki. Dziękuję, że pani mi o tym powiedziała. - Wstałam. Ulżyło mi, że problem nie okazał się poważniejszy.

Pani Avis wciąż siedziała.

- Niestety, to jeszcze nie wszystko. Przykro mi to mówić, ale ostatnio Milly brała udział w kilku incydentach. Chodzi o gryzienie.

Klapnęłam z powrotem na krzesło.

- Milly kogoś ugryzła? Ależ ona tego nigdy nie robiła. Ma bardzo łagodny charakter.

- Może wyrażę się jaśniej: próbowała ugryźć jedno z dzieci, i to dwa razy, ale została powstrzymana.

- Kto to był? - zapytałam.

- Nie mogę powiedzieć; w przypadku ugryzień czy bicia kolegów z zasady nie podajemy nazwisk i radzimy sobie z tym we własnym zakresie.

- Rozumiem. Ale właściwie nic się tak naprawdę nie stało, jak się okazuje.

- Nie. Chciałam jednak z panią o tym porozmawiać, zastanawiałam się, czy obecna lingwistyczna dezorientacja Milly nie wywołuje u niej pewnej frustracji, która może prowadzić do tego rodzaju zachowań.

- Niewykluczone - powiedziałam. - Całkiem prawdopodobne. -A może rzecz w tym, że nie ma przy sobie ojca, myślałam, i jest skazana na bycie aspołeczną jednostką.

- Uznałam, że powinnam przekazać pani nasze spostrzeżenia.

- Dziękuję. - Wstałam. - Zrobię, co w mojej mocy, by z tym skończyć.

- To poważny problem - powiedziałam do taty kilka dni później.

Luisa poszła na basen; załatwiłam jej kartę członkowską mojego klubu, bo dawali pięćdziesiąt procent zniżki z okazji Wielkanocy. Milly była w łóżku, a tata i ja jedliśmy kolację. Wpada do mnie dwa, trzy razy w

tygodniu. Nie mam nic przeciwko temu, bo czuje się samotny i wciąż przyzwyczajają się do Londynu, a ja się martwię, że nie odżywia się właściwie, kiedy jest sam. - Mnie Milly nigdy nie próbowała ugryźć - ciągnęłam, nakładając mu ziemniaki. Jeszcze nie poszedł się ostrzyć, zauważyłam. Włosy sięgały mu za kołnierzyk.

- Bierzesz pod uwagę zatrudnienie nowej au pair? - zapytał.

Spróbowałam wyobrazić sobie dom bez ciepłej obecności Luisy.

- Nie, dopóki nie będę musiała. - Potrząsnęłam butelką z francuskim sosem. - Lubię Luisę, a Milly ją uwielbia. I bardzo uważa na alergię Milly, więc ufam jej w tym względzie. Ale będzie musiała nauczyć się mówić po angielsku. - Prychnęłam ze złością. - W końcu przecież po to tu przyjechała.

- Ja słyszałem od niej tylko hiszpański - stwierdził tata. - Byłem zdumiony, jak wiele Milly z tego rozumie.

- Ja też, ale dzieci w tym wieku błyskawicznie uczą się języków, chłoną jak gąbka. Mam nadzieję, że to przynajmniej dobry hiszpański - dodałam niespokojnie. - Z ładnym akcentem i tak dalej. Ale naprawdę nie wiem, co Luisa robi na tym swoim kursie językowym.

- Musisz się dowiedzieć - odparł tata. Nalałam mu kieliszek burgunda.

- Chciałam zadzwonić do jej nauczyciela, ale on jest w szkole tylko rano; nie znam jego prywatnego numeru.

- Szkoła nie może ci go udostępnić?

- Nie udzielają takich informacji. A zresztą mają teraz przerwę wielkanocną do końca przyszłego tygodnia.

- Wiem, jak możesz sprawdzić, co ona robi.

- Jak?

- Bardzo prosto. Zajrzyj do jej ćwiczeń.

Nałożyłam sobie sałatki.

- Pewnie tak... Ale ona trzyma je w swoim pokoju, a ja nie lubię grzebać w cudzych rzeczach.

- Jak długo ona u ciebie pracuje, Anno?

- Dwa i pół miesiąca. Przyjechała pod koniec stycznia. Tata strzepnął serwetkę.

- Więc uważam, że masz prawo... przeprowadzić dochodzenie. Po pierwsze, zapłaciłaś za jej kurs, a po drugie, jej nieznajomość angielskiego powoduje u Milly problemy z zachowaniem i nauką.

Jego argumenty przekonały mnie. Tak więc w Wielki Piątek, kiedy Luisa wyszła do kina ze znajomą, pomachałam jej na pożegnanie, zapakowałam Milly do łóżka i czując się jak zdrajczyni, pognałam na trzecie piętro.

Drzwi pokoju Luisy były zamknięte. Ostrożnie przekreśliłam gałkę i otworzyłam je. W pokoju panował wzorowy porządek - byłam pod wrażeniem. Łóżko zaścielone, narzuta podciągnięta, poduszki schludnie ułożone na wierzchu. Po podłodze nic się nie poniewierało, z wyjątkiem gitary ustawionej w kącie i stosiku arkuszy z nutami. Przejrzałam je. Luisa uczyła się klasycznych ballad Nanci Griffith, Joan Armatrading i Dona McLeana.

Weszłam dalej z łomoczącym sercem, nadstawiając ucha na wypadek, gdyby Luisa wróciła niespodziewanie. Szybko rozejrzałam się

po pokoju, szukając niebieskiego plecaka na książki. Luisa była tak schludna, że nic nie zostawiała na wierzchu. Zauważyłam tylko zdjęcie jej rodziców przed małym wiejskim domkiem w Bogocie, szczotkę do włosów i kilka książek. Na szafie leżała mała niebieska walizka, z którą przyjechała. Zajrzałam do szafy. Na dole stały buty, ale plecaka nie było. Podniosłam głowę i nie wierzyłam własnym oczom. Luisa musiała kupować sobie nowe ciuchy i jak sobie uświadomiłam, ostatnio rzeczywiście wyglądała elegancko. W szafie były dwie jedwabne bluzki, żakiet typu Chanel, granatowa dwurzędówka, o niebo ładniejsza niż jej puchowa kurtka, i olśniewająca suknia wieczorowa. Musnęłam palcami czerwony aksamit i spojrzałam na metkę: Joseph.

- Jakim cudem ją na to stać? - powiedziałam głośno.

Zaniknęłam szafę i kontynuowałam poszukiwania. Zajrzałam pod łóżko, ale zobaczyłam tylko kaptcie. Pod toaletką też nie było plecaka. Podeszłam do komody. Stał na niej mały telewizor, górną szufladę wypełniała bielizna, porządnie poskładana; w niższej leżały koszulki, spodnie i kilka bluz. Otworzyłam dolną szufladę i bingo - niebieski plecak. Wyciągnęłam go i sprawdzwszy zawartość, kompletnie się załamalam. Dużej książki z tekstami prawie nie otwierano, a dwie ćwiczeniówki pozostały czyste, z wyjątkiem trzech czy czterech stron najprostszych słówek.

- Nic nie robiła - wycedziłam przez zęby. Miałam już odłożyć plecak na miejsce i zastanawiałam się, jak z nią porozmawiać, nie zdradzając się, że szperałam w pokoju, gdy nagle wpadła mi w oko złota puszka po ciastkach upchnięta na sam tył szuflady. Wściekłość na Luisę przewyciężyła

wszelkie uczucia wyższe, chociażby szacunek dla prywatności. Zdjęłam wieczko.

- Boże święty...

W pudełku znajdował się gruby zwitek pięćdziesięciofuntowych banknotów. Policzyłam z grubsza; było ich około osiemdziesięciu - cztery tysiące funtów. Wcisnęłam wieczko z powrotem. Kręciło mi się w głowie. Mając taką kasę, mogła sobie pozwalać na drogie ciuchy i prezenty dla Milly. Ale skąd aż tyle gotówki?

Nagle usłyszałam płacz Milly. Z łomoczącym sercem odłożyłam puszkę na miejsce, zamknęłam drzwi pokoju i zbiegłam na dół.

- Co się stało? - wysapałam.

- Chcę kupusia - zajęczała Milly.

- No to idziemy, kochanie. - Podeszłam, by wyjąć ją z łóżeczka.

- Nie - zaprotestowała. - Chcę kupusia.

- Nie rozumiem, skarbie.

- Kupusia Puchatka! Muzyczkę! - Milly wskazała koniec łóżeczka, do którego przypięta była nowiutka pozytywka latarenka z melodiami z musicalu *Kubuś Puchatek*; zauważyłam ją dopiero teraz.

- Luisa ci to dała? - zapytałam ze znużeniem.

- *Si*, mamusiu.

- Aha. Ale...

- *Musica, momia!* Teraz!

- Okej... okej. Proszę bardzo. - Nakręciłam pozytywkę, ułożyłam Milly z powrotem i wyszłam na paluszkach, gdy muzyczka plumpląła

cicho, a latarnia rzucała na sufit ruchome cienie Tygryska, Prosiaczka i Puchatka z garnkiem miodu. - Dobranocka, kochanie - zawołałam cicho.

- *Buenos noches, mamaita!* — odpowiedziała.

RS



## Rozdział 7

Wiele osób dorabia sobie po godzinach - powiedziała Cassie.

Siedziałyśmy w jej maleńkim rustykalnym salonie w Chelsea. Wpadłam do niej w drodze z Boltons, by spytać o radę. Może nie jest zbyt rozsądna, ale na pewno bardziej oblatana ode mnie i lepiej zna rynek dorywczych zajęć. -Na przykład w jakimś barze?

- Nie.

- A powiedziałaaby ci, gdyby tak było?

- Nie miałyby powodu tego ukrywać.

- Może się obawia twojej reakcji: uznasz, że będzie zbyt zmęczona, by ci pomagać i ją zwolniesz.

- Owszem, ale nawet gdyby mi o tym nie powiedziała, przecież i tak bym się zorientowała. Wracałyby bardzo późno, śmierdząca alkoholem i papierochami.

- Ale coś przecież musi robić, bo rano chodzi na kurs, tak?

- Tak. Codziennie w dni robocze. - Byłam wściekła na siebie, że płaciłam za nią, chociaż miała więcej forsy ode mnie. Jeszcze bardziej wkurzyłam się sprawą fitness klubu, choć trzeba jej oddać sprawiedliwość, stanowczo odmówiła, gdy zaproponowałam, że opłacę jej karnet.

Cassie podniosła kieliszek szampana - bo tylko to pija.

- A potem opiekuje się Milly aż do...?

- Piątej trzydzieści.

- Czyli zostają tylko noce i weekendy. - Napiła się szampana i zmrużyła oczy. - Myślisz, że się puszcza?

Zbiła mnie z tropu.

- Nie, ona nie jest... taka.

- Poznałam ją i jestem skłonna przyznać ci rację, ale - uniosła wymownie brew - no wiesz, cicha woda i te sprawy.

- Luisa nie wychodzi często wieczorami; czasami spotyka się ze znajomą, ale zwykle siedzi w domu i gra na gitarze albo ogląda telewizję. Myślałam, że nie stać jej na częste wyjścia.

Cassie sięgnęła po robótkę. Znów coś dziergała z różowej jak guma do żucia włóczki i kawałek tego czegoś zwisał z jednego druta.

- Napad na bank? - zasugerowała, owijając włóczkę na palcu.

- Nie. I jestem pewna, że nie napada na staruszki i nie kradnie w sklepach. Może wygrała na loterii? Czy to wypłacają w gotówce?

Cassie pokręciła głową.

- Czekiem. Wygrałam kiedyś pięćset funtów, więc wiem. - Odwróciła druty i zaczęła nowy rząddek. - Może hazard? Kiedy byłam krupierką, przychodziła pograć taka jedna niania. Kiedyś wygrała w jeden wieczór osiem tysięcy, w trzech podejściach do blackjacka, przy początkowej stawce dziesięciu funtów.

- Nie wyobrażam sobie Luisy w kasynie. Zostały jej cztery tysiące. A musiała wydać przynajmniej tysiąc, licząc te wszystkie nowe rzeczy, rachunek za komórkę i inne drobiazgi, więc miała pięć tysięcy. Jak mogła zaoszczędzić pięć kawałków za ledwie w trzy miesiące, mając siedemdziesiąt funtów kieszonkowego na tydzień?

- Nie mogła. - Prawe, lewe... Cassie uniosła wzrok. - Więc na mój gust to muszą być dragi. Do diabła, zgubiłam oczko... W końcu jest z Kolumbii. Czym się zajmują jej rodziciele?

- Są farmerami.

- Więc to jest to. Handluje kokainą. Nie wiem, jak mogłaś o tym nie pomyśleć.

- Bo ona... na to nie wygląda. Cassie pokręciła głową.

- Nie zawsze łatwo poznać. Mieszkała w Marbelli, tak?

- Tak, u swojej ostatniej rodziny.

- No więc powiem ci, że tam jest tego pełno. - Nagle przypominałam sobie uwagę jej pracodawcy o „większych szansach” w Londynie. Cassie zmarszczyła brwi, przypatrując się swojemu dziełu. - Do diabła, za bardzo naciągnęłam. Ja bym jeszcze u niej poszperała na twoim miejscu.

Po powrocie do domu poprosiłam Luisę, żeby zabrała Milly do parku i pobiegłam do jej pokoju, tym razem bez cienia poczucia winy. Bo jeśli Luisa naprawdę sprzedawała narkotyki i zostałaby złapana i jakimś cudem trafiłoby to do gazet, antyreklama mogła zrujnować moją firmę. Już sobie wyobrażałam te nagłówki - szmatławce pisma na pewno wytropiłaby mój mizerny związek z GMTV: „Ogrodniczka z telewizji śniadaniowej zapuszkowana za kokainę!” A co ważniejsze, gdyby Milly coś znalazła i połknęła... Aż mnie zatrzęsło.

Szybko przeszukałam szuflady Luisy. Otworzyłam złotą puszkę i przekonałam się, że zarobiła kolejne trzysta funtów przez kilka ostatnich dni. Zaczęłam szukać paczuszek białego proszku. Otworzyłam szafę, posprawałam kieszenie i buty. Zajrzałam do futerału gitary, a nawet do

samej gitary, do pudełek z kompaktami, i sprawdziłam, czy książki nie są jedynie kamuflażem. Zajrzałam do walizki, do kasetki z biżuterią, obmaciałam karnisz, ale jedynym efektem był kłęb kurzu.

Może jest jakieś inne wyjaśnienie? - zastanawiałam się dwa dni później, otwierając drzwi Dziewczyn z Głową, mojego salonu fryzjerskiego. Zmarszczyłam nos od zapachu rozjaśniacza, zawierającego amoniak. Może rodzice Luisy, wiedząc, że córka będzie siedzieć w Europie przynajmniej dwa lata, dali jej te pieniądze na czarną godzinę. A może zaoszczędziła je w ostatniej pracy. Ale w takim razie dlaczego, kiedy rozmawiałyśmy o kosztach jej kursu językowego, dała mi jasno do zrozumienia, że jest spłukana? Nie, musiała zgromadzić te pieniądze ostatnio. Ale jak?

Jeśli zapytałabym ją wprost, raczej chciałaby odejść, a ja zostałabym bez pomocy - no i nie chciałam, żeby odchodziła, dopóki nie okaże się to nieuniknione. Nie zamierzałam też oskarżać jej o cokolwiek, nie mając dowodów - wtedy nie różniłabym się od Citronelli. Gdyby Milly była rok młodsza, mogłabym udawać, że zawędrowała do jej pokoju i znalazła pieniądze, ale jako trzylatka Milly zapewne zaprzeczyłaby temu.

Siedząc w poczekalni i słuchając szumu suszarek, wzięłam egzemplarz magazynu „I Say!” i zaczęłam z radosnym obrzydzeniem czytać *Prawdziwe wyznania. Babcia ukradła mi faceta!; Mąż wymienił mnie na porsche!; Sekretne życie mojej matki!* Niestety, chłonę takie opowieści, kiedy mam okazję, a zwykle mam tylko u fryzjera. Zadrzałam. *Mojego chłopaka pożarł rekin!*

- Cześć, Anno - powiedziała Sandra. - Dawno cię nie widziałam.

Myślałam nawet, że zdradziłaś nas z innym salonem.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. - Odłożyłam pismo. - Po prostu byłam zbyt zajęta.

- Dobrze, że przyszałaś. - Przekrzywiła głowę na bok, oceniając moją fryzurę. - Potrzebujesz porządnego strzyżenia, mała.

- Aha, jak krzak po zimie. Możesz je pocieniować?

- Jasne. - Zważyła włosy w dłoni. - To im doda objętości.

- I zdrowia. Wyglądają, jakby miały anoreksję.

- Po prostu są bardzo cienkie - mówiła, owijając mnie w błyszczącą czarną pelerynkę. - Ale co u ciebie słychać? - zapytała, kiedy zmierzałyśmy w stronę długiego rzędu białych umywalek.

- Wszystko okej, dzięki. Prawdę mówiąc, nawet całkiem dobrze.

- Czyli interes się kręci? - Odchyliłam głowę do tyłu, gdy zaczęła myć mi włosy. - A tak przy okazji, byłaś świetna w GMTV. Teraz wiem, gdzie wetknąć mojego polyanthusa! - Zachichotała. - Będziesz jeszcze w tym programie?

- Tak, w czerwcu. - Rozkoszowałam się kojącym strumieniem ciepłej wody na linii włosów. - Poprosili mnie, żebym występowała co trzy miesiące.

- A skąd się tam w ogóle wzięłaś?

- Producent zadzwonił do mojego byłego wykładowcy, prosząc o polecenie kogoś, a on łaskawie polecił mnie.

Sandra wcierała mi szampon w skórę głowy; westchnęłam z ulgą, czując, jak mój stres rozpuszcza się pod jej silnymi palcami.

- Więc jesteś zajęta.

- Jestem. Mam teraz duże zamówienie w Boltons.

- No proszę...

- A oprócz tego do zrobienia jeszcze dwa małe ogródki.

- Już ostatnie płukanie. A jak tam Milly? - Przeszłyśmy do lustra.

- Całkiem dobrze, dzięki. - Starłam z ucha kroplę wody. - Właśnie poszła do Pachnącego Groszku.

- A ty jak? - zapytała Sandra, rozczesując mi włosy. - Poznałaś już kogoś? - Spojrzałam w lustro, a ona pokiwała na mnie karcąco grzebieniem. - Dziecko dzieckiem, ale masz prawo do własnego życia. - Sandra, samodzielnie wychowująca córkę, Lydię, teraz już szesnastoletnią, chętnie udzielała mi rad doświadczonej samotnej matki.

- Hm... - Wahałam się chwilę, bo wiem, że ona lubi poplotkować. Ale z drugiej strony nie miałam nic do ukrycia. Dlaczego miałam nie powiedzieć jej o Patricku? Poczulałam, że nachodzi mnie nastrój na wyznania. - Owszem, jest ktoś. Prawdę mówiąc, mam dziś wieczorem randkę.

Sandra uśmiechnęła się do mnie.

- Świetnie. - Uniosła pasemko włosów, wetknęła w nie grzebień i ciachnęła końce nożyczkami. - Opowiedz mi o nim.

- No więc - zaczęłam, gdy jedna z uczennic przyniosła mi kawę - jest uprzejmy, przyzwoity, przystojny i zaradny.

- Jednym słowem, bardzo interesujący facet.

- Nie znam go zbyt długo, ale go lubię.

- Wspaniale - skomentowała krótko Sandra. Odpadki wilgotnych włosów sypały się na podłogę. - A jak go poznałaś? - Opowiedziałam jej zdarzenie z bucikiem Milly. - Bardzo romantycznie - uznała. Potem opowiedziałam jej, co zaszło na parafialnym festynie. - Historia jak z filmu - stwierdziła. - To było przeznaczenie.

- Niekoniecznie - odparłam, chichocząc. - Bo potem odkryłam, że on pomógł losowi - kupił prawie wszystkie bilety.

- Rany! Najwyraźniej się zakochał i musi być dobrze sytuowany. Co robi?

- W tej chwili niewiele. W zeszłym roku sprzedał swoją firmę internetową i teraz szuka czegoś nowego. Za to uwielbia ogrodnictwo - mówiłam - więc wspólne zainteresowania. A na dodatek hoduje pszczoły.

Sandra przestała ciąć moje włosy.

- Pszczoły? - powtórzyła, patrząc na mnie w lustrze.

- Tak, ma trzy ule w ogrodzie.

- A gdzie mieszka?

- Na St Peter's Square.

- A przedtem mieszkał w Brook Green? Na Caithness Road?

- Skąd wiesz? - Spojrzałam na nią, ale tym razem uciekła wzrokiem.

- Mówisz o Patricku Gilchriście. - Wróciła do strzyżenia.

- Zgadłaś. Znasz go?

- Niezbyt dobrze. - Zebrała na grzebień kolejne pasemko. - Ale znałam jego byłą.

- Tak? - Powinnam trzymać język za zębami, pomyślałam. - W jakim sensie?

- Była moją klientką przez cztery lata, kiedy z nim żyła. Dostaję od niej maile od czasu do czasu. Jest miła.

- Naprawdę? Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się miłe zabieranie dziecka do Nowej Zelandii, wbrew jego ojcu, który mieszka w Anglii.

- No... To nie świadczy dobrze - przyznała Sandra. - Ale z jej punktu widzenia... Miała swoje powody. Zresztą, nie wiem. Nie moja sprawa.

- Ale Patrick - usiłowałam skierować rozmowę na mniej śliski grunt - jest bardzo atrakcyjny, zrobił na mnie wrażenie, choć faktycznie znam go dość krótko.

- Nie wątpię. I z pewnością jest czarujący.

- I miły - dorzuciłam, zamykając temat. - Mam dobre przeczucia co do niego.

- Mogłabyś unieść głowę? - powiedziała Sandra.

- Czy możesz przyjść trochę wcześniej, żebym mógł ci pokazać pszczoły? - Patrick zadzwonił, gdy wracałam już do domu. - Powiedzmy o wpół do szóstej?

- Okej. Chyba nie będzie problemu.

- Weź kalosze i załóż spodnie, najlepiej w jasnym kolorze, i bluzkę z długimi rękawami, jak wyżej. I za żadne skarby nie perfumuj się, nie lakieruj włosów, nie zakładaj wełny i nie żuj czosnku. Jasne?

- Jasne. - Żałowałam, że nie włożę seksownej kaszmirowej sukienki i że moja fryzura straci fason, będę musiała umyć włosy ze względu na lakier.

Gdy otworzyłam drzwi, usłyszałam śpiew.



- *Las ruedas del autobus giran i giran, giran i giran, giran i giran...* -

Luisa i Milly nawet nie zauważyły, że stoję w drzwiach kuchni. - *Las ruedas del autobus giran i giran Todo el dia! Los bebes del autobus...*

- Luisa! - wrzasnęłam. Przestały śpiewać; Milly odwróciła się i podbiegła do mnie po całusa.

- Cześć, moja dziewczyneczko! Wychodzę o piątej - powiedziałam Luisie, stawiając czajnik na kuchence. - Wrócę przed dziesiątą.

- *Bueno.*

- Ładnie wyglądasz. - Patrzyłam z podziwem na jej łososiową jedwabną bluzkę. - To nowa?

Luisa zaczerwieniła się.

- Tak.

Wyjęłam mleko z lodówki.

- A tak przy okazji, Luiso, prosiłam cię, żebyś nie dawała Milly prezentów. Pozytywka jest śliczna, ale musiała kosztować ze dwadzieścia funtów.

- Och, ale Milly... ona bidziała to w sklepie i strasznie spodobała. Ja jej dała ono na Białką Noc.

- Ale przecież nie możesz jej kupować rzeczy. Na pewno nie masz dość pieniędzy - dodałam obłudnie. - Dostajesz siedemdziesiąt funtów na tydzień.

Luisa znów oblała się rumieńcem.

- Jest... okej, Anna.

- Chciałabym ci za to zapłacić - powiedziałam. - Czuję się nie fair.

- Nie, ty nie płaci - upierała się Luisa. - Ja kocha Milly. - W jej wielkich brązowych oczach błyszczały łzy. - A przez ono Milly szczęśliba, to i ja szczęśliba.

- No dobrze. - Westchnęłam. - To bardzo miło z twojej strony, ale proszę, nie kupuj jej nic więcej. A gdyby ci kiedykolwiek brakowało pieniędzy, pomogę, na ile będę mogła, okej?

- Och... ale ja ma dość. Ty bardzo miła na mnie, Anna - mówiła, jak na moje ucho z poczuciem winy. Zamyślona poszłam na górę, żeby wziąć prysznic.

Kiedy przyjechałam do Patricka, pocałował mnie w policzek; ten dotyk mnie zelektryzował. Ostatni mężczyzna, z którym spałam, to Xan.

Przez następne lata byłam zbyt skupiona na Milly, zbyt zapracowana i zbyt smutna z powodu rozstania, by stworzyć nowy związek. Ale teraz, tak jak zimujące pszczoły Patricka, czułam się gotowa, żeby wyjść na świat.

- Dziś po południu przeglądałem ule - oznajmił, wprowadzając mnie do domu. - Trzeci zostawiłem sobie na teraz, bo pomyślałem, że możesz być ciekawa, jak to wygląda.

- Jestem ciekawa - powiedziałam niespokojnie. - Pod warunkiem, że mnie nie pożądlą.

- Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że ani jeden gość czy sąsiad nie został nigdy zaatakowany przez moje pszczoły.

- A ty? - zapytałam. Weszliśmy do kuchni.

- Oczywiście, to się zdarza może trzy, cztery razy w roku, ale zwykle jest to skutek mojej nieostrożności. Teraz musimy się ubrać - powiedział, otwierając tylne drzwi.

Na tarasie włożył biały kombinezon, gumowe buty i parę gumowych rękawic, w które wetknął mankiety.

- Musisz wszystko dobrze poutykać - wyjaśnił - żeby nie dostały się pod ubranie. - Zadrzałam bezwiednie na tę myśl. - Okej - powiedział, gdy wetknęłam nogawki spodni w kalosze i wepchnęłam bawełnianą bluzę za pasek. - Mam dla ciebie bluzę ochronną, proszę... - Włożyłam ją, a Patrick podał mi kapelusz pszczelarski. Gdy spojrzałam na niego przez woalkę, poczułam się jak panna młoda. Przypiął osłonę suwakiem do bluzy, wokół ramion, wetknął mi mankiety w rękawice i obejrzał uważnie całość, obracając mnie, by sprawdzić, czy wszystko jest szczelne. - Dobra. .. Jesteś pszczołoodporna. - Sam też włożył kapelusz, przypiął do kombinezonu, po czym wziął skrzynkę z narzędziami i podkurzacz. - Chodźmy. Jeśli pszczoła na tobie wylądzuje, nie oganiaj się, ona tylko chce cię obejrzeć.

- Co się właściwie robi z ulami? - zapytałam, gdy szliśmy na koniec ogrodu. *Magnolia grandiflora* była okryta woskowatymi różowymi kwiatami, podobnie jak *Kerria japonica*, z jej bujnymi kępami morelowych pomponów. Pięknie wyglądały jabłonie kremowe od kwiecica.

- O tej porze roku tylko podstawowe zabiegi higieniczne i wiosenne sprzątanie. Trzeba wymieść martwe pszczoły, sprawdzić, czy nie ma roztoczy i chorób. Dokarmiam je też syropem z cukru, żeby dodać im sił po zimie, bo ich zapas miodu jest praktycznie na wyczerpaniu.

Zatrzymał się przy drewnianym stole na kozłach; upchał do podkurzacza podarty papier oraz kawałki konopnego sznurka i przyłożył zapalną. Powietrze wypełnił drażniący zapach.

- Najlepiej, żebyś siedziała na ławce, kiedy będę otwierał ule.  
Zawołałam cię, kiedy będzie coś do obejrzenia.

Cofnęłam się, a Patrick okadził dymem wejście do wylotu ula.

- Co to daje?

- Uspokaja je, bo myślą, że gdzieś jest pożar. Muszą się wtedy przygotować do ucieczki i zjeść trochę miodu, by dodać sobie energii.

- Dziwnie. Gdybym ja myślała, że w pobliżu jest pożar, raczej nie zatrzymywałabym się, żeby zrobić sobie kanapkę.

- Cóż, pszczoły to tajemnicze stworzenia. - Patrick uniósł dach ula, co na oko wymagało sporo wysiłku, po czym za pomocą płaskiego stalowego narzędzia wyjął ze środka drewnianą tacę. - To nadstawka - objaśnił. - W niej jest obsadzonych kilka ramek - delikatnie, z cichym trzaskiem wyjął jedną - i tu się robi miód. Jak się miewasz?

- Okej - powiedziałam niespokojnie. Powietrze wibrowało od gniewnego brzęczenia. - Masz rój pszczół wokół głowy. - Tworzyły czarną aureolę.

- Są trochę złe, bo zakłóciłem ich spokój. Dostyc, miłe panie! - przemówił do pszczół, szturmujących jego woalkę jak maleńkie myśliwce. - To tylko ja, dziewczyny!

- Więc to są dziewczyny?

- Tak. Trutnie, czyli samce, stanowią zaledwie dziesięć procent roju i ich jedynym zadaniem jest kopulacja z królową. Kiedy już skończą, są

wywalane z ula z urwanymi skrzydełkami. Wiem, jak się czują- dodał z drwiącą goryczą.

Kilka pszczoł krążyło nad moją głową.

Jęknęłam, gdy zaczęły atakować moją woalkę. Wciąż ich przybywało; leciały prosto na mnie, bombardowały mnie, bzykały gniewnie koło uszu i łaziły po rękawach, przyprawiając mnie o gęsią skórkę. Spróbowałam je strząsnąć. Serce waliło mi jak młotem. Odganiałam je rękami, ale wciąż wracały. Nie mogłam tego znieść. Zerwałam się z ławki i zaczęłam oddalać.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Patrick. - Nie chodź tak! Przepraszam. Ja... nie chciałem krzyczeć. Proszę cię, nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów, bo mogą cię użądlić przez woalkę. - Uznałam, że pszczelarstwo jest nie dla mnie. - One są po prostu ciekawskie - dodał uspokajającym tonem, gdy ostrożnie usiadłam z powrotem, z wciąż jeszcze łomoczącym sercem. - Chcą się dowiedzieć wszystkiego o tobie, tak jak ja.

Trochę się uspokoiłam. Pszczoły, być może wyczuły to i wycofały się.

- Czy sąsiedzi nie mają nic przeciwko temu, że ule stoją w pobliżu ich domów? - odezwałam się po dłuższej chwili.

- Nie mam z tego powodu kłopotów. - Pokręcił głową. - Należy stawiać ule przy ogrodzeniu albo obok drzewa, żeby pszczoły były zmuszone od razu lecieć do góry, kiedy wyruszają. Trzeba im też zapewnić wodę - wskazał ruchem głowy sadzawkę - wtedy nie będą jej szukać w innych ogrodach. A poza tym nie otwieram uli w weekendy i daję sąsiadom miód. To zawsze poprawia stosunki.

- Mogę ci się do czegoś przyznać?
- Tak, pod warunkiem, że nie powiesz mi, że się z kimś spotykasz.
- Nie. - Uśmiechnęłam się. - Nie spotykam się. Chodzi o to, że ja...

nie lubię miodu.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Dlaczego? Przecież to pokarm bogów!

- Po prostu nie. Przykro mi. Nigdy nie lubiłam.

- No proszę... Liczę jednak, że mój ci posmakuje, jeśli sobie nie pochlebiam. Możesz pomóc mi go wybierać latem. A teraz chodź i popatrz. - Wahałam się chwilę. - No chodź - zachęcił mnie. - Nie zrobią ci krzywdy.

Podeszłam i nerwowo zajrzałam do ula. Kilkaset pszczoł łąziło po dużym plastrze miodu, brzęcząc głośno.

- *Apis mellifera mellifera* - powiedział Patrick. - U siebie w domu. To są robotnice - wyjaśnił. - W ciągu trzech tygodni zarobią się na śmierć, biedactwa, zbierając nektar od świtu do zmierzchu.

- Jak daleko latają?

- Jakieś pięć kilometrów. Mogłabyś trochę podymić, z łaski swojej? Odwiedzają sześćset kwiatów dziennie. Potrzeba miliona kwiatów, żeby zrobić jeden słoik miodu. A teraz popatrz na tamte na dole.

Spojrzałam na frontową część ula, gdzie trzy czy cztery pszczoły stały u wejścia z uniesionymi odwłokami, wachlując powietrze skrzydełkami.

- Co one robią? Obijają się?

- Wysyłają zapach, rozpylając go w powietrzu, i zawiadamiają inne pszczoły, żeby wróciły i pomogły im strzec ula.

- Gdzieś słyszałam, że pszczoły tańczą. To prawda?

- Tak, wykonują taniec, poruszając szybko odwłokiem z boku na bok; sekwencje się powtarzają, a liczba powtórzeń, kierunek ruchów i dźwięk, który przy tym wydaje pszczoła, informują dokładnie, gdzie można znaleźć pyłek.

- Genialne.

- Pszczoły są genialne. Genialne i pracowite. Mogą być dla nas przykładem.

Teraz Patrick spryskał ramkę syropem z cukru, wsunął ją z powrotem w nadstawkę i wyciągnął następną.

- Aha. Tu jest - ucieszył się. - Jej Królewska Mość. Nie martw się, nie musisz dygać. - Przyjrzałam się królowej. Miała z pięć centymetrów długości, otaczał ją dwór. - Świetnie - mruknął Patrick. - Ma się doskonale, przeżyła zimę i zaczęła składać jajeczka. - Uniósł ramkę pod światło. - Widzisz jajeczko w każdej z tych komórek? W tej chwili składa ich jakieś dwieście dziennie, ale w czerwcu to będzie dwa tysiące dziennie.

- Ile pszczół tu wtedy będzie?

- Około pięćdziesięciu tysięcy; teraz jest jakieś dziesięć tysięcy. W czerwcu wykazują największą aktywność, bo jest najwięcej nektaru.

- Ile jest królowych?

- Jedna w każdym ulu. Ta to Victoria... Beckham, oczywiście, a dwie pozostałe to Elizabeth...

- Hurley?

- Tak. I Kleopatra. Wszystkie mają przycięte skrzydełka, żeby nie opuściły ula, bo wtedy pszczoły by się wyroiły.

- Co cię tak pociąga w pszczelarstwie? - zapytałam, gdy szliśmy z powrotem do domu dwadzieścia minut później. - Radość z posiadania własnego miodu?

- Nie, bo miód się wybiera tylko raz do roku. Myślę, że chodzi tu o współpracę z naturą, o akceptację faktu, że oto jest coś, czego nie możesz kontrolować...

- Ale... dlaczego to cię kręci?

- Rzecz w tym, że trzeba się poddać naturze i dostosować do niej. Kiedy pada, pszczoły będą pędzić do ula, bo nie cierpią wilgoci. Kiedy zbliża się burza, słyszysz głośne huczenie z uli, gdy pszczoły ze zdenerwowania biją skrzydełkami.

- A kiedy są szczęśliwe?

- Wtedy słyszysz tylko miły szum. Uwielbiam to łagodne mruczenie zadowolonych pszczół. - Zdjął kapelusz i kombinezon. - Pszczelarstwo jest lepsze od wszelkich terapii, to joga dzisiejszych czasów. Kiedy pracuję z pszczołami, mój stres po prostu wyparowuje. Mówię im o wszystkim - dodał, odpinając swoją woalkę.

- Naprawdę?

- Tak. Dzisiaj powiedziałem im, że przychodzisz.

- I jak brzęczały?

- Były zachwycone, szczególnie ich ucieszyło, że zajmujesz się ogrodami. Ale dość tego gadania o pszczołach, trzeba cię rozebrać. - Gdy zdejmował mi kapelusz, woalka musnęła moją skórę. Potem rozpiął mi



blużę. Kiedy tak stałam, tuż przy nim, wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po twarzy. Poczułam dreszcz. - Napijmy się szampana.

Siedzieliśmy przy stole w kuchni. Palące się świece dawały ciepłe, miękkie światło.

- A co ciebie pociąga w projektowaniu ogrodów? To, że ogrodnictwo stało się seksowne? Że to nowy rock and roll? - mówił Patrick.

- Nie. - Zgarnęłam łyżeczką reszkę czekoladowego musu. - To, że się wiąże ze sztuką, architekturą, ogrodnictwem i wyczuciem koloru, ze znajomością światła i gleby. Uwielbiam to, bo każdy dzień jest inny, bo spędzam dużo czasu na powietrzu i projektuję coś, co, mam nadzieję, będzie sprawiać komuś przyjemność przez wiele lat.

- Robisz coś, co sprawia ci satysfakcję.

- Wielką. Możliwość przemienienia obscurnego podwórka w, powiedzmy, kawałek Włoch, o co poproszono mnie w Hampstead, to wspaniałe uczucie. Uwielbiam przemianę projektu w rzeczywistość i to, że robię coś, co przetrwa.

- Rośliny nie są wieczne. - Nappełnił czajnik.

- Masz rację, czas ich życia jest ograniczony. Ale szkielet ogrodu, ścieżki, murki, bruk, przetrwa dziesięciolecia. I to jest to, czego brakowało mi, kiedy pracowałam w City. Poczucia, że robię coś ważnego i że tworzę coś, co pozostanie. A w funduszach powierniczych... Wiesz, jak to działa: ludzie handlują akcjami, których nawet nie są właścicielami; po prostu obstawiają, czy ceny pójną w górę, czy spadną, a potem biorą sobie dwadzieścia procent od ogromnych zysków. Nie mogłam uwierzyć, że

dostają tyle pieniędzy za pracę z czymś, co nawet nie istnieje. Wiedziałam, że muszę to rzucić i zająć się czymś... wartym wysiłku.

- I teraz się zajmujesz, i to z niemałym sukcesem. - Pomyślałam o ogrodzie w Boltons, który powoli nabierał kształtu. - Napijesz się miętowej herbaty?

Pokręciłam głową.

- Powinnam już wracać.

- Mam nadzieję, że cię jeszcze zobaczę - powiedział, pomagając mi włożyć płaszcz.

Wzięłam torbę.

- Ja też mam nadzieję, że mnie jeszcze zobaczysz.

- Naprawdę?

- Tak. - Uśmiechnęłam się do niego. - Naprawdę. Spojrzał mi w oczy.

- W takim wypadku masz coś przeciwko, żebym cię pocałował? Moje serce spadło lotem nurkowym do żołądka.

- Nie. To znaczy... tak, to znaczy... nie mam... nic przeciwko, właściwie... ja...

Ale usta Patricka były już na moich. Zagarnął mnie władcym gestem i otoczył ramionami niczym obręczą, a ja czując silne ciało mężczyzny przy swoim, poddałam mu je z radosną ulgą. Byłam odurzona tą wyczuwalną wszystkimi zmysłami seksowną bliskością.

Krew buzowała mi w żyłach z pożądania, kiedy jechałam do domu. Pomyślałam o Xanie. Zostawił mnie dawno temu, a teraz nareszcie nadszedł moment, żebym ja zostawiła jego. Sandra się nie myliła: miałam

prawo do własnego życia, do tego, żeby poszukać miłości - a przynajmniej odpowiedniego partnera, który byłby męskim wzorcem dla Milly.

Potrzebowała kogoś takiego, a Xan nie mógł się temu sprzeciwić. Przez niemal cztery lata wiodłam egzystencję Kopciuszka, potulnie czekając w cieniu; może wreszcie przyszedł czas, żeby pójść na bal.



## *Rozdział 8*

No pięknie - powiedział Jamie trzy tygodnie później; staliśmy w błocie i deszczu w ogrodzie Edwardsów. - Pomyliłaś się o sześć centymetrów.

- Nic podobnego. - Czułam, jak kropelka wody cieknie mi po karku.

- Zmierzyłam dokładnie.

- Nie wydaje mi się, skarbie. Jeszcze raz pokazałam mu plan.

- Nie wiem, dlaczego wiecznie musimy się kłócić o to samo, Jamie.

- Bo w ogóle wiecznie się kłócimy - odparł zgryźliwie. Zwykle tak dobroduszny Jamie cały dzień był zaczepny, marudny, w podłym humorze.

- Owszem, spieramy się o różne rzeczy - mówiłam - bo taka jest natura naszych zawodowych relacji, ale zawsze dochodzimy do kompromisu, więc popatrzmy na to jeszcze raz. - Wyjęłam taśmę mierniczą. - Złap za koniec.

- Mówię ci, że nic z tego nie będzie - upierał się Jamie. Wskazał rysunki. -Anie możemy sobie pozwolić na pomyłkę, kiedy kamień kosztuje sto dwadzieścia funtów za metr kwadratowy.

- Prawda. - Rozejrzałam się po ogrodzie. Pierwotne stałe elementy zostały usunięte, a teren zniwelowany. Elektryk położył kable pod oświetlenie, spec od irygacji zainstalował system nawadniający, a następnego dnia robotnicy mieli kłaść płyty kremowego wapienia, leżące pod brezentową plandeką.

- Jest osiem centymetrów różnicy- obstawał przy swoim Jamie, gdy zabraliśmy się do ponownego mierzenia. - Więc fugi między płytami będą za szerokie.

- Nie będą, mówię ci.

- Nie chcę żadnego łatania ścinkami, ludzie powiedzą, że się nie znam na robocie.

- Nie zrobimy tego. Ale słuchaj, Jamie. - Spojrzałam na zegarek. - Edwardsowie niedługo będą w domu. Lepiej, żeby nas nie zastali użerających się w ich ogrodzie. Ja muszę zaraz jechać do Milly, więc dajmy sobie na dzisiaj spokój i prześpijmy się z tym.

- Okej. - Westchnął. - Jak chcesz. - Zaczął porządkować plac budowy: schował narzędzia do prowizorycznej szopy, przykrył betoniarkę niebieską foliową plandeką i pozwijał kable na szpule.

- Możesz mnie podrzucić do domu? - zapytałam. - Samochód mi się znarowił, stoi w warsztacie.

- Jasne.

- Wszystko u ciebie w porządku, Jamie? - zagadnęłam, siedząc już w jego starym pikapie.

- Doskonale - odparł znużonym tonem. - Nigdy nie było lepiej. - Zatrzymał się na czerwonym świetle i przeczesał dłonią wilgotne włosy. - Czuję się po prostu... cudownie.

Zerknęłam na niego.

- Nieprawda.

Słuchaliśmy rytmicznego odgłosu wycieraczek jeżdżących w tę i z powrotem po szybie.

- Nie. - Westchnął. - Masz rację. Nie jest dobrze. Nie mogę jeść, nie mogę myśleć, nie mogę spać. Przepraszam, że trochę mnie dzisiaj poniosło, ale nie spałem całą noc. - Oparł czoło o kierownicę i zamknął oczy.

- Co się stało, Jamie? - Nie odpowiedział. Nagle, ku mojemu zdumieniu, dostrzegłam, że wargi mu drżą. - Możesz ze mną pogadać - dodałam łagodnie. - Nie jesteśmy tylko współnikami, jesteśmy przyjaciółmi. I jeśli masz problemy, postaram się pomóc.

Ścisnął mocniej kierownicę, uniósł głowę i gapił się w szybę.

- Więc w czym rzecz?

Światło zmieniło się na zielone; Jamie zwolnił ręczny hamulec.

- Mam kłopoty - powiedział cicho, gdy ruszyliśmy.

- Jakie? - zapytałam, choć domyślałam się o co chodzi.

- Z Theą. - Dostał wypieków z emocji.

- Bo tak często wyjeżdża? - Pokiwał głową.

Teraz dopiero zastanowiło mnie, że choć znam Jamiego już dwa i pół roku, Theę widziałam zaledwie trzy czy cztery razy. Zawsze starała się być miłą, ale wyczuwałam, że to raczej wyćwiczony urok specjalistki od public relations.

- Nie może sobie znaleźć pracy, która pozwalałaby jej spędzać więcej czasu w Londynie?

Jamie zmienił bieg.

- Prosiłem, ale ona nie chce. W pewnym sensie ją rozumiem. Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat, jest ambitna, uwielbia podróżować. W pracy jest na fali i dobrze zarabia, ale to nie jest dobre dla nas. –

Pomyślałam o pustym miejscu, które zostawił w ogrodzie na zjeżdżalnię albo huśtawkę. - Bardzo chciałbym mieć rodzinę - ciągnął - i czuć, że pracuję dla kogoś. Jesteśmy małżeństwem już cztery lata. Mam już tego wyżej uszu.

- Zmieniła zdanie w sprawie dzieci?

- Nie. A przynajmniej tak twierdzi. - Skręcił w Havelock Road. - Na razie to wykluczone. Przed ślubem mówiła, że ma nadzieję zajść w ciążę w ciągu półtora roku, ale potem dostała tę pracę w agencji The Pitch i wszystko się zmieniło. W każdym razie... jestem teraz trochę rozkojarzony, łagodnie mówiąc. - Zatrzymał się pod moim domem.

- Wejdiesz na piwo? - Silnik mruczał na jałowym biegu.

- Nie wiem...

- Możesz zaparkować na moim miejscu. No wejź, Jamie. Proszę. Nie chcę cię zostawiać w takim nastroju.

- Okej. - Wyłączył silnik. - U mnie w domu nikogo nie ma, no i miło będzie zobaczyć Milly, nie widziałem jej chyba ze dwa tygodnie.

Wtykając klucz do zamka, usłyszałam, że Milly pędzi przez przedpokój.

- Mamusia! - Podniosłam ją i ucałowałam.

- Cześć, szkrabie! Dzięki, Luisa. Teraz ja się nią zajmę.

- To ja idę do basenu, Anna.

- Baw się dobrze. - Ciekawe, czy naprawdę wybierała się na basen. - Popatrz, Milly - powiedziałam. - Jamie przyszedł. - Mała uśmiechnęła się do niego i odwróciła wzrok, nagle zawstydzona. - Może poczyta ci bajkę.

- Oczywiście, że poczytam ci bajkę, księżniczko. - Rozsznurował swoje zabłocone traperki. - Zajrzyjmy do twojego pudła, co ty na to?

Gdy postawiłam Milly na podłodze, pobiegła do salonu.

- Gąsionica! - krzyknęła. - Chcę o gąsionicy, Jamie! Otwierając lodówkę, usłyszałam, że Jamie zaczął czytać *Strasznie*

*głodną gąsienicę*, i jak zwykle, Milly chciała jak najszybciej dotrzeć do końca.

- W sobotę zjadła... jeden kawałek ciasta - słyszałam głos Jamiego.

- ...jednego pikla... jedno salami... jednego lizaka - odpowiadała Milly, która wyprzedzała z podnieceniem fabułę i błyskawicznie odwracała kartki.

- .. Już nie była głodna... prze-pię-kny motyl... koniec! - wykrzyknęła triumfalnie.

- Zawsze to samo - zawołał do mnie Jamie.

- Wiem - odparłam. Otworzyłam dwie butelki Stelli. - To jak czytanie Shakespeare'a ze ściagi gimnazjalisty. Pędzi przez tę historię sto na godzinę.

- Jak myślisz, dlaczego to robi?

- Bo uwielbia krzyczeć „koniec!” Prawda, szkrabie?

- Poczytajmy coś innego - zachęcał Jamie.

- Gruffano! - wrzasnęła Milly.

- *Gruffalo*? A, tu jest. Okej? Gotowa, panienko Milly?

- Gotowa.

- No dobrze.

- „Myszka wyszła na spacer po głębokim, ciemnym lesie... lis...”



- ...Podziemny domek- usłyszałam Milly - ...kościaste kolana... sowa, krzyknąłem... pieczonego lisa... domek z bali... Gruffano zawalił... koniec! Chcę DBD, mamusiu!

- Możesz jej włączyć DVD? - poprosiłam Jamiego. - Wybierze sobie.

- *Królik Piotruś!* - usłyszałam. - *Chcę Królika Piotrusia!* Weszłam do pokoju z tacą. Milly usadowiła się w swoim małym żółtym foteliku i zajęła się oglądaniem filmu, od czasu do czasu przykładając rączkę do buzi w dramatycznych momentach, gdy Piotruś ledwie unikał nieszczęścia, spoglądała wtedy na nas wystraszona.

- Nie mógłbyś czasem towarzyszyć Thei? - zapytałam Jamiego, podając mu piwo.

Pokręcił głową.

- Jestem zbyt zajęty. A poza tym czułbym się niezręcznie. Jakbym jej nie ufał.

- Ale ufasz? Umilkł na chwilę.

- Zawsze ufałem - odparł ostrożnie, bawiąc się szklanką. - Ale teraz nie jestem już pewny. - Poczułam niepokojące łaskotanie w żołądku. - Znalazłem coś dwa dni temu. Nie wyolbrzymiam sprawy, ale... - Wzruszył ramionami. - To nie wygląda dobrze.

- Mów.

- No więc.. - Przełknął ślinę. - W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Thea trzy razy była w RPA i za dziesięć dni jedzie znowu. Miałem parę rzeczy do prania, więc wyciągnąłem wszystko z kosza na brudy i na dnie była sukienka Thei. Już miałem ją wrzucić do pralki, ale wymacałem coś w kieszeni. Wizytówkę. - Milczał chwilę. - Jakiegoś Percy'ego du Plessisa.

Thea nigdy o nim nie wspominała, ale to wiceprezes Południowoafrykańskiej Federacji Tenisowej. Na odwrocie napisał, że „nie może się doczekać”, kiedy znów ją zobaczy, i już się cieszy na „gorącą randkę” w maju, i że będzie się z nim „cholernie dobrze bawiła”, wielokrotnie.

- No cóż...

- Nie musisz mnie pocieszać - wychrypiał Jamie. Napił się piwa. - To oczywiste, co się dzieje. - Fakt, nie wyglądało to dobrze. - Thea ma tyle pokus, kiedy jest za granicą. Mieszka w pięciogwiazdkowych hotelach, jest zapraszana na te wszystkie przyjęcia i bankiety, spotyka atrakcyjnych, wpływowych mężczyzn, którzy zapewne jej pragną... przecież jest taka piękna.

- A jak się zachowuje wobec ciebie, kiedy jest w domu?

- Zwykle wszystko jest... dobrze - odparł. - Bardzo się cieszy, że znów mnie widzi. Ale ostatnio wydawała mi się jakaś dziwna. Przeczynałem, że coś może się dziać. Potem znalazłem tę wizytówkę i... - Wzruszył ramionami. - Najwyraźniej coś się dzieje. - Oparł głowę na dłoniach. Zobaczyłam, że Milly posłała mu skonsternowane, ale i pełne współczucia spojrzenie. Po chwili podeszła do niego i poklepała go po nodze, z pytaniem w oczach. - Dziękuję, skarbie. - Poglaskał ją po głowie.

- Może być tak, że podoba się temu Percy'emu jak mu tam - mówiłam, biorąc małą na kolana - ale nie masz dowodu, że ona to odwzajemnia, prawda?

- Nie. - Westchnął. - Nie wiem. - Podniósł znikopis i narysował kota, którego Milly zmazała, pociągając za dźwignię. - Ale człowiek ma

intuicję. Czuję, że Thea się zmieniła i to z powodu innego mężczyzny. - Napisał na znikopisie „Thea i Jamie” dużymi, ozdobnymi literami. Pociągnął za dźwignię, puścił ją, a imiona zostały powoli zmasane z mechanicznym brzęczeniem. - Gdyby mnie zdradziła, nigdy bym się z tego nie otrząsnął - dodał cicho.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo - poradziłam mu. - Po prostu z nią porozmawiaj. Kiedy wróci z podróży, poczekaj, aż odpocznie, a potem spokojnie pokaż jej wizytówkę i powiedz, jak się poczułeś, gdy ją znalazłeś. Daj Thei możliwość wytłumaczenia się, inaczej twoje podejrzenia, które pewnie są bezpodstawne, mogą zniszczyć wasz związek.

- To prawda. Dzięki, Anno. - Westchnął jeszcze raz. - Pójdę już. Mam mnóstwo roboty. Pa, pa, mała księżniczko. - Milly wyciągnęła rączki, by ją uściskał. - A jak tam sprawy z twoim księciem z bajki? - zapytał, wkładając buty. Powiedziałam mu, że spotykam się z Patrickiem.

- Całkiem dobrze... Wciąż jesteśmy na etapie poznawania się, nie zamierzam się z niczym spieszyć, ale... lubię go.

- Więc jest miłym gościem?

- Takie robi wrażenie.

- No dobrze. A Milly już go poznała?

- Nie. Na to jeszcze o wiele za wcześnie.

Jamie był tak przygnębiony z powodu Thei, że byłoby nietaktem opowiadać mu, jaka szczęśliwa jestem z Patrickiem. Spotykaliśmy się od trzech tygodni. Nie zamierzałam powtórzyć błędu, którego rezultatem było rozstanie z Xanem, więc działaliśmy bardzo powoli. On zabrał mnie na

kolację i do opery; ja dwa razy kupiłam bilety do teatru. A w przyszły weekend mieliśmy wyjechać. Tata zgodził się pomieszkać u mnie i zająć się Milly, bo nigdy nie zostawiłabym dziecka na noc wyłącznie pod opieką au pair.

- Więc wyjeżdżasz na weekend? - Zadzwoiłam do niego właśnie w tej sprawie.

- Tylko na jedną noc, do Cliveden.

- Bardzo eleganckie miejsce. A z kim? Jeśli wolno spytać, oczywiście.

- Z Patrickiem. Moim nowym... hm... przyjacielem.

- Aha. - Poczułam się skrepowana jak dwunastolatka wybierająca się na pierwszą dyskotekę. - Niby dlaczego nie miałabyś mieć kogoś? - mówił. - Dlaczego nie miałabyś znów trochę poromansować po tym wszystkim, co przeszłaś? Dlaczego nie miałabyś poznawać nowych, interesujących. .. ludzi... i cieszyć się ich towarzystwem? Dobrze cię rozumiem.

Zapadło dziwne milczenie.

- Więc mogę to uznać za zgodę?

- Och - rzucił nieprzytomnie. - Tak. A co zamierzasz w sprawie Luisy? Dowiedziałaś się czegoś więcej?

Opowiedziałam mu o jej schowku z pieniędzmi.

- Trafiłam w ślepią uliczkę. Nie mam dowodu, że weszła w posiadanie pieniędzy nieuczciwie, ale i tak mnie to niepokoi. Ona coś przede mną ukrywa.

- A nic nie wzięła?

- Chodzi ci o coś, co mogłaby sprzedać? Jakąś wartościową rzecz, moją biżuterię? Nie, nic nie brakuje. Pod tym względem jest uczciwa, na pewno.

- Ale jednocześnie jej nie ufasz.

- Chyba nie. - Przygnębiła mnie ta myśl. - Ale przyznasz, że to jest trochę dziwne. Bardziej niż trochę. Cassie uważa, że może chodzić o kokainę, ale nie znalazłam w pokoju Luisy nawet śladu narkotyków. Ostatnio dość często wychodzi... Zawsze twierdzi, że do fitness klubu, ale to może być kamuflaż.

- Więc kiedyś idź za nią.

- To właśnie chcę zrobić, ale potrzebuję cię do opieki nad małą.

Mógłbyś posiedzieć w poniedziałek?

- Obawiam się, że w poniedziałek nie mogę, Anno. Przepraszam.

- To może we wtorek?

- Hm... przykro mi, nie da rady. - Tata zwykle nie był zajęty wieczorami. Od czasu do czasu jadał kolacje ze znajomymi lub w klubie, najczęściej jednak siedział w swoim mieszkaniu albo u mnie. - Nie możesz poprosić Cassie?

- Już prosiłam, ale ona teraz ma zajęte wieczory. A jak ze środą?

Mógłbyś posiedzieć, powiedzmy, od wpół do szóstej do wpół do ósmej?

Poznałam po mlaszczącym odgłosie, że tata raz po raz przygryza dolną wargę.

- Planowałem wyjście.

- Gdzie? - Nie zdołałam się powstrzymać od pytania.

- Do Bridge - odparł pośpiesznie.

- Świetnie... A z kim?

- Z... Travisami. Ale mogę to przesunąć, tak... Pójdziemy na kolację, zamiast na drinka. Prawdę mówiąc, kolacja będzie nawet lepsza. Okej. Powiniennem dać radę w środę o wpół do szóstej.

- Ładna fryzura - powiedziałam, kiedy tata przyszedł.

- Musiałem się ostrzyć - odparł, przeciskając się obok wózka. - Ale nie sądzisz, że trochę za krótko?

- Nie, bardzo dobrze. - Uderzyła mnie fala zapachu cytrusowej wody po goleniu.

- Jesteś pewna? - Spojrzał w lustro u stóp schodów.

- Absolutnie. Do twarzy ci, a fryzura wręcz młodzieżowa.

- Naprawdę? - Przeciągnął lewą dłonią po głowie. - Na ile lat wyglądam z tymi włosami?

- Hm... pięćdziesiąt dwa.

- Żartujesz!

- Wcale nie. - Ucieszyłam się, że mogę ukoić jego znękanego ego. Tata spojrzał na mnie z promiennym uśmiechem. - O, nowa koszula?

- Nagle zauważyłem, że stare wyglądają strasznie nędznie, więc wybrałem się do Selfridges. Podoba ci się?

- Tak. Uważam, że liliowa kratka ci pasuje - skłamałam. - A jak wygląda mieszkanie?

- Bardzo dobrze, ale nie zapomnij o moich nowych donicach, co?

- Boże, przepraszam, ciągle mi to wylatuje z głowy. Niedługo ci je przyniosę, obiecuję.

Już wcześniej spytałam Luisę, czy ma jakieś plany na wieczór, i powiedziała mi, że znów idzie popływać.

- Cześć - zawołałam, gdy wychodziła z domu za piętnaście szósta.

- Cześć, Anna.

- *Adiós!* - krzyknęła Milly znad puzzli z Teletubisiami, rozłożonych na stole w jadalni.

Wyrzłam przez okno salonu - chciałam zobaczyć, w którą stronę pójdzie. Po chwili ucałowałam na pożegnanie zaskoczoną Milly, chwyciłam torebkę i ruszyłam za Luisą. Na nogach miałam sportowe buty, tłumiące odgłos kroków. Przeszłam za nią przez Blythe Road, minęłam mieszkanie Jamiego, i po chwili, klucząc ulicami Brook Green, przekonałam się na własne oczy, że weszła do klubu W6.

Pokazałam kartę wstępu recepcjonistce i odczekałam kilka minut w kawiarni, aż Luisa się przebierze. Ukradkiem zajrzałam przez szklaną ścianę na basen - wyszła z damskiej szatni w granatowym kostiumie kąpielowym. Wzięła prysznic obok jacuzzi, wskoczyła do wody i pływała jakieś pół godziny w tę i z powrotem. Potem, kiedy już się ubrała i zmierzła do wyjścia, minęła kawiarnię, ale mnie nie zauważyła. Z klubu wróciła prosto do domu tą samą drogą.

- Teren czysty - szepnął tata, otwierając mi drzwi. - Ogląda telewizję w swoim pokoju.

- Aha. - Kiwnęłam tylko głową, zdyszana. - No więc, była na basenie, i tylko tam. Ale chciałabym jeszcze ją sprawdzić. Czy możemy to powtórzyć jutro?

- Hm...

- Proszę cię, tato. Bardzo mi zależy.

- No dobrze.

Więc powtórzyliśmy, i wszystko odbyło się tak jak poprzednio.

- Nie sądzę, by Luisa robiła coś, czego nie powinna - mówiłam Patrickowi następnego popołudnia, kiedy jechaliśmy do Cliveden jego bmw. - Śledziłam ją przez trzy wieczory; chodziła tylko na basen, wracała do domu i szła, do siebie oglądać telewizję. Wszystko wskazuje, że prowadzi się bez zarzutu.

- Więc twoje podejrzenia się nie sprawdziły - mruknął Patrick, przecinając zachodni Londyn. - Nie możesz jej zapytać, skąd wzięła pieniądze...

- Nie.

- I nie masz dowodu, że zrobiła coś złego.

- Najmniejszego. Tylko to... dziwne przeczucie. Szczególnie że jej zapas gotówki ciągle rośnie.

- Może chłopak dał jej na przechowanie?

- Może, ale nie wygląda mi na to, żeby kogoś miała.

- Mówisz, że jest pracowita.

- Bardzo, i Milly ją uwielbia.

- Więc ja bym sobie dał spokój. Bardzo trudno o dobrą nianię.

- To prawda. - Wcisnęłam guzik, by uchylić okno.

- Proszę, nie rób tego! - Patrick zamknął okno centralnym przyciskiem. Jego ostry ton zdumiał mnie.

- Dlaczego nie? Jest ciepło. Mamy pierwszą falę upałów.

- Klimatyzacja działa bardzo sprawnie.



- Wiem, ale ja lubię trochę przewiewu. I nienawidzę uczucia, że jestem szczelnie zamknięta w samochodzie jak owad w słoiku.

- A ja nienawidzę mieć otwartych okien, kiedy jestem w mieście. Od spalin robi mi się niedobrze.

- Przecież jest bardzo mały ruch. - To zaczynało niebezpiecznie przypominać kłótnię. Zastanawiałam się, w którym momencie nowego związku kłótnie były do przyjęcia.

- Proszę... Obniżę jeszcze trochę temperaturę. - Pomajstrował przy pokrętle termostatu. - Lepiej?

- Tak - skłamałam, wbijając wzrok w szybę. - Ile nam zajmie dotarcie do celu? - zapytałam, by trochę oczyścić atmosferę.

- Tylko godzinę. Dlatego to świetne miejsce na romantyczne weekendy.

- Dużo ich tam spędziłeś? - Uśmiechnęłam się. Skręciliśmy na autostradę M4.

- Niestety, nie. Pojechaliśmy tam tylko raz z Suzie, kiedy była w ósmym miesiącu ciąży. Kłóciliśmy się przez większość czasu.

- A o co, jeśli wolno spytać?

- O małżeństwo. Uważała, że powinienem po prostu „zrobić to i mieć z głowy”, a ja chciałem czekać, bo znaliśmy się niecały rok.

- No cóż, chyba miałeś prawo.

- Tak czy inaczej, hotel jest uroczy i aż trudno uwierzyć, że znajduje się tak blisko Londynu, nie mówiąc już o Heathrow. Wiedziałem, że nie możesz wyjeżdżać zbyt daleko ze względu na Milly.

- To prawda. Dzięki, że o tym pomyślałeś. Bardzo się cieszyłam na ten wyjazd.

Śmignęliśmy autostradą w kierunku Taplow i wkrótce jechaliśmy już wiejskimi drogami wśród bujnych, długich traw, parasoli dzikiej trybuli i jeziorek błękitnych dzwonków, rozlewających się w lesie po obu stronach drogi. Skręciliśmy na prawo, w długi podjazd obsadzony żywopłotami z wawrzynu, aż dotarliśmy do białej fontanny w kształcie muszli, za którą wznosił się wielki dwór we włoskim stylu.

- Rany - mruknęłam, gdy wypełnił nam pole widzenia.

- Rzeczywiście robi wrażenie, kiedy się go zobaczy pierwszy raz.

Architektem był Charles Barry, który zbudował Pałac Westminsterski. Ten dwór ma wspaniałą historię. Sto lat temu był domem Astorów, i od tamtej pory niewiele tu zmieniono.

Podjechaliśmy pod wejście, jeden lokaj otworzył drzwi, drugi wziął bagaże, a parkingowy zajął się samochodem. Wprowadzono nas po rzeźbionych, dębowych schodach do apartamentu na pierwszym piętrze. Pokój był ogromny, z masywnym kominkiem rzeźbionym w herby, z wielką marmurową łazienką i łóżem osłoniętym żółtym adamaszkowym baldachimem.

- Co za przepych - powiedziałam.

- Owszem, ale nie ma tu zbyt wielu nowoczesnych udogodnień, chociażby klimatyzacji czy minibarku, bo hotel jest prowadzony i utrzymany raczej w stylu wiejskiej rezydencji, jakbyśmy byli prywatnymi gośćmi, a nie płatnymi klientami. Wszelkie dzieła sztuki i antyki pozostały tu z czasów Astorów. Chodźmy pozwiedzać.

Schodząc na dół zatrzymaliśmy się, by podziwiać mroczne portrety Jerzego II, księżniczki Augusty i pełen światła portret Nancy Astor, pędzla Johna Singera Sargenta. Na fortepianie stały w ramach fotografie Astorów z Amy

Johnson, Churchillem i Charliem Chaplinem. Potem napiliśmy się herbaty na tarasie, z którego rozciągał się widok na ogród włoski, przechodzący łagodnie w pozornie niekończącą się połąć falistego parku.

- Ślicznie tu - szepnęłam. - Tak... wytwornie.

Popływaliśmy w ładnym basenie na wolnym powietrzu, a kiedy zapadł zmierzch, siedzieliśmy w jacuzzi, patrząc na pierwsze gwiazdy - pokazywały się między mrugającymi światłami samolotów, rojących się nad Heathrow. W końcu wróciliśmy do pokoju, zdjęliśmy szlafroki i kostiumy, i kochaliśmy się po raz pierwszy.

- Pragnąłem cię. - Patrick leżał obok i gładził mnie po twarzy. - Wierzyłem, że kiedyś to się spełni.

- Minęło tyle czasu - mruknęłam, delektując się smakiem jego pocałunków. - Nie robiłam tego... od narodzin Milly.

Patrzył na mnie z czułością.

- I dobrze.

Patrick brał prysznic, a ja zadzwoniłam do Milly, żeby powiedzieć jej dobranoc. Potem ubraliśmy się i zeszliśmy na kolację.

- To jest takie... przyjemne. - Złapałam drugi oddech. W barze delektowaliśmy się koktajlami z szampanem. Czułam, jak stres ze mnie wyparowuje.

- Zaslugujesz na to. - Patrick uniósł moją dłoń do ust. Przy kolacji chciał się dowiedzieć więcej o mojej rodzinie.

- Z tego, co mówisz, Cassie jest jak żywe srebro.

- Dość pochlebnie to ująłeś. To dwudziestodziewięcioletnia kobieta, która zachowuje się, jakby wciąż była nastolatką.

- Rozumiem, że nie akceptujesz jej stylu życia?

- To nie tak. - Odłożyłam widelec. - Nie akceptuję niektórych rzeczy, które robi. Ale choć doprowadza mnie czasem do rozpacz, Kocham ją, i zawsze tak było. Po prostu martwię się, że marnuje sobie życie. Ona uparcie nie chce zająć się niczym konkretnym.

- Jest inteligentna?

- Tak. Bardzo bystra. Otrzymała naprawdę dobrą edukację - dodałam z niechęcią. - Ja musiałam się zadowolić miejscowym ogólniakiem, ale Cassie rodzice posłali do prywatnej dziennej szkoły, a potem, po szóstej klasie, do Marlborough\*.

*\* Marlborough School - koedukacyjna niepaństwowa szkoła dla młodzieży od siódmej do dwunastej klasy, uważana za jedną z najlepszych w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).*

- Miałaś im to za złe?

- Starłam się nie mieć. - Pokręciłam w palcach nóżkę lichtarzyka. - Cassie jest sześć lat młodsza ode mnie, więc moi rodzice mieli już w tym czasie więcej pieniędzy. Ale usprawiedliwiali swoją decyzję tym, że Cassie była niesforna, i obawiali się, że wpadnie w złe towarzystwo, jeśli pójdzie do tej samej szkoły co ja, a w moim wypadku nigdy nie mieli takich obaw.

- Bo byłaś zrównoważona i pracowita.

- Tak. Ale czuję się, jakbym została za to karana, a ona nagradzana za brak odpowiedzialności. Ja bym tak nie potrafiła. - Kelner napełnił nam kieliszki. - Gdybym miała więcej dzieci, nie wyróżniałabym żadnego.

- A chciałabyś mieć więcej dzieci?

Spróbowałam wyobrazić sobie siebie z kolejnym maluchem.

- Czuję się nielojalna wobec Milly, nawet myśląc o tym - odparłam. - Teoretycznie tak, chciałabym, a dla niej byłoby dobre, gdyby miała rodzeństwo. - Kelner przyniósł nasze puddingi. - Ale musiałyby zaistnieć odpowiednie okoliczności.

- I odpowiedni mężczyzna - dodał Patrick.

- Oczywiście że tak. A ty?

- Och, ja z pewnością jestem odpowiednim mężczyzną.

Roześmiałam się.

- Chodziło mi o to, czy chciałbyś mieć więcej dzieci.

- Bardzo bym chciał. - Napił się wina. - Założenie nowej rodziny pomogłoby mi... nie tyle zapomnieć o tamtej, to niemożliwe... ale poczuć się mniej nieszczęśliwym.

- Nie powinieneś zakładać rodziny tylko po to, by wynagrodzić ci tamten smutek.

- Nie, masz rację. To by było nie fair. Powinienem mieć rodzinę, bo kocham dzieci i mam im wiele do zaoferowania. Bo wiem, że mam.

To była całkiem dobra odpowiedź. Potem Patrick znów zaczął mówić o Samie i o Suzie.

- Co teraz do niej czujesz?

Odłożył łyżeczkę.

- Nienawidzę jej - odparł po prostu. - Wiem, że to mocne słowa, ale nic nie poradzę. Zostałem z nią, kiedy była w ciąży, opiekowałem się nią i zrobiłem wszystko, żeby ją uszczęśliwić. Ona odpłaciła mi się romanssem, zostawiła mnie i odebrała mi najcenniejszy skarb: moje dziecko.

- Gdyby przynajmniej zamieszkała gdzieś w pobliżu... - mruknęłam.

- No właśnie. Wtedy mój związek z Samem nie zostałby zerwany.

Ale ona wybrała sobie mężczyznę, wiedząc, że ten będzie chciał wrócić do Nowej Zelandii... Zrobiła to na złość mnie. Przynajmniej tak czułem.

- Dlaczego miałyby ci robić na złość?

- Nie ożeniłem się z nią. Była wściekła, ale wtedy już podejrzewałem, że chciała za mnie wyjść i szybko się rozwieść. Nie ufałem jej.

- Mówiłeś, że kłamała w sądzie.

- Bo tak było. Jestem tego pewien.

- Ale... jakich faktów to dotyczyło? Patrick wahał się przez chwilę.

- Coś się wydarzyło - zaczął cicho. - Wypadek. Chciałem ci o tym powiedzieć, bo wiem, że Suzie plotkowała, oczerniała mnie, wygadywała niestworzone rzeczy... - Głos mu się załamał, a ja pomyślałam o Sandrze, która ewidentnie miała o nim złe zdanie.

- Co się stało? Wziął głęboki oddech.

- Bawiłem się z Samem w ogrodzie naszego domu na Caithness Road. Miał wtedy prawie dwa lata i uwielbiał, kiedy robiło mu się karuzelę. Błagał mnie, żebym to zrobił, i ciągle powtarzał: „Jeszcze,

tatusiu! Jeszcze i jeszcze!" A bardzo trudno się oprzeć takim maluchom, kiedy czegoś chcą. Więc zakręciłem go, ale popełniłem głupi błąd. Teraz już wiem, że małe dzieci trzeba brać pod pachy, żeby je pohuścić, a nie za ręce. Ale nigdy wcześniej tego nie robiłem, więc złapałem Sama za ręce i zakręciłem dwa razy. Wywichnąłem mu bark.

- Och...

- Popędziliśmy prosto na ostry dyżur. Nastawili mu bark i oczywiście był obolały przez następnych kilka dni, biedak, ale wyobrażasz sobie, jak okropnie się czułem. To było absolutnie niezamierzone, Anno. Wypadek, po prostu wypadek. - Oczy lśniły mu od łez. - Ale Suzie wszystko przeinaczyła w sądzie. - Przełknął ślinę. - Wykorzystała to, cynicznie i bez skrupów. - Zauważyłam, że blizna na grzbiecie jego nosa zbieiała.

Położyłam doń na jego rękawie.

- Mogę ci coś powiedzieć, Patrick? - Spojrzał na mnie. - Wiele lat temu to samo przytrafiło się moim rodzicom. Na plaży w Kornwalii huścali Marka za ręce. I stało się. Małe dzieci są szczególnie podatne na tego rodzaju urazy. Czuli się okropnie, ale po prostu stało się, i tyle.

- Tak. Stało się, i tyle. Ale na zamkniętej rozprawie dotyczącej wyjazdu Suzie do Nowej Zelandii ona stwierdziła, że jestem nieodpowiedzialny, a może nawet zrobiłem to celowo. W tym czasie walczyłem z nią na całego, chciałem, żeby została w kraju; widocznie uznała, że to kłamstwo pomoże jej wygrać sprawę. Kiedy mój adwokat zasugerował, że Sam powinien zamieszkać ze mną, oświadczyła, że nigdy nie wyrazi zgody. Z powodu tego zdarzenia. Miało ono potwierdzać, że nie jestem zdolny do sprawowania opieki nad dzieckiem.

- Co na to sąd?

- Pani sędzia uznała, że taki incydent nie dyskwalifikuje mnie jako rodzica, ale wyraźnie nie była mi przychylna. Tak więc czułem, że Susie, oprócz krzywdy, którą zamierzała mi wyrządzić, na dodatek mnie oczerniła.

Położyłam dłonie na jego dłoniach.

- Lepiej o tym nie myśleć. Ale cieszę się, że mi powiedziałaś.

- Kocham syna z całego serca. Ale muszę się kontrolować, bo wpadam w coraz większą wściekłość. Jestem ojcem Sama, a ona wywiozła go daleko na drugą półkulę, jakby moja obecność w jego życiu w ogóle nie była potrzebna.

- Często go widzisz?

- Och... - Pokręcił głową. - Bez przerwy. Widzę go na huśtawkach albo biegnącego po parku, albo po prostu idącego ulicą z mamą, albo na tylnym siedzeniu w samochodzie, wyglądającego przez okno. Właściwie każdy mały chłopiec, którego widzę, przypomina mi Sama. Ale wracając do twojego pytania: co sześć miesięcy. Jeżdżę do Christchurch i mieszkam w pobliskim motelu przez dwa tygodnie. Robię, co w mojej mocy, by przypomnieć synowi, kim jestem i jak bardzo go kocham.

- Kiedyś będzie mógł przyjeżdżać i mieszkać u ciebie.

- Mam nadzieję. Choć to kwestia dalekiej przyszłości. Ale teraz ledwie mogę znieść myśl, co tracę każdego dnia jego życia.

- To musi być bardzo bolesne.

- I jest.



Następny dzień rozpoczęliśmy od spaceru po srebrzącej się od rosy trawie, w słońcu poranka. Wzięłam aparat, żeby fotografować rośliny i architektoniczne szczegóły do mojej bazy zdjęć. Pstrykałam niemal bez przerwy, a Patrick wypytywał mnie o charaktery roślin, które oglądaliśmy na klombach i bordiurach.

- A te wiosenne maki?

Spojrzałam na ich cienkie jak bibułka płatki, wyłaniające się ze szczeciniastych łusek.

- Moja matka nazywała je włamywaczami, bo same się wysiewają. Po prostu pojawiają się nie wiadomo skąd. Tak samo jak werbena - wskazałam wysokie kępy amarantowych kwiatów - i tamta miesięcznica, i ta budleja w szczelinie muru. Uwielbiam włamywaczy - dodałam. - Uwielbiam ich spontaniczność, to, jak wpadają nieproszone i ożywiają ogrodowe towarzystwo.

- A szachownice cesarskie?

Spojrzałam na wielkie szkarłatne *Fritillarie*, z ich kokardami falbaniastych liści na końcu grubych, soczystych łodyg.

- To są królowe sceny. Nie można ich ignorować. Są ekstrawertyczne i bez zahamowań, jak...

- Trytomy? - podsunął.

- Dokładnie tak. Albo *Acanthus*, albo *Agapanthus*, albo tamte wielkie gunnery. One zbierają wszystkie oklaski.

- Te, które wyglądają jak gigantyczny rabarbar?

- Tak. - Ich liście były takie wielkie, że mogłoby się pod nimi schować przed deszczem dziesięcioletnie dziecko.

Gdy wracaliśmy do hotelu na śniadanie, mój telefon zawibrował, sygnalizując odebrany SMS. „Proszę, zadzwoń, jak będziesz mogła.” J. Nie brzmiało to zbyt nagląco, a rozmawialiśmy z Jamiem i wysyłaliśmy sobie SMS-y nawet dwadzieścia razy dziennie, uznałam więc, że poczekam z tym do powrotu do domu. Pewnie chodziło o włoski ogród w Hampstead; mówił, że poszuka jakiejś marmurowej posadzki z odzysku.

Po śniadaniu poszliśmy do biblioteki, żeby poczytać gazety. Patrick wziął sobie „Sunday Timesa”, a ja przeglądałam „Observera” - podoba mi się ich dział ogrodniczy. Potem sięgnęłam po „Sunday News”, ciekawa, jaki śmieć spłodziła w tym tygodniu Citronella. Dziś wywnętrzała się na temat stosunków między rodzeństwem.

„Mam ogromne szczęście, że moja dwunastoletnia córka Sienna wprost uwielbia swojego małego braciszka, Erasmusa. A to dlatego, że od samego początku mój mąż i ja wykazaliśmy się rozsądkiem i właściwie przygotowaliśmy ją na jego narodziny. Wielu rodziców nie angażuje starszego dziecka lub dzieci na odpowiednio wczesnym etapie, ale zrzuca na nie tę rewelację za pięć dwunasta. Ale my powiedzieliśmy Siennie o dziecku, gdy tylko sami się dowiedzieliśmy. Zabieraliśmy ją na wszystkie USG, daliśmy jej oprawione zdjęcie braciszka w macicy, w trzynastym i dwudziestym tygodniu jego życia, by mogła je sobie powiesić na ścianie w pokoju. Wciąż rozmawialiśmy z nią o nim i mówiliśmy jej, jakim będzie wyjątkowym i mądrym chłopczykiem i jaka z niej szczęściara. Wymyśliliśmy uroczą historyjkę o nim i czytaliśmy ją Siennie co wieczór. Razem z nami kupowała wyprawkę i zabawki dla niego. Pokazaliśmy jej nawet film z narodzin Erasmusa...”

- Faj! - wykrzyknęłam. - Obrzydlistwo! Patrick spojrział na mnie, odkładając gazetę.

- Co takiego?

- Wypociny tej Citronelli Pratt, która pisuje do „Sunday News”.

- Ona mieszka w Brook Green, prawda?

- Tak, niestety. Jej syn chodzi do tego samego przedszkola, co Milly. Powiedziałam Patrickowi, co napisała. Miał zde gustowaną minę.

- Nie pojmuję, jakim cudem ona dostała tę kolumnę. Pisze wyłącznie o życiu prywatnym, a raczej chwali się tylko swoim nieprawdopodobnym „szczęściem”. A te wywody są żałosne, nudne, i jak miałeś okazję się przekonać, obrzydliwe.

- Podejrzewam, że ma tu znaczenie fakt, iż jej brat, Neil, jest dyrektorem naczelnym „Sunday News” - odparł Patrick, wracając do swojej lektury. - Moi ludzie od PR mieli z nim kiedyś do czynienia.

- Rozumiem. - Zamknęłam gazetę.

Popływaliśmy jeszcze w basenie i poszliśmy się pakować. Patrick skończył pierwszy i zszedł do recepcji, żeby uregulować rachunek. Kiedy pozbierałam swoje rzeczy, usiadłam na wyściełanej ławie pod oknem, by jeszcze choćby chwilę napawać się widokiem. Dzisiaj wyjeżdżało wiele osób, ale przybywali też nowi goście. Usłyszałam chrzęst opon na żwirze, gdy kolejny luksusowy samochód odjeżdżał powoli, połyskując w południowym słońcu. Pod wejście podjechała czarna taksówka. Drzwiczki się otworzyły, niczym skrzydełko chrząszcza, i z auta wysiadła smukła, atrakcyjna kobieta. Ze swojego miejsca widziałam tylko czubek jej głowy,

ale nagle uniosła twarz, oglądając fasadę budynku. Zerwałam się na równe nogi.

Thea? Co ona tu robi? Zapłaciła kierowcy. Może miała jakieś spotkanie z klientami, a może była tu z Jamiem. Rozejrzałam się po parkingu, szukając jego pikapa, ale widziałam tylko mercedesy, ferrari i rollsy. Już miałam zbiec na dół i przywitać się z nią, kiedy zobaczyłam, że z hotelu wyszedł elegancki, ciemnowłosy mężczyzna koło czterdziestki i ruszył w jej stronę. Ujął twarz Thei w dłonie, pocałował ją w usta i weszli do środka, trzymając się za ręce.

- Wszystko w porządku, Anno? - Odwróciłam się. - Nic ci nie jest? - zapytał Patrick. Stał w otwartych drzwiach. - Powinniśmy ruszać, bo się spóźnimy. Twój tata mówił, zdaje się, że oczekuje nas przed drugą?

- No tak - mruknęłam. - Tak mówił.

- Więc masz już wszystko spakowane?

- Co?... Tak, mam.

Za plecami Patricka dostrzegłam przez ułamek sekundy Theę i nieznanego mężczyznę, idących korytarzem. Szli objęci, z głowami pochylonymi ku sobie.

- Dostaliśmy ten sam pokój? - usłyszałam jej pytanie. Mężczyzna odpowiedział coś, i zachichotała.

- Dobrze się czujesz, Anno? - zapytał znów Patrick. - Gapisz się na mnie.

- Naprawdę? Och, przepraszam... Zamyśliłam się. Ale tak, jestem gotowa do wyjazdu. - Patrick wszedł do pokoju i wziął moją weekendową walizkę. Nagle zadzwoniła komórka. Gdy odczytałam numer, załamalam

się. Teraz zrozumiałam, dlaczego Jamie napisał do mnie SMS w niedzielę rano - bo właśnie się dowiedział i był w okropnym stanie. Wcisnęłam zielony guzik, starając się opanować.

- Do zobaczenia na dole - powiedział taktownie Patrick. Pomachałam mu.

- Anna? - usłyszałam.

- Jamie! - wykrzyknęłam radośnie. - Jak się miewasz? -

Przygotowałam się na najgorsze.

- Świetnie. Jak nigdy w życiu.

- Naprawdę?

- Tak. Czuję się wspaniale, prawdę mówiąc odłotowo.

Potrzebowałam paru sekund, by załapać, że nie ironizuje.

- Chciałem ci coś powiedzieć. Tamtego dnia, wiesz, tak dobrze mi poradziłaś...

- Tak? - Głos mi chyba lekko drżał.

- W sprawie Thei. Trochę mi głupio, prawdę mówiąc, ale pamiętasz tę wizytówkę, o której ci mówiłem?

- Tak?

- Tę, która mnie tak zaniepokoiła?

- Tak?

- Tego jakiegoś Percy'ego du Plessisa?

- Tak?

- No więc, myliłem się na całej linii.

- Nie...

- Całkowicie. Dobrze się czujesz, Anno?

- Co? Przepraszam, Jamie, jestem tylko trochę... zmęczona.

- No więc zrobiłem tak, jak mówiłaś, i porozmawiałem o tym z Theą. Właściwie dopiero wczoraj wieczorem miałem okazję. Powiedziałem jej nawet, że podejrzewałem romans...

- I co ona na to?

- Minę miała urażoną, więc pokazałem jej wizytówkę, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę?

- Chichotała bez przerwy. W końcu wyjaśniła mi, że „Percy” to nie jest mężczyzna...

- I owszem, jest - przerwałam. - To znaczy...

- Nie, to zdrobnienie od „Persephone”, ale zawsze mówiono na nią „Percy”. Bardzo się z Theą polubiły i tak sobie niby flirtują, rozumiesz, wygłupy.

- Jesteś pewien? Umilkł na chwilę.

- Oczywiście, że jestem pewien. Thea by mnie nie okłamywała.

- Nie, oczywiście, że nie. No cóż, to... wspaniale, Jamie.

- Mówisz takim tonem, jakbyś była zaskoczona.

- Bo jestem... to znaczy... właściwie nie jestem zaskoczona, ale wydawałeś się taki pewny... miałeś te swoje przeczucia... Ale to cudownie, że twoje przeczucia były... błędne.

- Tak, dzięki Bogu. Ulżyło mi. Wtedy czułem się nieszczęśliwy, miałem podły nastrój i przepraszam, że byłem dla ciebie niemiły. Ale dobrze wiedzieć, że niepotrzebnie się martwiłem. Niezły ubaw z tej mojej pomyłki, co?

- Mhm. - Nie mogłam pozbierać myśli.

- Wpadam w lekką paranoję, bo ona tak często wyjeżdża, nic na to nie poradzę. Dzisiaj znów poleciała do Kapsztadu. Właśnie odwiozłem ją na lotnisko.

- Właśnie odwiozłeś ją na lotnisko?

- Tak. Dlaczego powtarzasz wszystko, co mówię?

- Na które lotnisko?

- Heathrow. Wiesz co, Anno, chyba jesteś trochę zestresowana. Może powinnaś gdzieś wyjechać na dzień czy dwa, zrelaksować się.

- Tak... może... Przepraszam, Jamie, naprawdę jestem trochę... zmęczona.

- No nic. Idę teraz grać w krykieta, ale chciałem ci podziękować za radę. Trafiłaś w dziesiątkę.

- Cieszę się - powiedziałam słabo.

- Więc do zobaczenia jutro.

- Cześć.

Klapnęłam na niezaścielone łóżko. Minęło trochę czasu, nim zadzwoniłam do recepcji.

- Próbuję się skontaktować ze znajomym, który zatrzymał się w waszym hotelu. Czy może mnie pani połączyć z jego pokojem?

- Jakie nazwisko, proszę pani?

- Percy du Plessis.

- Czy mogłaby pani przeliterować? Przykro mi, proszę pani - dodała po chwili - ale obecnie nikt taki nie jest gościem hotelu. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

## Rozdział 9

Jesteś pewna, że to była ona? - zapytała mnie Jenny w następną niedzielę. Wpadła do nas na popołudniową herbatę z Grace, która teraz bawiła się z Milly w drugim końcu salonu. Zwierzyłam się Jenny, bo potrzebowałam z kimś o tym porozmawiać, a ona nie знаła Jamiego i wiedziałam, że jest absolutnie dyskretna. - Uważasz, że nie mogłaś się pomylić?

- Widziałam jej twarz, Jenny. Słyszałam jej głos.

- A nie ma przypadkiem identycznej bliźniaczki jak ja?

- Nie, nie ma. Czuję się koszmarnie z tą wiedzą. Jamie powiedział mi, że właśnie podrzucił ją na Heathrow.

- Widocznie poczekała, aż odjedzie, po czym wskoczyła do taksówki i pojechała do Cliveden spotkać się ze swoim chłopakiem. O rety...

- Ciekawe, kto to jest.

- Przyjrzałaś mu się?

- Nie dość dobrze, by go rozpoznać, ale to najprawdopodobniej ktoś, kogo poznała podczas tych swoich podróży. Pewnie zatrzymał się na chwilę w Londynie i umówili się na spotkanie w Cliveden. Słyszałam też, jak spytała: „Czy dostaliśmy ten sam pokój?”

- Co znaczy, że już wcześniej tam z nim była, czyli że ten romans trwa już od jakiegoś czasu. Biedny Jamie.

Pokręciłam głową.

- Co ja mam zrobić?



- Hm... - Jenny wzruszyła ramionami. - Nie wydaje mi się, żebyś mogła cokolwiek zrobić. Ostatecznie to może się po prostu skończyć, Jamie nie będzie o niczym wiedział i, teoretycznie, mogą wieść całkiem szczęśliwe życie, jeśli będzie miała farta.

- Wyglądała na zakochaną w tym facecie.

- Nikt ci nie podziękuje, jeśli powiesz o tym Jamiemu.

- To prawda. Zresztą chyba nie potrafiłabym mu powiedzieć. Nie mogłabym patrzeć, jak cierpi.

- Bardzo go lubisz, co?

- Tak. - Zastanowiłam się nad tym. - Rzeczywiście. Jamie nie jest tylko moim partnerem w interesach, ale i przyjacielem. To dobry, troskliwy i absolutnie godny zaufania człowiek, któremu ufam, którego szanuję i lubię.

- Ale to wszystko się zmieni - stwierdziła Jenny. - W głębi duszy on ci nigdy nie wybaczy, jeśli przekażesz mu złe wieści. Czuję, że on i tak się dowie - ciągnęła - bo jego żona w końcu popełni błąd i sprawa wyjdzie na jaw. Jako terapeutka widziałam już niejedno i wiem, że niewierna strona zawsze podświadomie pragnie, by ją przyłapano; wtedy wszystko się wyjaśnia, a winowajcę przestają dręczyć wyrzuty sumienia. Na twoim miejscu spróbowałabym po prostu o tym nie myśleć.

Na tym skończyła się dyskusja. Przeszliśmy na drugi koniec pokoju, żeby pobawić się z dziewczynkami. Nie mogłam oderwać oczu od Grace - śliczne niemowlę przekształciło się w uroczą małą dziewczynkę. Miała jasne kręcone włoski, brzoskwińową skórę i oczy błękitne jak woda w

basenie. Nie przypominała już Jenny; zrobiła się bardziej podobna do ojca, zapewne - ale nie śmiałam o to pytać.

Przyjrzałam się Milly. Zupełnie niepodobna do mnie. Najbardziej przypominała Xana i moją matkę - dwie osoby, które powinny być blisko niej, a które - z różnych przyczyn - były nieobecne w jej życiu.

Grace gotowała coś pracowicie na małej kuchence Milly, pobrząkując blaszanymi rondelkami. Pogrzebała w pudle z kuchennymi zabawkami i włożyła ochronną rękawicę.

- Chcesz też założyć fartuszek, Gracie? - zapytałam.

Kiwnęła głową; odwróciła się, bym mogła zawiązać jej troczki za plecami.

- Proszę, szkrabie.

Milly bawiła się domkiem dla lalek. Uniosła jedną z drewnianych laleczek, ubraną w liliowy żakiet i falbaniastą różową spódnicę.

Wiedziałam, co się święci.

- To moja mamusia - oznajmiła. Wzięła drugą lalkę, w żółtej koszulce i niebieskich spodniach. - A to mój tatuś. - Położyła obie w niebieskich łóżeczkach, bok przy boku, pod różowym dachem, przykryła żółtymi kołderkami i przyłożyła palec do ust. - Ćśśśś - szepnęła. -

Mamusia i tatuś spać teraz.

- Ja nie mam tatusia - powiedziała Grace, nie odrywając wzroku od swoich zajęć.

Milly zagapiła się na nią, osłupiała, choć już wcześniej słyszała od niej tę rewelację. Po chwili zwróciła się do mnie z miną wyrażającą szczere współczucie.

- Gracie nie ma tatuś - powtórzyła, kręcąc ze smutkiem głową.

- Ale Gracie ma wielkie szczęście - wtrąciła pospiesznie Jenny - bo ma w swoim życiu mnóstwo innych ludzi... prawda, skarbie? - Grace skinęła głową. - Masz mamusię i masz ciocię Jackie we Francji, i wujka Philippe'a, i dwóch małych kuzynków, i masz Milly i Annę, i wszystkich kolegów, i panie w przedszkolu, no i babcię, i dziadziusia.

- Twoich rodziców? - Kiwnęła głową. - Więc zaakceptowali sytuację?

- Niezupełnie. - Wzruszyła ramionami. - To raczej... rezygnacja. Zachowali się podle - dodała bez urazy - ale i tak chcę, żeby Grace miała z nimi dobre stosunki, skoro to jej jedyni dziadkowie.

- Pod tym względem ma lepiej niż Milly. - Przyjęłam od małej porcję plastikowego groszku z kawałkiem plastikowego jagodowego placka. - Mmm... Przepyszne, kochanie. Ona ma tylko mojego tatę.

- A co z rodzicami Xana?

- Są w mocno podeszłym wieku, więc nie wyjeżdżają z Hiszpanii. Dostałam od nich kartkę; napisali, że Milly i ja możemy ich odwiedzić, kiedy tylko zechcemy, ale jako że nie jestem z Xanem, czułabym się niezręczne, a poza tym byłoby mi smutno pojechać tam bez niego. Żałowałabym tego, co mogło być.

- Ale przecież teraz masz nowego faceta - wytknęła mi Jenny, jedząc plastikowego croissanta i małą puszkę pieczonej fasoli. - To jest pyszne, Grace.

- Pełno w brzuszku, łakomczuszkę?

- Tak, skarbie. Więc jak ci idzie z Patrickiem?

- Idzie... dobrze. Lubimy się. Mamy na siebie ochotę. Mamy ze sobą sporo wspólnego.

- To dobry początek.

- A ja byłam... samotna, Jenny. Cztery lata to długo bez miłości, bez kogoś, kto cię pożąda.

- Tak, to długo - przyznała. - I cieszę się, że kogoś poznałaś. Ale, szczerze mówiąc, ja czuję się wystarczająco spełniona dzięki mojej więzi z Grace.

- Więc nawet nie... szukasz?

- Nie. I minie dużo czasu, zanim zacznę - dodała cicho. Umierałam z ciekawości, dlaczego to wymaga tyle czasu i dlaczego nie widywała się z ojcem Grace, i co takiego zrobił, by sobie na to zasłużyć. Ale Jenny zmieniła już temat, jak zwykle.

- Patrick jest rozwiedziony? - Wyjaśniłam jego sytuację. - Do Nowej Zelandii? - powtórzyła. - Biedak. - A ja pomyślałam, że jej współczucie dla niego jest dziwne, biorąc pod uwagę, że sama wykluczyła swojego byłego z życia Grace; ale choć zakrawało to na ironię, o dziwo, jej to chyba umykało. - Musi być wściekły. - Skinęłam głową. - A okazuje swój gniew?

- Cóż... - Nie chciałam mówić zbyt wiele na temat stanów emocjonalnych Patricka. - Czasami jest trochę zestresowany. Bywa wybuchowy, czasem nawet jakieś błahostki wyprowadzają go z równowagi. Kiedy ktoś mu zajędzie drogę albo przetrzymuje go przy telefonie, złości się bardziej, niż powinien. Ale ja wiem, dlaczego taki jest - ciągnęłam - więc muszę być wyrozumiała.

- Wcale nie musisz - ostrzegła mnie Jenny.

- Okej, ale chcę, bo go lubię. A on lubi mnie. Świadomość, że mężczyzna się mną interesuje, jest bardzo przyjemna po tym jak... Xan mnie odrzucił.

- Poznał już Milly? Pokręciłam głową.

- Z tym nie zamierzam się spieszyć.

W miarę jak wiosna dojrzewiała, rododendrony i azalie ustąpiły miejsca wisterii - pięła się po ścianach domów i przelewała przez mury; potem zjawily się liliowe stożki bzu, jaskrawoniebieski *Ceanothus* i *Philadelphus* z kulami pachnących białych płatków, których razem z Milly używałyśmy jako konfetti na ślubach jej lalek. Potem przyszły róże i piwonie -kwiaty wczesnego lata.

Patrick i ja spędzaliśmy coraz więcej czasu razem, aż poczułam, że przyszła pora, by Milly go poznała. Najpierw „wpadał na nas” w parku i pomagał mi bujać ją na huśtawkach. Spoglądała na niego nieufnie -wciąż była przekonana, że ukradł jej bucik. Z czasem przychodził też na niedzielne lunche, przynosząc całe naręczka kwiatów ze swojego ogrodu dla mnie i czekoladowe guziczki dla niej. Potem zaprosiłam go na jej urodzinowy podwieczorek.

- A mój tatuś przyjdzie? - zapytała mnie w piątek po południu, kiedy rozkładałam na stole papierowe talerzyki z Kubusiem Puchatkiem. Zrobiło mi się smutno. Wizyty Xana były bardzo rzadkie, w końcu przestałam mówić

Milly, że zobaczy go „niedługo”, bo nie potrafiłam znieść jej rozczarowania. Nie myślałam o nim tak dużo jak przedtem; unikałam też

oglądania wiadomości, bo Milly zawsze wybuchała płaczem, gdy znikał z ekranu.

Kiedy rozsypywałam urodzinowe cekiny po obrusie, Milly, ubrana w błękitną sukienkę wróżki, którą dałam jej tego ranka, podbiegła do okna, wspięła się na kanapę i wyjrzała na dwór.

- Tatuś przyjdzie? - powtórzyła, rozglądając się po ulicy w obu kierunkach, jakby wierzyła, że go zobaczy.

- Nie, kochanie - powiedziałam. - Nie przyjdzie.

- Właśnie, że przyjdzie. - Pomachała swoją czarodziejską różdżką. - Przyjdzie.

- Nie, skarbie, teraz jest bardzo zajęty. Rano dostałaś od niego kartkę z życzeniami, a wczoraj wieczorem napisał w mailu, że wysłał ci prezent, więc naprawdę o tobie myśli. Ale przyjdzie dużo innych osób. Dziadek i Jenny z Grace, i oczywiście Luisa, i Phoebe, i Carla z Pachnącego Groszku, i Cassie, i ciocia Sue, więc będziemy się świetnie bawić. Jamie też wpadnie na chwilkę.

- Jamie? - Podbiegła do pudła z książkami i wyciągnęła *Gruffalo*.

- Patrick chyba też zajrzy - napomknęłam od niechcenia. - Może być? - Milly skinęła powoli głową jakby nie była do końca pewna, ale przecież, tłumaczyłam sobie, Patrick był zupełnie nową postacią w jej życiu. Potrzeba czasu, żeby do niego przywykła.

Patrick trochę się denerwował pierwszym spotkaniem z moją rodziną ale szybko znalazł wspólny język z tatą- słyszałam, jak z ożywieniem dyskutują o handlu w Internecie. Jamie wyłaził ze skóry, żeby zachowywać się wobec niego przyjaźnie, czułam też, że Sue i Jenny

odbierają go pozytywnie. Tylko Cassie jakoś nie była nim zachwycona. Wypiła za dużo szampana, a kiedy goście wyszli i została tylko ona i tata, palnęła, że Patrick nie powinien był kupować Milly roweru.

- Dlaczego nie? - obruszyłam się, nie chcąc przyznać, że sama byłam trochę zbita z tropu na widok roweru Barbie z różowym kaskiem do kompletu.

- Bo nie zna jej na tyle długo. To zbyt drogi prezent - mówiła Cassie, gdy tymczasem Milly bawiła się radośnie lalką Fifi Niezapominajką, którą kupił jej Jamie. - Powinien jej dać farbki albo puzzle. Nie sądzisz, tato?

- Masz trochę racji - odparł tata. - Ale Patrick jest dobrze sytuowany i zależy mu na Annie, więc miał ochotę kupić Milly coś wyjątkowego.

- I tak trzeba na to spojrzeć - powiedziałam, dolewając mu herbaty. - Patrick jest bardzo szczodry i jeśli chciał jej dać właśnie taki prezent, ja nie mam nic przeciwko temu. Weź też pod uwagę, że on coś dla mnie znaczy, Cassie, więc proszę cię, nie krytykuj go.

- To tylko moja opinia. - Wzruszyła ramionami. Podniosła swój cyfrowy aparat i przeglądała zdjęcia, które zrobiła wcześniej. - Milly ślicznie tutaj wyszła.

- Pokaż. - Usiadłam obok niej na kanapie. - Tak, rzeczywiście słodko.

- A tu zdmuchuje świece. Spojrzałam na mały wyświetlacz.

- Możesz mi je przemailować, żebym mogła wysłać kilka Xanowi? - Uznałam, że będzie bardziej taktownie wysłać mu te, na których nie ma Patricka, choć kusiło mnie, by mu pokazać, że wiele się w moim życiu zmieniło. - A tu jest ładna fotka Luisy.

- Schudła - stwierdziła Cassie. - Kiedyś była pulchna.

- To prawda. - Dopiero teraz zauważyłam. Dużo pływa... O, a tu Jenny ładnie wyszła.

- Ta to mnie dopiero intryguje - rzuciła zamyślona Cassie. - Jest otwarta i miła, wygląda na szczęśliwą, a jednocześnie jest w niej coś mrocznego, jakby bardzo cierpiała.

Nie zamierzałam rozmawiać o Jenny z moją siostrą.

- Niełatwo być samotną matką. - Milly wspięła się na kanapę i objęła mnie za szyję. Pociągnęłam ją na swoje kolana.

- A tata Grace jej nie pomaga?

- Nie wydaje mi się.

- Gracie nie ma tatuś - odezwała się Milly, kręcąc głową.

- Dlaczego im nie pomaga? - wypytywała Cassie bezceremonialnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Prawdę mówiąc, to nie wiem.

- Nie mówiła ci?

- Nie.

- Zdumiewające. Robić z tego tajemnicę w tych czasach i mając tyle lat! A ty nie jesteś ciekawa?

- Czasami tak - mruknęłam, nie chcąc się przyznać, że praktycznie cały czas wręcz zżera mnie ciekawość. - Ale nigdy nie spytałabym jej o to wprost.

- Dlaczego nie?



- Bo jeśli ktoś postanowił nie mówić ci czegoś ważnego o sobie, musisz to uszanować albo ryzykujesz utratę jego przyjaźni. A ja lubię Jenny i nie chcę być wścibska.

- Może ona chce z tobą o tym porozmawiać - zasugerowała Cassie i pociągnęła łyk szampana.

- Miała mnóstwo okazji ku temu. Ale widocznie nie chce, więc nie poruszamy tematu.

To chyba zadowoliło Cassie.

- O, jest Patrick. - Znów spoglądała na aparat. - Przystojniak. To mu muszę przyznać.

- Też tak uważam.

- I świetnie się ubiera. - Była to prawda. - Ale węzeł krawata...

- Co jest z nim nie tak?

- Jest za ciasno zawiązany. Przyjrzałam się uważnie zdjęciu.

- Ja tam nie zauważyłam. Postaraj się być mniej krytyczna, Cassie.

- Och, to nie była krytyka. - Wzruszyła ramionami. - Stwierdzenie faktu. A skoro już mowa o krawatach - ciągnęła, odwracając się do taty - twój jest naprawdę bajerancki.

- Dzięki...

- Pucci, prawda?

- Nie jestem pewien. Po prostu spodobały mi się te jasne zawijasy. - Spojrzał na zegarek. - Już wpół do siódmej. Będę się zbierał.

- A gdzie idziesz? - indagowała Cassie.

- No... - Zaczerwienił się. - Mam... sprawy.

- Czyli co? - Nie dawała za wygraną.

- Umówiłem się... na brydża. Z Travisami. I nie zapomnij o moich donicach, dobrze, Anno? - dodał, schylając się, by pocałować Milly. - Właśnie wyrzuciłem stare i balkon wygląda pusto.

- Boże, przepraszam, tato. Byłam taka zajęta. Wezmę je we wtorek ze szkółki ogrodniczej i przywiozę ci pod koniec tygodnia.

- Dzięki, kochanie. Pa, dziewczyny. - Posłał nam całusa.

- Ja zostanę jeszcze chwilę. - Cassie napiła się szampana. - A potem też muszę lecieć. Umówiłam się dzisiaj z Zackiem.

- Spotykacie się? - Spojrzałam na nią znad cytrynowej galaretki. - Myślałam, że chodzisz z Seanem.

- Och, rzuciłam go. - Mężczyźni nigdy nie rzucają Cassie, zawsze jest odwrotnie. Mówi nawet z dumą że ma „stuprocentowy wskaźnik porzuceń”. - Był trochę mazgajowaty - ciągnęła od niechcienia, odkrawając sobie kawałek bezjajecznego urodzinowego tortu, który upiekła Luisa - więc kiedy mu powiedziałam, że koniec z nami, wyobraź sobie, rozplakał się.

- Biedak.

- No to powiedziałam mu - wgrzyzła się w cytrynowy lukier - „Na litość boską, Sean, weź się trochę w garść i zachowuj się jak mężczyzna”.

- Żal mi go. - Pokiwałam głową. Mama byłaby przerażona. Próbowała wpoić Cassie te same wartości, które wpajała mnie, ale w jej wypadku z zerowym efektem. Cassie zawsze robiła to, co uważała.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło. - Westchnęła. - Teraz jest Zack.

- A w ogóle, jak sobie radzisz, co z pracą?

- Chwilowo jest marnie z dorywczymi zleceniami. Pracuję wieczorami. W ten sposób zyskuję wolne dni, co akurat mi pasuje.

Jęknęłam.

- Mam nadzieję, że to nie jest znowu... Jak to nazywałaś?

Telefoniczna rozrywka dla dorosłych. - Zaczęłam sprzątać ze stołu.

Cassie pokręciła głową.

- Z tym skończyłam na dobre, kiedy dodzwonił się do mnie mój dawny nauczyciel muzyki.

- Nie! Pan Brown? Ten, który przychodził do nas do domu?

- Tak. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Obrzydliwiec. Poznałam go po głosie. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - To mnie kompletnie zniechęciło do tej pracy.

- I bardzo dobrze. Ale co w takim razie robisz?

- Pracuję w firmie Przynęta dla Klienta. Ta nazwa oblała mi się już o uszy.

- Czym się zajmuje?

- Świadczy dość wyspecjalizowane usługi dla kobiet, które mają wątpliwości, czy ich mężowie są godni zaufania.

- O mój Boże, zostałam podpuszczalską! Czy naprawdę musisz się chwycić tych wszystkich obleśnych zajęć? - mówiłam, niosąc naczynia do kuchni. - Dziwnie cię pociąga ta ciemna strona życia, choć zupełnie nie pojmuję, dlaczego.

- To wcale nie jest obleśne - zaprotestowała słabo. Zebrała ze stołu filiżanki. - Przecież ja tylko z nimi rozmawiam, to oni muszą wykonać pierwszy ruch, a poza tym to bardzo pożyteczne usługi. - Otworzyła

zmywarce. - Wczoraj miałam przetestować wierność narzeczonego pewnej kobiety. Ona jest nadziana, on nie, więc chciała być pewna, czy nie popełnia kosztownego błędu. Więc zagadnęłam go w takim jednym barze, do którego chodzi po pracy, i po piętnastu minutach trzymał już rękę na moim siedzeniu, a po dwudziestu zaproponował, że mnie zabierze do hotelu. Wstręciuch.

Niemal podziwiałam jej moralną elastyczność.

- Tak naprawdę wstrętne jest usidlanie ludzi. - Patrzyłam, jak myje kieliszki po szampanie.

- To nie jest usidlanie. Jeśli mężczyzna nie jest zainteresowany skokiem w bok, żadna kobieta go nie sprowokuje. *Quod erat demonstrandum.*

- Bzdura. Większość facetów się złapie, jeśli mają to podane na talerzu, więc zwyczajnie wodzisz ich na pokuszenie. Nie wiem, jak można coś takiego robić. Po prostu marnujesz życie na te poniżające zajęcia.

- Co zrobić, jeśli przychodzi mi to z łatwością- odparła pojednawczo.

- Prawdę mówiąc, poznawanie ludzkiej natury jest fascynujące i nie bez znaczenia jest też, że zarabiam nawet trzysta funtów za wieczór. A co do marnowania życia uważam, iż żadne doświadczenie nie idzie na marne, poniżające czy nie.

- To moje zdanie, przy którym pozostanę - oświadczyłam.

Kiedy skończyliśmy włoski ogród w Hampstead, klientka, Simonetta, zaprosiła nas na oblewanie, więc wybraliśmy się do niej z butelką prosecco.

- Jestem nim zachwycona - powiedziała ze swoim włoskim akcentem, gdy patrzyliśmy na zdjęcia sprzed i porównywaliśmy je z obecnym wyglądem. Powiodła wokół dłonią ozdobioną elegancką biżuterią. - Wyobrażam sobie, że jestem w domu, w Kalabrii.

Ogród Simonetty był bezosobowym wiktoriańskim podwórkiem, ale teraz zmienił się w to, o co prosiła: włoskie patio z fontanną żywopłotami z bukszpanu, marmurową posadzką małym, klasycznym łukiem i bogactwem bujnych śródziemnomorskich roślin, które wyglądały na zaskakująco dobrze zadomowione w antycznych żardynierach.

- Dzięki temu, że masz te rośliny w donicach, będziesz mogła je przestawiać. - Przesunęłam tę z rozmarynem bliżej kuchennych drzwi. - Jakbyś przemeblowywała mieszkanie.

- Uwielbiam ołownika - powiedziała, patrząc na jego jasnobłękitne kwiaty. - Jest... *fantastico*.

- To delikatna roślina - przypomniałam - ale twój ma południową ekspozycję i jest dobrze osłonięty, więc wszystko powinno być okej. Zimą musisz okryć korzenie.

- Bardzo mi się podobają te małe drzewka oliwne. I ten pachnący groszek - dodała zaskoczona. - Myślałam, że jest typowo angielską rośliną.

- Pochodzi z południa Włoch. Sprowadzono go do Anglii na początku osiemnastego wieku. Dowiedziałam się tego na kursie.

- I dziękuję za asfodele - mówiła z entuzjazmem, napełniając mój kieliszek. - Tak dobrze je pamiętam z dzieciństwa. I był jeszcze jeden śliczny kwiatek- ciągnęła, osłaniając oczy przed słońcem- ale

zapomniałam nazwy. Wysoki, i *bellissimo*, z parasolką bladnoróżowych kwiatuszków, a każdy wyglądał jak mała *campanella*.

- Dzwoneczek?

- Tak. Wczesnym latem pokrywały niemal całe pastwiska. Miały mocny... *profumo*, i matka je suszyła.

- To może być czosnek bułgarski. Ale musiałabym sprawdzić. - Nagle przypomniałam sobie książkę mojej mamy *Kwiaty południowych Włoch*. -Sprawdzę, i jeśli się okaże, że tak, podrzucę ci parę cebulek do zasadzenia na jesieni. Jeżeli się nie odezwę w tygodniu, przyślij mi maila.

- Jasne. Jakie ogrody urządza teraz? - zapytała, kiedy pstrykałam zdjęcia do umieszczenia na mojej stronie internetowej.

- Jeden naprawdę wielki w Boltons - odezwał się Jamie. - Stałe elementy krajobrazu są już gotowe, więc wystarczy tylko wetknąć rośliny w ziemię, i tyle.

- Będzie gotowy lada moment - wyjaśniłam. - A w następną sobotę klienci urządzą wielką parapetówkę.

- Miło, że nas zaprosili - powiedziałam do Jamiego, kiedy kilka dni później wnosiliśmy rośliny do ogrodu Edwardsów. - Nie spodziewałam się. Przyjdiesz?

- Może - odparł, stawiając *Clematis orientalis* na wyznaczonym miejscu.

- To by była dobra reklama - mówiłam cicho. - Niewykluczone, że wyciągniemy z tego następne zlecenie.

- Jeśli przyjdę, to z Theą- oznajmił. Wróciliśmy do mojego samochodu.

- Tak?

Spojrzał na mnie z politowaniem.

- To chyba oczywiste. Jest moją żoną.

- No... wiem - wyjąkałam, usiłując wymazać z pamięci obraz Thei z kochankiem w Cliveden. Sięgnęłam na tył mojego volvo kombi i podałam Jamiemu chilijską nasturcję wspaniałą. - Po prostu myślałam, że nie ma jej w domu.

- Nie, będzie w Londynie. I będzie też spędzać więcej czasu w domu.

- Naprawdę? - Wyjęłam jaśmin gwiazdzisty, uważając, by nie postrzącać kwiatów.

- Przecież mówię. Dlaczego jesteś taka zaskoczona?

- Bo... tak dużo pracowała za granicą. Ale to naprawdę dobra wiadomość.

- Fakt. Zaczniemy wreszcie normalne życie.

Zastanawiałam się, dlaczego mimo wszystko Thea postanowiła dać szansę swojemu małżeństwu.

- A ty przyjdiesz z Patrickiem?

- Nie. Jak wiesz, zamierzam ugadać sobie paru potencjalnych klientów, a poza tym on ma wieczorem wykład o pszczelarstwie.

Obsadzanie ogrodu Edwardsów trwało dwa dni, z czego większość czasu zajęły próby przeniesienia rzędu splecionych limet przez dom tak, by nie uszkodzić świeżo wyremontowanego korytarza. Kiedy wreszcie wydostaliśmy je na zewnątrz, okazało się, że korzenie są zbyt duże dla przygotowanych otworów, więc cały jeden ranek zajęło Jamiemu ostrożne przycinanie kamienia. W końcu wszystkie klomby zostały obsadzone i

mieliśmy już tylko powtykać do granitowych donic jasnozielony kwitnący tytoń i francuską lawendę.

- Tę część lubię najbardziej - powiedziałam. - Sadzenie.

- Dlaczego? - spytał Jamie. - Bo to oznacza koniec roboty?

- Nie. Dlatego, że choć uwielbiam projektowanie ogrodów, największą frajdę sprawia mi jednak kopanie w ziemi, wtykanie w nią roślin i patrzenie, jak rozkwitają. To daje ogromną satysfakcję.

- Prawda.

- Mój ogród jest mały i niewiele się w nim mieści. Marzy mi się wielka rabata, na której mogłabym zasadzić, co chcę.

- I co byś zasadziła?

- Och, wszystko! Byłaby zapchana daliami, ostrózkami, orlikami, tawułkami, krwawnikiem, naparstnicą rozchodnikiem, wilczomleczem, niezapominajkami... różnymi różnościami. Żeby coś kwitło przez okrągły rok. I francuską lawendą- dodałam, patrząc na ekstrawaganckie, pierzaste czubki liliowych kwiatów. - Strasznie mi się podoba. Wygląda, jakby wybierała się do Ascot w idiotycznym kapeluszu.

- Nie do Ascot - poprawił mnie Jamie. - Na karnawał w Notting Hill. Uśmiechnęłam się.

- Ten wapień bardzo ładnie wygląda. Mówiłam ci, że wszystko będzie pasować - dorzuciłam, nie mogąc się powstrzymać.

- Tak... - Jamie przewrócił oczami. - Ty miałaś rację, ja się myliłem.

- Nieważne. Zwykle się nie mylisz.

- To pewnie dlatego, że tamtego dnia byłem taki zdenerwowany.



- Wiem. Ale teraz, kiedy sprawa się wyjaśniła, już jest dobrze. -

Rozejrzałam się po ukończonym ogrodzie.

Usłyszałam westchnienie ulgi.

- Tak - powiedział Jamie. - Jest dobrze.

Kiedy wróciłam wieczorem do domu, czekały na mnie maile od Xana i Marka z podziękowaniami za zdjęcia z urodzin Milly, które im wysłałam. Jakie to smutne, pomyślałam, że jej ojciec i wujek nigdy się nie spotkali. W życiu Milly było tak niewielu mężczyzn, że tym bardziej cieszyłam się z Patricka - potrzebuje kogoś, kto będzie dla niej wzorcem ojca na co dzień, a nie tylko przez kilka godzin dwa razy w roku. Był też mail od Elaine, która obiecywała wkrótce nas odwiedzić; ostatnia wiadomość pochodziła od Simonetty, z przypomnieniem o czosnku bułgarskim.

Poszłam na górę do swojego gabinetu i spojrzałam na książki ogrodnicze - miałam ich chyba ze czterysta, z czego większość po mamie. Nie zostały jeszcze skatalogowane, więc musiałam pamiętać, gdzie co jest. Przeciagnałam palcem po grzbietach, czytając tytuły: *Rośliny do cienistych stanowisk*, *Ogrody Gertrudy Jekyll*, *Encyklopedia roślin Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego...* Spojrzałam na niższą półkę. Stała tam książka o kwiatach górskich, którą podarowała mi Sue, dalej *Klematis i inne pnącza*, *Krótką historia drzew*, *Kwiaty południowych Włoch*.

- Tu jest- mruknęłam.

Wyciągnęłam z półki bardzo zniszczoną książkę w miękkiej oprawie; grzbiet był mocno pomarszczony, stronicę pożółkły od upływu lat, papier stał się kruchy i delikatny. Kiedy ją otworzyłam, uderzył mnie w nos

stęchły zapach minionej ery. Wyobraziłam sobie mamę, jak ślęczy nad tekstem, oglądając monochromatyczne tablice. Odwracając strony - niektóre zupełnie luźne - dostrzegłam, że robiła ołówkiem notatki na żółknących marginesach: „Potrzebuje stanowiska od południa; Dobrze się czuje w cieniu; Słabo pachnie”. Widok schludnego, pochylonego na prawo pisma ożywił jej obraz, przepełniając mnie bólem i żalem.

- Czosnek bułgarski - mruczałam, otwierając indeks. Przebiegłam palcem wzdłuż szeregu nazw. Nie znalazłam go pod potoczną nazwą, ale jak to było po łacinie? Kiedyś wiedziałam. Ta nazwa pojawiła się na jednym z wykładów. Może coś z nektarem. Nektar... *roscordum*. To było to. *Nectaroscordum bulgaricum*, czyli bułgarski. Otworzyłam indeks na N i znalazłam odnośnik. Gdy odkładałam książkę na miejsce, coś się z niej wysunęło i sfrunęło na podłogę. Z początku pomyślałam, że to kilka luźnych stronic, okazało się jednak, że to fragment listu pisanego ręką mojej matki i fotografia.

Zdjęcie kolorowe, ale dość stare. Były na nim mama - mogła mieć wtedy jakieś dwadzieścia osiem lat. Siedziała na kraciastym kocu na jakiejś plaży, w słoneczny dzień. Miała na sobie czarno-białą sukienkę z eta-miny, z raglanowymi rękawkami. Niemal biło od niej szczęście. Obok na kocu siedział bardzo atrakcyjny ciemnowłosy mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku. Ubrany był w niebieską rozpiętą pod szyją koszulę i ciemne szorty. Na kocu były też talerze, kieliszki i piknikowy kosz, z którego sterczała otwarta butelka szampana. Ich pochylone ku sobie głowy sugerowały głęboką zażyłość; muskularne ramię mężczyzny otaczało talię mojej matki.

Gapiałam się na zdjęcie, słysząc pulsowanie krwi w uszach. W końcu odwróciłam je. „Chichester, 12 czerwca 1977”, napisała mama. Kim był ten mężczyzna? Kto zrobił zdjęcie? Tata? Raczej nie, biorąc pod uwagę, w jaki sposób ów człowiek obejmował matkę. Nagle serce załomotało mi dziwnie, gdy przypominałam sobie, że w tym czasie tata wiele miesięcy spędził w Brazylii. Wpatrując się w twarz nieznanego, poczułam, że mój świat chwieje się w posadach.

Spojrzałam na zdjęcie jeszcze raz, czując, że policzki mi płoną i nagle, równie szybko, stają się lodowate. Bo teraz dostrzegłam nie tylko oczywistą zażyłość między moją matką i tym człowiekiem, ale w jego brązowych oczach rozpoznałam oczy Cassie; w jego wysokim sklepionym czole rozpoznałam jej czoło. Tak jak Cassie, mężczyzna miał oliwkową skórę, a jego włosy, tak jak jej, były czarne, błyszczące i gęste.

Kiedy tak wpatrywałam się w zdjęcie, obrazy mieniły się przed moimi oczami, jakby ktoś ustawiał ogniskową obiektywu, i nagle wszystko stało się przerażająco wyraźne.

Spojrzałam na list, który trzymałam w drżącej dłoni. Napisała go mama do ojca; liczne poprawki i skreślenia wskazywały, że to brudnopis.

„Najdroższy Colinie... jakże ja będę w stanie odwdzińczyć Ci się za Twoją wielkoduszność... Wiem, że na nią nie zasługuję... To moja wina... tak mi wstyd... zrobię, co w mojej mocy, by Ci to ułatwić, jak tylko się da... Zgadzam się, że nikt nie powinien wiedzieć...”

Ręce pokryła mi gęsia skórka. List nie miał daty, ale był dołączony do fotografii. Przeczytałam go od nowa i jeszcze raz przekartkowałam książkę, by sprawdzić, czy nie schowano w niej czegoś jeszcze; nic nie

było, ale na stronie tytułowej znalazłam dedykację: „Dla Mary, na pamiątkę tylu szczęśliwych chwil, *amore e baci*, Carlo, lipiec 1977”.

- Tylu szczęśliwych chwil? - szepnęłam. Nagle przypomniałam sobie moją rozmowę z tatą sprzed czterech miesięcy.

- „Nie było mnie przez osiem miesięcy.

- Musiało ci być ciężko.

- Tak... było mi bardzo ciężko.

- Więc to było, zanim urodziła się Cassie?

- Tak. Cassie urodziła się w następnym roku”.

Piętnastego marca. Niewidzialna dłoń ścisnęła mi płuca, pozbawiając tchu.

Odłożyłam książkę na biurko, załując, że Simonetta zapytała mnie o ten bułgarski czosnek. Tata najwyraźniej nie miał pojęcia, co było schowane w *Kwiatach południowych Włoch*.

Kiedy zesłam na dół, wciąż roztrzęsiona, zadzwonił telefon. Producentka z GMTV przypominała mi o pięciu wywiadach, które miałam nagrać dla nich w przyszłym tygodniu.

- Mamy wszystkie rośliny, zgodnie z pani życzeniem - mówiła. - Taksówka po panią przyjedzie o szóstej rano w poniedziałek, żeby pani miała czas poustawiać je według własnego uznania przed nagraniem. Czy to pani odpowiada?

- Jak najbardziej - odparłam automatycznie. Ale czy ja zdołam teraz się skoncentrować?

Okazało się jednak, że adrenalinowy kop, a występ w telewizji na żywo zawsze tak na mnie działał, pozwolił mi jakoś przez to przebrnąć.

Przyjechałam do studia o wpół do siódmej, odsiedziałam chwilę w charakteryzatorni, po czym weszłam na taras na dachu i odbębniłam rozmowę z Penny Smith o letnich bylinach, bez których nie obejdzie się żaden ogród. Udało nam się porozmawiać o uprawie *Osteospermum*, rudbekii, łubinu i dziewanny; zanim się obejrzałam, już mi dziękowała i cieszyła się na jutrzejsze spotkanie, kiedy to miałam mówić o flancowaniu, i za chwilę zgrabnie wprowadziła temat nastoletnich matek.

Po powrocie zabrałam Milly do Pachnącego Groszku. Potem zadzwoniłam do taty, by go uprzedzić, że przywiozę donice.

- Dobrze wypadłaś w telewizji - pochwalił, kiedy wypakowywaliśmy je z bagażnika pół godziny później. - I pokazali adres twojej strony internetowej.

- Cieszę się. - Dźwignęłam paletę z pelargoniami. - Przywiozłam ci je, bo długo kwitną, a tu masz białą bakopę do posadzenia w przerwach.

- Na pewno będzie ładnie wyglądać. Wszystko okej? - zapytał, gdy wyciągałam worek ziemi.

- W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona po tej wczesnej pobudce. - Zaciągnęliśmy bagaże do windy; tata wcisnął guzik i pojechaliśmy do góry. - Ale, słuchaj...

- Tak.

- Muszę cię o coś zapytać. Spojrzał na mnie.

- To brzmi groźnie. O co chodzi?

- O... Brazylię.

- Brazylię? - powtórzył. Winda zatrzymała się z szarpnięciem na dziesiątym piętrze. Spiżowe drzwi otworzyły się z głośnym szczęknięciem.

- Tak. Zastanawiam się... nad wyjazdem do Brazylii. Z Patrickiem. Na wakacje.

- Naprawdę? - Wynieśliśmy rzeczy z widny. - No, to dość daleko.

- Wiem, ale... chciałam zapytać, kiedy najlepiej jechać? Tata wzruszył nieporadnie ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem... - Sięgnął do kieszeni po klucze.

- Ale siedziałeś tam dość długo, prawda?

- Owszem.

- Mówiłeś, zdaje się, że przez osiem miesięcy.

- Tak. - Walczył z zamkiem.

- Które to były miesiące? - Zapadło niezręczne milczenie. - Pamiętasz? - Moje serce zamarło, kiedy czekałam na odpowiedź.

Pchnął drzwi.

- Byłem tam w 1977 roku, od stycznia do sierpnia. - Serce znów zaczęło bić i nagle spadło jak kamień do żołądka, gdy dotarło do mnie, co oznaczają słowa taty. - Ale to wielki kraj, więc zależy, gdzie byście byli.

- Oczywiście. Obadam sprawę dokładniej. Czyli... od stycznia do sierpnia - dodałam od niechcienia, gdy wnieśliśmy donice na balkon i zaczęliśmy je napełniać. - A przyjeżdżałeś do domu w tym czasie? - Znów chwila niezręcznej ciszy. - Tato?

- Powinienem był przyjechać, bo miałem urlop. - Odłożył łopatkę. - Ale zachorowałem na malarię i czułem się za słaby na podróż. Kiedy wyzdrowiałem, postanowiłem nie przerywać robót, bo wtedy myślałem już tylko o jednym: wrócić jak najszybciej do domu. To jeden z najgorszych okresów w moim życiu - dodał cicho, delikatnie wykręcając rośliny z plastikowych doniczek. - Nie było mnie o wiele za długo, a rozłąka bywa zabójcza dla małżeństwa...

- Tak. Na pewno. W każdym razie dzięki.

- Czy tylko to chciałaś wiedzieć, Anno? Spojrzałam na niego.

- Tak, tato. Tylko to.

A więc jednak, myślałam, jadąc do domu. Tata był w Brazylii, kiedy została poczęta Cassie. Weszłam na górę i jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie. Siadłam przy biurku i oparłam głowę na dłoniach.

Więc małżeństwo mamy nie było tak konwencjonalne, jak mi się zdawało. Ogarnęła mnie fala smutku, rozczarowania i konsternacji. Mama miała romans, kiedy tata wyjechał, zaszła w ciążę i powiedziała mu o tym - to jasno wynikało z listu - a tata jej wybaczył, bo małżeństwo się nie rozpadło.

„Tak to już jest z dziećmi, że kiedy się zjawiają, po prostu trzeba je zaakceptować”.

Pomyślałam ciepło o tacie. Musiał bardzo kochać mamę.

„Potrzebujesz kogoś, kto zawsze będzie przy tobie. Cokolwiek...”

Zawsze dodawała to enigmatyczne „cokolwiek”. Teraz wiedziałam już, co znaczyło.

Dokonawszy takiego odkrycia, byłam w szoku, ale złagodziła go myśl, że podświadomie wiedziałam o tym od zawsze. Rodzeństwo może się bardzo różnić od siebie, jednak jakiś wspólny składnik musi być - choćby tylko kształt nosa czy łuk brwi. W Cassie wszystko, dosłownie wszystko - fizycznie i psychicznie - było mi obce, i teraz nareszcie wiedziałam, dlaczego. A poza tym niby co skłoniło rodziców do powołania na świat kolejnego dziecka ponad sześć lat po poprzednim?

Och, po prostu zamarzył nam się kolejny maluch - mawiali, gdy ktokolwiek wspominał o naszej różnicy wieku. - Prawda, kochanie? - dodawała lekkim tonem mama, a tata tylko się uśmiechał łagodnie, wymijająco...

Wsunęłam zdjęcie na powrót między strony i schowałam książkę do szuflady.





## **Rozdział 1 0**

Przez kilka dni przygniatał mnie smutek, co przekładało się na fizyczną ociężałość, jakbym dźwigała ogromny głaz na ramionach, ale nie mogłam znaleźć miejsca, gdzie można by go zwalić. Miałam starszego brata, który odciął się ode mnie, miałam współnika z problemami małżeńskimi, byłego faceta, który widywał nasze dziecko dwa razy do roku, nianię, która być może handlowała narkotykami, a teraz jeszcze odkryłam, że moja siostra jest owocem zdrady.

By zająć czymś głowę, zabrałam się do przeglądania szafy - chciałam wybrać jakiś ciuch na przyjęcie u Edwardsów. Kiedy wyciągałam buty, zadzwoniła Cassie. Z początku, słysząc jej głos, czułam się dziwnie, ale to uczucie szybko minęło, gdy wróciły falą znajome emocje.

- Zgadnij, co się stało - powiedziała.

- Nie zgadnę. - Wygrzebałam z szafy pistacjowe pantofle z paskiem na pięcie, których szukałam. - Nie mam aż takiej wyobraźni. Musisz mi powiedzieć.

- Chodzi o tatę. Wyprostowałam się.

- Co mu się stało? Chory?

- Och, nie, jest w świetnej formie. Ale odkryłam coś, powiedzmy, dość zdumiewającego.

To nie może być tak zdumiewające, jak moje ostatnie odkrycie, pomyślałam.

- Więc co z nim? - Sięgnęłam po koktajlową sukienkę z zielonego

Inu.

- Otóż wczoraj wieczorem siedziałam sobie w barze na piątym piętrze Harveya Nicholasa... Służbowo, oczywiście.

- Ty tak to nazywasz?

- I rozmawiałam z jednym koleśkiem, którego polecono mi... sprawdzić.

- Poderwać - poprawiłam ją. - A tak przy okazji, mam nadzieję, że to bezpieczne.

- Och, całkowicie - odparła - bo Ken, mój szef, siedział raptem parę metrów dalej z ukrytą kamerą. Ale do rzeczy. W pewnym momencie patrzyłam na drugi koniec baru i kogo widzę? Tatę!

Usiadłam na łóżku.

- Widziałaś tatę w barze Harveya Nicholasa? - To nie był lokal w jego guście. - A on cię widział?

- Nie. Po pierwsze, było strasznie dużo ludzi, a po drugie, był pogrążony w rozmowie z... jakąś kobietą.

- Z kobietą? To znaczy, że mieli randkę?

- Tak. Ohydne - dodała.

- Dlaczego?

- Bo ona była przynajmniej trzydzieści lat młodsza.

- Och. Koszmarna sprawa... To znaczy, z jej punktu widzenia.

- No właśnie. Miała znudzoną minę, choć on był bardzo ożywiony, gadał dwa razy więcej niż ona... I włożył ten krawat od Pucciego. Kiedy wyszła do toalety, przeprosiłam mojego pana i poszłam za nią.

Podśledzałam, jak dzwoniła do koleżanki. Powiedziała, że jest na

„najgorszej randce swojego życia" z jednym „nudnym, starym pierdzielem..."

- Co za bezczelność!

- .. .który odjął sobie dwie dychy, bo powiedział, że ma pięćdziesiąt dwa lata.

- Pięćdziesiąt dwa? - Rany. - No, to trochę przesadził. Ale jak to się stało, że ją okłamał?

- No właśnie o to chodzi. Z tej rozmowy wynikało, że ona dała ogłoszenie w dziale towarzyskim „Timesa", i tata odpowiedział. Mówiła, że szukała sprawnego, rozrywkowego, dobrze sytuowanego macho między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt, a zjawił się zdezelowany emeryt.

- To było bardzo prostackie. Tata jest sprawny jak na swoje lata.

- I podobno powiedział jej, że odpisał na całkiem sporo takich ogłoszeń. .. A konkretnie dwadzieścia osiem.

- Aha. - Wyjaśniło się więc nagłe ożywienie w jego życiu towarzyskim.

- Nie sądzisz, że to szokujące? - Cassie była zbulwersowana. - Takie rzeczy w jego wieku. We wrześniu skończy siedemdziesiąt lat!

Pomyślałam smutno, że w tej chwili nic nie zdoła mnie zaszokować.

- Nie, nie sądzę - odparłam. - Musi ci wystarczyć „umiarkowanie zaskakujące". Nie jesteś świętoszką, Cassie, spójrz na siebie bardziej krytycznie. Proszę cię, nie bądź dla niego zbyt surowa. Był bardzo samotny po śmierci mamy. Życzę mu powodzenia.

- Wszystko w porządku, Anno? Jesteś jakaś taka... dziwna.

- Absolutnie nic mi nie jest. To po prostu zmęczenie.

- Jak myślisz, powinnam wspomnieć o tym tacie? Zamknęłam nogą drzwiczki szafki.

- W żadnym wypadku! Jeśli chce robić z siebie idiotę przed młodszymi kobietami, to jego sprawa, i zapewne ma z tego więcej frajdy niż z brydża z Travisami. A w ogóle przepraszam cię, Cassie, ale muszę kończyć.

Poszłam do swojego gabinetu i jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie mamy z kochankiem, jak robiłam to już wiele razy, od kiedy je znalazłam. Ta fotografia odebrała mi spokój, zburzyła równowagę, jakby ktoś wrzucił mi cegłę do mózgu. Potrzebowałam o tym porozmawiać, ale z kim? Nie z tatą. To by przywołało zbyt wiele bolesnych wspomnień. Nie z Cassie. Z Patrickiem też nie, bo wtedy czułabym się niełojalna wobec rodziny. Zastanawiałam się, co wie Mark - i czy w ogóle cokolwiek. Napisałam do niego maila, informując go, że odkryłam coś, co nie daje mi spokoju, i bardzo chciałabym pogadać. Ale pół godziny później dostałam automatyczną odpowiedź, że nie ma go w domu do dziewiętnastego czerwca.

Przez następnych kilka dni usiłowałam jakoś pogodzić się z tym, czego się dowiedziałam o mojej matce. Zmagałam się z prawdą, z problemem o niej: nie była taka nieskazitelna, jak się zdawało. Musiałam uporać się przy pomocy fachowca od ludzkiej duszy. Chwilę bawiłam się myślą o pójściu do psychoanalityka. Znalazłam nawet kilku w książce telefonicznej, i właśnie miałam zadzwonić do jednego - doktora D. Buckhursta, który miał gabinet w Hampstead - kiedy pomyślałam o Jenny. Przecież ona pracowała z ludźmi po urazach psychicznych. Udzielała

dobrych, przemyślanych rad. A co ważniejsze, była całkowicie dyskretna. Milczała jak grób. Nie mówiła za wiele o sobie, natomiast o innych - w ogóle. Zostawiłam jej wiadomość na sekretarce, prosząc o spotkanie tak szybko, jak to możliwe.

- A to za co? - zapytała, gdy dwa dni później przysłałam do jej mieszkania z butelką szampana.

- Przyniosłam, bo pewnie nie pozwolisz sobie zapłacić.

- Masz rację. - Skinęła głową. - Nie pozwolę. Ale dziękuję. -

Wprowadziła mnie do swojego dużego gabinetu. - No dobrze. -

Zasiadłyśmy w brązowych skórzanych fotelach. - Chciałaś porozmawiać.

- Tak - szepnęłam. Spokojny, ciepły ton jej głosu wyzwolił we mnie falę tłumionych emocji. - Bo... - Podsunęła mi pudełko chusteczek. Gdy już się pozbierałam, co zajęło mi chwilę, opowiedziałam, co się wydarzyło. Nie przyniosłam ze sobą zdjęcia, było zbyt osobiste, więc po prostu opisałam.

Słuchała mnie, od czasu do czasu robiąc ołówkiem notatki. Na jej twarzy nie dostrzegłam oznak zdumienia, zniecierpliwienia czy krytyki, a wyłącznie głębokie, inteligentne zainteresowanie.

- Czy twój ojciec na pewno siedział w Brazylii przez osiem miesięcy? Bez żadnych przerw?

- Na pewno.

- A nie jest możliwe, że zapomniał? Minęło trzydzieści lat.

- Codziennie w dwadzieścia minut rozwiązuje krzyżówkę w „Timesie”. Pamięć ma doskonałą. Wrócił dziewiątego sierpnia, akurat na urodziny swojej matki.

- Są jakiegokolwiek przesłanki, by rozważyć, czy twoja mama mogła jednak pojechać do Brazylii?

- To bardzo dobre pytanie. - Sama mu je zadałam dwa dni później, tak od niechcenia. Powiedział, że nie było mowy o jej wyjeździe, bo zajmowała się mną i Markiem. Mieliśmy wtedy pięć i siedem lat.

- Więc uważasz, że kiedy ojciec przebywał w Brazylii, mama miała romans i zaszła w ciążę ze swoim partnerem. On jest biologicznym ojcem Cassie.

- Tak, teraz już jestem o tym przekonana. Tata przyznał, że to był bardzo nieszczęśliwy czas w jego życiu i że małżeństwo przeżywało trudne chwile. No i to by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego Cassie jest taka... inna.

- Ale to niezmiernie trudna sprawa do ukrycia. - Ulicą przejechała furgonetka z lodami, rycząc swoją wesołą, a jednocześnie dziwnie melancholijną melodyjkę. - Przez tyle długich lat.

- Co ty powiesz. - Przycisnęłam chusteczkę do oczu.

- A jak teraz postrzegasz Cassie? Spojrzałam w sufit.

- Myślałam, że moje odczucia się zmienią... że będzie jakoś obco i niezręcznie... Ale prawda jest taka, że czuję dokładnie to samo, co przedtem. Wciąż jest moją irytującą, nieodpowiedzialną, doprowadzającą mnie do rozpacz siostrą... Cassie.

Jenny skinęła głową.

- Rodzice nie powiedzieli jej o tym nigdy, oczywiście tobie i bratu też nie. Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie dlatego, że tata starał się chronić mamę. Uwielbiał ją. Musiał ją uwielbiać, skoro poradził sobie z tym, co się stało... A raczej z tym, co zrobiła - dodałam żałośnie. - I pewnie nie chciał, żebyśmy, ja i Mark, o tym wiedzieli, bo moglibyśmy źle o niej myśleć.

- Więc jego celem było utrzymanie iluzji rodzinnej jedności.

- Tak.

- To całkowicie zrozumiałe, choć niestety wiązało się z oszustwem, z którym ty się teraz borykasz. A jak myślisz, kto mógł zrobić to zdjęcie?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pewnie jakiś przechodzień.

- A gdzie byliście wtedy ty i Mark?

- Prawdopodobnie z mamą taty, babcią Temple. Uwielbiała mieć nas u siebie. Więc być może mama podrzuciła nas do niej, kiedy szła się spotkać... z nim. Z tym Carlem... - Pokręciłam głową. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Jenny. Chociaż mam trzydzieści pięć lat i sama nie urodziłam dziecka w idealnych okolicznościach.

- A co cię w tym szokuje najbardziej? Myśl, że twoja matka miała romans? Czy fakt, że nigdy nie powiedziano ci prawdy, jeśli to jest prawda, o Cassie?

- Jedno i drugie. Przede wszystkim to, że moja matka miała... kochanka. Ledwie mogę to wymówić, a co dopiero pomieścić w głowie.

- Wielu kobietom zdarza się małżeński skok w bok. Normalna życiowa sprawa.

- Wiem, ale to całkiem niepodobne do niej. Mama była taka... zasadnicza. Wiecznie mówiła nam, że trzeba się szanować, że trzeba się

dobrze zachowywać, a w końcu wychodzi na to, że sama pozwalała sobie na zbyt wiele swobody.

- Co teraz czujesz, kiedy o niej myślisz?

- Jestem na nią trochę zła. I czuję się zawiedziona.

- Wydawało ci się, że jest wzorem żony i matki.

- Do pewnego stopnia, tak. Dlatego, że zawsze przedstawiała swoje małżeństwo jako idealne, jako opokę, kiedy najwyraźniej była też druga strona medalu. Na litość boską, urodziła nieślubne dziecko!

- Była wtedy piękną młodą kobietą. Matką dwójki małych dzieci. Jej mąż wyjechał na bardzo długo. Być może miała mu za złe „porzucenie” rodziny, jak mogła to postrzegać. Mówiłaś, że wyszła za mąż bardzo wcześnie.

- Tak, w wieku dwudziestu lat. Ślub został przyśpieszony. A więc potknęła się w życiu dwa razy.

Słyszałam ciche skrobanie ołówka Jenny.

- Tata był starszy od niej?

- O dwanaście lat.

- Spora różnica wieku. Kto wie, może mieli problemy, jeszcze zanim wyjechał do Brazylii. A potem została sama na osiem miesięcy, spotkała tego przystojnego mężczyznę, Włocha, mniej więcej w tym samym wieku, co ona. Przy nim poczuła się kochana, a nie samotna... - Przypomniałam sobie euforyczny wyraz twarzy mamy na zdjęciu. - Twoja matka była tylko człowiekiem, Anno.

- Wiem. - Skądś dobiegało tykanie zegara.



- I prawdopodobnie dawała ci te rady dlatego, że pragnęła cię uchronić przed błędami, które sama popełniła.

- Chyba tak. - Pomyślałam o jej ingerencji w życie Marka, z tak opłakanym skutkiem. - Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tata traktował Cassie nie z pełną rezygnacją tolerancją albo nawet niechęcią ale jak swoją ulubienicę. Zawsze rozpieszczał ją nie mnie. To zupełnie nie ma sensu.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Moim zdaniem ma - stwierdziła Jenny.

- Nie widzę logicznego związku. Wy tłumacz mi.

- Żeby nie rozbijać rodziny, postanowił wychować to dziecko jak swoje własne, mimo bólu, który musiał czuć. Twoja matka też chciała ocalić rodzinę, więc zgodziła się udawać, że Cassie jest jego. Ale to właśnie może być powód specjalnych względów wobec Cassie.

- Co masz na myśli?

- Może się bał, że jej nie pokocha, dlatego przesadnie rozpieszczał. Chciał uzyskać pozytywną reakcję Cassie, to pomogłoby mu wzbudzić w sobie ojcowskie uczucia. Może tak to widział. Jeśliby odtrącił Cassie, nie dałoby się podtrzymać iluzji rodzinnej sielanki, i wszystko by się rozpadło.

„Zupełnie jakby próbował jej coś wynagrodzić”.

- Możesz mieć rację - powiedziałam cicho. Wstałam. - Cieszę się, że z tobą porozmawiałam, Jenny. Jesteś mądrą osobą. Dziękuję.

- I... co teraz? Westchnęłam ciężko.

- Nie wiem.

- Jedna opcja jest taka, że spróbujesz o tym zapomnieć i będziesz żyła, jakby nic się nie stało. Chcesz tego?

- Zbyt trudne. Przerasta mnie. Ale przecież nie ja powinnam powiedzieć Cassie prawdę.

- Więc kto powinien?

- Mój ojciec, oczywiście.

Następnego wieczoru, przygotowując się do wyjścia na przyjęcie u Edwardsów, zastanawiałam się, jak mogłabym poruszyć z tatą tak nieprawdopodobny temat. Musiałabym bardzo starannie wybrać moment, rozmyślałam, zakładając kolczyki. Może łatwiej byłoby to zrobić przez telefon albo napisać do niego list; albo może powinnam po prostu zgłosić się do *Jerry Springer Show* i moglibyśmy publicznie wyprać nasze brudy. Może nawet znaleźliby Carla, myślałam, wsuwając pantofle. Wyobrażałam sobie bójkę między nim a tatą po której nastąpiłoby wzruszające pojednanie, wywołane niespodziewanie dojrzałą interwencją Cassie. Publiczność w studiu oszalałaby.

Moje rozmyślania przerwał głos Luisy, śpiewającej Milly:

- *Centella, centella, estrellita...* Tego było już za wiele. Zeszłam na dół.

- *Mepregunto que eres tu...*

- Luisa. - Staralam się mówić spokojnie. - Słowa tej piosenki brzmią: „Mrugaj, mrugaj gwiazdko mała, gdzieżeś mi się zapodziała”. Czy mogłabyś przestać śpiewać Milly po hiszpańsku? Mimo twojego ślicznego głosu strasznie mnie to irytuje. I przestań, z łaski swojej, mówić do niej po hiszpańsku, bo mieszasz jej w głowie. - Pomyślałam o incydencie w

Pachnącym Groszku. I o tych wszystkich pieniądzach, które Luisa miała w pokoju; mój ostatni antynarkotykowy patrol ujawnił, że jej zapasik gotówki urósł do pięciu kawałków. - Zapłaciłam ci za kurs angielskiego - ciągnęłam, z trudem się opanowując. - Ale z tego, co widzę i słyszę, nie nauczyłaś się niczego.

Luisa zaczerwieniła się jak burak.

- Przepraszam, Anna.

- Kiedy uda mi się wreszcie porozmawiać z twoim nauczycielem, panem Coksem, któremu zostawiłam już trzy wiadomości, wypytam go dokładnie o twoje postępy. - Zbladła. - Wiem, że wychodzisz co rano, ale co robisz przez te trzy godziny, przekracza moją zdolność pojmowania.

- Pojmowania? - powtórzyła tępo.

- *Si. Zrozumienia! Comprensión!* Właśnie to, czego tak nam tu brakuje!

- *Mama, estas enfadada con Luisa*"? - zapytała Milly.

- Nie jestem na nią zła. *Nada mas estoy un poco frustrada.* Milly zwróciła się do Luisy.

- *La momia es infeliz actualmente.*

- Nie jestem nieszczęśliwa - zaprotestowałam. - Czuję się świetnie, dziękuję bardzo. - Wzięłam głęboki wdech. - Do zobaczenia, Milly. - Pocałowałam ją. - Bądź grzeczna.

- *Soy una chica buena!* - zaprotestowała z oburzeniem.

- Wiem, że jesteś, kochanie - powiedziałam.

Na imprezę pojechałam taksówką, żeby móc się napić. Przed rezydencją ujrzałam tłumek gości wlewający się na schody. Przybyłych

witali kelnerzy z tacami szampana. Biorąc kieliszek, spojrzałam na etykietkę butelki -Veuve Clicquot, z dobrego rocznika. Edwardsowie nie uznawali tandety.

Przeszłam przez hol, udekorowany drogimi obrazami i dwiema kompozycjami kwiatowymi wielkości budek telefonicznych. Było tłumnie i gwarno. Aromat lilii odmiany Stargazer mieszał się z zapachem drogich perfum, wiało atmosferą dostatku wielkiego świata.

- Znów jedziemy na Sycylię.
- Mamy mieszkanie w Monako.
- Miałem kiedyś Sisleya, ale sprzedałem.
- Te wahania kursu dolara...
- W tym roku też będziecie u Cartiera?

Wyszłam przez tarasowe drzwi, przystanąłam i spojrzałam na ogród, pozwalając sobie nacieszyć się tą chwilą. Poczułam, jak wzbiera we mnie duma. Wapienne płyty jarzyły się w przedwieczornym słońcu, rabaty na podmurówkach wyglądały bardzo elegancko, a kształty i kolory posadzonych na nich roślin doskonale się uzupełniały. Granitowa fontanna wyglądała imponująco; splecione limety były schludne i wytworne, ich przycięte gałęzie przeplatały się pięknie, jakby drzewka obejmowały się za szyję. Odetchnęłam z ulgą widząc, że nikt nie stoi na trawniku - wysokie obcasy zrujnowałyby nową darń.

W ogrodzie było już ze sto osób - rozpoznałam kilka osobistości z City, dwóch polityków i jedną czy dwie sławy, które zapewne prywatnie były klientami Gill. Zauważyłam wiolonczelistę Juliana Lloyd-Webbera;

rozmawiał z aktorem Robertem Lowellem, który stał oparty o wysoką granitową żardynierę.

Widok Lowella przypomniał mi Carol Gowing, bo w *Miasteczku Holby* zagrała z nim kilka scen. Byłam ciekawa, co też się z nią stało, i czy Mark wciąż o niej myślał po tych czterech latach, i z kim był teraz - jeśli w ogóle kogoś miał.

- Anna! - Gill Edwards stanęła nagle obok mnie w łososiowej jedwabnej szmizjerce. - Bardzo się cieszę, że mogłaś przyjść. No więc... - wskazała ogród szerokim gestem - co myślisz? Jesteś zadowolona?

- Jestem, jeśli ty jesteś.

- Ja jestem zachwycona. Oboje jesteśmy. Martin polubił nawet hortensje. - Zachichotała. Nie były to różowe pompony, których tak nie cierpiał, ale odmiana „kompromisowa”, *Hydrangea paniculata*, z eleganckimi białymi stożkami kwiatów. - No dobrze. Kogo tutaj znasz?

- Chyba tylko ciebie i Martina. Ujęła mnie za rękę.

- Więc pozwól, że cię przedstawię dwójce naszych starych przyjaciół, Antonii i Eduardowi Morea. - Podprowadziła mnie do nich. - To jest Anna Temple, niezwykle utalentowana projektantka ogrodów. - Myślałam, że ją ucałuję.

- To pani projektowała ten ogród? - zapytała Antonia, pani około sześćdziesiątki, w eleganckim damskim garniturze z blad różowego jedwabiu i popielatym szalu, luźno zawiązanym na szyi.

- Tak. - Starłam się nie gapić na prostokątny diament wielkości znaczka pocztowego na jej serdecznym palcu.

- Eduardo i ja właśnie go podziwiamy, jest fantastyczny. Ile trwały prace? - Wyjaśniłam jej wszystko. - A jest pani w tej chwili bardzo zajęta?

Serce podskoczyło mi z radości.

- Dosyc - odparłam ostrożnie.

- Bo mieszkamy w Belize Park i naszemu ogrodowi przydałby się lifting, prawda, Eddie? Tylko się nie zdziwcie - prychnęła - kiedy on powie wam to samo o mnie.

- Nie żartuj, kochanie - odezwał się Eduardo. - Ale to prawda, nasz ogród mógłby być o wiele ładniejszy. O, tak, poproszę - mruknął, gdy mijający nas kelner zaproponował szampana.

- Ma pani przy sobie wizytówkę? - zapytała mnie jego żona.

Już wcześniej uznałam, że wręczanie wizytówek wyglądałoby tandetnie.

- Może po prostu poproście państwo Gill o kontakt. Albo odwiedźcie moją stronę internetową. Nazywam się Anna Temple.

Pani Morea wyjęła z kopertowej torebki oprawny w skórę notesik i zapisała sobie złotym ołówkiem.

- Anna... Temple... - Uśmiechnęła się do mnie. - Zajrzę na pewno. Te wielkie żardyniery są rewelacyjne, fontanna też robi wrażenie, pięknie pluska.

- Dziękuję.

- No dobrze, nie będziemy pani zatrzymywać wyłącznie dla siebie. Na pewno do pani zadzwonię. - Uśmiechnęłam się na pożegnanie, myśląc, że pewnie nie zadzwoni, ale i tak rozmowa sprawiła mi dużą przyjemność.

Zeszłam do ogrodu, nie spotkałam co prawda Jamiego, ale zauważyłam nagle znajomą twarz.

- Miles! - Mój dawny szef.

- Anna! - niemal krzyknął. - Wspaniale, że jesteś. - Chwycił mnie za rękę i ucałował w policzek. Wciąż wyglądał jak przerośnięty cherubin, tyle że jasne loki były trochę bardziej siwe. - Ale... skąd znasz Gill i Martina?

- Są moimi klientami.

- Chcesz powiedzieć, że ty to zbudowałaś?

- Nie. Zbudował mój wspaniały wykonawca, Jamie. Ja zaprojektowałam.

- Właśnie przeprowadziliśmy się do Hampshire. Teraz, kiedy już wiem, co potrafisz, zaproszę cię, żebyś obejrzała nasz ogród. To kilka hektarów pobojuwiska.

- Z przyjemnością go zobaczę - odparłam. - A jak tam twoi chłopcy?  
- zapytałam, biorąc od kelnera kanapkę z kawiozem.

- Świetnie. Starszy w przyszłym roku idzie do szkoły z internatem, nie mogę w to uwierzyć. Ale jak twoja córeczka? Sue pokazała nam zdjęcie, jest urocza.

- Dziękuję. - Dziwnie się złożyło, myślałam, że Milly została poczęta ostatniego dnia mojej pracy w Arden, jakby była pożegnalnym prezentem, który sama sobie sprawiłam.

- Więc teraz masz też życie rodzinne.

- Fakt. Trochę niekonwencjonalne, ale jestem bardzo szczęśliwa. - Pomyślałam o Patricku. - Arden ma niezłe wyniki; widziałam parę pozytywnych opinii w prasie biznesowej.

Wzruszył ramionami.

- Jakoś przemy do przodu. Dlatego poznałem Gill - ciągnął. -

Inwestuje za naszym pośrednictwem pieniądze kilku prywatnych klientów.

To bardzo obrotna osoba. No i... Hej, cześć!

U boku Milesa stanęła para po czterdziestce. Ucałował kobietę w policzek i zwrócił się do mnie:

- Anno, poznałaś już Andrew i Jane Barracloughów?

- Nie. - Uśmiechnęłam się do nich. Mężczyzna wydawał mi się znajomy, choć nie mogłam skojarzyć, skąd. Był bardzo atrakcyjny; jego żona, choć w drogich ciuchach i zadbana, nie wyglądała efektownie. Miała jakąś taką ściągniętą twarz, jakby ssła kapara.

- Znamy się z Andrew od wieków - wyjaśnił Miles. - Wiele lat temu pracowaliśmy razem w Deutsche Banku.

- Tak wiele, że już nawet nie chce mi się liczyć - dodał Andrew z uśmiechem.

- A gdzie teraz pracujesz? - zapytałam, chcąc go jakoś umiejscowić.

- Wciąż siedzę w City. - Wskazał ruchem głowy żonę. - Oboje z Jane pracujemy w Goldman Sachs. Z Martinem.

- I co, Jane ma cię na oku? - Miles dowcipkował. Jane się zachnęła.

- To raczej niewykonalne. - Minę miała cierpiętniczą. - Ja pracuję na czwartym piętrze, a on na trzydziestym dziewiątym.

Skąd mi się wzięło to uparte uczucie deja vu? Może spotkałam go na jakimś bankiecie, kiedy pracowałam w City, a może widziałam go w telewizji.



Gawędziliśmy przyjaźnie przez kilka minut, aż nagle kątem oka dostrzegłam Jamiego z Theą. Gdy pomachałam, podeszli do nas; Thea ubrana była w błyszczącą błękitną koktajlówkę, włosy miała upięte z tyłu, a za ucho zatkniętą białą gardenię. Smukłe ramiona były opalone na karmelowożłoty kolor.

- Cześć, Jamie! - powitałam go radośnie. - Cześć, Thea - dodałam z serdecznością, za którą odpowiedzialny był szampan. - Jak miło cię widzieć - skłamałam. Wydawało mi się, że jest spięta, zaskoczył mnie jej sztuczny uśmiech; chyba czuła się niezręcznie w moim towarzystwie. Zupełnie jakby wiedziała, że ja wiem; ale jak mogła to wiedzieć? - To mój były szef, Miles Latimer - parłam dzielnie naprzód - a to Jane i Andrew Barraclough.

Jamie uścisnął dłoń Andrew lekko zaskoczony.

- Jesteśmy sąsiadami, kolego - powiedział z uśmiechem.

- Doprawdy? - Andrew posłał mu dziwne, niemal nieufne spojrzenie. Może nie spodobało mu się, że został nazwany „kolegą”. Thea popijała szampana i patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, jakby zdążyła się już znudzić. I taka to z ciebie specjalistka od PR, pomyślałam. Zerknęłam na Andrew; skąd ja go znam? Ta myśl nie dawała mi spokoju.

- Mieszkacie na Blythe Road - usłyszałam słowa Jamiego. Oto i wyjaśnienie. Andrew mieszkał w okolicy.

- Tak. - Andrew skinął powoli głową. - Oczywiście. Przepraszam, jak...?

- Jamie.

- Teraz cię poznaję. Tak to jest, jak się... hm... widzi kogoś w innym otoczeniu. To zawsze trochę mylące, prawda? Ale... wy mieszkacie pod trzydzieści dwa, tak?

- Zgadza się. To ja jestem dumnym właścicielem zdezelowanego niebieskiego pikapa. - Uśmiechnął się szeroko. - A wy macie tego zajefajnego bentleya!

- Niestety, tak - odparł Andrew. - Straszne z nas snoby, prawda, kochanie? - zwrócił się do żony. Nie było jej. Co za maniery, pomyślałam, tak odejść w środku rozmowy, gdy dopiero co kogoś się poznało. - Przepraszam- wymamrotał. - Widocznie musiała... No ale... bardzo miło było was poznać. - Posłał nam przepraszający uśmiech i zniknął.

- Zdumiewające - powiedział Jamie, kiedy Miles też nas opuścił. - Ten cały Andrew udawał, że mnie nie zna, a jestem pewien, że zna, bo czasem mijamy się na ulicy. Oni mają ten duży dom na rogu. Nie sądzisz, że byli dziwni, kochanie? - Spojrzał na Theę.

Upiła łyk szampana, marszcząc piękne brwi.

- Mhm... Bardzo dziwni.

Następny dzień nie był dobry. Padł mi komputer i musiałam wezwać fachowca do naprawy, która zajęła trzy godziny. Potem zdechł mi Internet i przed wieczorem musiałam wezwać faceta jeszcze raz; zanim udało mu się przywrócić połączenie, szlag trafił maile z dwóch dni. A do tego cały czas głowę miałam zajęta kombinowaniem, w jaki sposób przeprowadzić tę trudną rozmowę z tatą. Ćwiczyłam w duchu zdania, których mogłabym użyć, ale wiedziałam, że słowa i tak stanami w gardle.

Tato, muszę cię o coś zapytać.

Wiem, że to było dawno temu.

Zdjęcie mamy z...

Nie chciałam cię zdenerwować.

Proszę, powiedz mi prawdę.

To, co chciałam powiedzieć, wydawało mi się absolutnie nie do powiedzenia, szczególnie po tak długim czasie. Może jednak lepiej, by rodzinne sekrety pozostały sekretami, rozmyślałam; wtedy życie mogłoby płynąć jak dotąd.

A na razie miałam dwa nowe zlecenia, którymi trzeba było się zająć - patio w Camden i taras na dachu w Maida Vale - i spędzałam więcej czasu z Patrickiem. Milly wciąż była wobec niego trochę nieufna, próbując zrozumieć jego rolę w naszym życiu.

- Patrick jest przyjacielem mamusi - mówiłam jej. - I twoim też - spróbowałam dodać któregoś dnia.

- Nie. - Pokręciła głową trzęsąc ciemnymi lokami. - Moje przyjaciółki to są Gracie i Phoebe, i Carna, i Lilly...

- Bo tylko dzieci mogą być twoimi przyjaciółmi. O to chodzi?

- Luisa.

- Aha.

- I Jamie - dokończyła.

- No tak. Ale Patrick też by chciał być twoim przyjacielem. Kiedyś. Kiedy go lepiej poznasz.

Musiałam przyznać Patrickowi, że nie popełnił żadnego błędu. Po prostu gawędził z Milly i czytał jej, razem malowali albo bawili się masą solną. Bujał ją na huśtawkach albo ostrożnie kręcił na karuzeli. Którejś

soboty zabrał nas do Legolandu, a w kolejny weekend do Muzeum Nauki. Jeśli zostawał na noc, pilnował zawsze, by wyjść, zanim Milly się obudzi.

- Czuję, że już się ze mną oswoiła - powiedział kilka dni po przyjęciu u Edwardsów. Siedzieliśmy w moim ogrodzie przy późnym śniadaniu. Nalał sobie trochę własnej produkcji miodu na grzanekę. - Mam nadzieję, że powoli zaakceptuje moją obecność w waszym życiu - ciągnął. - Ale pomyślałem sobie, że moglibyśmy się wybrać we trójkę na jakieś wakacje pod koniec lata, i wtedy przekona się, że jesteśmy... no wiesz, razem pod każdym względem.

Na myśl o „byciu razem pod każdym względem” nagle poczułam się szczęśliwa.

- Wakacje? - Spojrzałam na leżący przede mną stosik nierozpieczętowanej poczty: trzy listy, pocztówka i paczka z paskiem znaczków z tropikalnymi ptakami. Był to urodzinowy prezent Milly od Xana.

- Tak, wakacje. Miałabyś ochotę? Napiłam się kawy.

- Wielką. Ale dokąd byśmy pojechali?

- Może do Konwalii? Znam tam miły hotel niedaleko St Mawes.

Ledwie piętnaście minut do plaży. Milly mogłaby pobrodzić w skalnych jeziorkach.

Stała mi przed oczami wizja Milly z siatką podskakującą od krewetek.

- Bosko. Ale o jakim terminie myślisz?

- Druga połowa sierpnia? Na początku września jadę do Nowej Zelandii.

Odgoniłam osę.

- Druga połowa sierpnia będzie w sam raz.

- Ja stawiam. Sięgnęłam po jego dłoń.

- Jesteś szczodry i miły, ale nie chcę o tym słyszeć.

Patrick przeglądał gazetę, a ja otworzyłam pierwszą kopertę, która zawierała ulotkę Międzynarodowej Wystawy Fuksji w Stoke. W następnej znalazłam zaproszenie do zachodniolondyńskiej filii Ogólnokrajowego Stowarzyszenia Hodowców Begonii. Była też miła pocztówka od Elaine, która opiekowała się jakimś dzidziusiem w Szkocji.

- A to co? - mruknęłam, otwierając ostatnią kopertę z miejscową pieczętą. - Zaproszenie na koncert. Koniec semestru w przedszkolu Milly.

- Koncert dla trzylatków?

- Śpiewają kilka piosenek, a mamusie i tatusiowie im wtórują.

- Mógłbym przyjść?

- Jasne - odparłam bezwiednie, choć poczułam niepokój; było na to za wcześnie. - Napisali, że rodzice mają uszyć kostiumy! Nie cierpię szyć - jęknęłam. - I jestem zajęta. - Spojrzałam na datę. - Dwunasty lipca! Za dwa tygodnie. Mogliby nas wcześniej ostrzegać - mruknęłam.

- A jaką rolę ma Milly?

- Kwiatowej wróżki, zdaje się, niezapominajkowej. Przedstawienie nazywa się *Zaczarowany ogród*.

- Przecież ma już strój wróżki, dałaś jej na urodziny. Mogłabyś go zaadaptować.

- Racja. Jest błękitny, więc wystarczy tylko doszyć trochę listków z ciemnozielonej satyny i popodpinać do nich mnóstwo trochę ciemniejszych niebieskich kwiatków; może Cassie wydziergałaby na szydełku niebieską czapkę. I mogłabym zrobić magiczną różdżkę z niebieskim kwiatkiem na końcu, zamiast gwiazdki - dodałam, orientując się nagle, że sprawia mi to frajdę. - I kupię jej niebieskie baletki albo ufarbuję białe. Więc może to nie będzie takie niewykonalne. -  
Odetchnęłam z ulgą.

- A kiedy moglibyśmy wyjechać? - zapytał Patrick. Sięgnęłam do torebki po terminarz.

- Osiemnasty do dwudziestego piątego? - zaproponowałam. - Żeby uniknąć korków w długi weekend.

- Czemu nie. Zadzwoń do tego hotelu, o którym myślałam, i spróbuję zarezerwować rodzinny apartament. - Wstał. - Chyba już pójdę. Mam spotkanie o dziesiątej. Zadzwoń do ciebie później, ślicznotko. - Schylił się, by mnie pocałować, i wyszedł.

Kończąc kawę, pozwoliłam sobie wybiec myślą naprzód, co robię ostatnio coraz częściej. Minęło dwa i pół miesiąca, Patrick i ja byliśmy parą. Planowaliśmy wspólny tygodniowy wyjazd, dopasowywaliśmy swoje terminarze. Wszelka niepewność z początków naszego związku zniknęła. Nie martwiłam się już, że do mnie nie oddzwoni, kiedy zostawię mu wiadomość; nasze zęby nie zderzały się już, kiedy się całowaliśmy. Zaczynaliśmy czuć, że się znamy i że moje i jego życie zaczyna biec wspólnym torem.

Wciąż rozkoszowałam się świadomością że Patrick zakochał się we mnie i zdobywał mnie, że mnie pragnął. Jeśli z nim zostanę, moje życie będzie... przyjemniejsze, mówiłam sobie. Zapewni mi stabilizację, zyskam szansę na normalne życie rodzinne. Milly będzie miała męski autorytet, którego bardzo potrzebuje, a może nawet jakieś rodzeństwo. Oczyma wyobraźni ujrzałam siebie z trójką dzieci, ustawionych rzędkiem obok mnie jak ruskie laleczki.

Ale gdzie zamieszkamy? Być może w domu Patricka - jest dość duży, choć pszczoły będą musiały się wyprowadzić. Wyobrażałam sobie, jak oburzony rój opuszcza ule. Albo moglibyśmy kupić większy dom w Brook Green, gdyby Patrickowi nie doskwierały zbyt wspomnienia. W Ladbroke Grove też jest trochę ładnych domów z dużymi ogrodami. Wyobraziłam sobie, jak przekopuję nową rabatę i zapelniam ją kwitnącymi roślinami.

Odstawiłam filiżankę i wzięłam paczkę z Indonezji. Rozdarłam ją i wyjęłam ładnie opakowany prezent, by Milly mogła go sobie otworzyć, kiedy wróci z przedszkola. Wycinając dla niej znaczki z opakowania, zauważyłam, że w środku jest jeszcze pocztówka z zielono-czarnym motylem z turkusowymi, długimi końcówkami skrzydeł. Milly będzie zachwycona, pomyślałam. Jednak gdy ją odwróciłam, okazało się, że jest do mnie.

„Przepraszam, że prezent Milly jest spóźniony - mówiły tak dobrze mi znane gryzmoły Xana. - Przez ostatnich kilka dni byłem w Timorze Wschodnim; robiłem reportaż dla „Newsnight”. Ale piszę, by Cię zawiadomić, że w przyszłym miesiącu na dobre wracam do Londynu”.

- Co? - mruknełam.

„Jak Ci już pisałem w ostatnim mailu, mój kontrakt tutaj kończy się piątego lipca i będę zastępcą redaktora w redakcji informacyjnej aż do początku września, kiedy to zdecydują, gdzie mnie posłać dalej. Szóstego lipca będę już na miejscu i mam nadzieję spędzać więcej czasu z Milly. X.”

RS



## *Rozdział 11*

Wiadomość ta wprawiła mnie w konsternację. Nie chciałam, by Xan wracał teraz, by rozdmuchiwał dawne emocje właśnie w chwili, kiedy poczułam się znów szczęśliwa. Nie chciałam też, by jego druga połowa miała w czymkolwiek swój udział - na samą myśl robiło mi się niedobrze. Wyobrażałam sobie, jak otwieram drzwi i widzę Xana stojącego w progu z jego superprofesjonalną, bez wątpienia fantastycznie atrakcyjną amerykańską dziewczyną - albo, co możliwe, już narzeczoną. Wiedziałam, że to nierozsądne z mojej strony wykluczać ją, biorąc pod uwagę, że sama byłam z Patrickiem, ale nie mogłam znieść myśli, że inna kobieta miałaby się bawić w szczęśliwą rodzinę z moim dzieckiem i moim byłym.

Nabuzowana lekko obłąkańczą energią podeszłam do komputera i zrobiłam coś, przed czym powstrzymywałam się do tej pory. Wpisałam w Google „CNN + Trisha Fox”. Wyskoczyło mi zdjęcie pięknej blondynki w kamizelce kuloodpornej, na obrzeżonej palmami drodze gdzieś w tropikach. Nie, nie chcę jej poznać, zdecydowałam, przeglądając jej przerażająco imponujące CV, w którym wyszczególniono staż w Białym Domu, doktorat ze stosunków międzynarodowych na Harvardzie i nominację do Emmy za „wybitnąrelację” z terenów dotkniętych azjatyckim tsunami. Wystukałam krótkiego maila do Xana:

„Twoja wiadomość o powrocie do Londynu nie dotarła do mnie, bo miałam kłopoty z komputerem i straciłam maile z dwóch dni, więc dosyć mnie to zaskoczyło. Oczywiście, że możesz widywać Milly tak często, jak zechcesz. Ale wolałabym, żeby Twoja dziewczyna nie brała udziału w

tych spotkaniach, bo... - jak miałam to uzasadnić, żeby nie wyjść przed nim na zwyczajnie zazdrosną? - ...czuję, że Milly skomplikowałyby to życie, a ja chcę, by wszystko było jak najprostsze. Mam nadzieję, że to zrozumiesz. A." Przeczytałam list i kliknęłam „wyślij”.

- Nie ma mowy - mamrotałam, jadąc do Fulham, by ocenić ogród nowych klientów. - Jeśli Xan chce się z nami widywać, będzie przychodził sam.

Ogród, który miałam obejrzeć, znajdował się przy starej plebanii na Eden Lane, tuż obok North End Road. Zadzwoiłam do drzwi ponurego domiszcza z czerwonej cegły; otworzyła je atrakcyjna blondynka około czterdziestki, wyglądająca na mocno przemęczoną. W ramionach trzymała mniej więcej półroczną dziewczynkę; chłopcy bliźniaki, na oko półtorarocznicy, trzymali się jej nóg niczym misie koala.

- Witam. - Miała ciepły, miły głos. - Jestem Pippa, a to Kitty, Jack i Alfred.

- Jakie śliczne dzieciaki. - Przytrzymałam chwilę wyciągniętą rączkę Kitty, i głaszcząc jej pulchne paluszki, zdałam sobie nagle sprawę, jak bardzo pragnę drugiego dziecka. Spojrzałam na chłopców, którzy zerkali na mnie zza mamy. - Cześć. - Uśmiechnęłam się. - Przyszłam obejrzeć wasz ogród. Pokażecie mi go? - Czmychnęli korytarzem, trzymając się za ręce.

- Mój mąż zejdzie za chwilę - powiedziała Pippa, gdy ruszyliśmy za nimi do staroświeckiej kuchni. - Wiem, że woli pani rozmawiać z parą.

- Tak, bo muszę mieć pewność, że oboje państwo zgadzacie się, co trzeba zrobić, i akceptujecie budżet.

- To zrozumiałe. Musiał tylko zadzwonić, pracuje w domu. -

Otworzyła tylne drzwi - oto nasz ogród.

Bliźniaki zeszły po schodkach, a ja rozejrzałam się wokół.

- Cóż... wymaga gruntownej renowacji.

- Owszem - przyznała Pippa. - Nie jest zbyt ładny.

- Rzeczywiście, brakuje mu urody. - Pokiwałam głową.

Ogród był paskudny. Ciemny, przesycony posępną wiktoriańską atmosferą. Na środku znajdował się wyliniały, kwadratowy trawnik, na którym wały się zabawki. Otaczały go przerośnięte krzewy - kaliny o ciemnym, gęstym listowiu, był też rododendron i *Choisya*, która rozrosła się bez kontroli. Poza tym duży bez, krzewuszką i drzewo laurowe nadmiernie wysokie, przez co zabierało światło. Całość okalały mury z czerwonej cegły i mimo pory roku ogród nie grał kolorem, choć tu i ówdzie spomiędzy zakurzonych liści wystawała róża czy klematis, jakby chciały przypomnieć, że był kiedyś kochany.

Zaczęłam robić zdjęcia.

- To wszystko trzeba przerzedzić i prześwietlić - mówiłam, patrząc, jak jeden z bliźniaków wspina się na plastikowego, kiwającego się wieloryba. Zaczęłam omawiać kilka pomysłów. - Trawnik zachowałabym największy, jak to możliwe, ze względu na dzieci. Ale raczej zmieniałabym trochę jego kształt i otoczyła chodniczkiem z kremowego kamienia, by go zdefiniować i rozjaśnić.

- Chciałabym, żeby były jakieś porządne drabinki - wtrąciła Pippa. - Teraz to ja im służę za drabinki!

Uśmiechnęłam się.

- Może pani mieć naprawdę wspaniałe drabinki, mam mnóstwo katalogów. W tamtym kącie widziałabym piaskownicę. Kiedy się usunie część tych krzewów, i tak będzie mnóstwo miejsca na kwitnące rośliny. Myślę, że podmurówki pod rabatami trzeba by przebudować, są niepotrzebnie wysokie. A surowe mury moglibyśmy złagodzić niebieskimi treliazami i puścić po nich jakieś ładne białe pnącza, żeby wszystko rozjaśnić.

- Koło domu chciałabym mieć coś w rodzaju patia, miejsce do spożywania posiłków na dworze.

- Proponuję też altankę tu, w tym miejscu, ze skrzyniowymi ławkami, gdzie można by chować zabawki dzieci; praktyczna byłaby półka na napoje albo na rząderek świeczek - ciągnęłam, pstrykając zapamiętałe aparatem. - Powstałby w ten sposób miły zakątek, chociażby do poczytania gazety.

- Gdybym tylko miała na to czas! - Roześmiała się. Usłyszałam kroki za naszymi plecami. - Oto i Gerald.

Odwróciłam się. Mążonek szedł ku nam przez trawnik. Ku mojemu zaskoczeniu, był dobrych piętnaście lat starszy od Pippy; trzymał się prosto, miał burzę siwych włosów i prezencję wojskowego.

- Cieszę się, że mogę panią poznać. - Mocno uściśnął mi dłoń i ruchem głowy wskazał ogród. - I co pani myśli?

- Myślę... że to będzie wyzwanie. Ale ja lubię wyzwania. Oparł ręce na biodrach i obrzucił ogród spojrzeniem.

- Aż wstyd, mówię pani, bo kiedyś wyglądał jak z obrazka.

- Naprawdę? Skinał głową.

- Moja świętej pamięci żona dbała o niego. Była wspaniałą ogrodniczką. Ale teraz zszedł na psy.

- Może jeszcze odzyskać urodę. Pippa uśmiechnęła się cierpliwie.

- Ja nie mam dobrej ręki do roślin.

- Nie musi pani mieć - odparłam. - A nawet jeśli państwo mnie nie zatrudnicie, służę książkami ogrodniczymi i zdjęciami; może je pani przejrzeć i zdecydować, które rośliny się pani podobają.

- Moja świętej pamięci żona potrafiła wyhodować najrozmaitsze rośliny - odezwał się Gerald. Poczulałam, że twarz mnie pali z zażenowania.

- Wszystko zostawiałem na jej głowie, a ona nie miała nic przeciwko temu, bo świetnie sobie radziła.

- Jak długo państwo tu mieszkaliście? - zapytałam go z grzeczności.

- Dwadzieścia dwa lata.

- No tak. - Biedna Pippa, pomyślałam, musiała się wprowadzić do domu, w którym przez tyle lat mieszkała jej poprzedniczka. Co za przygnębiająca historia.

- Po śmierci Ginny pięć lat temu zapytałam moje dwie nastoletnie córki, czy chcą się wyprowadzić, i obie powiedziały „nie ma mowy”, więc postanowiliśmy żyć dalej tutaj, prawda, Pips?

Pokiwała głową, smętnie się uśmiechając.

- Ale moja pierwsza żona naprawdę znała się na ogrodnictwie. Kochała swoje kwiaty. A teraz... - Wzruszył ramionami.

- Niestety, ja tylko strzygę trawnik - odezwała się Pippa.

- Podziwiam panią, że przy trójce maleńkich dzieci chce się pani robić choćby tylko tyle - odparłam, zastanawiając się, dlaczego Gerald nie

zajmuje się tym sam albo nie opłaci ogrodnika. - W każdym razie dobrze, że zdecydowaliście się na profesjonalną pomoc.

- Tak... Ona potrafiła wyhodować wszystko - mamrotał Gerald.

- Jeśli zdecydujecie się mnie zatrudnić - powiedziałam, ignorując go - odmienię ten ogród. Ale najpierw zrobię kilka podstawowych rysunków, co zajmie mi około tygodnia. Co do roślin, to chyba będziemy się trzymać wieloletnich, najłatwiejszych w utrzymaniu, bo pani i tak ma pełne ręce roboty, Pippo - dodałam znacząco.

- A jaki będzie koszt? - zapytała.

- Wyliczę dokładnie, ale oceniając same prace renowacyjne, które trzeba tu wykonać, mogę stwierdzić, że to wyjdzie około dwudziestu pięciu, trzydziestu tysięcy.

- Boże święty! - wykrzyknął Gerald. - Tyle chcieliśmy wydać na nową kuchnię.

- No cóż, moim zdaniem należałoby spojrzeć na to w ten sam sposób. Wasz ogród to jakby jeszcze jeden pokój, i to bardzo ważny, więc powinniście brać pod uwagę podobną sumę na remont. Skoro chcecie mieć porządną kuchnię, to dlaczego mielibyście się zadowalać byle jakim ogrodem?

- Dla mnie to logiczne. - Pippa przeniosła małą na drugie biodro. - Pani pomysły są świetne. Więc zechce pani wykonać rysunki?

- Powoli, Pips! - burknął Gerald. - Możemy to przedyskutować?

- Musimy odnowić ten ogród - tłumaczyła spokojnie. - W pobliżu nie ma parku, więc dzieci będą się bawić głównie tutaj. Podzielimy się kosztami po połowie, już ci mówiłam.

- No... - Wzmianka o pieniądzach chyba go zawstydziła. - Te projekty nie zobowiązują nas do dania pani zlecenia?

- Oczywiście, że nie - zapewniłam go. - Za rysunki zapłacicie państwo osobno, a co do reszty, musicie zdecydować. - Zwróciłam się do Pippy. - Dostarczę je pani w ciągu tygodnia.

W tej pracy ma się niezły wgląd w ludzkie życie, pomyślałam, idąc chwilę później na rynek na North End Road, by poszukać zielonej satyny na niezapominajkowy kostium Milly. Projektowałam już, na przykład, ogrody dla świeżych rozwódek, które musiały się przeprowadzić do mniejszych domów; takie klientki życzą sobie „zrobionego” ogrodu, by poczuć się lepiej, tak jak mogłyby chcieć operacji plastycznej czy nowego kompletu garderoby, więc są bardzo wybredne i wymagające. Miewałam klientów, których kłótnie na temat proponowanego projektu były wskaźnikiem małżeńskiego stresu. Kiedyś urządziłam niewielki ogródek dla pary - wyklócali się o wszystko, od rodzaju treliazy po wybór konkretnej odmiany pięciornika; kiedy wróciłam tam po kilku tygodniach po zakończeniu prac, by sprawdzić, jak radzą sobie rośliny, okazało się, że mąż odszedł.

Domyślałam się, jak wyglądał scenariusz w wypadku Pippy. Była kobietą aktywną zawodowo, dobiegającą czterdziestki i rozpaczliwie pragnęła założyć rodzinę, zanim będzie za późno; poznała dopiero co owdowiałego Geralda, który zaczął się zalecać i nie przerażała go myśl o dzieciach, uznała więc, że będzie musiał jej wystarczyć. Urodziła dzieci tak szybko, jak się dało, dopiero po fakcie zdając sobie sprawę, że będzie musiała żyć z apodyktycznym Geraldem, z jego wielkopańskimi



przyzwyczajeniami i cieniem zmarłej żony, w domu, który zapewne wolałaby sprzedać. - Ba-naa-ny! Funt za kiść! Pyszne awokaado! Dwa za funta! Chodziłam wokół zatłoczonego rynku, klucząc między tekturowymi paletami czerwonych jabłek i błyszczących cukinii. Zerwał się wiatr i śmieci mknęły ulicą owijając się wokół nóg. Gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam plastikową siatkę płynącą w powietrzu niczym meduza. Znalazłam kilka stoisk bławatnych; na jednym z nich mieli zielony materiał na podszewki, który mógł się nadać zamiast satyny. Potem wstąpiłam jeszcze do pasmanterii, gdzie kupiłam dwadzieścia małych niebieskich kwiatków z jedwabiu i dwa metry niebieskiej wstążki.

Po powrocie do domu przeczytałam maile i znalazłam wśród nich odpowiedź Xana. Odetchnęłam z ulgą.

Potem otworzyłam list od Marka. „Przepraszam, że się nie odzywałem, ale zrobiłem sobie wakacje w Palm Springs. Co chciałaś wiedzieć?” Kliknęłam „odpowiedz”. „Chodzi o mamę i tatę”, wystukałam.

„To bardzo delikatna sprawa. Odkryłam ostatnio, że ich małżeństwo nie było tak idealne, jak się zdawało, i byłabym Ci bardzo wdzięczna za rozmowę, najlepiej przez telefon, jako że to zbyt osobista - i bolesna - sprawa, by pisać o tym w mailu. Całuję, Anna”. Dwie godziny później dostałam odpowiedź: „Droga Anno,

Wiem, o czym mówisz, ale obawiam się, że nie będę mógł Ci pomóc, bo nie rozumiem, dlaczego to ja miałbym wyjaśniać Ci tę kwestię. Rodzice powinni byli to zrobić wiele lat temu. Proponuję porozmawiać z tatą jeśli oczywiście będzie skłonny rozmawiać. Przepraszam, że nie jestem zbyt wylewny w tym temacie, ale jak sama mówiłaś, to bolesna



sprawa. Całusy dla Ciebie i Milly, Mark". Kiedy patrzyłam na list od Marka, kolejna wiadomość wskoczyła mi do skrzynki. Tym razem od Patricka, z informacją że udało mu się zarezerwować apartament w hotelu w terminie, który zaproponowałam, ale ja wciąż miałam mętlik w głowie z powodu odpowiedzi Marka - a raczej odmowy odpowiedzi. Od jak dawna wiedział o tym, czego ja dopiero się dowiedziałam? I dlaczego nigdy mi nie powiedział?

Odpisałam Patrickowi, ale postanowiłam nie mówić mu jeszcze, że Xan wraca do Londynu. Nie powiedziałam też Milly, na wypadek, gdyby coś się zmieniło, nie chciałam też, by wspomniała o tym przy Patricku, zanim sama mu nie powiem.

Tymczasem zaczęło się robić cieplej. Temperatura, która do tej pory utrzymywała się na przyjemnym poziomie około dwudziestu trzech stopni, w ciągu paru dni zbliżyła się do trzydziestu, a w końcu przekroczyła trzydziestkę i zalała nas fala upałów.

*Costa Del Brytania!* - Krzyczały nagłówki gazet. *30° W cieniu - i będzie cieplej!!*

Od rana witało nas oślepiającym blaskiem bezchmurne niebo, i już od wczesnych godzin było zbyt gorąco, żeby wyjść z domu. Gazety zamieszczały zdjęcia ludzi porozbieranych do bielizny w usychających parkach, asfaltu konsystencji melasy, torów kolejowych w Birmingham wyginających się jak wsuwki do włosów i dzieci tańczących w tryskającym wodnym gejzerze na Holland Park Avenue, gdzie pękła rura wodociągowa.

Czwartego lipca zebrałam rysunki ogrodu plebanii i pojechałam pokazać je Pippie i Geraldowi. Gdy omawiałam z nimi projekty, bliźniaki chlapały się w dmuchanym brodziku, w specjalnych basenowych pieluszkach. Miałam ochotę wleźć tam z nimi i przesiedzieć całe lato. W kość dawał mi nie tyle upał, ile wilgoć. Po kilku minutach po prysznicu byłam już mokra od potu i leciałam z nóg ze zmęczenia.

Za kilka godzin Xan już będzie w samolocie do Londynu, pomyślałam nerwowo, wyjeżdżając z Eden Lane. A ja wciąż nie powiedziałam Patrickowi i nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, dlaczego. Postanowiłam, że powiem mu następnego dnia - prosił, żeby mu pomóc wybierać miód. Zgodziłam się na to pod warunkiem, że nie będę musiała zbliżać się do uli; po pierwsze, nie miałam ochoty na kolejne spotkanie z pszczołami, a po drugie, na zakładanie kombinezonu ochronnego w tym upale...

- Więc nadszedł dzień miodowych żniw - powiedziałam, wchodząc do domu.

Patrick pocałował mnie.

- Tak. Robię to trochę za wcześnie, ale łatwiej odsklepia się plastry, kiedy jest gorąco, i o wiele szybciej można odcedzić miód.

- I co, będą dobre zbiory?

- Rekordowe. Wyjąłem dziś rano ramki i sądząc po ich ciężarze, będzie prawie czterdzieści kilo, to dwa razy tyle, ile z pierwszego zbioru w zeszłym roku.

Weszliśmy do kuchni, gdzie był już przygotowany sprzęt: specjalny nóż do tak zwanego odsklepiania plastra, wirówka wyglądająca jak bęben

suszarki do ubrań, czyste wiaderko, duże sito, cztery pudełka szklanych słoików i pudełko etykietek Dobrej Pszczółki. Ramki, które leżały na stole, ociekały miodem; jego słodki, odrobinę medyczny aromat przesycił ciepłe, wilgotne powietrze.

- Masz pozamykane okna - zwróciłam uwagę, myjąc ręce. - Nie można by ich otworzyć?

- Obawiam się, że nie. Bo pszczoły przylecą upomnieć się o skradziony miód.

Zadrzałam na tę myśl.

- No tak. Ale jak się oddziela miód?

- Wirówka wyrzuca go na zewnątrz na zasadzie siły odśrodkowej. - Obwiązał mnie białym fartuchem, odrzucając na bok moje włosy i musnął szyję wargami. - Potem spływa do tego pojemnika... a następnie zlewa się go do tego wiaderka. Ma ono taką dźwignię, widzisz, dzięki której można go porcjować do słoików.

Włożył fartuch, wziął duży ząbkowany nóż, zanurzył go w misce z gorącą wodą i zaczął odcinać wierzch plastra z pierwszej ramki, odsłaniając komórki pełne złotego płynu, połyskującego w słońcu. Otworzył jedną stronę, odwrócił ramkę, to samo zrobił po drugiej stronie i zdrapał woskowe „czapeczki” do dużego rondla, by odcedzić je później. W końcu umieścił odsklepiiony plaster w wirówce.

- Możesz się zająć tą? - Podał mi kolejną ramkę.

- Jasne. - Wzięłam nóż.

- Najpierw zanurz go w gorącej wodzie - instruował. - Potem powoli tnij w górę. Przesuwaj nóż jak przy krojeniu chleba... właśnie tak. Zdrap

resztki wosku do tego garnka. A teraz odwróć ramkę i zrób to samo z drugiej strony.

Gdy pracowaliśmy w milczeniu, czułam, jak kropelki potu ściekają mi po krzyżu.

- Patrick - zaczęłam, ustawiając odsklepioną ramkę do wirówki.-  
Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?! - rzucił od niechcienia, nie patrząc na mnie. - To, że nie lubisz miodu, już wiem, i niechętnie się z tym pogodziłem.

- Nie. Chodzi o to, że... Xan przyjeżdża do Londynu. Milczał chwilę, na pozór zajęty odsklepianiem plastra.

- Na jak długo?

- Na dwa miesiące.

- Dwa miesiące!? - Odwrócił ramkę.

- Tak. Jego kontrakt w Indonezji się skończył.

- Rozumiem.

- Będzie pracował w redakcji, dopóki nie pošlą go na następną placówkę.

- Czyli gdzie? - Sięgnął po kolejną ramkę.

- Nie wiadomo. Ale chodzi o to, że chce spędzać trochę więcej czasu z Milly.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To oczywiste - powiedział spokojnie Patrick. - Jest jej ojcem.

- Więc... będzie czasem przychodził do domu. Postanowiłam ci o tym powiedzieć, zanim przyjedzie.

- Cóż... Dzięki, że mnie uprzedziłaś. - Ciachnął nożem kolejną ramkę, z pochyloną głową, skupiony na pracy, i nie patrząc mi w oczy. - Musisz mu powiedzieć, że wyjeżdżamy w sierpniu.

- A, tak. - Żałowałam, że zgodziłam się na tę Kornwalię; wyjazd oznaczał, że Milly straci cały tydzień z tatą.

- To kiedy przyjeżdża? - zapytał Patrick, wkładając ramkę do ekstraktom.

- Jutro.

- Już jutro. - Wziął kolejną ramkę. Zdjął widelcem martwą lepką pszczołę. - Dziwne, że mówisz mi dopiero teraz.

- Ale... Ja dowiedziałam się parę dni temu, no i byłam zajęta pracą.

- Gdzie się zatrzyma? Nie u ciebie, mam nadzieję.

- Oczywiście, że nie. W swoim mieszkaniu na Notting Hill.

- Chciałbym wierzyć, że nie... będziesz chciała... - Słowa utknęły mu w gardle. - Myślę, że wiesz, o co mi chodzi, Anno - dopowiedział cicho.

- Wszystko jest w porządku - mruknęłam. - Nie będę chciała. - Wyjęłam urwane skrzydełko. - Nie wiem, jak mogłeś tak pomyśleć.

- Bo ilekroć mówisz o Xanie, widzę, że go kiedyś... kochałaś. - Tak! Kochałam! - miałam ochotę wykrzyknąć. - Tak więc... - ciągnął Patrick-ułam, że...

Pokręciłam głową.

- Nasz związek zakończył się dawno temu. Xan jest z kimś innym, i to już od dłuższego czasu, a ja jestem teraz z tobą, prawda?

Spojrzał na mnie po raz pierwszy od chwili, kiedy poruszyłam temat. Jego oczy były jak czysty bursztyn z drobinkami złota. Były jak miód.

- Tak - powiedział cicho. - Jesteś ze mną.

RS

## *Rozdział 12*

A ja myślałem, że w Dżakarcie jest gorąco - wysapał Xan, gdy przyszedł do nas dwa dni później. Pocałował mnie w policzek; zarost na jego twarzy był wilgotny. Błękitna koszulka miała granatowe zacieki na klatce piersiowej i na plecach, jak plamy Rorschacha. - W Londynie nie powinno tak być.

- Masz rację - odparłam, prowadząc go korytarzem. - Wszyscy jesteśmy oklapli jak bukiecik zwiędłych fiołków. - Nagle Milly zbiegła po schodach na swoich mocnych, krótkich nóżkach. Dopiero wczoraj powiedziałam jej o przyjeździe Xana.

- Tatuś! To mój tatuś! - wykrzyknęła rozradowana. - Wyciągnęła do niego rączki, a ja przypomniałam sobie, jak się upierała w swoje urodziny, powtarzając „tatuś przyjdzie”. Byłam ciekawa, czy mogła to wyczuć jakoś nadnaturalnie.

- Moja córeczka - szepnął, porywając ją w ramiona. Podniósł ją wysoko, wierzgającą, a potem dotknęli się ze śmiechem nosami. Poczułam ogromną radość, ale i oburzenie. Bo gdyby Xan zdecydował się żyć ze mną, Milly mogłaby się do niego tulić każdego dnia swojego życia. - Ależ z ciebie duża dziewczynka!

- Tak - powiedziała. - Ja coraz większa. - Rozłożyła rączki. - I większa, i większa! - Plasnęła nagle dłońmi o policzki Xana i potarła jego popołudniowy zarost z lekko urażoną miną.

- Zdaje się, że tatuś powinien się ogolić - zauważyłam. Xan poszedł z nią do kuchni. - Czego się napijesz? Wody? Coli? Herbatki na trawienie? - dodałam z uśmiechem. Ze względu na Milly chciałam utrzymać przyjazną atmosferę.

- Colę poproszę. Wygląda ślicznie w tej sukience. - Ubrałam ją w jedną z batikowych sukienek, które dostała od niego na urodziny.

- Fakt. - Otworzyłam lodówkę. - I jest przewiewna. Więc... - wyjęłam colę dla Xana i dałam Milly kubek soku jabłkowego. - Jak często będziesz przychodził?

- To przede wszystkim zależy od ciebie. - Podałam mu szklanekę. - Ale chciałbym się z nią widywać przynajmniej dwa razy w tygodniu, powiedzmy w poniedziałki i środy po pracy. Zwykle będę miał dzienne zmiany, kończę około szóstej. Moglibyśmy się bawić w parku.

- My do park teraz, tatusiu - zdecydowała Milly. Chwyliła jego dłoń obiema rączkami, próbując ściągnąć z krzesła. - Chodź, tata! - rzuciła rozkazująco. - No chodź!

- Najpierw pozwól się tatusiowi napić, kochanie. Jest bardzo zmęczony. Pewnie czujesz się kompletnie rozbity po tak długim locie?

Skinął głową. Wyglądał na niewyspanego.

- Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić, chociaż tyle podróżuję. Ale chciałbym też spędzić z Milly któryś weekend - dodał. - Może mógłbym zabrać ją na basen.

- Czemu nie. - Usiadłam. - A tak przy okazji, dzięki, że byłeś wyrozumiały i zgodziłeś się nie przyprowadzać tutaj swojej dziewczyny. Po prostu chciałam, żeby wszystko...



- Nie ma sprawy - przerwał mi. - Nie musisz wyjaśniać. A zresztą Trishy nie ma w Londynie. - Moja obsesja zaćmiła mi umysł, w ogóle nie brałam pod uwagę, że ona może z nim nie przyjechać. - Prawdę mówiąc - napił się coli - każde z nas poszło swoją drogą.

- Och... przykro mi - skłamałam, czując się tak, jakby euforia wypełniła mi żyły. - Myślałam, że zdążyliście się już zaręczyć.

Pokręcił głową.

- To urocza osoba, ale coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Kiedy mianowano ją szefem biura CNN w Japonii, uznałem, że nie chcę za nią jechać do Tokio.

- Dlaczego? - Nie potrafiłam opanować ciekawości.

- Bo BBC nie utrzymuje tam korespondenta, więc musiałbym być wolnym strzelcem. Poza tym Japonia nie jest uznawana za szczególnie prestiżową placówkę.

- Ale twoja... partnerka się zdecydowała.

- Dla niej, w wieku trzydziestu lat, to ogromny awans. Ale ja mam czterdzieści jeden lat i muszę mądrze kierować swoją karierą, bo inaczej wyładuję na bocznym torze.

- A gdzie pojedziesz teraz? Otworzył lodówkę.

- Nie wiem. Zgłosiłem swoją kandydaturę do Izraela. - Wyjął tackę z lodem z zamrażalnika. -I do Waszyngtonu. - Wrzucił kilka kostek lodu do swojej coli. - W przyszłym miesiącu będę wiedział więcej. - Uniósł szklanekę. - Zdrówko. Miło cię znowu widzieć, Anno. - Uśmiechnął się. - Wyglądasz... dobrze.

- Dzięki - odparłam, zastanawiając się, czy „dobrze” to w ogóle komplement. Czy oznaczało „ładnie”, czy „nieźle jak na swój wiek”, czy „bez rewelacji”? A potem zastanowiłam się, dlaczego właściwie się zastanawiam, skoro mam Patricka.

- Xan... - Musiałam mu powiedzieć o Patricku. - Xan...

- Gdzie jest Milly? - zapytał nagle.

- Na górze. Zawołam ją. - Za chwilę słysząc było, jak zbiega na dół. Zobaczyłam ją przed dużym lustrem w przedpokoju.

- Popatrz, tato! - zawołała, wbiegając do kuchni. Ubrała się w kostium wróżki, przyozdobiony już zielonymi listkami i sporą garścią drobnych, błękitnych kwiatków. - To na mój występ!

- Jaki występ, kochanie?

- Ja będę w występie.

- To pięknie. Kiedy ta impreza? - zapytał mnie.

- W przyszły czwartek. W przedszkolu.

- Chciałbym przyjść.

- Och, ale...

- Mogę przyjść na twój występ? - zagadnął Milly.

- Tak, tatusiu! - wykrzyknęła. Zaczęła tańczyć, wymachując czarodziejską różdżką. - Przyjdiesz na mój występ!

- Nie masz nic przeciwko temu, Anno?

Był jej ojcem. Jak mogłam mu odmówić - i jak mogłam odmówić Milly?

- Nie, skądże znowu.

- Przykro mi - powiedziałam Patrickowi, gdy poszłam do niego następnego dnia wieczorem. - Ale Milly chce, żeby tam był. - Nakryłam stół do kolacji.

- Oczywiście, że chce. On jest jej ojcem. Rozumiem. Odetchnęłam z ulgą widząc, jak rozsądnie do tego podchodzi.

- Czuję się fatalnie, że tak wyszło - dodałam - ale muszę stawiać uczucia Milly przed własnymi. - Spojrzałam na rzędy słoików z miodem, teraz już pełnych; pozamykane i ometkowane, połyskiwały w słońcu.

- Oczywiście, że tak.

- I byłoby niezręcznie, gdybyście obaj tam byli.

- Sytuacja co najmniej dwuznaczna. - Wymieszał sałatkę. - Byłyby plotki.

- W każdym razie ogromnie mi przykro - powtórzyłam. - To okropne, że muszę cię odsuwać na drugi plan, ale nie mam pojęcia, co innego mogłabym zrobić.

- Ależ nic się nie stało.

- Bo widzisz, ja... Trzasnął miską o stół.

- Powiedziałem już, że nie przyjdę, więc czy możemy skończyć ten temat? - Wytrzeszczyłam na niego oczy. - Przepraszam - powiedział cicho. Oparł się o zlew. - Po prostu czuję się... tak...

- Nie ma sprawy. - Przyjazd Xana sprawił, że czuł się zagrożony i zraniony. - Już o tym nie wspomnę.

Wyjął z lodówki butelkę wina.

- Czy Xan w ogóle o mnie wie, Anno?

- No...

Spojrzał na mnie skonsternowany.

- To znaczy, że jeszcze mu nie powiedziałaś?

- Nie.

Pokręcił ze zdumieniem głową.

- Dlaczego nie? Jest tu od trzech dni.

- No dobrze, nie wszystko naraz. Trochę mi niezręcznie.

- Dlaczego? Wystarczy powiedzieć: „Mam chłopaka, Xan. Ma na imię Patrick. To poważna sprawa”.

- I powiem mu. Jutro.

- Bądź tak miła. - Nappełnił mój kieliszek. - A kiedy będzie się widywał z Milly?

- Ma przychodzić w poniedziałki, środy i niedziele na dwie godziny.

Więc dasz radę jakoś się z nim mijać, prawda? - Staralam się mówić swobodnie, ale byłam spięta. - Okej?

Patrick nie odpowiedział.

Z początku Xan trzymał się wyznaczonych pór. Zjawiał się o szóstej, kiedy Luisa kończyła swoje obowiązki, i bawił się z Milly w domu. Jeśli zabierał ją do parku, zawsze chciała, bym i ja szła. Jej szczęście, nasz widok razem, łamało mi serce.

- Moja mamusia i mój tatuś - powtarzała i patrzyła na nas, kiedy szliśmy, trzymając ją za rączki.

- I jak tam? - zapytała Jenny przez telefon dwa dni później.

- Jest... okej... Chociaż... Tak naprawdę, Jenny, to nie jest okej. Jest strasznie niezręcznie.

- Już? W czym problem?

- W tym, że... mam opory przed zapraszaniem Patricka do siebie, kiedy Xan jest w Londynie. Nie powiedziałam mu tego, ale wydaje mi się, że to by namieszało Milly w głowie.

- Owszem, mogłoby - przyznała. - Nie może być tak, że jednego dnia w domu jest Xan, a następnego Patrick.

Klapnęłam na krzesło.

- No właśnie. To by było dziwaczne i jakieś takie nieeleganckie, jakbym żonglowała dwoma mężczyznami. - Co w pewnym sensie robiłam, pomyślałam smętnie.

- A bierzesz pod uwagę możliwość, żeby Xan zabierał Milly do swojego mieszkania?

- Wolałabym, żeby tego nie robił. O wiele łatwiej bawić mu się z nią u mnie, bo tu są wszystkie jej zabawki i książeczki. No i mogę mieć na wszystko oko. Bo co by było, gdyby zadławiła się czymś u niego albo gdyby dał jej jakieś nieodpowiednie jedzenie? Przecież ona ma alergię na jajka.

- Więc rób to, co robisz. Jeśli Patrick cię kocha, zrozumie, i to będzie dla niego test.

- Dość trudny.

- Ale przecież taka sytuacja nie potrwa długo.

- Nie. - Poczułam nagłe ukłucie żalu. - To prawda.

- Więc kiedy Xan wyjedzie, będziesz mogła znowu powoli oswoić Milly z Patrickiem. Ale musisz spędzać z nim czas, jeśli chcesz utrzymać ten związek. I robić wszystko, by czuł się w nim pewnie.

- Tak, oczywiście - odparłam z roztargnieniem. - Masz rację.

Strasznie to wszystko komplikuję, powiedziałam sobie, przygotowując się do wyjścia na przedstawienie Milly w czwartek rano. Wciąż nie powiedziałam Xanowi o Patricku. Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego. Miałam wystarczająco dużo okazji. Ale musiałam jakoś opanować sytuację, zanim zrobi się nieprzyjemnie. Wyjęłam komórkę i wystukałam numer.

- Cześć, Anna - powiedział Xan. - Dobrze, że dzwonisz. Właśnie wychodzę. Powiedz mi jeszcze raz, gdzie jest to przedszkole Milly?

- Na Brook Green, na lewo od chińskiego kościoła. Ale, Xan...

- Potrzebuję biletu?

- Nie. Wystarczy, jeśli powiesz, że jesteś ze mną.

- Ach, gdybyż to była prawda... - odparł smutnym, teatralnym głosem.

Ten flirciarski ton sprawił, że moje serce wywinęło koziołka.

- Możesz sobie pomarzyć - zażartowałam. - Ale muszę ci powiedzieć, że... No więc, Xan, mam teraz kogoś. Jest bardzo miły i serdeczny dla Milly, to pracowity, przyzwoity człowiek, który kocha dzieci. Ma na imię...

Przerwał mi, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Wiem, jak się nazywa. Jamie.

- Jamie? - powtórzyłam. - Nie, to nie jest Jamie. Skąd ten pomysł?

- Dowiedziałem się od Milly.

- Co?

- Zapytałem ją, czy mamusia ma specjalnego przyjaciela, i powiedziała, że Jamiego.

- Nie wiem, co ci strzeliło do głowy, żeby zadawać dziecku tak niestosowne pytania, ale wydaje mi się, że małej trochę się pomyliło. Jamie to mój partner w interesach, buduje ogrody według moich projektów, więc owszem, często się widzimy i wspaniale dogaduje się z Milly, ale mój chłopak ma na imię Patrick.

- Aha.

- I chcę cię poinformować, że Patrick, Milly i ja jedziemy do Kornwalii na tydzień, w sierpniu. Nie będzie nas od osiemnastego do dwudziestego piątego.

- No tak - powiedział Xan. - Rozumiem. - Jakoś dziwnie zamilkł na chwilę. - Więc chyba ja też pojedę.

- Nie ma mowy!

- Nie chcę stracić całego tygodnia z Milly.

- Xan, straciłeś całe trzy lata z Milly.

- Ale teraz mam szansę nadrobić stracony czas... Taxi! A poza tym nie bardzo wiem, co czuję na myśl, że obcy facet zabiera moją córkę na wakacje.

- Posłuchaj, Xan - wysyczałam. - Nie masz tu wiele do powiedzenia. Zostawiłeś mnie, pamiętasz? Kiedy byłam w ciąży, pamiętasz? Bardzo mnie cieszy, że spędzasz czas z Milly, ale w tej sytuacji nie możesz zgrywać zaborczego samca.

- Nie kłóćmy się o to teraz. Do zobaczenia w przedszkolu za dwadzieścia minut.

Pobiegłam na miejsce i przed wejściem spotkałam się z tatą. Weszliśmy przez skrzypiące wahadłowe drzwi do niewielkiego holu, gdzie

pani Avis witała rodziców. Usiedliśmy w połowie widowni w zapelniającej się sali, wachlując się programem - złożoną kartką A4.

Nagle zjawiła się Citronella i usadziła swoje cielsko w połowie przedniego rzędu, który inni rodzice z grzeczności pozostawili wolny. Towarzyszyła jej nadaśana dziewczyna z najeżonymi blond włosami - cudowne dziecko Sienna, zapewne. Córka miała taką minę, jakby nie chciała tu być. Przed rozpoczęciem przedstawienia siedziała rozwalona na krześle, słuchała iPoda, wysyłała SMS-y, albo ziewała ostentacyjnie.

Nagle zobaczyłam Xana w drzwiach i pomachałam do niego. Miałam nadzieję, że Citronella odwróci się i zobaczy nas razem.

- Zajmij jeszcze jedno miejsce - szepnęłam do niego, gdy usiadł obok. - Luisa się spóźni. Tato, to jest Xan; Xan, to mój ojciec, Colin. - Uśmiechnęli się do siebie przyjaźnie, ściskając sobie ręce nad moimi kolanami.

- Miło pana poznać - powiedział tata. Wiedziałam, że mogę na nim polegać i że zachowa się taktownie, cokolwiek myślał o Xanie w przeszłości.

- Ja też się ogromnie cieszę, mogąc pana poznać - odparł Xan. - Żałuję tylko, że nie spotkaliśmy się wcześniej. - Jak się domyślałam, chciał przeprosić za to, że tak późno zaangażował się w życie Milly.

Tata wskazał ruchem głowy scenę.

- Podoba mi się scenografia. - Kolorowe tło pełne kwiatów i drzew stworzono z kartonu i krepiny.

Zapadła cisza, gdy pani Avis wyszła na scenę.



- Witamy w Pachnącym Groszku - mówiła - i na naszym przedstawieniu *Zaczarowany ogród*, które potrwa około pół godziny, a potem na dworze zostaną podane przekąski. - Podeszła do pianina stojącego w tylnej części sceny i zaczęła grać *Pieśń wiosenną* Mendelssohna, która nie zagłuszyła jednak komarzego brzęczenia i Poda Sienny. Citronella wyjęła z torby dużą kamerę wideo i zaczęła filmować.

Wszystkie dzieci weszły na scenę i usiadły na krzeselkach ustawionych w duże półkole, żeby czekać na swoją kolej - niektóre przebrane za żonkile i tulipany, inne za ptaki. Były też puszyste chmurki, trzy motyle, dwa trzmiele, muchomor i dobrotliwie wyglądająca czarownica. Zauważyłam kilka strojów wykonanych profesjonalnie - musiały pochodzić od dostawców kostiumów teatralnych. Erasmus, pszczoła, w pasiastej czarno-pomarańczowej koszulce i pomarańczowych pumpach, miał skrzydełka z gazy i czarne czułki na głowie. Milly wyglądała słodko w swojej sukience niezapominajki, a czapeczka, którą wydziergała jej Cassie, przypominała kulkę lodów jagodowych.

Pani Avis wciąż zawzięcie bębniła na pianinie, a tymczasem zjawiała się Luisa, wślizgnęła się na miejsce obok Xana i pomachała do mnie dyskretnie.

Teraz wszystkie dzieci wstały i zaśpiewały:

*Hip kip hip hura!*

*Z domku wyszło słońce,*

*Kapelusz założyło i bawi się na łące.*

Żonkile i tulipany wystąpiły naprzód i położyły się na podłodze, zwinęte w kłębki, udając sen.

Przed publicznością stanęła mniej więcej czteroletnia dziewczynka, ubrana całkowicie na żółto, w wielkim „słonecznym” kapeluszu i z pomalowaną na żółto buzią.

- Ja jestem słoneczko - oznajmiła. - I jest wiosna, czas, żeby wszystkie kwiatki się obudziły i bawiły w moich ciepłych promieniach. - Wymachiwała rękami, imitując słoneczne promieniowanie. - Zbudźcie się, kwiatki! - krzyknęła. - Proszę, zbudźcie się! - Ale kwiatki wciąż leżały bez ruchu. - Pobudka! - wrzasnęła. - Zima się skończyła! - Kwiaty leżały nadal, z mocno zaciśniętymi powiekami. Pani Avis zagrała wstęp kolejnej piosenki i reszta dzieci wstała z krzesełek.

- *Przyszła wiosna - zaśpiewały chórem. - Słoneczny czas. Czas, by się budzić i rosnąć, i bawić się wraz!*

Uśpione kwiatki nie ruszyły nawet płatkami, z wyjątkiem jednego z tulipanów, który miał czkawkę. Słońce wystąpiło naprzód.

- O rety - powiedziało do publiczności. - Wiosenne kwiatki nie chcą się budzić. To dlatego, że paskudna wiedźma rzuciła na nie czar.

„Wiedźma” wyszła z szeregu, znów zabrzmiało pianino.

- *Nie lubię słońca - zaśpiewała. - Nie lubię wiosny. Kwiatki zakląłam, żeby nie rosły.*

- Proszę, pomóżcie mi, chmurki! - wykrzyknęło słońce. - Kwiatki obudźcie migiem wiosennym deszczykiem!

Dwie chmurki podeszły posłusznie i każda posypała kwiatki garścią błyszczących „kropelek”, ale kwiatki nawet nie drgnęły. Potem przyszły ptaszki i dziobały ziemię przy wtórze głośnego stukania w bęben, lecz kwiaty się nie ruszały. Po nich przyszły drzewa i zaczęły głośno tupać

„korzeniami" przy wtórze bębna, ale bez skutku. W końcu pszczoły i motyle zaczęły fruwać po scenie, płacząc i ocierając oczy.

- Wszystkie pszczołki i motyki są smutne - wyjaśniło słońce - bo w ogrodzie nie ma kwiatów. Już wiem - dodało. - Poproszę o pomoc kwiatowe wróżki.

Tata i Xan dali mi sójkę w bok, gdy Milly oraz dwie inne kwiatowe wróżki wstały i szurając nogami, podeszły do przodu sceny, trzymając się za ręce.

- Ja jestem wróżka pierwiosnka - powiedziała morelowa.

- Ja jestem wróżka różyczka - powiedziała różowa.

- Ja jestem wróżka niezapominajka - wymamrotała nieśmiało Milly, przekrzywiając głowę na bok. Spojrzałam na Xana. Uśmiechał się z zachwytem i robił zdjęcia aparatem w komórce.

Pani Avis grała jakąś eteryczną, pluskającą muzyczkę, a kwiatowe wróżki podskakiwały wokół uśpionych żonkili i tulipanów, wymachując nad nimi magicznymi różdżkami. Muzyka zabrzmiała głośniejsz, kwiaty rozwinęły się powoli, aż w końcu stanęły na nogi i zaczęły kiwać rękami, kręcąc się i przeciągając w słońcu, ziewając i przecierając oczy.

- *Hura hura!* - zaśpiewały dzieci. - *Kwiatki się zbudziły! Dzięki, kwiatowe wróżki, żeście to sprawiły!*

Pani Avis zagrała *Wszystko, co jasne i piękne*, i gdy dzieci śpiewały chórem, ptaszki i pszczołki wykonały efektowne loty wokół kwiatów. Na małej scenie zrobiło się tłoczno i dzieciom trochę brakowało miejsca. Nagle zobaczyłam, jak Erasmus, stojący obok Milly, popchnął ją. Pisnęła z oburzenia, ale nie ruszyła się z miejsca. Pchnął ją jeszcze raz, mocniej,

niemal przewracając, więc mu oddała. Wtedy zerwał jej czapeczkę i rzucił na podłogę. Milly błyskawicznie złapała obiema rękami jego nagie przedramię i pochyliła głowę, jakby zamierzała *się wgryźć w kolbę* kukurydzy.

- Nie, Milly! - szepnęłam osłupiała. Citronella zerwała się na równe nogi.

- Ani mi się waż!

- Pani Barker-Jones! - krzyknęła pani Avis. - Proszę usiąść, z łaski swojej. Ja to załatwię!

Ale Citronella ruszyła już przed siebie, grożąc palcem Milly.

- Nie waż się znowu go ugryźć, ty mała paskudo! - Twarz Milly spurpurowiała i zmarszczyła się płaczliwie.

- A ty nie waż się tak mówić do mojej córki! - krzyknął Xan, wstając z krzesła.

Citronella odwróciła się i spojrzała na niego. Po minie widziałam, że go rozpoznała.

- Ona chciała ugryźć mojego syna! Mam dowód - dodała, stukając palcem w kamerę. - I próbowała go ugryźć już kiedyś, prawda, kochanie?

Erasmus kiwnął głową i wskazał Milly placem.

- Chciała mnie ugryźć.

- *Pero el me empujó!* - wykrzyknęła Milly. Poszła po swoją czapeczkę, odrzuconą na bok.

- Proszę usiąść, pani Barker-Jones - powtórzyła pani Avis takim tonem, jakby karciała nieposłusznego psa.

- Ona chciała ugryźć mojego syna! - wysyczała Citronella, wracając na miejsce. Zdumiałam się, widząc, że Sienna chichocze.

Milly tupnęła nogą.

- *Pero el me empujó!* - powtórzyła

- Co? - Citronella wybałuszyła oczy. Luisa wstała.

- Milly mobi: Ale on mnie popychnął.

- *Y el a menudo me muerde* - dodała Milly.

- I mnie często był gryzł - przetłumaczyła Luisa.

- *El muerde a los otros niños tambien!*

- I był gryzł też wszystkich innych dzieci!

- To prawda! - krzyknął ktoś z tyłu. - Ugryzł kiedyś Lucy. Mówiła mi.

- I Milo! - krzyknął ktoś inny.

- Alfiego też ugryzł! - usłyszałam kolejny głos. - Zostawił ślady zębów.

- I Rosie - powiedziała Annabel Goodchild. - Ryczała cały dzień.

Citronella odwróciła się do nas wszystkich z twarzą wykrzywioną wściekłością; zarzuciła torbę na ramię, złapała jedną ręką Erasmusa, drugą chichoczącą Siennę, i wypadła z sali jak burza.

- Panie i panowie - powiedziała spokojnie pani Avis przy akompaniamencie skrzypienia drzwi, które kiwały się w tę i z powrotem. - Na tym kończymy nasze przedstawienie pod tytułem *Zaczarowany ogród*. Dziękuję za przybycie. Proponuję, byśmy wszyscy wyszli na dwór i napili się herbaty.

Incydent szybko poszedłby w zapomnienie, gdyby Citronella nie napisała o nim trzy dni później.

„Dość nowatorski pomysł Tony'ego Blaira żeby wobec młodocianych o antyspołecznych postawach stosować ostre restrykcje jak najczęściej, niemal od poczęcia został swego czasu powszechnie wyśmiany” - napisała. - „Ja również nie wahałam się krytykować go na tych stronach, ale teraz mam podstawy sądzić, że mógł mieć rację. Mój własny syn padł ostatnio ofiarą koleżanki z przedszkola. Rzeczony dziecko, Milly - która, co smutne, ale i do przewidzenia, jest wychowywana przez samotną matkę - próbowała ugryźć Erasmusa na oczach wszystkich rodziców na przedszkolnym przedstawieniu w zeszłym tygodniu. Wyobraźcie sobie moje przerażenie, gdy...”

- Jesteś pewien, że nie możemy jej pozwać? - zapytałam Xana, który wpadł po południu, żeby pobawić się z Milly.

Jeszcze raz spojrział na artykuł.

- Problem w tym, że Milly naprawdę próbowała go ugryźć, choć została poważnie sprowokowana, o czym ta Wiedźmonella oczywiście nie wspomina, więc wątpię, żebyśmy mieli podstawy. Ale to żalosne krówsko wymieniło imię Milly. To nie do wybaczenia.

- Rzeczywiście, żalosne krówsko. - Zmiełam artykuł i wyrzuciłam do kosza. - Teraz wiem, dlaczego Milly zaczęła gryźć. Nauczyła się od Erasmusa. Ciekawe, dlaczego on to robi? Zwykle jest jakiś powód. - Spojrzałam na zegar. - No dobrze, jest za dziesięć ósma. Chodź, Milly, czas do łóżka. Powiedz tacie pa, pa. Zobaczycie się jutro.

- Ja ją położę - powiedział Xan.

- Tak. Tata mnie położy - podchwyciła uszczęśliwiona Milly.

- Och, no dobrze.

- Poczytaj mi, tatusiu - zakomenderowała. - Poczytaj *Rybkę wiercipiętkę* i *Uśmiechniętego rekina* i *Królika Piotrusia*.

- Jasne, Panno Dziewanno - odparł, idąc za nią po schodach. - A co najpierw?

Dziwnie było patrzeć, jak Xan odprawia z Milly wieczorne rytuały - zupełnie jakby z nami mieszkał. Zaczęłam zbierać książki i zabawki Milly, porozrzucane po dywanie. I właśnie powkładałam je do pudeł, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Załamalam się na widok znajomej sylwetki za szybkami.

- Patrick! - mruknęłam, otwierając drzwi, lekko spanikowana. - Jaka miła niespodzianka - skłamałam. - Ale trzeba było najpierw zadzwonić.

- Pomyślałem sobie, że zrobię coś spontanicznego. - W dłoni trzymał DVD z wypożyczalni. - Przyniosłem film. - Pocałował mnie. - Miło cię wiedzieć, skarbie. - Xan wybrał sobie właśnie ten moment, by zejść na dół.

- Xan - czułam, jak wnętrzności zawiązują mi się na supeł - to jest Patrick Gilchrist. Patrick, to jest Xan Marshall, ojciec Milly.

- Bardzo mi miło - powiedział Xan. Uścisnęli sobie dłonie z kordialnym obrzydzeniem. Xan zwrócił się do mnie. - Milly śpi.

- Już? - rzuciłam ze sztucznym ożywieniem. - Musiała być wykończona.

- Cóż, miała dzisiaj bogate popołudnie z mamą i tatą - podtrzymał uprzejmie temat. Atmosfera była już tak lodowata, że widziałam własny

oddech. - No dobrze - zatarł ręce z udawaną jowialnością. - Wypełniłem dzisiejszy przydział rodzicielskich obowiązków.

- Więc nie będziemy cię dłużej zatrzymywać - odezwał się Patrick tonem słodko-jadowitym. Żołądek mi się ścisnął i pociemniało w oczach. -

Przyniosłem *Sokoła maltańskiego* - mówił, ignorując Xana. Głos drżał mu z wysiłku, jaki wkładał w opanowanie się. - Pomyślałem, że sobie obejrzymy. Ja zrobię kolację.

- Już jedliśmy - poinformował go Xan, biorąc swoją torbę.

- Ale film możemy pooglądać - wtrąciłam pojednawczo. - Będzie... świetnie. No to cześć, Xan, dzięki, że wpadłeś.

- Nie musisz mi dziękować - odparł leniwie. Pocałował mnie w policzek, nie spiesząc się z zabraniem ręki z mojego ramienia. - To do zobaczenia jutro. O zwykłej porze. Cześć.

- Co on tu jeszcze robił? - zapytał Patrick, kiedy zamknęłam drzwi. - Mówiłaś, zdaje się, że w niedzielę wieczorem przychodzi tylko na dwie godziny. Jest ósma trzydzieści.

Westchnęłam.

- Nie ustaliliśmy żelaznych reguł. Został, żeby chwilę pogadać, a potem Milly szła już spać i chciała, żeby jej poczytał.

- Nie podoba mi się, że wchodzi na górę. To nie jest jego dom.

- Ale jest mój. A on jest ojcem Milly. Poprosiła go, żeby ją położył do łóżka, a ja nie miałam nic przeciwko temu.

- Tak nie może być Anno; jesteś ze mną.

- Nie wiedziałam, że... że do nas wpadniesz - tłumaczyłam bezradnie. Patrick wbił we mnie wzrok. Blizna na grzbiecie jego nosa zbieiała.



- To na co jeszcze mógłby sobie pozwolić Xan, gdybym się nie zjawił?

- Na nic - odparłam ze znużeniem. - On po prostu chce spędzać czas z Milly - dodałam, idąc do kuchni.

- O której nie chciał wiedzieć i którą potem zaniedbywał. - Patrick trzasnął drzwiczkami szafki. - Rodzicielskie obowiązki, tere fere!

- Przykro mi, że się zdenerwowałaś. Ale dla Milly jest bardzo ważne, żeby widywała Xana tak często, jak się da. I właśnie ty powinieneś to rozumieć najlepiej.

- A to co? - Patrick wskazał gestem lodówkę, na której wisiało duże zdjęcie Xana w magnetycznej ramce.

- Widocznie zostawił je tutaj dla Milly. Nawet nie zauważyłam.

- Wolałbym, żeby zniknął, i tyle.

- A ja nie!

- Dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego? - powtórzyłam. Gapiłam się na niego. Więc dlaczego? - Ze względu na Milly, oczywiście.

- A może ze względu na ciebie? Odniosłem wrażenie, że bardzo swobodnie się z nim czujesz.

- Nie wpadaj w paranoję. - Westchnęłam. - Muszę się zachowywać przyjaźnie, mamy dziecko.

Patrick oparł się o blat.

- Ten facet jest tu ledwie od dziesięciu dni i już rozwala nam związek.

- Nic podobnego - zaprotestowałam. - Przecież często się widzimy.

Przychodzę do ciebie, prawda?

- Tak, ale dajesz do zrozumienia, że ja nie mogę przychodzić tutaj.

- Owszem, to dość skomplikowana sytuacja. Nie chcę mieszać Milly w głowie. Chcę, żeby poznała Xana.

- I powinno ci zależeć, żeby poznała mnie.

- Zależy mi, oczywiście. Jestem wdzięczna za takt, który okazujesz, nie sądzę jednak, żeby niespodziewane wizyty były dobrym pomysłem.

Podeszłam do drzwi, ale Patrick złapał mnie za nadgarstek i pociągnął do tyłu.

- Jesteś moją dziewczyną, Anno. - Był wzburzony. - Dlaczego nie mogę wpadać, żeby zobaczyć się ze swoją dziewczyną w jej własnym domu, nie martwiąc się, że zastanę jej byłego, który czuje się tu jak u siebie?

- Proszę, puść mnie, Patrick - powiedziałam cicho. Spojrzał na moją rękę niemal ze zdumieniem i puścił ją.

- Przepraszam - szepnął. - Ale tak strasznie się niepokoję. Jestem wściekły, że on się tu kręci. Który facet nie byłby wściekły? - Zrobiło mi się go żal, że tak cierpi. -I co o tym myśli druga połowa twojego byłego? Zapewne podoba jej się to tak samo, jak mnie.

Spojrzałam na niego.

- No więc, chodzi o to...

- Tatuuuś - usłyszałam z góry. Poczułam ogromną ulgę.

- Do diabła - powiedziałam. - No i obudziliśmy ją.

## Rozdział 13

W następnym tygodniu Xan przychodził już nie co drugi dzień, ale codziennie, i zostawał do wieczora. Chociaż mnie to jeszcze bardziej utrudniło życie, zaakceptowałam taki stan rzeczy, przede wszystkim ze względu na Milly.

- Ona go uwielbia- mówiłam Jenny. Umówiliśmy się na lunch w Chez Christophe w Hammersmith Grove. - A on za nią szaleje.

Zaskoczyło mnie, że po prostu uwielbia z nią przebywać.

Jenny złamała na pół chlebowy paluch.

- Pewnie uwielbia też przebywać z tobą.

- Lubi być z nami, *en familie*. - Ciekawe, czy Jenny kiedykolwiek żałowała, że nie jest *en familie* z ojcem Grace. - A do tego należy dodać niebagatelny element rywalizacji z Patrickiem.

- Oczywiście. Z tego, co mówisz, zachowanie Xana zdominowała natura samca walczącego o swoje terytorium, tyle że on nie ma do tego żadnego prawa. - Nalała nam do szklanek trochę gazowanej wody. - To oburzające, w zestawieniu z dotychczasowym postępowaniem.

- Chyba masz rację. Swoją obecnością tutaj strasznie nam zamieszał w życiu - dodałam żałośnie.

- Mogę być trochę nieprzyjemna? Tylko ty możesz zapobiec temu zamieszaniu, zachowując się fair wobec Xana, ale jednocześnie chroniąc uczucia Patricka.

Umoczyłam kawałek chleba w oliwie.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Wygląda na to, że pozwalasz Xanowi spędzać zbyt wiele czasu z Milly.

Zachnęłam się.

- Jak ojciec może spędzać zbyt wiele czasu z własnym dzieckiem? Dzieci potrzebują ojców. - Jenny spojrzała na mnie dziwnie. - Przepraszam - dodałam. - To nie miało być krytykowanie ciebie.

- Wcale tak nie pomyślałam - odparła spokojnie. - Oczywiście, że dzieci potrzebują ojców, w większości sytuacji. Ale jeśli cenisz sobie związek z Patrickiem, musisz bardziej stanowczo ograniczyć Xanowi czas, który z tobą spędza.

Poruszyłam się niespokojnie na krześle.

- Wiem. Teraz, ile razy widzę się z Patrickiem, kłócimy się o Xana. To przykre.

Jenny wzruszyła ramionami.

- A czego się spodziewałaś? Ledwie stworzył z tobą stały związek, kiedy nagle wraca Xan i zaczyna monopolizować ciebie i Milly, jakby miał do tego prawo. Patrick znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Weź też pod uwagę jego przeszłość.

Podniosłam menu.

- Wiem... Myślę o tym.

- Bądź ostrożna, Anno - ostrzegła mnie Jenny. - Przecież nie chcesz stracić Patricka.

- Nie chcę.

- I wyglądałaś na szczęśliwą, zanim wrócił Xan.

- Chyba byłam szczęśliwa z Patrickiem. Ale teraz... sama już nie wiem.

- Bo znów dobrze się czujesz w towarzystwie Xana? O to chodzi?

- No... tak. Zdaje się, że tak.

To była prawda. Lubiłam być z Xanem. Uwielbiałam wychodzić z nim i z Milly - na basen w fitness klubie, do parku, do muzeum historycznego czy do zoo. Wydawało mi się, że to absolutnie w porządku, przecież jest ojcem mojego dziecka, a jednocześnie czułam się podła i niełojalna. Następnej niedzieli wieczorem myślałam o tym wszystkim, przygotowując w kuchni kolację dla Milly, kiedy zadzwonił telefon. Ku mojemu zaskoczeniu, dzwoniła pani Morea, którą poznałam na parapetówce u Edwardsów, z prośbą, bym obejrzała jej ogród.

- Z przyjemnością - powiedziałam, sięgając po terminarz. -

Mieszkacie państwo w Belsize Park, tak? - Upewniłam się. Drugim uchem słyszałam śmiech Milly i Xana, bawiących się w salonie. Bawili się w „potwory”.

- Grrr! - pisnęła Milly.

- Grrrrrr! - ryknął Xan.

- Tak, Belsize Park - odparła pani Morea. - Na Eton Avenue. - Zanotowałam adres. - Czy mogłaby pani przyjść we wtorek rano, powiedzmy o dziewiątej, bo o dziesiątej muszę wyjść do fryzjera?

Byłam tak ucieszona jej telefonem, że zgodziłam się, choć tak wczesna pora niezbyt mi pasowała. Musiałabym poprosić tatę, żeby zaprowadził Milly do wakacyjnego przedszkola w Hammersmith, gdzie zaczęła niedawno chodzić. Panierowałam właśnie kurczaka w mące, gdy

telefon zadzwonił znowu. Nim zdążyłam opłukać ręce, Xan podniósł słuchawkę.

- Halo. Tak, jest... A kto mówi, jeśli mogę spytać? ... Chwileczkę, sprawdzę, czy może podejść. To Paddy - powiedział ze złośliwym uśmiechem, podając mi słuchawkę. - I chyba się złości - dodał teatralnym szeptem.

- Patrick. - Rzuciłam Xanowi wściekłe spojrzenie. - Cześć!

- Dlaczego on odbiera twój telefon?

- Miałam ręce w mące, no i...

- Nie życzę sobie, żeby odbierał twój eks, kiedy do ciebie dzwonię!

- On tylko chciał pomóc. - Westchnęłam.

- Jasne!

Xan szczyrzył do mnie zęby, zachwycony swoim małym zwycięstwem.

- Czy kolacja już gotowa, kochanie? - krzyknął.

- Co to było? - zapytał gniewnie Patrick.

- Xan... pytał, czy kolacja Milly jest już gotowa. Słuchaj, to nie jest najlepszy moment. Zadzwonię do ciebie później i zobaczymy się jutro, okej? - Odłożyłam słuchawkę i najeżona odwróciłam się do Xana. Jenny miała rację. Jego zachowanie było oburzające.

- Proszę cię, nie rób tego więcej. Bardzo się cieszę, że tu przychodzisz, ale zachowuj się jak należy.

- Och... - Wzruszył ramionami. - Po prostu lubię go drażnić. Facet jest tak sztywny, że można by nim wiercić dziury w ziemi.

- To przez ciebie jest taki spięty. I nie waż się odbierać moich telefonów!

Xan uniósł ręce, kapitulując.

- No dobrze. Przestań się złościć. - Otworzył lodówkę i wyjął butelkę piwa. - Wasze kornwalijskie wakacje będą cudowne - uśmiechnął się zjadliwie. - Ale wiesz co, Anno... - Zdjął kapsel z butelki.

- Co?

- Mogłabyś odwołać starą dobrą Konwalię i pojechać do Hiszpanii. Spojrzałam na niego.

- Do Hiszpanii?

- Tak. - Wziął mnie za rękę. - Milly mogłaby nareszcie poznać moich rodziców. A potem zwiedzilibyśmy Sewillę i spędzili trochę czasu na wybrzeżu. - Pogłaskał moje palce. - Co o tym sądzisz?

Pomyślałam o tych wszystkich chwilach, kiedy marzyłam o takim zaproszeniu.

Xan uniósł moją dłoń do ust.

- Pojedź ze mną - szepnął. Nie odpowiedziałam. - Proszę. Chcę, żebyście ty i Milly pojechały ze mną do Hiszpanii.

Zamrugałam kilka razy, jakbym budziła się z jakiegoś przyjemnego, ale trochę niepokojącego snu.

- Przykro mi, Xan, ale to po prostu nie przejdzie. Z rozmysłem ignorujesz fakt, że jestem z Patrickiem, ale nawet gdybym nie była, dlaczego miałabym chcieć jechać z tobą gdziekolwiek, skoro za pięć tygodni znów wyjeżdżasz z kraju?

- To prawda - odparł. - Ale pomyślałem, że może tym razem ty i Milly mogłybyście wyjechać ze mną.

We wtorek rano usłyszałam, jak Luisa wychodzi wcześniej z domu do szkoły językowej; jej sześciomiesięczny kurs dobiegał końca. Byłam mocno rozczarowana jej osiągnięciami, oględnie mówiąc.

Zjadłam szybkie śniadanie, a potem przyszedł tata, żeby zająć się Milly i zaprowadzić ją do przedszkola.

- Tato! - Aż się zachłysnęłam, gdy otworzyłam mu drzwi. - Co się stało? - Lewe oko miało kolor śliwki, a powieka była mocno spuchnięta. Widziałam tylko skrawek niebieskiej źrenicy. - Co się stało? - powtórzyłam.

Wszedł za próg, kręcąc głową.

- Miałem... wypadek. Wczoraj wieczorem.

- Nieprawda. Dostałeś w oko.

- No... tak - przyznał niechętnie. - Prawdę mówiąc... zrobiłem z siebie idiotę. - Westchnął. Nagle wydał mi się bezbronny i podstarzały, jak nigdy przedtem. - Tak naprawdę, Anno, zachowałem się jak stary dureń...

- Jak to? Co zrobiłeś?

- Porozmawiamy później; spóźnisz się, jeśli zaraz nie wyjdiesz.

Milly powiem, że się przewróciłem. Gdzie ona jest?

- Ogląda *Andy 'ego Pandy 'ego*. Milly! Dziadek przyszedł!

Wskoczyłam do samochodu, zastanawiając się, kto przyłożył tacie

i dlaczego - może któraś z jego „dziewczyn” wściekła o to, że ukrywał swój wiek. Jeśli tak, to ukarała go z nawiązką i jak na kobietę, miała niezły cios.



Zapięłam pas i przekreśliłam kluczyk w stacyjce. Usłyszałam tylko żalosne rżenie.

- No nie - jęknęłam. Za drugim razem dało się słyszeć tylko kliknięcie. - Cholerni mechanicy! Myślałam, że to naprawili.

Spojrzałam na zegarek. Była ósma piętnaście. Zadzwoiłam do pani Morei i uprzedziłam, że spóźnię się dwadzieścia minut. Pognałam na stację metra Shepherd's Bush.

Thukając się w zatłoczonym wagonie, dziękowałam Bogu, że nie muszę jeździć metrem codziennie - robiłam to, kiedy pracowałam w City. Zapomniałam już, jaki to koszmar, szczególnie w upały. Moja lniana spódnica była wilgotna, a świeżo umyte włosy kleiły mi się do głowy, kiedy wysiadłam na Tottenham Court Road. Wbiegłam po schodach na peron Northern Line, spanikowana i zasapana. Nie miałam szans dotrzeć na Eton

Avenue przed dziewięcią czterdzieści pięć, a pani Morea musiała wyjść o dziesiątej.

- Przesuwać się dalej! - wrzeszczał peronowy, jakbyśmy byli bydłem. - Przesuwać się tam do końca peronu!

Miałam migrenę, denerwowałam się z powodu taty i nie mogłam dojść do ładu sama ze sobą przez Xana - niewiele spałam tej nocy. Znalazłam się na rozdrożu, a nowa droga, która się przede mną otwierała, była kusząca, a jednocześnie przerażająca. Co mnie czekało, gdybym wyjechała z Xanem? Nagle kobieta stojąca przede mną zarzuciła torebkę na ramię, uderzając mnie w twarz. Nawet tego nie zauważyła, nie usłyszałam „przepraszam”. Płakałam z bólu i frustracji, łzy oślepiły mnie,

gdy szłam dalej, świadoma wyłącznie ostrego, pełnego determinacji tupotu tysiąca stóp wokół mnie.

W pewnym momencie usłyszałam, że ktoś gra na gitarze - i śpiewa: *Z oddali świat wydaje się błękitny i zielony, i biały jak ośnieżone szczyty gór.* Głos płynął ku mnie, a ja czułam, że odzyskuję spokój, serce wyrównuje rytm. *Z oddali ocean stapia się ze strumieniem, a orzeł zrywa się do lotu.*

Westchnęłam z ulgą. Ten głos osuszył mi łzy. Idąc zatłoczonym tunelem, ściszałam pod pachą aktówkę z materiałami do pracy, którą miałam rozpocząć niebawem.

*Z oddali słyszeć harmonię, która rozbrzmiewa echem po Ziemi...* Kobiecy głos był czysty i zmysłowy, pasował do słów Julie Gold. Pomyślałam, że działa na mnie tak samo kojąco, jak głos Luisy.

*To głos nadziei, to głos pokoju...* Byłam tak wdzięczna za tę pociechę, że otworzyłam torebkę i wyciągnęłam portfel. *To głos wszystkich ludzi.*

Nie zwalniając kroku, przeglądałam drobne. Ile jej dać? Funta? Nie, to musi być warte przynajmniej ze dwa. Miała talent.

*Z oddali wygląda, że wszyscy mamy dość...* wyjęłam trzy funty ... *i nikt nie jest w potrzebie.*

Nie widziałam śpiewaczki przez morze ludzi, ale w końcu dotarłam do niej i spojrzałam na futerał od gitary, w którym błyszczało już sporo monet.

*Nie ma karabinów, bomb, chorób...* Wrzuciłam swoje trzy funty

i uniosłam wzrok. *Głodnych ust do wykarmienia. Szczeka mi opadła. Z oddali wyglądamy jak instrumenty...* To była Luisa. ...*we wspólnej orkiestrze...*

Odwróciła wzrok, czerwona jak burak.

*Grającej pieśni o nadziei, grającej pieśni o pokoju, to pieśni całej ludzkości. Bóg patrzy na nas...* śpiewała dalej, gdy tak stałam obok. Głos jej drżał. *Bóg patrzy na nas...*

Gdy znów spojrzałam na futerał, zrozumiałam, skąd wzięły się jej pieniądze i dlaczego nauczyła się tak niewiele angielskiego.

*Bóg patrzy na nas...* Odwróciłam się i odeszłam. ...*z oddali\**.

W domu byłam o wpół do dwunastej, ściągnęłam do komputera zdjęcia ogrodu państwa Morea i zabrałam się do pracy nad wstępnymi rysunkami. Dziesięć po pierwszej usłyszałam odgłos klucza w drzwiach wejściowych; Luisa przyprowadziła Milly z przedszkola.

- Mamusiu! Ja wróciła!

- Cześć, kochanie - powiedziałam, schodząc na dół. - Dobrze się bawiłaś? - Kiwnęła głową. - Lunch już gotowy. - Milly pobiegła do kuchennej szuflady i wyjęła swój śliniaczek. Posadziłam ją przy stole.

W tym momencie Luisa, która poszła na górę z gitarą, stanęła w drzwiach kuchni.

- Anna - zaczęła cicho - Ja bardzo przeprasza.

- Czy mogłabyś pójść ze mną do salonu, Luiso? - Skinęła głową. - Chciałabym, żebyś czegoś posłuchała. - Wcisnęłam guzik odtwarzania automatycznej sekretarki. - Ten pan zadzwonił dziś rano, kiedy mnie nie było.

„Wiadomość dla Anny Temple. Mówi John Cox ze Szkoły Językowej Bayswater". - Zobaczyłam, jak Luisa czerwienieje. - „Przepraszam, że nie oddzwoniłem wcześniej, ale pani, zdaje się, pytała o postępy studentki Luisy Vanegas? Pamiętam, że przyszła na kilka zajęć w lutym. Ale po tygodniu czy dwóch przestała się pojawiać, a my mamy taką rotację uczniów, że założyłem po prostu, iż zrezygnowała z kursu. Niestety, wiem tylko tyle, mam nadzieję, że to pani pomoże. Cześć".

Sekretarka piknęła dwa razy; wcisnęłam „stop".

- Wiem, że twój angielski jest marny, ale zrozumiałaś to?

- Tak.

- Śpiewałaś w metrze codziennie? - Kiwnęła głową. - Od której?

- Od pół do ósma do pół do dbunasta.

- Rozumiem. Zawsze na Tottenham Court Road?

- Też na Oxford Circus i Bond Street. Tam gdzie tłok.

- Więc pewnie zarobiłaś dużo pieniędzy? Zawahała się.

- Tak.

- Opłacałam ci kurs angielskiego. A ty co rano udawałaś, że tam idziesz, ale tak nie było. Zmarnowałaś moje pieniądze i swój czas.

Znów się zaczerwieniła, podając mi plik pięćdziesięciofuntowych banknotów.

- Tu masz pięćset funty, Anna. Zawsze chciałam oddać, kiedy odchodzę. Ja bardzo przepraszam - dodała, kładąc pieniądze na stole. - Ja czuję bardzo źle. - Jej wielkie brązowe oczy wypełniły się nagle łzami. - Ty byłaś na mnie bardzo dobra, Anna.

- Nie „ty byłaś na mnie dobra”. Ja byłam dla ciebie dobra. - Do pokoju weszła Milly i spoglądała nam w twarze, świadoma, że odbywa się tu poważna rozmowa. - A jeśli potrzebowałaś pieniędzy, trzeba było mnie poprosić - ciągnęłam. - Pomogłabym ci znaleźć dobrą pracę na wieczór czy w weekendy, żebyś dalej mogła się uczyć angielskiego.

- Och, ale ja nie robi tego po pieniądze. - Otarła dłonią oczy.

- Tak?

- Ja bardzo zaskoczenie, ile pieniądza ja robi... Ale ja tylko chce być... *notada*... eem... zaubażna.

- Zauważona? - Poprawiłam ją. - Miałaś nadzieję, że ktoś cię zauważy?

Kiwnęła głową, pociągając nosem.

- Przyjaciółka z Marbell, ona grał w metro... na skrzypce... i dostała pracę w kwartetu smyczkowym. Gra w Festibal Hall.

- Rozumiem. - Więc to były te „większe szanse”, których Luisa szukała w Londynie.

- Ale ja martwiła, że kiedy ty dobiesz, co ja robi każde dnie, ty będziesz bardzo zła do mnie.

- Nie, Luisa, będę bardzo zła na ciebie.

- Ja czuję bardzo zło - powtórzyła płaczliwie.

To dlatego Luisa kupowała Milly prezenty, pojęłam nagle. Z poczucia winy. Dlatego się zawstydziła, kiedy zasugerowałam, że powinna oszczędzać, i dlatego schudła i kupiła nowe ciuchy - na wypadek, gdyby dostała się na przesłuchanie.

- I ja martwiła, że kiedy ty dobiedziesz, co ja robi, będziesz chciała mnie bychlustać.

- Nie wychlustać, Luisa. Wylać. Martwiłaś się, że będę chciała cię wylać.

- I co...? - Spojrzała na mnie smętnie.

- Obawiam się, że tak.

- Musiałam - tłumaczyłam Jamiemu następnego ranka, gdy jechaliśmy do Pippy i Geralda jego niebieskim pikapem; mój samochód odstawiłam do warsztatu. - Oszukiwała mnie przez sześć miesięcy. Trudno wybaczyć taką nieuczciwość.

-Rozumiem...- Przecinaliśmy Hammersmith Road.- Mimo wszystko szkoda, bo przecież ją lubiłaś. Pieniądze za kurs oddała. Kiedy się wyprowadza?

- Dałam jej miesięczne wypowiedzenie, żeby mogła znaleźć jakąś posadę.

- Milly będzie zrozpaczona. - Wrzucił lewy kierunkowskaz i zwolnił. Poczulałam ukłucie żalu.

- Wiem. - Niestabilna sytuacja z Xanem i Patrickiem mogła nasilić stres, zdawałam sobie sprawę, że nie jest to idealny moment na zmianę niani. - Ale byłam wściekła na Luisę. I ciągle jestem.

- Nigdy nie widziałaś, że wychodzi z domu z gitarą?

- Nie, bo zawsze wychodziła bardzo wcześnie, żeby złapać pierwszą falę ludzi dojeżdżających do pracy. Miała nadzieję, że trafi się wśród nich jakaś szycha z przemysłu muzycznego.

- A w weekendy nie śpiewała?

- Nie, bo wtedy w metrze są tylko zakupowicze i turyści. Nie robiła tego dla pieniędzy.

- Ale musi być dobra, skoro tyle zarabiała.

- Jest - przyznałam. Wjechaliśmy w Eden Lane. - Powiedziała mi, że rano zwykle dociągała do osiemdziesięciu funtów, czyli razem ze swoim kieszonkowym au pair zarabiała prawie pięćset funtów tygodniowo. Zanosila drobne do banku i wymieniała na grubsze banknoty.

- Dlaczego nie wpłacała?

- Bo nie ma konta. Za słabo zna angielski, żeby wypełnić formularze, i martwiła się, że będzie musiała zapłacić podatek. Pomogę jej założyć konto. Chce przesłać połowę pieniędzy rodzicom, bo dosyć cienko pręda. - Serce miałam ściśnięte. - Ale zmieniając temat, o której przychodzi twoja ekipa? - Podjeżdżaliśmy pod dom Pippy

- Powiedziałem im, że mają się tu ze mną spotkać za pół godziny. Ale najpierw chcę omówić wszystko z tobą: chcę mieć pewność, że wywalę to, co trzeba. Świetnie, kontener na gruz już jest. Okej... Wyskakuj.

Zerknęłam na glebogryzarkę i piły łańcuchowe, leżące na pace pika-pa, gotowe do prac w ogrodzie. Wcisnęłam guzik dzwonka i Gerald otworzył drzwi.

- Dzień dobry - powiedział, sztywno ściskając ręce nam obojgu.

- To jest Jamie Clark - wyjaśniłam. - On i jego ekipa zaczną pracę dziś rano. Ja teraz tylko pokażę mu, co trzeba usunąć, a co przyciąć, i zjawię się znowu około trzeciej.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie Pippa dawała dzieciakom śniadanie. Stół zapaprany był gotowanymi jajkami, grzankami pociętymi w paseczki i rozsypanymi ryżowymi płatkami.

- Cześć! - Uśmiechnęła się do nas promiennie. - Wybaczcie ten bałagan.

- To uroczy bałagan - zauważył uprzejmie Jamie. - Co za trzy małe cuda.

- Dziękuję. - Nie przestawała się uśmiechać. - Wyjdę z dziećmi, kiedy zaczniecie.

- Dobry pomysł - pochwalił Jamie. - Będzie głośno i niebezpiecznie, musimy też łązić po domu z rzeczami do wyrzucenia, trudno zwracać uwagę na maluchy w takim rozgardiaszu.

Gerald otworzył tylne drzwi.

- Do licha - mruknął Jamie, gdy wyszliśmy na zewnątrz. - Już rozumiem, co miałaś na myśli, Anno. To zajmie ze dwa dni - ocenił, gdy pokazałam mu drzewa i krzaki, które należało usunąć, i te do przycięcia.

- Straszna szkoda, że tak zarósł - utyskiwał Gerald, kiedy Pippa i dzieci wyszli za nami na dwór. - Kiedyś był śliczny.

- Naprawdę? - Jamie delikatnie kopnął małą niebieską piłkę w stronę jednego z bliźniaków.

- Moja świętej pamięci żona dbała o niego, była fantastyczną ogrodniczką. - Dyskretnie przewróciłam oczami.

Jamie skinął głową.

- Ach tak.

- Nigdy by nie dopuściła do takiego stanu.



- Rozumiem.

- Doglądała wszystkiego.

- Świetnie - odparł Jamie znudzonym tonem. - Ale pewnie nie miała trójki maluchów do doglądania. Ogrodnictwo jest bardzo czasochłonne.

- To prawda, ale ona potrafiła wyhodować wszystko. Zdobyła brązowy medal na wystawie kwiatów w Chelsea w osiemdziesiątym szóstym.

- Wspaniale. A co z tą piwonią drzewiastą, Anno? Szkoda by było jej się pozbywać.

- I nie pozbywamy się. Przeniesiemy ją w tamten narożnik.

- Okej. - Jamie skinął głową. - Dobrze rozwiązanie. - Zadzwoiła jego komórka; odebrał. - Cześć, Harry! Będziecie ze Stefanem za pięć minut? Świetnie, kolego. A macie nauszники? - Zerknął ukradkiem na Geralda. - Bo będę ich potrzebować.

- W domu porozkładamy folię ochronną - wyjaśniłam Pippie. - Ale będziemy musieli wynieść stół z przedpokoju i pozdejmować obrazy. Proszę pokazać Jamiemu, gdzie je położyć, zajmie się tym z chłopakami.

Zakończyłam swój dzień pracy, kiedy zjawili się Harry i Stefan.

Wróciłam do domu taksówką. W drodze zadzwoniłam do taty, by spytać, jak się miewa. Nie odebrał, więc zadzwoniłam na komórkę.

- Właśnie wychodzę ze szpitala Charing Cross - powiedział. - Musiałem zrobić rentgen, lekarz chciał się upewnić, że nie mam złamanej kości policzkowej.

- No i?

- Na szczęście wygląda w porządku. Pielęgniarka dała mi tabletki przeciwbólowe i kazała wypoczywać.

- Może wpadniesz do mnie na drugie śniadanie? - zaproponowałam. - I opowiesz mi, co się stało... Jeśli chcesz, oczywiście...

- Zagoi się za jakiś miesiąc - powiedział pół godziny później. Siedzieliśmy w kuchni przy otwartych drzwiach do ogrodu; podłogę zalewało słońce.

- Faktycznie wygląda paskudnie.

- Okropnie. To żenujące. Ludzie będą myśleć, że wdałem się w jakąś burdę.

- Ale się nie wdałeś, co?

- Niezupełnie - odparł ponuro. - Ale byłem... - Westchnął. - Zachowałem się strasznie głupio, Anno.

- Co masz na myśli? Napił się kawy.

- No więc, przez ostatnie dwa miesiące spotkałem się z kilkoma... paniami. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie powiem ci, w jaki sposób je poznałem.

- Okej. - Podałam mu ciastko z owocami. -I jakie były te panie?

- Niektóre naprawdę urocze. Żadna nie była mną zainteresowana - dodał pospiesznie - ale pewnie jestem trochę za stary na randki.

- Nie sądzę. Po prostu musisz znaleźć kogoś w odpowiednim wieku.

- Może masz rację. Większość z nich to kobiety dużo młodsze ode mnie. Pochlebiałem sobie - dodał żałośnie. - Ale zawsze fundowałem im kolację i taksówkę do domu.

Podałam mu papierową serwetkę.

- To bardzo przyzwoicie z twojej strony. - Musiał wydać fortunę, pomyślałam.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Spędzały wieczór w moim towarzystwie, zapewne śmiertelnie znudzone. Szkoda im było marnować czasu na spotkania ze starym prykiem.

- Nie mów tak, tato, jesteś sympatycznym, inteligentnym i wciąż bardzo przystojnym mężczyzną nawet z podbitym okiem.

Uśmiechnął się.

- No więc, dwa dni temu spotkałem się z jedną z tych kobiet w winiarni Mortona na Berkeley Square. Miała na imię Tatiana.

- Rosjanka? Skinął głową.

- Była olśniewająca, jakoś po czterdziestce, ale prawdę mówiąc, niezbyt miła. Mówiła tylko o tym, że chce znaleźć mężczyznę, który jej kupi mieszkanie i porsche. Nic innego jej nie obchodziło.

- Rozumiem.

- Powiedziała, że jest głodna, więc zamówiliśmy kolację, a potem poprosiła mnie, żebym zapłacił jej za taksówkę do domu. Kiedy wyszliśmy z lokalu, zadzwoniła do kogoś z komórki; mówiła po rosyjsku. Gdy szliśmy ulicą powiedziała, że taksówka będzie kosztować dwadzieścia funtów... mieszkała w Stretham... i że mogę jej dać pieniądze teraz. Trochę mnie to zaskoczyło, ale wyjąłem portfel - nagle zrozumiałam, co zaraz usłyszę - w tym samym momencie zjawił się znikąd jakiś osiłek w skórzanej kurtce i kazał mi go oddać. Oczywiście, nie chciałem. Doszło do szarpaniny, podczas której, jak uświadomiłem sobie później, Tatiana nie wołała o pomoc. Po prostu stała oparta o ścianę z

założonymi rękami. Potem dostałem pięścią i wyrwano mi portfel z dłoni. Gdy leżałem na ziemi, zobaczyłem, że Tatiana i napastnik odchodzą szybko razem.

- Padłeś ofiarą - powiedziałam, dolewając mu kawy. - Pewnie robią to co wieczór.

- Nie zdziwiłbym się. Chodzi nie tyle o fizyczną krzywdę ani nawet o utratę portfela, miałem w nim tylko sto funtów, a karty kredytowe łatwo zablokować. Najbardziej boli mnie myśl, że zafundowałem tej kobiecie wytworną kolację, cały wieczór starałem się być miły, a ona cały czas planowała, jak mnie obrabować. To jest najbardziej przykre.

- Byłeś na policji? Pokręcił głową.

- Wiem, że powinienem zgłosić, ale czuję się strasznie głupio. Po prostu chcę o tym zapomnieć. - W jego oczach nagle zabłyśły łzy.

- Tato, mogę... - mruknęłam.

- Przepraszam - wychrypiał i przełknął głośno ślinę. - Ale moje życie nie wygląda zbyt różowo. Tak szczerze mówiąc, Anno, jest zupełnie... do dupy! - Podałam mu chusteczkę.. - Próbuję zachowywać spokój, ale to, co się stało dwa wieczory temu, naprawdę mnie rozbiło. Wszelki optymizm po prostu ze mnie wyparował.

- Ale na szczęście, Bogu dzięki, nie zostałeś poważnie pobity.

- I czuję, że zdradziłem pamięć twojej matki swoim idiotycznym zachowaniem.

- Ona by zrozumiała - odparłam. - Nie chciałaby, żebyś był samotny, tato.

Spojrzał na ogród, a potem znów na mnie, oczami wciąż błyszczącymi z emocji.

- Właśnie w tym problem - wychrypiał. - Jestem samotny. Minęły już cztery lata, a ja wciąż tak bardzo tęsknię za twoją matką.

- Wiem. - Położyłam dłoń na jego dłoni.

- Wszyscy za nią tęsknimy, oczywiście. Ale ty i Cassie jesteście młode i zajęte. A bycie młodym i zajęтым ogromnie pomaga w żałobie, odwraca od niej myśli. Mark jest daleko i ten dystans na pewno sprawił, że jest mu łatwiej... Nie napotyka wspomnień na każdym rogu. Trudniej żyć po stracie kogoś, kiedy jest się starym. Mam za dużo czasu na smutek.

Skinęłam głową.

- Ale może spotkasz jeszcze kogoś.

- Myślę, że to mało prawdopodobne, ale gdyby tak się stało, miała-byś coś przeciwko temu?

- Cóż, pewnie na początku byłoby trochę trudno, ale jak mogłabym mieć coś przeciwko? Wszyscy musimy chwytać każdą szansę na szczęście w życiu, tato. A mnie przytłacza myśl, że jesteś sam.

- Problem w tym, że twoja matka była niezastąpiona. - Westchnął.

- Nie będziesz jej zastępował. Po prostu znajdziesz kogoś, kto przeżyje z tobą tę część twojego życia.

- Tak. - Skinął głową. - Może... Zresztą i my mieliśmy swoje wloty i upadki - dodał niespodziewanie.

- Naprawdę? - zdziwiłam się nieszczerze. Nigdy nie słyszałam, by tata krytykował mamę, był zawsze wobec niej lojalny, ale to wyglądało

tak, jakby nagle zapragnął porozmawiać szczerze o ich małżeństwie. -  
Wszystkie pary przeżywają złe dni - dodałam. - Nawet najszcześniejsze.

Napił się kawy.

- My też musieliśmy stawić czoło wielu zdarzeniom, a w konsekwencji wynikającym z nich problemom, które... jak by to powiedzieć... mogły bardzo zaważyć na naszym życiu. Ale cokolwiek się działo, nigdy nie żałowaliśmy, że jesteśmy razem.

- Mama była ci bardzo oddana. Często mówiła mi, że jesteś jej „odporną byliną”, że zawsze przy niej stałeś. Uważała, że ma ogromne szczęście. - I miała powody, pomyślałam kwaśno, popijając sok pomarańczowy.

- Mimo to przeżywaliście trudne chwile.

Serce zaczęło mi łomotać, gdy dostrzegłam okazję, na którą czekałam.

- Musiało wam być bardzo ciężko, kiedy wyjechałeś do Brazylii. Skinął głową i wyjrzał za okno.

- To było piekło. Te osiem miesięcy rozłąki niemal doprowadziło do końca naszego małżeństwa.

- Wiem. Spojrzał na mnie.

- Nie wiesz, Anno, bo nigdy ci o tym nie mówiłem, i wątpię, by zrobiła to twoja matka.

- Nie mówiła. A mimo to wiem - stwierdziłam z naciskiem, podając mu babeczkę. - Prawdę mówiąc, tato, skoro już rozmawiamy, jest coś, o co chciałam cię zapytać. Coś bardzo ważnego. Nie chcę przysparzać ci smutku, ale gryzie mnie to od kilku tygodni.

Odłożył nóż na talerz.

- A cóż to takiego?

- Niedawno znalazłam coś i strasznie mnie to dręczy. - Spojrzał na mnie pytająco. - Stare zdjęcie mamy. Znalazłam je przypadkowo, wypadło z jednej z tych starych książek ogrodniczych, które mi dałeś. Zrobiono je w siedemdziesiątym siódmym roku, kiedy byłeś w Brazylii. - Zobaczyłam, że twarz taty lekko się ściągnęła. - Na tym zdjęciu mama siedzi na plaży w Chichester, z pewnym... no, z pewnym... - Fala gorąca oblała mnie od stóp go głów. - Z pewnym mężczyzną - wyjąkałam. - Do zdjęcia był dołączony list, który napisała do ciebie... i widzisz, chodzi o to... -Kompletnie zaschło mi w ustach. Nie byłam w stanie mówić dalej.

- Możesz mi to pokazać? - poprosił cicho tata.

Z ulgą skinęłam głową pobiegłam do swojego gabinetu, odszukałam książkę i szybko wróciłam na dół. Otworzyłam książkę drżącymi rękoma i najpierw podałam tacie zdjęcie.

Sięgnął do kieszeni koszuli po okulary do czytania.

- Już wiem - powiedział. Odwrócił fotografię i spojrzał na tył. -Tak. - Zmarszczył lekko brwi. - Chichester. Czerwiec siedemdziesiątego siódmego.

- On ma na imię Carlo, zgadza się?

- Tak. - Tata westchnął. - To jest Carlo.

- On dał mamie tę książkę. - Tata otworzył *Kwiaty południowych Włoch* i przeczytał dedykację: - „Na pamiątkę tylu szczęśliwych chwil”. - Gapiłam się na niego, zaklinając w duchu, by powiedział więcej. - No

cóż... - Zamknął książkę i zdjął okulary. - Rzeczywiście przeżyli wiele szczęśliwych chwil.

- Co? - wypaliłam, nie mogąc się powstrzymać. - Ale on jest strasznie podobny do Cassie! A raczej Cassie do niego.

- Chyba masz rację. - Przyglądał się zdjęciu. - Rzeczywiście jest podobna. - Przez chwilę było tak cicho, że słyszałam tylko daleki odgłos śmigłowca.

- Mógłby być ojcem Cassie - zaryzykowałam. Tato wciąż patrzył na zdjęcie.

- Twoja matka była piękna - mruknął.

- Naprawdę mógłby być. - Tato nie odpowiedział. Wzięłam głęboki oddech. - Jest jej ojcem? - zapytałam w końcu.

Tato spojrzał na mnie.

- Kim?

- Przepraszam, że cię o to pytam, ale czy Carlo jest ojcem Cassie? Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Czy Carlo jest ojcem Cassie? - Na jego szyję wystąpiły czerwone plamy. - Cóż to za dziwne pytanie, Anno. Dlaczego tak myślisz?

- No... przez... podobieństwo - wyjąkałam. - Jest uderzające.

- Ależ Anno. - Odłożył zdjęcie. - Wszyscy jesteśmy podobni do paru osób, z którymi nie łączy nas pokrewieństwo. Ty jesteś trochę podobna do Gwyneth Paltrow, a nie jesteś z nią spokrewniona. - Znów spojrzał na fotografię. - Ale zgadzam się, Carlo i Cassie mają podobny typ urody.

Tato najwyraźniej wypierał fakty. Ale ja musiałam znać prawdę.



- Nie chodzi tylko o to, że Cassie jest podobna do Carla - naciskałam.  
- Jest zupełnie niepodobna do ciebie, do mnie czy do Marka.

- Za to jest podobna do mojej matki, Anno. Nigdy tego nie zauważyłaś? - Pokręciłam głową. - Bardzo przypomina babcię Temple z młodych lat. Babcia też miała ciemną karnację i podobną budowę.

- Dawno nie widziałam zdjęć z czasów, kiedy babcia była młoda.

- Więc pokażę ci kiedyś kilka i się przekonasz. Podobieństwo jest oczywiste. - Tata pokręcił głową ze zdumieniem i odłożył zdjęcie. - Ale skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

- No więc, chodzi o to... - brnęłam dalej - że to nie tylko zdjęcie. Doliczyłam się, że byłeś w Brazylii, kiedy... hm... Dziewięć miesięcy przed narodzinami Cassie - dokończyłam delikatnie. - Byłeś tam od stycznia do sierpnia siedemdziesiątego siódmego roku. Sam mi to powiedziałeś.

- Zgadza się - odparł tata. - Byłem. Więc dlatego zadawałaś mi te wszystkie dziwne pytania na temat czasu mojego pobytu?

- Tak. Bo skoro Cassie urodziła się piętnastego marca siedemdziesiątego ósmego, a ty wróciłeś z Brazylii dopiero ósmego sierpnia siedemdziesiątego siódmego, to nie rozumiem, jak... - Z zażenowania aż mrowiła mnie skóra.

- Jak może być moim dzieckiem?

- Tak. Tego się nie da wyjaśnić.

- Anno - powiedział cierpliwie tata. - Da się. Bardzo prosto.

- Jak?

- Cassie była wcześniakiem. - Wytrzeszczyłam na niego oczy. -  
Urodziła się dziewięć tygodni za wcześnie, nie wiedziałaś o tym?

- Nie, nie wiedziałam. Ani ty, ani mama nigdy o tym nie mówiliście.

- Cóż, pewnie faktycznie nie mówiliśmy, pewnie dlatego, że Cassie ledwie przeżyła. A twoja mama nigdy nie mówiła o sprawach smutnych czy strasznych, kiedy już przeminęły. Taka już była.

- Dziewięć tygodni? - Pokręciłam głową. - To strasznie dużo...

- Była maleńka, Anno. - Odwrócił dłoń do góry i nagle wyobraziłam sobie Cassie, leżącą w niej. - Ważyła trochę ponad kilogram. Leżała w inkubatorze, opleciona tymi wszystkimi kablami i kroplówkami, a żebra jej chodziły jak malutki miech. Doktor powiedział, że ma niewielką szansę na przeżycie, jak wiele wcześniaków w tamtych czasach. Więc ochrzciliśmy ją w szpitalu, dzień po urodzeniu. Nie mogliśmy brać maleństwa na ręce, więc tylko głaskaliśmy córeczkę i mówiliśmy, że ją kochamy... - Odwrócił głowę.

- Przepraszam, tato. Nie chciałam sprawić ci bólu. Ale nie wiedziałam o tym. Mama mówiła tylko, że wszyscy zjawiliśmy się „troszeczkę za wcześnie”.

Przełknął ślinę.

- Bo to prawda. Mark pospieszył się o dwa tygodnie i też leżał w inkubatorze. Ty się zjawiłaś trzy tygodnie przed czasem i dlatego musiałem cię odebrać; tamtego lutego mieliśmy strasznie mroźną i śnieżną zimę.

Ale Cassie przyszła tak wcześnie, że to było niebezpieczne. Powinna się urodzić pod koniec maja, a zjawiła się w połowie marca.

- Rozumiem - szepnęłam. Wyobraziłam sobie jej maleńkie ciałko walczące o życie.

- Chyba dlatego wiecznie ją rozpieszczęłam - mruknął tata. - Pewnie było to dla niej złe, ale nie potrafiłem się powstrzymać, bo nigdy nie zdołałem wyrzucić z pamięci jej obrazu, jak walczyła o przetrwanie przez tyle tygodni. A ponieważ mama miała na głowie ciebie i Marka, ja codziennie jeździłem do szpitala. Wziąłem nawet wolne w pracy. I siedziałem przed specjalnym inkubatorem, patrząc na nią przez szkło i zaklinając ją w duchu, by się trzymała, by nie przestawała oddychać i jakimś cudem... przetrwała. Więc obawiam się, że twoje kalkulacje co do jej narodzin są całkowicie mylne.

- Ale... Powiedziałeś, że twój pobyt w Brazylii to było prawdziwe piekło - nie dawałam za wygraną.

Westchnął.

- Rozłąka była koszmarem i dla twojej matki, i dla mnie. Ona czuła się opuszczona, miała o to pretensję. A kiedy wróciłem w sierpniu, natychmiast zaszła w ciążę, choć uważaliśmy już naszą rodzinę za kompletną. Myślała chyba, że jeśli urodzi jeszcze jedno dziecko, mnie będzie trudniej znów wyjechać.

- Aha.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Więc myślałaś... że nie jestem ojcem Cassie? Tak właśnie myślałaś, Anno?

- Tak. Wszystko sobie obliczyłam...

- Zapominając o fakcie, że nie wszystkie dzieci rodzą się po czterdziestu tygodniach. Zadziwiasz mnie, przecież jesteś już mamą.

- Nie pomyślałam, że mogła być wcześniakiem. - Przypomniałam sobie moją długą rozmowę z Jenny na ten temat i zawstydziłam się. Ale to, że Carlo nie był ojcem Cassie, nie oznaczało jeszcze, że mama nie miała z nim romansu. Fotografia sugerowała, że tak było.

- Twoja matka nigdy by mnie nie zdradziła - powiedział tata, jakby usłyszał moje myśli. - Tak samo jak i ja jej. Carlo był po prostu dobrym przyjacielem.

- Jak go poznała?

- Kiedy skończyła szkołę, spędziła trochę czasu w Neapolu, żeby nauczyć się włoskiego. Wiedziałaś o tym?

- Tak, coś mi się obilo o uszy.

- Była płatnym gościem rodziny o nazwisku de Rossi. Mieli córkę w tym samym wieku, Marię.

- Pamiętam, że mama wspominała o niej czasami.

- Bardzo się zaprzyjaźniły i mama została u nich trzy miesiące.

- Więc stąd jej zainteresowanie południem Włoch.

- Tak. Carlo był przyjacielem Marii i kiedy mama wyjechała, nadal utrzymywali kontakt. Pisała mi nawet w jednym z listów, że Carlo przyjeżdża do Anglii, by obejrzeć jakąś sztukę w Chichester... Był już wtedy wziętym scenografem teatralnym... i umówili się na spotkanie. Bardzo się cieszyła, że może go znów zobaczyć. Myślę, że przypominał ten szczęśliwy czas w jej życiu, kiedy była taka młoda i beztroska.

Spojrzałam na fotkę.

- Ale tak ją obejmuje...

- Cóż... - Tata wzruszył ramionami. - Bardzo ją lubił, ale nigdy nie byli... kochankami. - Byłam ciekawa, skąd może mieć taką pewność. - Mama mówiła mi, że kiedy go poznała, faktycznie zakochała się w nim. Ale Maria wyjaśniła jej bardzo taktownie, że jej uczucia raczej nie zostaną odwzajemnione, bo on nigdy nie interesował się dziewczynami.

- Och. Rozumiem...

- Ale pozostali w kontakcie przez wiele lat. To był miły człowiek - mówił tata - bardzo zdolny, twórczy, miał w sobie dużo ciepła, otwarty na innych, pogodny. Spotkałem go dwa razy i ogromnie go polubiłem.

- To był miły człowiek? - powtórzyłam, z naciskiem na był.

- Tak. Zmarł. W połowie lat osiemdziesiątych.

- Co za smutna historia.

- Tak, bardzo smutna. Miał ledwie czterdzieści trzy lata. Jego rodzice powiedzieli, że chorował na raka.

- Och... Ale mama nigdy o nim nie mówiła. Pamiętam, że wspominała o Marii, ale nigdy o Carlu.

- Jak już mówiłem, zwykle nie wspominała o smutnych sprawach. Spojrzałam w okno.

- Ale ten list - powiedziałam, biorąc go ze stołu. - To też mnie zbiło z tropu. - Tata wyciągnął rękę, więc podałam mu kartkę. Założył okulary i gdy spojrzał na list przez półksiężycowate szkła, zobaczyłam, że twarz mu pochmurnieje.

Zdjął okulary i zamknął oczy.

- Gdybym wiedział, że to istnieje, spaliłbym z resztą papierów twojej matki.

- Czy to o Carlu?

Pokręcił głową.

- Nie. Ale z jakiegoś powodu mama trzymała list razem z fotografią, a że zachował się brudnopis, na którym nie ma daty, opacznie to zrozumiałas.

- Ale o co tu chodzi? - Wyjęłam mu list z dłoni i przeczytałam jeszcze raz: „To moja wina... tak mi wstyd... Zgadzam się, że nikt nie powinien wiedzieć...” - Czego ona się wstydziła, tato? I o czym nikt nie powinien wiedzieć?

Tata nie odpowiedział. Po chwili rozmasował grzbiet nosa i westchnął głęboko.

- Rzeczywiście jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć, Anno, od bardzo dawna. To coś, co prawdopodobnie mocno cię rozgniewa, więc pozwól, że przeproszę z góry. - Nie odpowiedziałam. - Mama i ja uważaliśmy, że postępujemy słusznie - ciągnął - ale teraz jest jasne, że źle to załatwiliśmy i dlatego jest mi bardzo przykro. - Upił łyk kawy, marszcząc brwi.

- Co źle załatwiliście? - Nie odpowiedział. - Czego dotyczy ten list, tato? Proszę, powiedz mi.

Odsunął filiżankę.

- To nie będzie łatwe, więc musisz wykazać cierpliwość. - Oparł się o plecy krzesła, wpatrując w przestrzeń. Założył ręce na piersi. - Pamiętasz tę okropną awanturę między mamą i Markiem?

- Oczywiście, że pamiętam. Spojrzał na mnie.

- I wiesz, co się wtedy stało?

- Tak. - Dlaczego o to pytał?

- Więc mi powiedz.

- Ty i mama wpadliście na Marka i jego dziewczynę, Carol Gowing, w Glyndebourne. Nie spodobała się wam od pierwszego wejrzenia i następnego dnia mama powiedziała Markowi, by się z nią nie wiązał. Zerwali ze sobą, a Mark był tak wściekły na mamę za tę brutalną ingerencję w jego życie, że wyprowadził się do Stanów i od tamtej pory ledwie się z nami kontaktuje.

Tata powoli skinął głową.

- Zgadza się. Ale dlaczego według ciebie Mark przestał się spotykać z Carol, zamiast powiedzieć mamie, żeby pilnowała swojego nosa?

- Nie wiem - odparłam. - Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona, że tak nie zrobił. Miał trzydzieści trzy lata i mógł się spotykać, z kim chciał.

- Oczywiście. Ale mama miała bardzo dobry powód, by sprzeciwić się temu związkowi.

- Czyli?

Tata splótł ręce na stole.

- To miało związek z pewnym wydarzeniem z przeszłości twojej matki.

- Sądziłam, że mama właściwie nie ma przeszłości, biorąc pod uwagę, że wyszła za ciebie, mając dwadzieścia lat.

Tata zignorował moje słowa.

- Kiedy wróciła z Włoch, szukała pracy. Wynajmowała mieszkanie z koleżanką w South Kensington i chwyciła się dorywczych prac. Dzięki temu dostała posadę sekretarki w Granada TV.

- Nie wiedziałam, że tam pracowała. Nigdy mi nie mówiła.

- Miała ledwie dwadzieścia lat. Młodziutka, niedoświadczona życiowo dziewczyna. Był tam pewien producent, dziesięć lat starszy od niej. Bardzo przystojny, ambitny... Niestety, żonaty i z dwójką dzieci.

- No i?

- Mieli romans. To był jej pierwszy związek w życiu.

- Wielka szkoda, że on miał rodzinę.

- Tak. A ona była, jak to sama przyznawała, bardzo naiwna.

Wierzyła, że ten człowiek ją kocha i że się rozwiedzie, bo tak jej powiedział.

- Aha. Tyle że nie zamierzał tego zrobić?

- Nie. Ale spotykała się z nim przez jakieś dwa miesiące, wierząc, że łączy ich wielkie uczucie. Kiedy żona dowiedziała się o wszystkim i rozpętało się piekło, zerwał z mamą. Postarał się też, by straciła pracę.

- Biedna mama - powiedziałam. - Co za gnój.

- Niestety, ten epitet dość trafnie go określa. - Tata umilkł na chwilę.

- Nazywał się John Gowing.

- Rozumiem...

- Niedługo potem ja poznałem twoją matkę, w Lyons Corner House na Strand. Siedziała w kącie w deszczowe sobotnie popołudnie i zapytałem, czy mogę się przysiąść, bo w kawiarni był tłok... a poza tym



widziałem, że dziewczyna jest bardzo przygnębiona. Zapytałem, czy wszystko w porządku i czy mogę jej jakoś pomóc.

- Szczęściara z niej - szepnęłam. - Taki rycerz przyszedł jej na pomoc. Tata się uśmiechnął.

- Zaczęliśmy więc rozmawiać...

- I zakochaliście się w sobie. Wzięliście ślub i mieliście trójkę dzieci.

A potem, wiele lat później, co za horror: Mark poznaje córkę Johna Gowinga i zakochuje się w niej...

- Tak. To był horror - przyznał cicho tata.

- Biedna mama. Taki szok. Tyle jest kobiet na świecie, a Mark musiał spotkać właśnie ją. Pewnie nie mogła znieść rozdrapywania tej rany, nie mówiąc już o fakcie, że musiałyby znów zobaczyć Gowinga po tym, jak okrutnie ją potraktował.

- Rzeczywiście potraktował ją okrutnie. Złamał jej serce. A kiedy Mark przedstawił nam Carol tamtego wieczoru w Glyndebourne, mama natychmiast skojarzyła, z kim ma do czynienia, nie tylko po nazwisku, ale i przez podobieństwo Carol do ojca. To był dla niej ogromny wstrząs. Następnego dnia pojechała do miasta i powiedziała Markowi całą prawdę.

- Teraz rozumiem - przerwałam. - Kiedy mężczyzna naprawdę cię skrzywdzi, ostatnia rzecz, jakiej chcesz, to być zmuszoną po latach do kontaktów z nim, tym bardziej na gruncie rodzinnym. To byłby koszmar.

- Tak, Anno, ale...

- Co za straszna niespodzianka dla mamy. Myślałam, że Carol po prostu nie spodobała jej się, bo była o tyle starsza od Marka i nie chciała mieć więcej dzieci.

Tata pokręcił głową.

- To w ogóle nie stanowiło problemu. Twoja mama, jak większość matek, chciała, by jej dzieci po prostu były szczęśliwe, z kimkolwiek by się związały. Ale...

Położyłam dłoń na piersi.

- Tak się cieszę, że mi powiedziałeś. Myślałam, że mama nie miała racji, mieszając się w to, ale teraz ją rozumiem. Szkoda tylko, że nie powiedziałeś mi wcześniej, i za diabła nie rozumiem, dlaczego.

- Anno, ja nie...

Nagle zadzwoniła moja komórka.

- Wybacz, tato. - Pogrzebałam w torebce. - Halo?

- Czy to mama Milly? - zapytał kobiecy głos.

- Tak. - Poczułam, że puls mi przyspiesza.

- Mówi Lorraine z letniego przedszkola. Przepraszam, że przeszkadzam...

- Nic nie szkodzi - rzuciłam nerwowo.

- Milly źle się czuje.

Wstałam. Serce łomotało mi o żebra.

- Jakie ma objawy?

- Ma wysypkę na twarzy, lekką gorączkę i grymasi.

- Czy dostała do jedzenia jajko? - zapytałam, łapiąc torebkę. - W przerwie na śniadanie? Nie może ryzykować kontaktu nawet z minimalną ilością. Wyjaśniałam to pani.

- Nie sądźmy, żeby to było przyczyną - odparła spokojnie Lorraine.  
-Zresztą zawsze prosimy rodziców, by nie wkładali do pudełek śniadaniowych dzieci jajek i orzechów.

- Ale na niektórych typach słodkiego pieczywa jest jajeczny lukier albo inne dzieci mogły mieć jajko na rękach po śniadaniu. Jej wystarczy minimalna ilość. - Było mi niedobrze z niepokoju.

- Wszystkie myją ręce, zanim zaczną się bawić. Złapałam klucze.

- Przyjeżdżam natychmiast, ale gdyby zaczęły się u niej problemy z oddychaniem, może zajść konieczność zrobienia jej zastrzyku ... Epipen jest w apteczce, którą pani dałam.

- Przeszłam szkolenie pierwszej pomocy w przypadku reakcji alergicznych - poinformowała Lorraine - ale naprawdę nie sądzę, że to uczulenie. Wygląda raczej na wietrzną ospę.

Miałam nadzieję, że ma rację.

- Już jadę. - Wyłączyłam telefon. - Przepraszam, tato. Nagła sprawa. Ale dzięki, że nareszcie mi wszystko wyjaśniłeś.

- Ale Anno... - Patrzył na mnie bezradnie.

- Muszę lecieć. Zadzwoń później. - Pognałam na postój taksówek na Shepherd's Bush Road i po dziesięciu minutach byłam w sali parafialnej. Porwałam Milly na ręce i posadziłam sobie na kolanach.

- Mamusiuuu... - Była apatyczna i rozpalona. Nie miała spuchniętych warg ani powiek, nie miała charakterystycznych wyrzutów na twarzy i nie oddychała z trudem. Ale jej buzia i klatka piersiowa obsypane były czerwonymi bąbelkami.

- Jestem pewna, że to wietrzna ospa - zdiagnozowała Lorraine.

- Czy inne dzieci chorowały? - zapytałam, uspokajając się.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy tu chłopca z ospą, ale jego mama zapewniała, że nie jest już w stadium zakaźnym. Widocznie jednak był. - Spojrzała na dzieci. - Niedługo się dowiemy...

- To wietrzna ospa - potwierdził mój lekarz domowy, gdy godzinę później obejrzał skórę Milly pod lampą przez szkło powiększające. - Dobrze, że złapała ją w tym wieku, objawy będą łagodniejsze. Niewiele mogę zalecić oprócz calpolu, żelu przeciw świądowi i letnich kąpielii, gdyby dyskomfort się nasilił. Proszę wykluczyć z diety kwaśne i słone potrawy, takie jak pomarańcze czy chipsy, nie dawać jej aspiryny...

- Nigdy nie daję.

- Oczywiście musi pozostawać w izolacji przez co najmniej dziesięć dni. I proszę kontrolować jej temperaturę.

- Dobrze. Dziękuję. - Wzięłam Milly na ręce; w tej chwili znów zadzwoniła moja komórka. Tym razem był to Jamie. - Jak wam idzie? - zapytałam.

- Wszystko w porządku - odparł. - Z wyjątkiem pewnej osoby, która doprowadza mnie do szału.

- Wiem... Jest koszmarny. Ale ignoruj go.

- To niemożliwe. Ten facet to straszny przygłup. Ale o której się zjawisz?

- Nie przyjadę dzisiaj, Jamie. Milly złapała wietrzną ospę. Będę jutro o dziewiątej.

## Rozdział 14

Milly czuła się całkiem znośnie - miała temperaturę i od czasu do czasu drapała się po buzi, ale poza tym choroba niezbyt jej doskwierała. Tata zaofiarował się siedzieć z nią rano, żeby mogła pracować.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? - zapytałam, kiedy się zjawił.

- Absolutnie. Jestem zachwycony. I nie chcę, żeby ludzie oglądali mnie z tą śliwą więc bardzo się cieszę, że mogę siedzieć w domu. Cześć, Milly - powiedział, kiedy do niego podbiegła. - Może pouczymy się dzisiaj literek? Powtórzmy sobie abecadło?

- Tak - odparła radośnie. - Robimy abecacko.

- No dobrze - usłyszałam jego głos, kiedy szukałam kluczy. - Więc w jakim słowie mamy A, Milly? A jak... ?

- *Agua!*

Przewróciłam oczami.

- Luisa cię zmieni o dwunastej. Dziś rano idzie się spotkać z inną rodziną.

- Rozumiem - powiedział tata. - Szkoda.

- Owszem, ale sama tego chciała.

- Też racja.

- A wieczorem wpadnie Xan.

- Ale ja muszę z tobą porozmawiać, Anno.

- Jasne, tato. Pogadamy później, okej? Teraz muszę lecieć. -

Pocałowałam Milly i wzięłam torbę.

Poszłam do warsztatu w Ravenscourt Park odebrać samochód. Krzywiąc się, wypisałam czek za nowy alternator i pojechałam na Eden Lane. Parkując, zobaczyłam Jamiego - wyrzucał ogrodowe śmieci do kontenera.

- Cześć, Jamie! - Uśmiechnął się do mnie blado. Przyjrzałam mu się.  
- Dobrze się czujesz?

- Tip-top - odparł. - Po prostu... rewelacyjnie. - Nie wyglądało raczej, że ma wspaniałe samopoczucie. - Jak tam Milly?

- Nawet znośnie. Dobrze, jeśli dzieci przechodzą wietrzną ospę, kiedy są małe, bo wtedy objawy są łżejsze.

- Postaram się o tym pamiętać - odparł gorzko. Miałam nadzieję, że opuści go wkrótce ten wisielczy humor.

Poszłam do ogrodu i pomachałam do Stefana i Harry'ego.

- Co za odmiana. - Aż się zdziwiłam.

Kiedy rabaty zostały prawie całkowicie oczyszczone, ogród zalewało światło; zupełnie jakby zdjęto z niego jakąś wyimaginowaną pokrywę.

- A gdzie są rośliny, które chcemy zatrzymać?

- Tam - odparł Jamie. - W tamtym kącie. Wszystkie oznaczyliśmy.  
W kuchennych drzwiach pojawiła się Pippa z dziećmi.

- Świetnie - powiedziała, huśtając Kitty na rękach. - Teraz wydaje się dwa razy większy.

Nagle u jej boku stanął Gerald.

- Ogromna poprawa- stwierdził, schodząc po stopniach. Wcisnął ręce w kieszenie. - Teraz widać, że to ogród. Ale kiedy moja świętej pamięci

żona żyła, wyglądał jak z obrazka. Tak, Ginny naprawdę znalazła się na rzeczy. Była fantastyczną ogrodniczką.

- Geraldzie - powiedział cicho Jamie. Oparł się o rydel i otarł czoło grzbietem dłoni. - Czy mogę pana o coś spytać?

- Tak. - Gerald nie krył zaskoczenia.

- To dość osobiste pytanie. Patrzył na Jamiego podejrzliwie.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, kiedy wycięto panu takt.

- Kiedy wycięto mi co? O co panu chodzi? Nic mi nie wycinano.

- W takim razie, czy mógłby pan łaskawie przestać mówić o swojej świętej pamięci żonie?

- Coś takiego - fuknął Gerald.

- Siedzę w tym ogrodzie dopiero półtora dnia - mówił Jamie - a pan przez ten czas chyba z dziesięć razy wspomniał o ogrodniczych talentach pańskiej zmarłej żony, często w obecności pani Pippy.

- Tak, ale...

Spojrzałam na Pippę. Zaczerwieniła się jak burak.

- Moim zdaniem to jest co najmniej niestosowne. Wręcz niegrzeczne. Takie zachowanie nie przystoi dżentelmenowi.

- Jamie - syknęłam. - Starczy.

- Prawdę mówiąc - mówił dalej Jamie, nie zwracając na mnie uwagi - skoro już to z siebie zrzucam, to za pozwoleniem, powiem panu, że jeśli nie przestanie pan głądzić o swojej zmarłej żonie w obecności prześlicznej żywej żony, która tu stoi... doprawdy, szczęściarz z pana... nie będę dla pana pracować. Bo nie mogę tego znieść. Czy to jasne?

Jamie wziął rydel i spokojnie odszedł.

- Ależ... - Gerald się zapowietrzył ze złości. - Co za bezczelność!

Przez chwilę panowała cisza.

- Tak - powiedziała cicho Pippa. - Przykro mi, Geraldzie, ale Jamie ma całkowitą rację.

- Okej, Stefan, wracamy do roboty - rzuciłam lekkim tonem, gdy Gerald wszedł do domu, trzaskając za sobą drzwiami. - Ja przyjadę jeszcze po południu.

Ręce mi się trzęsły, gdy otwierałam samochód. W pewnym sensie byłam zadowolona - tak bardzo, że mogłabym uściskać i ucałować Jamiego za jego rycerski czyn. Ale z zawodowego punktu widzenia miałam co do zasadności tego czynu wielkie obawy. Usiadłam za kierownicą i zadzwoniłam na jego komórkę.

- Błagam, nigdy więcej nie rób czegoś takiego - poprosiłam go. - Nie żałuję, że to powiedziałeś, prawdę mówiąc, nawet się cieszę, ale kiedy klient jest okropny, lepiej go ignorować.

- Nie mogłem już wytrzymać - odparł cicho Jamie. - Tak mnie złościł, że o mało się nie pochorowałem.

- To może... staraj się nie brać sobie tak wszystkiego do serca.

- Próbowałem. - Zaśmiał się gorzko.

- Wszystko u ciebie w porządku, Jamie?

- Jasne - rzucił. - Mam się świetnie.

- To... fajnie. No dobra, do zobaczenia później.

Schowałam telefon i zajrzałam w terminarz, by sprawdzić, kiedy mam spotkanie w Maida Vale. Nagle zauważyłam, że na jedenastą jestem



umówiona u fryzjera. Spojrzałam w lusterko, zastanawiając się, czy tego nie odwołać, ale moje włosy były cienkie i oklapłe, więc za pięć jedenasta pchnęłam drzwi Dziewczyn z Głową.

- Sandra jest na urlopie - poinformowała recepcjonistka - więc zapisałam panią do Kelly, naszej nowej stylistki. Zajmie się panią za pięć minut.

- W porządku.

Jak zwykle w poczekalni leżała sterta szmatławych babskich tygodników, więc zaczęłam czytać drastyczne tytuły z dreszczem zabarwionego obrzydzeniem zachwytu. *Zapłaciłam za operację zmiany płci własnego męża!*, *Wydałam własnego syna policji!* Boże drogi: *Uprawiałem seks z koniem mojej córki!* Wzięłam tygodnik „I Say!”. *Zakochałam się we własnym bracie!* Fuj. Odnalazłam odpowiednią stronę i czytając wprowadzenie, poczułam, jak usta krzywią mi się z obrzydzenia.

„Czy mógłby pociągać własny brat? Czy mogłabyś się w nim zakochać? Właśnie to przydarzyło się naszej gwiazdzie tygodnia”. - Szczeka mi opadła, gdy, czytając dalej, rozpoznałam nazwisko. - „Aktorka Carol Gowing, gwiazda serialu *Masakry w Midwinter*, który w listopadzie zostanie wyemitowany w Channel 5, zwierza się naszemu tygodnikowi, opowiadając o zakazanym związku z własnym bratem. Niektóre imiona zostały zmienione...”

Spojrzałam na zdjęcie Carol z płaczliwą miną w jej kuchni. Co za ekshibicjonistka. Jak można pisać coś tak obrzydliwego tylko po to, by rozreklamować gówniany serial, w którym się gra. Chwała Bogu, że Mark się z nią nie związał, pomyślałam, czytając dalej.

„Byłam rozwódką od pięciu lat i, choć kochałam dwójkę moich dzieci, bycie samotną mamą to żadna frajda. Latem 2003 roku wydawało się, że wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Spotkałam na przyjęciu cudownego mężczyznę, Luke'a. Był wysoki i jasnowłosy, jego oczy, błękitne jak lód, zdawały się widzieć najgłębsze zakamarki mojej duszy. Był miły, troskliwy i potrafił słuchać. Wkrótce zaczął dzwonić do mnie codziennie i, mimo że przez następny miesiąc często się widywaliśmy, nie zostaliśmy kochankami -oboje wiedzieliśmy, że ten związek jest zbyt ważny, by się spieszyć”.

- Co za banialuki - wymamrotałam, zastanawiając się, co to ma wspólnego z bratem Carol, który, jak sobie teraz przypomniałam, miał na imię Peter.

„Byłam osiem lat starsza od Luke'a”. Więc najwyraźniej miała w zwyczaju spotykać się z młodszymi.

„Różnica wieku nie miała znaczenia dla żadnego z nas, ale musiałam mu powiedzieć, że nie chcę mieć więcej dzieci. Ku mojemu zdumieniu, Luke powiedział, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia, bo pragnie tylko być ze mną”.

- To jak, zaczynamy? - usłyszałam jakiś głos.

- Co? - mruknełam.

- Pytałam, czy chce pani teraz zacząć. Kelly na panią czeka. Ściskając tygodnik w garści, pozwoliłam recepcjonistce okryć się czarną peleryną i poprowadzić do umywalki, gdzie czekała Kelly.

- Proszę odchylić głowę do tyłu - poleciała. Zrobiłam, o co prosiła, ale czytałam artykuł dalej, unosząc go wysoko. Bolały mnie ręce i kark, ale miałam to gdzieś.

„Luke i ja świetnie się dogadywaliśmy. On był lekarzem, chirurgiem okulistą”. - Usiadłam prosto, jak na sprężynie.

- Proszę głowę do tyłu!

„Właśnie spędził pół roku w Afryce Zachodniej, gdzie pracował dla organizacji charytatywnej *Ratunek dla Oczu*. To sprawiło, że wydawał mi się jeszcze bardziej atrakcyjny. Miesiąc po naszym poznaniu miałam urodziny. Zaplanował jakąś niespodziankę i powiedział mi tylko, że mam włożyć coś eleganckiego. Kiedy po mnie przyjechał, był w smokingu, a na tylnym siedzeniu samochodu leżał piknikowy kosz. Jechaliśmy do Glyndebourne, zobaczyć *Cyganerię*. To był magiczny wieczór i przepełniało mnie *szczęście*. Nie wiedziałam, że wkrótce legnie ono w gruzach”.

- Czy woda jest odpowiednia? - usłyszałam pytanie Kelly.

- Tak, tak, w porządku - wymamrotałam, choć była za gorąca.

Wróciłam do czytania.

„Gdy wyszliśmy na antrakt, Luke zauważył nagle swoich rodziców po drugiej stronie trawnika i zaprowadził mnie do nich, żebym ich poznała. Byli bardzo mili, dopóki nie doszło do prezentacji. Nagle atmosfera się zmieniła. Jego matka wydawała się niemal wroga, mimo iż nigdy wcześniej jej nie spotkałam. Ojciec Luke'a także był bardzo spięty, choć on przynajmniej usiłował podtrzymać rozmowę”.

- Życzy sobie pani odżywkę?

- Co? Nie, dzięki.

„Widziałam, jak bardzo zabolęła Luke'a postawa rodziców wobec mnie. Gdy wróciliśmy na widownię, szepnął mi, że jego matka prawdopodobnie jest rozczarowana, bo powiedziałam, że nie chcę mieć więcej dzieci. Ale nie to było powodem jej dziwnego zachowania, jak miałam się wkrótce przekonać”.

Poczułam, że ręcznik owija mi głowę.

- Proszę do lustra - komenderowała mną Kelly. Podreptałam za nią nieprzytomnie, wciąż czytając. - Tylko przyciąć, tak?

- Co? - zapytałam, siłą odrywając oczy od gazety. Spojrzała na moje odbicie.

- Dzisiaj tylko przycinamy?

- Tak. Jakies dwa i pół centymetra. Proszę zachować cieniowanie. -  
Gdy zaczęła rozczesywać moje mokre włosy, czytałam dalej:

„Następnego wieczoru Luke zaprosił mnie do swojego mieszkania. Wyglądał okropnie i nie pocałował mnie, jak to zwykle robił. Oświadczył, że kilka godzin wcześniej odwiedziła go jego matka i wręcz mu nakazała, żeby się ze mną nie wiązał. Zaprotestowałam, mówiąc, że nie ma do tego prawa. Ale on powiedział, że właśnie wyznała mu coś ważnego - coś, o czym i ja powinnam wiedzieć - a mianowicie, że znała kiedyś mojego ojca. Nie zaskoczyło mnie to, bo mój ojciec, pracując w telewizji od czterdziestu pięciu lat, poznał mnóstwo ludzi”.

- Proszę nie pochylać głowy! - przykazała mi Kelly.

„Potem Luke powiedział, że kiedy jego matka miała dwadzieścia lat, miała romans z moim tatą. Teraz zrozumiałam jej obiekcje co do mojej

osoby. Widocznie źle wspominała ten związek i nie chciała odnawiać znajomości z moim ojcem trzydzieści lat później. Poczułam ulgę, że istnieje racjonalne wytłumaczenie jej niechęci do mnie. Ale powiedziałam Luke'owi, że to było dawno temu i że jego matka powinna o tym zapomnieć dla jego dobra. Dodałam, że nie może nam zabronić być razem. Ale Luke wypalił, że może. Zdumiona, zapytałam dlaczego..."

- Głowa do góry, Anno! - powtórzyła Kelly.

„Odparł, że nie chodzi tylko o sam romans, ale o to, że on jest owocem tego związku..."

Poczułam się, jakby wrzucono mnie do wanny z lodowatą wodą.

„Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Nie wiedziałam o żadnych dzieciach mojego taty poza mną i moim młodszym bratem, Peterem. Natychmiast zadzwoniłam do ojca i po chwili potwierdził, że to prawda. Przerazenie, jakie mnie ogarnęło, ustąpiło miejsca uldze na myśl, że mój związek z Lukiem pozostał do tej pory wyłącznie platoniczny. Mimo to byłam wstrząśnięta i wytracona z równowagi. Luke był zdruzgotany. Powiedział, że czuje się tak, jakby meteoryt spadł w sam środek jego życia".

Poczułam podmuch gorącego powietrza, gdy Kelly zaczęła suszyć mi włosy.

„Kiedy następnego dnia porozmawiałam o tym z ojcem, przyznał, że nie jest dumny ze swojego romansu z matką Luke'a - i to nie tylko dlatego, że był żonaty. Powiedział, że napisała do niego, zawiadamiając, że jest w ciąży, ale jej nie odpowiedział, bo nie miał pewności, czy to prawda".

- Drań! - szepnęłam. - Jakby mogła skłamać.

- Słucham? - powiedziała Kelly.

„Wkrótce, gdy usłyszał, że się z kimś zaręczyła, uznał, że lepiej będzie trzymać się z daleka. Ale czasem zastanawiał się, czy rzeczywiście ma jeszcze jedno dziecko, więc to, co powiedziałam mu o Luke'u, i dla niego było szokiem...”

Wstałam z fotela.

- Muszę iść.

- Ale ja nie skończyłam - zaprotestowała Kelly, gdy ściągnęłam pelerynę.

- Nic nie szkodzi, właśnie sobie przypomniałam o ważnym spotkaniu. Przepraszam. - Otworzyłam torebkę i dałam jej czterdzieści funtów.

- Tyle wystarczy?

- To za dużo, przyniosę pani resztę.

- Nie, proszę się nie fatygować.

- Ale niech pani pozwoli, żebym jeszcze trochę podsuszyła... Wolałabym, żeby pani tak nie wychodziła.

Ale ja byłam już jedną nogą za drzwiami.

- Cześć - powiedział tata, kiedy dotarłam do domu. Właśnie chował masę solną. - Milly się zdrzemnęła, wyglądała na zmęczoną. - Przyjrzał mi się zdrowym okiem. - Byłaś na basenie?

- Nie. U fryzjera.

- I nie wysuszyli ci włosów?

- Nie było czasu, musiałam wyjść. - Podałam mu tygodnik. - Czy mógłbyś to przeczytać?

- „I Say”!? To raczej nie w moim guście, Anno.

- Wiem. Ale chcę, żebyś przeczytał jedną historyjkę, tę tutaj. - Dziabnąłam palcem w artykuł. - Jest naprawdę zdumiewająca.

Tata spojrział na mnie dziwnie.

- Okej. - Włożył okulary; widziałam, jak rysy ściągają mu się boleśnie w trakcie czytania. W końcu odłożył pismo.

- Czy to prawda? - zapytałam.

- Tak. - Milczał przez chwilę. - To prawda.

- No cóż... dzięki, że mi powiedziałaś! Tata zamknął oczy.

- Zacząłem ci o tym mówić wczoraj - wychrypiał. - Ale musiałaś lecieć po Milly, więc nie mogłem dokończyć. Próbowałem dziś rano, ale też się spieszyłaś. Naprawdę chciałem ci opowiedzieć całą tę historię, Anno.

- Tyle że spóźniłeś się o trzydzieści lat! - Patrzyłam na niego gniewnie. - Jak mogliście nam nie powiedzieć? - Tata milczał. - I jak mogliście nie powiedzieć Markowi?

- Powinniśmy byli to zrobić. - Westchnął. - Popelniliśmy straszny błąd.

Klapnęłam na krzesło.

- Więc... kiedy poznałeś mamę, ona już była w ciąży? Skinął głową.

- Poznałem ją w Lyons Corner House, zaczęliśmy rozmawiać. Potem zapytałem, czy mógłbym się jeszcze z nią spotkać. Bardzo mi się podobała, ale i martwiłem się o nią bo wydawała się taka przygnębiona. Na drugim spotkaniu powiedziała mi, dlaczego jest taka nieszczęśliwa: bo rozpadł się jej związek, a ona jest w ósmym tygodniu ciąży.

- Biedna mama.

- Była kompletnie załamana. Najbardziej bała się, że kiedy dowie się o tym jej matka, zmusi ją by oddała dziecko do adopcji. Myślała, że po tym wyznaniu nie będę chciał mieć z nią więcej do czynienia, ale ja zdażyłem się już zakochać. Więc porozmawialiśmy jeszcze trochę, aż w końcu wzięłem głęboki oddech i powiedziałem, że jedyne wyjście jest takie, że bym się z nią ożenił.

- Pewnie ją... zatkało.

- Owszem. Uważała, że najzwyczajniej w świecie zwariowałem. Przecież jej nie znam. Rzeczywiście, odparłem, ale mając trzydzieści dwa lata, znam siebie - bardzo mnie do niej ciągnie. Powiedziałem, że jeśli się pobierzemy, wychowam dziecko jak swoje własne, ale pod jednym warunkiem: że nikt się nie dowie. Wierzyłem, że to zapewni nam stabilność jako rodzinie i ochroni twoją matkę przed plotkami. Tak więc trzy tygodnie później wzięliśmy ślub w ratuszu w Chelsea. Wszyscy nasi goście wiedzieli, że to „ekspresowy” ślub i było trochę grubych żartów, ale nie mieliśmy nic przeciwko nim, bo wzmacniały tylko przekonanie, że dziecko jest moje. By daty się zgadzały, udawaliśmy, że poznaliśmy się sześć tygodni wcześniej niż w rzeczywistości.

Teraz rozumiałam, dlaczego mama na ślubnej fotografii wyglądała na więcej niż dwa miesiące. W tym momencie to było już grubo ponad trzy.

- Dziwne, zdecydowaliście się na ślub, zupełnie się nie znając.

- Z pewnością nietypowo zaczęliśmy nową drogę życia - przyznał tata. - Ale jak powiedziałem mamie, jeśli nam nie wyjdzie, to przynajmniej będzie rozwódką a nie panną z dzieckiem, a jej dziecko będzie miało ojca.



- Ale wam wyszło.

- Jakimś cudem tak. Chociaż mieliśmy swoje wzloty i upadki, jak ci mówiłem.

- Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale zdecydowaliście, że nigdy nie powiecie Markowi?

Tata wzruszył ramionami.

- Nie przemyśleliśmy tego dokładnie. Zastanawialiśmy się, czy mu nie powiedzieć, kiedy miał jakieś osiem lat. Ale nie potrafiliśmy się już wtedy zdobyć na naruszenie tego idealnego obrazu naszej rodziny, szczególnie że właśnie urodziła się Cassie, która przez dość długi czas potrzebowała specjalnej opieki. Więc wciąż to odkładaliśmy.

- Tak długo?

- Zdziwiłabyś się, jak szybko przemknęły te lata, a z ich upływem było nam coraz trudniej i trudniej wyznać prawdę. Poza tym baliśmy się, że to może zachwiać psychiką Marka w krytycznym momencie; nagle okazało się, że ma jedenaście lat i zdaje egzamin kompetencyjny, potem była mała matura, egzaminy końcowe; później studia na uniwersytecie, w szkole medycznej... Nie chcieliśmy wytrącać go z równowagi, kiedy tak ciężko pracował, zdawał egzamin za egzaminem, więc odkładaliśmy to w nieskończoność. Potem pojechał do Afryki i krótko po powrocie poznał Carol Gowing. Resztę już znasz.

Usiadłam.

- Więc to dlatego Mark wyjechał.

- Tak. - Oparł głowę na dłoniach. - Nie potrafił sobie z tym poradzić. Nie tylko z samą informacją, która wywołała szok, ale i z tym, w jaki

sposób się dowiedział; z faktem, że w całą historię wplątana została Carol. Był wściekły. Powiedział, że nie wie już, kim jest ani kim my jesteśmy. Po prostu zabrał wszystko ze swojego pokoju, jakby nigdy tam nie mieszkał.

- I pojechał do San Francisco.

- Powiedział, że potrzebuje dystansu. I myślę, że do tej pory tak naprawdę nie może siebie odnaleźć.

- Ale kiedy Mark już poznał prawdę, dlaczego nie powiedzieliście Cassie i mnie?

- Zamierzaliśmy. Ale potem mama nagle zmarła i miałem dość zmartwień na głowie, więc znowu odłożyłem tę sprawę. Aż w końcu sama się dowiedziałaś. Zresztą zawsze podejrzewałem, że tak się stanie - dodał cicho.

Zagapiłam się w okno.

- To dopiero dziwaczne - mruknęłam. - Wmówiłam sobie, że Cassie jest moją siostrą przyrodnią, bo tak bardzo się ode mnie różni. A tymczasem to Mark...

- Który jest tak podobny do ciebie.

- Tak. - Spojrzałam na tatę. - Czy to nie dziwne?

- Może chciałaś wierzyć, że to Cassie.

- Dlaczego miałabym chcieć?

- Bo zawsze była dla ciebie solą w oku, więc skupiałaś się raczej na tym, co was różni, zamiast szukać wspólnych cech.

Zrobiło mi się wstyd.

- Chyba masz rację.

Podeszłam do toaletki i wzięłam zdjęcie. Teraz dostrzegłam, że między Cassie i Carlem jest tylko ogólne podobieństwo - ale uprzedzenia kazały mi widzieć więcej. I zrozumiałam teraz reakcję Marka na mojego maila, i drażliwość mamy, kiedy wspomniałam, że brała ślub w ciąży. Jej zmieszanie wynikało nie tyle ze wstydu, ile z poczucia winy, że ciągle ukrywa tę prawdę przed swoimi dziećmi.

„I nagle podszedł do mnie ten bosko przystojny mężczyzna i zapytał, czy może się przysiąc... I już!”

Nie. To nie było żadne „i już”. Wręcz przeciwnie.

- Co za mistyfikacja - mruknęłam.

- Tak.

- Więc znaleziony przeze mnie list to brudnopis dłuższego, który mama przysłała ci, zanim się pobraliście. - Tata skinął głową. - Ależ miała niesamowite szczęście, że trafiła na ciebie. Ilu mężczyzn potrafiłoby tak jak ty? Nic dziwnego, że darzyła cię wielką miłością niezmiennie od lat.

- Tak, wierzę, że naprawdę mnie kochała. Lubię myśleć, że po części dla mnie samego, ale głównie dlatego, że dzięki temu mogła zatrzymać dziecko. Cóż za ironia losu, że w końcu straciliśmy Marka, kiedy już był dorosły, przez nasze własne błędy. Ale mam nadzieję, że on wróci, Anno. - Tata wyjrzał za okno. - Tęsknię za moim synkiem.

- Myślę, że wróci - powiedziałam. - Kiedyś.

Tego dnia nie wróciłam już na Eden Lane; wciąż byłam tak roztrzęsiona po rozmowie z tatą że bałam się prowadzić. Spędziłam popołudnie sama, przeglądając stare albumy, wpatrywałam się w zdjęcia

Marka - niemowlaka, małego chłopca, nastolatka i młodzieńca. Nikt, patrząc na te fotografie, nie domyśliłby się, że to nie jest rodzony syn taty.

O szóstej zjawił się Xan; chciał się zobaczyć z Milly. Kiedy wszedł, przyjrzał mi się uważnie.

- Dobrze się czujesz, Anno? Wyglądasz na... zgnębiają jeśli wolno mi się tak wyrazić.

- Nic mi nie jest - skłamałam. - Po prostu zmęczenie. - Xan trzymał wielki, nieporadnie zawinięty pakunek. - Co tam masz? - zapytałam, gdy Milly zbiegła na dół, by się z nim przywitać.

- Coś na poprawę humoru dla Milly. Milly zdarła pasiasty różowy papier.

- Hulajnoga! - Oczy miała jak spodki. - Dostałam hulajnogę, mamo!

- To taki prezent, żebyś szybciej wyzdrowiała - wyjaśnił Xan.

- Rzeczywiście, zrobiłeś jej niespodziankę, to bardzo miło z twojej strony. Podziękuj tatusiowi, kochanie.

- Dziękuję, tatusiu!

Wiedziałam, dlaczego Xan kupił jej hulajnogę: bo odkrył, że Patrick dał jej rower.

- Będziemy musiały bawić się nią w ogrodzie, Milly - wyjaśniłam. - Dopóki nie wyzdrowiejesz na dobre.

- Na pewno nic ci nie jest, Anno? - Xan nie dawał za wygraną. - Wyglądasz na zmaltretowaną.

- Może trochę. Pewnie przez ten upał.

- Ale już jest chłodniej. Chyba nie złapałaś ospy, mam nadzieję.

- Nie. Przechodziłam wiele lat temu. Ale *co* z twoim przydziałem?

Wiesz już coś?

Pokręcił głową.

- Powinienem wiedzieć do przyszłego tygodnia. Mówiłem poważnie, że mogłybyście pojechać ze mną.

- Nie wzięłam tego za żart.

- Więc... bierzesz to pod uwagę? Przynajmniej taką ewentualność, oczywiście zależnie od tego, gdzie mnie pošlą?

- Owszem, myślałam nad tym.

- I?

- To by było szaleństwo.

- Co jest szalonego w rodzinie, która jest razem? Chciałbym mieć przy sobie moją małą rodzinę. Teraz już to wiem.

- Wielka szkoda, że nie wiedziałeś trzy lata temu.

- Ja też bardzo żałuję. Proszę, zastanowisz się?

- Już się zastanowiłam. Mam tutaj swoje sprawy, Xan, zawodowe i osobiste, mam rodzinę i przyjaciół... - Nagle pomyślałam o Jamiem. - Milly też ma tu swoje życie, swoich przyjaciół. Składasz nam tę propozycję za późno.

Kiedyś tyle bym za nią dała. Ale zdążyłam ułożyć sobie życie bez niego.

- No dobrze - powiedział. - Jeszcze o tym porozmawiamy. Co będziemy robić z Milly dziś wieczorem? Nie możemy pójść do parku, skoro odbywa kwarantannę.

- Mógłbyś się z nią pobawić, wykapać ją i położyć spać. A potem, wieczorem, przypilnowałaby jej Luisa.

- Dlaczego Luisa?

- Bo ja wychodzę.

- Och. - Xan przewrócił oczami. - Z Paddym, niewątpliwie.

- Z Patrickiem. Owszem. Z moim miłym, cierpiącym w milczeniu chłopakiem Patrickiem. Idziemy do kina.

- Jak romantycznie - rzucił gorzko Xan.

- Ale przedtem muszę popracować. Milly, tatuś się z tobą trochę pobawi, okej?

- Okej! - Milly wyprowadziła hulajnogę do ogrodu. - No chodź, tata!

Poszłam na górę do swojego gabinetu, usiadłam przy desce kreślarskiej i zajęłam się robieniem szkiców ogrodu państwa Morea; przez otwarte okno dobiegał mnie śmiech Milly. Projektowanie jest absorbujące. Nie myślałam już o Marku, tacie ani Luisie. Kiedy tak rysowałam, planowałam, mierzyłam i sadziłam rośliny, wszystko inne schodziło na dalszy plan.

Pracowałam już godzinę, bez reszty pochłonięta szkicowaniem. Na dźwięk dzwonka do drzwi wstałam od stołu. Zbiegłam na dół, ale Xan już tam dotarł.

Ręce mi opadły.

- Patrick? - powiedziałam, stojąc na dolnym schodku. - Myślałam, że mieliśmy się spotkać w kinie.

- Mieliśmy. Ale muszę porozmawiać z Xanem.

- Z Xanem? O czym? - Obaj stanęli twarzą w twarz, po obu stronach progu. - Xan, bądź tak miły i wpuść Patricka!

Xan odsunął się na bok i oparł leniwie o futrynę drzwi salonu.

- Dlaczego chcesz rozmawiać z Xanem?

- Nie to, że chcę, ale uważam, że muszę, bo... - wyjął z kieszeni list - dziś dostałem to od niego.

Spojrzałam na Xana.

- Dlaczego napisałeś do Patricka list?

- Bo uznałem, że to konieczne.

- Mogę go zobaczyć? - Patrick podał mi list. Przebiegłam kartkę wzrokiem: „Trzymaj się z daleka od mojej rodziny... jest w tobie coś, co sprawia, że ci nie ufam... twój związek z Anną uważam za niestosowny... nie będę stał z boku, kiedy ty...”

Spiorunowałam Xana wzrokiem.

- Co ty sobie wyobrażasz? To oburzające! - Nagle zjawiała się Milly, więc zniżyłam głos. - Skąd wiedziałeś, gdzie Patrick mieszka? Nie mówiłam ci!

Wzruszył ramionami.

- Zostawiłaś swój notes z adresami na stole.

- Zaglądałeś do niego? Nie miałeś prawa!

- Dostałem też od Marshalla trzy SMS-y - odezwał się Patrick. -  
Obrażliwe.

- Żartujesz - wysapałam. - Co ci napisał? Milly, kochanie, wyjdź stąd, proszę, zaraz skończymy. - Nie ruszyła się.

- Och, mniej więcej to samo. Kazał mi się odczepić, nazwał „oślizgłym draniem” i „menda”.

- Menda - powtórzyła Milly. Patrick się zachnął.

- Bądź tak miła i idź do ogrodu - poprosiłam jeszcze raz Milly. Spojrzałam na Xana. - W głowie mi się nie mieści. Kulturalny, obyty, inteligentny człowiek nagle się przemienia w zazdrosnego maniaka! Takiego cię nie znałam!

Xan milczał.

Ku mojemu zaskoczeniu, Patrick nie wpadł w złość. Wiało od niego chłodem, co było zrozumiałe, ale nie stracił panowania.

- Jeśli dostanę od ciebie jeszcze jakiegokolwiek przesyłki, Marshall - oświadczył z kamiennym spokojem - skontaktuje się z tobą mój adwokat.

- A mój z tobą - wypalił Xan. - Postaram się dla ciebie o sądowy zakaz zbliżania się do nas.

- To jakieś szaleństwo, Xan - powiedziałam. - Odbiło ci!

- Nic podobnego. Właśnie o to chodzi, Anno, że nareszcie zmądrzałem. Odnalazłem swoją rodzinę. Jesteśmy całością... a przynajmniej moglibyśmy być, gdyby Patrick postąpił przyzwoicie i... odwalił się. Powtórzę więc moją nieskomplikowaną prośbę, żeby trzymał się od nas z daleka. I nie ma mowy, żeby zabrał Milly na wakacje. Jest moją córką i nie pozwolę na to!

Na chwilę odjęło mi mowę.

- Nie masz prawa stawiać takich żądań! - wycodziłam. - Kochanie, proszę, idź do ogrodu. Patrick ma rację! - wrzasnęłam mu prosto w twarz, gdy Milly nareszcie czmychnęła korytarzem, oglądając się przez ramię ze



zdezorientowaną miną. - Porzuciłeś mnie, kiedy byłam w ciąży, prawie nie widywałeś się z Milly przez trzy lata i nagle teraz, kiedy odkryłeś, że podoba ci się życie rodzinne, zachowujesz się jak oszalały lew broniący zdobyczy.

- I chyba rzeczywiście się tak czuję.

- Ale nie możesz tak po prostu wrócić tutaj, cały szczęśliwy, udając oddanego ojca rodziny, jakbyśmy byli razem. Nie jesteśmy!

- Ale moglibyśmy być. I jestem pewien, że bylibyśmy, gdyby nie ten... ten... - Wskazał Patricka kciukiem.

- Patrick nic ci nie zrobił - wyrzuciłam jednym tchem. - Zachował się taktownie, w przeciwieństwie do ciebie. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek do niego napiszesz, przekonasz się, że nie będę taka liberalna, jeśli chodzi o czas, który spędzasz z Milly. - Wzięłam torebkę. - A teraz wychodzę z Patrickiem. Rządzisz tu do ósmej, dopóki nie wróci Luisa. Przypilnuj, żeby Milly wyszorowała zęby. - Poszłam do ogrodu i pocałowałam Milly na pożegnanie.

Prawie nie spałam tej nocy; zdrzemnąłam się dopiero przed świtem. Śniło mi się, że Patrick i Xan bawią się w przeciąganie liny, tyle że zamiast liny byłam ja i Milly. W końcu w moją podświadomość wwiercił się ostry sygnał telefonu. Sięgnęłam po słuchawkę, mając nadzieję, że to nie żaden z nich.

- Anna? - Dzwonił Jamie. - Wstałaś już?

- Tak - wychrypiałam. - To znaczy nie... - Spojrzałam na budzik. Za piętnaście ósma. Słyszałam, jak Milly szczebiocze do swoich misiów w

łóżeczku po drugiej stronie korytarza. - Zaspałam - powiedziałam z jękiem. - Co się stało?

- Z mojego pikapa cieknie olej. Nie mogę nim jechać.

- Oj. - Zwiesiłam nogi z łóżka. - No ale ma już swoje lata, co? - Sięgnęłam po szlafrok. - Może powinieneś sobie kupić nowe auto.

- Tak. Może. Najlepiej bentleya continentala. Ale do rzeczy. Muszę przywieźć jeszcze jedną glebogryzarkę. Czy mogłabyś mnie podrzucić do wypożyczalni sprzętu? Otwierają o dziewiątej. A potem na Eden Lane?

- Jasne. Tata przychodzi o ósmej zająć się Milly, więc przyjadę po ciebie piętnaście po. - Odkładając słuchawkę, zastanawiałam się, dlaczego Thea nie mogła pożyczyć Jamiemu swojego samochodu.

Zadzwoiłam do jego drzwi za piętnaście dziewiąta.

- Przepraszam za spóźnienie, wybaczone. Miałam fatalną noc.

- Ja też - odparł cicho. Cienie pod oczami i skóra koloru popiołu mówiły same za siebie. - Wejdz na chwilę, nie jestem jeszcze gotowy.

Spodziewałam się, że zobaczę Theę albo usłyszę ją krzątającą się gdzieś w głębi, ale w mieszkaniu było bardzo cicho.

- Thea poszła do pracy? - zapytałam, idąc za Jamiem do kuchni.

- Tak - odparł. - Thea poszła. Sobie. - Zamknął na klucz tylne drzwi.

- Ale nie do pracy. Na dobre.

- Słucham?

Opadł ciężko na krzesło; twarz miał bezkrwistą ze stresu i zmęczenia.

- Odeszła - szepnął. - A ja czuję się trochę...

- Jamie...

Zakrył oczy lewą dłonią.

- Dałem się zrobić w konia jak ostatni frajer - wychrypiał. Usiadłam z nim przy stole. - Wiedziałem, że coś się dzieje, nawet kiedy uspokoiła mnie w sprawie tego całego Percy'ego. Czułem przez skórę, że jest jakiś problem, ale nie chciałem w to wierzyć.

- Więc czegoś się dowiedziałeś? - Skinął głową. - Kiedy?

- Przedwczoraj.

- Co się wydarzyło? Jamie westchnął głęboko.

- Do Thei przyszła paczka. Z tego eleganckiego hotelu w Cliveden. - Spojrzał na mnie. - Znasz go?

- Słyszałam o nim.

- I ta cholerna paczka rozdarła się z jednej strony, i coś z niej wystawało. Więc to wyciągnąłem. Szlafroczek, taki zwiewny, jedwabny. Pomyślałem, że Thea kupiła go w sprzedaży wysyłkowej. Ale otworzyłem paczkę i znalazłem bilecik z recepcji hotelu, z podziękowaniem, że upomniała się o zgubę i z przeprosinami, że odesłanie zajęło im tyle czasu. Wyrazili też nadzieję, że Thea mile wspomina swój pobyt w hotelu trzynastego maja i że wkrótce będą ją znów gościć.

- Och.

- Więc kiedy wróciła wieczorem, zapytałem ją czy była kiedykolwiek w Cliveden. Zaprzeczyła. Pokazałem jej szlafrok i bilecik. Zaczerwieniła się, ale nic nawet nie próbowała wyjaśnić.

- Ale chyba coś ci powiedziała?

- Stwierdziła po prostu, że nie będzie o tym rozmawiać, chociaż oboje wiedzieliśmy, że tamtego dnia miała być w drodze do Kapsztadu.

- Mówiłeś, że odwiozłeś ją na lotnisko.

- Bo odwiozłem. Ale teraz rozumiem, dlaczego wołała jechać sama.

Ciągle powtarzała, że nie chce mi robić kłopotu i że pojedzie taksówką ale ja się uparłem, że ją zawiozę. W każdym razie w końcu zapytałem ją wprost o ten szlafrok, mieliśmy straszną awanturę, a potem spakowała parę rzeczy do walizki i wyszła.

- I to było dwa dni temu?

- Tak. A wczoraj wieczorem, koło wpół do dziewiątej, słyszę walenie do drzwi. Otwieram i co widzę: w progu stoi żona Andrew Barraclougha. Nie miałem pojęcia, czego chce. Wpadła do środka i zaczęła na mnie wrzeszczeć jak wariatka, żebym lepiej pilnował żony.

- Andrew Barraclougha?

- Tego gościa, który mieszka po drugiej stronie ulicy. On tak się dziwnie zachowywał na przyjęciu u Edwardsów. No wiesz, tego od Bentleya continentala.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Thea ma romans z nim? Jamie znów podparł głowę rękami.

- Przez cały czas się martwiłem, że Thea zakocha się w kimś poznanym w czasie tych swoich wojaży. A ona wdała się w romans z gościem, który mieszka pięćdziesiąt metrów od nas. - Spojrzał na mnie. - Normalnie dostałem krzywusem.

Przypomniałam sobie, że Cassie użyła kiedyś tego słowa.

Wiedziałam tylko, że to jakiś termin krykietowy.

- Co to jest krzywus?

- Piłka z niespodziewanej strony.

- Aha.

Dlatego Barraclough wydawał mi się znajomy, bo to on był tym facetem, którego widziałam z Theą w Cliveden. I dlatego tak źle czuła się na przyjęciu u Edwardsów - nie przeze mnie, ale przez niego.

- Jak długo to trwało?

- Pięć miesięcy. Od lutego. Zagadnął ją w mięsnym. - Jamie przewrócił oczami. - Wygląda na to, że zaczęło się nad piersiami wiejskich kurczaków. Kiedy Jane Barraclough się uspokoiła, powiedziała, że wie o tym od kilku tygodni, ale miała nadzieję, że jakoś się rozejdzie po kościach.

- Teraz jest już jasne, dlaczego opuściła towarzystwo, kiedy przedstawiłam was sobie na tej parapetówce.

- Tak. - Jamie zmrużył oczy. - To by się zgadzało. Nie miała ochoty wdawać się w pogaduszki z Theą.

- I dlatego Andrew udawał, że cię nie zna.

- Tak. Ale oczywiście znał. Pieprzył moją żonę! - Odetchnął głęboko. - Thea wróciła wczoraj wieczorem; usłyszałem, że jej przykro, ale ona i Barraclough kochają się i zamierzają być razem. Spakowała jeszcze trochę rzeczy i wyszła, żeby gdzieś się z nim spotkać.

- Nie rozumiem. Przecież się zgodziła ograniczyć swoje podróże, żeby móc spędzać więcej czasu z tobą.

- Nie. - Jamie gorzko się uśmiechnął. - Żeby móc spędzać więcej czasu z nim.

- Przykro mi - powiedziałam bezradnie. Jamie spojrzał na mnie.

- Ale ty nie jesteś zaskoczona.

- No, nie. Nie mogę powiedzieć, żebym była. Faktycznie myślałam, że Thea ma romans, ale... - nie zamierzałam mu powiedzieć, co widziałam w Cliveden - nie chciałam ci tego mówić.

Jamie skinął głową.

- Zwykle nie mówi się takich rzeczy.

- Te ostatnie dwa dni musiały być dla ciebie piekłem.

- Mniej więcej. Po części dlatego tak mnie poniosło z Geraldem. -

Zapatrzył się w okno.

- Więc co zamierzasz teraz zrobić?

- Wystąpię o rozwód.

- A potem?

- Nie wiem. Może wrócę do Australii.

RS

## Rozdział 15

To Nowy Jork - oznajmił Xan następnego wieczoru. Milly poszła wcześniej spać, a on stwierdził, że chce ze mną porozmawiać.

- I co, zadowolony jesteś? - zapytałam, kiedy przeszliśmy do kuchni.

- Umiarkowanie. Miałem nadzieję na któreś z waszyngtońskich stanowisk, ale Nowy Jork to też całkiem niezła placówka.

Zacząłam opróżniać zmywarę.

- Więc kiedy wyjeżdżasz?

- Za trzy tygodnie.

- Biedna Milly - powiedziałam cicho.

- Więc pojedź ze mną Anno. Proszę. Nie kusi cię? Podniosłam koszyczek na sztuce.

- Mam tu swoje sprawy, Xan, mam firmę. Mówiłam ci.

- Która mogłaby świetnie prosperować w Nowym Jorku.

- Jasne. Zakładałabym skrzynki w oknach. Bardzo ambitnie.

- I ogrody na dachach, niektóre są ogromne, no i hotele mają ogrody.

Miałabyś mnóstwo pracy, Anno, a ja bym ci pomógł w nawiązaniu kontaktów, załatwił oprawę medialną. Mieszkalibyśmy w ładnej części centrum. Latem jeździlibyśmy do kurortów na Long Island... Byłaś ton kiedyś? Wrzuciłam noże do szuflady.

- Nie.

- Tam jest naprawdę fajnie. - Ujął moją dłoń obiema rękami i przytrzymał. - Proszę, jedź ze mną, Anno.

- Ja...

- Proszę.

- Nie mogę.

- Chyba raczej nie chcesz.

- Tak. Nie chcę. - Wyjęłam talerze. - Przykro mi. Spojrzał z wyrzutem.

- Tylko dlatego, że pokazałem Paddy'emu, gdzie jego miejsce?

- Nie, chociaż szczerze mówiąc, zachowałeś się jak wariat. Xan uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Okej, przyznaję, że nie powinienem do niego pisać, ale nie mogłem patrzeć, jak wciska się w moją rodzinę.

- Nic takiego nie robi. Jest w całkowicie uzasadnionym związku ze mną. A że jestem niezamężna, wolno mu poznać moją córkę, i właśnie ją poznawał, w jak najbardziej właściwy sposób, przed twoim niespodziewanym powrotem.

Xan przewrócił oczami.

- On... mi się nie podoba, Anno. Jest w nim coś, co... budzi moją nieufność.

- To najzwyklejsze uprzedzenie. Już w pierwszej sekundzie, kiedy go tylko zobaczyłeś, zaczęłeś dążyć do starcia. I choć rozumiem twoją zaborczość, jeśli chodzi o Milly, musisz jednocześnie wziąć w karby swoje bardziej prymitywne odruchy, jako że sam wybrałeś życie bez nas.

- Rozumiem. Więc teraz mnie za to karzesz.

- Nie. Po prostu usiłuję chronić życie, które sobie ułożyłam.

- Ale dlaczego nie spróbujesz? Z Paddym mogłabyś z łatwością skończyć. Przecież nie kochasz go tak naprawdę.



- On ma na imię Patrick. I nie chcę z nim kończyć, Xan. A nawet gdybym chciała, to nie oznacza jeszcze, że pojedę z tobą do Stanów czy gdziekolwiek indziej. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Nie bardzo - mruknął. Zamknęłam drzwiczki kredensu.

- Ale i tak ci powiem. Dlatego, że zawsze na pierwszym miejscu stawiasz pracę. Zostawiłeś mnie, bo dostałeś pracę w Indonezji; potem zostawiłeś Triszę, bo jechała do Japonii, a ty uznałeś, że to nie jest dobre dla twojej kariery. Żał mi jej. Wzruszył ramionami.

- Jest twarda. Jest młoda. Nic jej nie będzie.

- A teraz odkryłeś poniewczasie uroki ojcostwa i twierdzisz, że znów chcesz być ze mną.

- Bo chcę.

- Ale tylko pod warunkiem, że przeprowadzę się do Nowego Jorku. Więc znów mówimy o tym, co jest najlepsze dla ciebie, dla twojego życia, twojej kariery, twojej przyszłości. I masz w nosie to, co najlepsze dla Milly i dla mnie.

- Ale przecież bycie razem byłoby najlepsze dla nas wszystkich. Spojrzałam na niego gniewnie.

- Nie, jeśli to oznacza włóczenie się za tobą po świecie. Milly jest najważniejszą rzeczą w moim życiu, a nie sądzę, żeby przeprowadzki z kraju do kraju leżały w jej najlepszym interesie i...

- No dobrze - przerwał mi. - Nie pojedę. Wytrzeszczyłam oczy.

- Co?

- Nie pojedę do Nowego Jorku.

- Zakładam, że żartujesz.

- Nie. Odrzucę propozycję i zostanę tutaj. Wezmę robotę w redakcji informacyjnej.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Owszem, zrobiłbym. Jeśli to by oznaczało, że będziemy żyć razem jak rodzina.

Znów ujrzałam się na rozstaju, znów miałam przed sobą dwie drogi.

- Ale dlaczego miałbyś to zrobić, Xan?

- Dlaczego?

- Tak. Dlaczego miałbyś rujnować sobie karierę? Kochasz to, co robisz.

- Ale Milly kocham o wiele bardziej. Nawet sobie nie wyobrażałem, że tak mocno się do niej przywiążę i...

- Dziękuję. - Weszłam mu w słowo.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to. Dziękuję, iż tak szczerze powiedziałeś, że kochasz Milly.

- Oczywiście, że ją kocham.

- I bardzo mnie to cieszy. Ale czy ta rozmowa nie powinna też dotyczyć tego, czy kochasz mnie?

- Tak... oczywiście... no i... kocham.

Pokręciłam głową.

- Nie wydaje mi się, żeby to była prawda. Gdyby była, starałbyś się, żeby nam wyszło. Poprosiłbyś, żebym pojechała z tobą do Indonezji albo zostałbyś w Londynie, albo wyjechałbyś na krócej, a nie siedział tam

dodatkowe dwa lata. Bo jakoś ci się nie spieszyło do nas z powrotem, prawda?

- Byłem wtedy innym człowiekiem. Gdybym miał pojęcie, jak przywiążę się do Milly, to...

- Ależ właśnie o tym mówię. To do niej się przywiązałeś, nie do mnie. A ja chcę żyć z mężczyzną, który kocha mnie, Xan, nie tylko moje dziecko. Patrick bardzo lubi Milly, ale głównie chodzi mu o mnie, i to mi się ogromnie podoba. - Nie odpowiedział. - Powinieneś jechać do tego Nowego Jorku - ciągnęłam. - Będziesz mógł dość często przyjeżdżać do domu, i Milly i ja też będziemy mogły cię odwiedzać od czasu do czasu. Ale przez resztę czasu, który spędzisz w Londynie, chciałabym, żebyś przychodził co drugi dzień i wychodził o ósmej, żebym mogła odzyskać moje życie z Patrickiem. A że w przyszły piątek wybieramy się do Kornwalii, powinien parę razy spotkać się z Milly do tego czasu. Więc przykro mi, Xan, starałam się iść ci na rękę, jak to tylko możliwe, ale teraz musisz się cofnąć o krok.

Oczy mu błyszczały.

- Jesteś okrutna, Anno.

- Nie jestem. Przykro mi, że sprawiam ci ból, ale nie masz pojęcia, ile ja łez wylałam przez te ostatnie trzy lata, szczególnie po urodzeniu Milly. I nic nigdy nie zmieni faktu, że nie ma zdjęć, na których dumnie trzymasz ją w ramionach, kiedy miała dzień ani kiedy była chrzczona, na których pokazujesz jej lampki na jej pierwszej choince. Poznałeś ją, kiedy miała dziewięć miesięcy.

- Już ci mówiłem, dlaczego tak wyszło. Byłem... skołowany.

- W wieku trzydziestu siedmiu lat? A do zeszłego miesiąca spotkałeś się z nią tylko sześć razy. Do tego czasu spędziłeś z Milly w sumie może z osiemnaście godzin, a przez większość swojego życia musiała się zadowolić oglądaniem cię w telewizji! - Zatrzasnęłam z hukiem zmywarę. -Wiem, że teraz to nadrabiasz, Xan, ale proszę, nie mów, że jestem okrutna.

Milczał. A ja pomyślałam, jakie to dziwne, że gdy wreszcie dostałam to, czego pragnęłam od tak dawna - obecności Xana w moim życiu - zrozumiałam z przerażającą jasnością, że już mi na tym nie zależy.

- Ja chcę stabilizacji, Xan - powiedziałam cicho. - Nie chaosu. Nie przemieszczania się z miejsca na miejsce, nie jestem z plemienia nomadów. I nie chcę żyć... Jak to było? ... „wiecznie na walizkach”. Chcę zapuścić korzenie dla mojego dziecka. Ty i ja zawsze będziemy przyjaciółmi. I będziemy rodzicami, póki śmierć nas nie rozłączy. Ale ja nie chcę przeszłości. Wolałabym mieć przyszłość, a to oznacza, że nasze losy nie spleją się ze sobą.

- Ta sytuacja doprowadzała mnie do szału - powiedziałam do Jenny następnego popołudnia. Poprzedniego dnia miała urodziny, więc przyniosłam jej ognika do zasadzenia w ogrodzie. - Nie mogłam znieść presji, jaką wywierał na mnie Xan, i wkurzało mnie moje wieczne poczucie winy wobec Patricka.

- Teraz wszystko będzie bardziej klarowne- odparła, odsuwając drzwi do ogrodu. - Moim zdaniem dobrze zrobiłaś.

- Mam nadzieję. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo chcę, by moje życie ruszyło naprzód.

- Może po prostu przeżywałaś swoją fantazję na temat życia z Xanem i sprawiało ci to przyjemność.

- Pewnie tak. - Wyszliśmy na dwór. - Ale on wciąż zgrywa rozżalonego - ciągnęłam. - Dzisiaj rano zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że jest „bardzo nieszczęśliwy” z powodu tej Kornwalii, i zapytać, czy aby Patrick bezpiecznie jeździ. Szczęściara z ciebie, że nie masz tych problemów.

- Nie czuję się szczęściarą - powiedziała cicho Jenny.

- A ja myślę, że jesteś. Kiedy cię poznałam, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego wybrałaś samotne życie. Ale po tych wszystkich stresach, które zafundowali mi Xan i Patrick, dostrzegam urok prostego życia bez zobowiązań. Zazdroszczę ci.

- Naprawdę nie wiem, czego by mi można zazdrościć - odparła głucho Jenny. Znów miała ponury nastrój i była drażliwa.

- Ależ jest czego - zaprotestowałam, odstawiając sadzonkę. - Jesteś atrakcyjna, niezależna, odnosisz sukcesy. Masz prześliczną córeczkę. A właśnie, gdzie jest Grace?

- Dziś po południu siedzi u moich rodziców. Bardzo się do niej przywiązali - dodała kwaśno. - Dzięki za tego ognika. Uwielbiam je. Ale gdzie go najlepiej posadzić?

- Obok passiflory - zasugerowałam. - Nie szkodzi, jeśli się nawzajem poprzerastają prawdę mówiąc, błękitne kwiaty będą ślicznie wyglądać z tymi szkarłatnymi jagodami. Zasadzę ci go.

- Nie musisz.

- Ależ z przyjemnością, przyniosłam swoją łopatkę. A poza tym ja lubię sadzić rośliny.

Zobaczyłam, że Jenny błyszcza oczy.

- Wiesz co, Anno? Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką.

- No cóż, i nawzajem. Bardzo mi pomogłaś, Jen. - Wzięłam konewkę, by zmoczyć ziemię przed sadzeniem. Upał wysuszył ją na cegłę.

- Szkoda tylko, że nie potrafię pomóc sobie.

- Co się dzieje, Jenny? Najwyraźniej jesteś przygnębiona.

- Bo jestem - szepnęła. Zaczęłam polewać ziemię.

- Mogę pomóc?

- Nie wydaje mi się - odparła, gdy uklękłam i zabrałam się do odwracania ziemi. - Mam pewien problem, z którym sobie nie radzę.

Wykreśliłam roślinę z doniczki i rozplatałam korzenie.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytałam, kopiąc dołek. Jenny milczała, wetknęłam więc roślinę i zgarnęłam ziemię z powrotem. Skoro nie chce powiedzieć, mówi się trudno. Była bardzo skrytą osobą.

- Chodzi o... Grace - odezwała się po chwili. I pomyślałam, że Jenny mi powie, że Grace ma napady złości albo nie chce chodzić spać o właściwej porze, albo sprzątać swoich zabawek, choć trudno mi było to sobie wyobrazić, bo to kochana, grzeczna dziewczynka. - Ona... wciąż mnie pyta o swojego ojca.

Poczułam, jak gęsia skórka wyłazi mi na ramionach na tę niewymuszoną wzmiankę o byłym Jenny.

- Cóż... to musi być dla niej trudne - zaryzykowałam, ugniatając ziemię palcami. W końcu wstałam i umyłam dłonie pod ogrodowym kranem.

- Tak, to bardzo trudne - przyznała, gdy wróciłyśmy do środka. Podała mi ręcznik. - Do tej pory mówiłam jej, że tata wyjechał i dlatego go nie widzimy, i akceptowała to. Ale ostatnio, widząc swoich kolegów bawiących się z tatusiami na imprezach czy w parku, tak jak ostatnio widziała Xana i Milly, zaczęła pytać, dlaczego ona nie może zobaczyć swojego tatusia i gdzie on jest. - Oczy Jenny napełniły się nagle łzami. - A ja nie wiem, co powiedzieć. Choć przygotowywałam się na to prawie cztery lata.

- A... jest jakaś szansa, żebyś zmieniła zdanie w sprawie tego całkowitego braku kontaktów?

- Nie - odparła cicho. Usiadła na kanapie, a ja odsunęłam sobie krzesło od stołu. - Nie ma go w naszym życiu, Anno, i nigdy nie będzie.

- Ale on chyba... nie umarł, co, Jenny?

Pokręciła głową.

- Gdyby tak było, powiedziałabym jej.

- Mieszka za granicą?

- Chciałabym. Ale on jest w Londynie. Przynajmniej doszły mnie takie słuchy.

- Więc... nie mogłabyś się z nim spotkać? Choćby nie wiadomo jak nie podobał ci się ten pomysł, czy nie byłoby lepiej, gdybyś pozwoliła chociaż na okazjonalny kontakt?

- Nie wydaje mi się. Nie w naszej sytuacji. To nie wchodzi w grę.

- Ale... wybacz, Jenny... Dlaczego nie? Jest żonaty? To o to chodzi?

- Nie. Nie jest żonaty. - Zaczepnęła głęboko powietrza i spłotła dłonie jak do modlitwy. - Siedzi w więzieniu.

- W więzieniu? - Byłam ciekawa, za co. Oszustwo? Defraudacja albo jakieś tego rodzaju urzędnicze przestępstwo? - Coś poważnego?

- Tak. - Milczała chwilę, w końcu spojrzała za okno. - Napaść.

Drgnęłam, słysząc to słowo; w mojej głowie nakładały się możliwe scenariusze. Może wdał się w bójkę w pubie albo uderzył kogoś w przyпіywie „drogowej furii”, albo brał udział w demonstracji, zrobiło się paskudnie i dał komuś w nos.

- A kogo on... - mruknęłam.

- Kobietę. - Patrzyła niewiążącym wzrokiem w przestrzeń. - Napadł na kobietę.

- Boże drogi...

- To była napaść na tle seksualnym. Krótko mówiąc, gwałt. Zatkalo mnie. Nic dziwnego, że nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Pewnie paliła się ze wstydu.

- A czy on... znał tę kobietę? Znów spojrzała w okno.

- Nie. Byli dla siebie całkiem obcy.

- Boże... A ty podejrzewałaś, że jest zdolny do czegoś takiego?

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Nie podejrzewałam. To... przyszło znikąd.

- Więc jak go złapali?

- Przez DNA i dzięki moim zeznaniom.

- Zeznawałaś przeciwko niemu?



- Tak. - Umilkła na chwilę. - Musiałam. - Oczy miała pełne łez.

Podaliśmy jej chusteczkę.

- Co za koszmar.

- Tak.

- A ta biedaczka, jego ofiara... znałaś ją?

- O tak - powiedziała z goryczą. - Znałam ją. - Łza popłynęła jej po twarzy. - Znam ją. - Zaszlochała cicho. - Bo chodzi o to, że ta kobieta to ja.

Serce przestało mi bić. I znów zaczęło. Jenny przycisnęła chusteczkę do oczu.

- Zawsze byłam taka ostrożna - wyszlochała. - Nigdy nie chodziłam sama nocą, nie rozmawiałam z nieznajomymi mężczyznami, nie przyjmowałam od nich drinków. Nie chodziłam w niebezpieczne miejsca, omijałam puste uliczki. Po zmroku albo kiedy nie byłam pewna drogi, brałam taksówkę... - Słowa więzły jej w gardle.

- Kiedy to się stało? - zapytałam łagodnie.

- W 2003. Poszłam na imprezę. - Jenny siedziała wyprostowana, dotykając plecami oparcia kanapy i patrzyła przed siebie, na ogród, z dłońmi splecionymi na podołku. - Impreza odbywała się w Willesden, u mojej koleżanki ze szkoły, gdzie pracowałam. To był bardzo miły wieczór. I zamówiłam sobie taksówkę na powrót z firmy, z której usług zawsze korzystałam. Około wpół do dwunastej, jak zwykle, zadzwoniono do mnie z informacją, że kierowca już czeka, w czarnym bmw. Więc pożegnałam się i wyszłam. Zeszłam po schodkach na ulicę; trochę wypiałam, nie za dużo, może ze trzy kieliszki, ale dość, żeby się czuć swobodnie. Zobaczyłam czarne bmw stojące na awaryjnych światłach, na lewo od

domu, przed sklepem monopolowym. Więc podeszłam, zajrzałam do środka, a kierowca, który zdejmował akurat folię z paczki papierosów, opuścił szybę. Więc zapytałam: „To pan mnie dziś obsłuży?” Natychmiast się zorientowałam, że nie całkiem to chciałam powiedzieć, więc się poprawiłam: „Pan z korporacji taksówkowej? To Jazda w Hesketh Gardens?” Facet kiwnął głową i powtórzył: „Hesketh Gardens”. Więc wsiadłam i pojechaliśmy. Pomyślałam, że to ładny samochód... skórzane siedzenia i tak dalej, i że kierowca jest miły i przyjazny. Poprosiłam go, żeby nie palił, więc odłożył papierosy. Byłam zmęczona, zamknęłam oczy.

- Zamknęła je i teraz, odchyliła głowę, i znów otworzyła z westchnieniem.

- Musiałam się chwilę zdrzemnąć, bo kiedy znów spojrzałam, okazało się, że me jedziemy w stronę Shepherd's Bush, jak powinniśmy, ale na północny wschód, obok Hampstead Heath. - Dłonie miała teraz zaciśnięte mocniej, siedziała na kanapie prosta jak struna. - Więc zwróciłam kierowcy uwagę, że się pomylił. Ale on nie odpowiedział.

- Straszne.

Zaczerpnęła powietrza, powoli i głęboko.

- Z początku byłam bardziej wściekła niż wystraszona, bo pomyślałam, że on po prostu nie wie, gdzie jest Shepherd's Bush. Więc zażądałam, żeby zawrócił. Ale nie zrobił tego. Kiedy powiedziałam ostro: „Jedziemy w złym kierunku! To nie ta droga!”, on tylko spojrzał na mnie w lusterku i powiedział bardzo spokojnie: „Wyluzuj, paniusiu”. I wtedy zrozumiałam...

- Boże święty...

- Więc wyjęłam telefon i chciałam zadzwonić na policję, ale on się odwrócił i zdołał mi go wyrwać. Pociągnęłam za klamkę, drzwi były

zamknięte, tak jak i okna. W tym momencie wpadłam już w histerię. Próbowałam przyciągnąć uwagę innych kierowców, tłukąc w szyby i krzycząc, ale nikt tego nie zauważał. Więc zdjęłam but i zaczęłam tłuc tego człowieka, ale on nagle skręcił z głównej drogi w boczną uliczkę, a potem znowu, w mały zaułek przy kanale. Byliśmy na opustoszałych terenach przemysłowych. Środek nocy, ciemno... - Jenny zaciskała dłonie tak mocno, że zbieleły jej kostki. - Zaparkował samochód i wysiadł. Podszedł od mojej strony i otworzył drzwiczki. Pomyślałam, że ucieknę, a jeśli nie dam rady, to walnę go kolanem w jaja albo dziabnę w twarz długopisem. Ale on sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął coś. Ten przedmiot błyszczał w ciemności - mówiła, powstrzymując płacz. - Przyłożył mi to do gardła. .. - Podbródek jej drżał, zmarszczony z napięcia. - Więc zaczęłam go błagać, żeby mi nie robił krzywdy.

- Och, Jenny. Zaniósła się szlochem.
- I przez cały czas nie mogłam przestać myśleć, jaki wydawał mi się sympatyczny. Jaki miły. Niemal anielski... Kiedy było po wszystkim, wywłókł mnie z samochodu, roztrzęsioną i zapłakaną. A potem... - Spojrzała na mnie oczami czerwonymi od płaczu. - Objął mnie. Na krótką chwilę. To było takie dziwne - dodała. - Ta chwila czułości po tak brutalnym akcie. W końcu zapalił silnik i odjechał. Ale gdy wyjeżdżał z uliczki, dostrzegłam przez chwilę jego numer rejestracyjny. Powtarzałam sobie ten numer raz za razem. Ciągle go pamiętam, choć minęły cztery lata. - Otarła oczy. - I będę go pamiętać do końca życia.
- Czy ktoś cię znalazł? - szepnęłam. - Ktoś ci pomógł?

- Nikogo tam nie było. On mi zabrał komórkę, ale dowlokłam się do budki telefonicznej i zadzwoniłam na policję. A potem przesłuchanie, zeznania, badanie lekarskie i testy w szpitalu... wszystkie negatywne, na szczęście, ale czekanie na wyniki to koszmar, szczególnie na wyniki testu na HIV, bo to trwa długo. Byłam w tak strasznym stanie, że prawie nie wychodziłam wtedy z mieszkania. Zrezygnowałam z pracy; wiedziałam, że nie potrafię psychicznie poradzić sobie ze szkołą, a szczególnie z agresją, jaką często przejawiają te dzieciaki. Wiedziałam, że oszaleję ze strachu.

- Ile czasu zajęło policji aresztowanie go?

- Trzy dni.

- Pewnie twoja firma taksówkowa pomogła go namierzyć.

- Nie. Nie znali go.

Spojrzałam na nią, nic nie rozumiejąc.

- Myślałam, że to był kierowca taksówki. Pokręciła głową.

- Popelniłam straszny błąd. Nie zauważyłam, że przed domem stały dwa czarne bmw, moja taksówka i... on. Zatrzymał się tam tylko przy monopolowym, żeby kupić papierosy, i nagle ja podeszłam, a kiedy zdał sobie sprawę z mojej pomyłki, dostrzegł okazję...

- Co za podłość.

Jenny spojrzała na mnie płonącymi oczami.

- Tak. Proces był pięć miesięcy później. - Mówiła dalej po chwili przerwy. - W Sądzie Koronnym w Harrow.

- Pięć miesięcy to chyba szybko.

- Przyspieszyli procedury.

- Dlaczego?

- Bo... - jej podbródek znów zadrżał - byłam w ciąży. Ma buzię jak aniołek. Mój żołądek wywinął salto.

- Ojciec Grace - szepnęłam. Jenny spuściła głowę.

- Boże święty. - Byłam ogłuszona jej opowieścią. Łzy napłynęły mi do oczu.

Jenny westchnęła głęboko.

- Na początku pomyślałam, że okres zatrzymał mi się z powodu stresu. Ale po drugim miesiącu zaczęłam mieć mdłości. Kiedy zrobiłam test i okazał się pozytywny, stanęłam przed straszliwym dylematem. Po głowie tłukły mi się trzy możliwości. Aborcja? Adopcja? Zatrzymać dziecko? Wszystkie wydawały mi się niewykonalne.

- Więc co cię skłoniło, by zatrzymać dziecko?

- To, że byłam tak pełna nienawiści. Nienawidziłam go. Zgwałcił moje ciało i moją duszę. Więc przyszło mi do głowy, że jeśli urodzę to dziecko i pozwolę sobie je kochać, to może ta nienawiść nie będzie mnie zżerać do końca życia.

Przypomniałam sobie, co mówiła niedługo po narodzinach dziewczynek.

„Najbardziej bałam się, że nie pokocham dziecka. A potrzebowałam tego.

Z każdym dniem kocham ją bardziej. Żałujesz czasem?

Pomyślałam, że to pomoże mi wytworzyć silniejszą więź... Twoje życie wypełni niewyobrażalna miłość".

- To prawdziwy cud - usłyszałam teraz jej słowa. - Bo kiedy patrzę na Grace, czuję tylko miłość. A jednak ta miłość wyrosła z czegoś tak brutalnego i ohydneho.

Teraz wreszcie rozumiałam, dlaczego Jenny wykluczyła ojca Grace ze swojego życia, rozumiałam jej skrytość, rozumiałam skomplikowany system zabezpieczeń w jej mieszkaniu. Rozumiałam, dlaczego tak obstawała przy samotnym życiu i dlaczego miewała zmienne nastroje. Rozumiałam, dlaczego dała swojej córce imię „Grace”.

- Łaska miłości - mruknęłam.

- Tak myślę - powiedziała, patrząc na zdjęcie Grace na kominku.

- Jesteś niesamowita, Jenny. Wykazałaś taką odwagę.

- Wiedziałam, że tylko w ten sposób mogę uratować siebie.

- Przyjaciele cię wspierali? Spojrzała na mnie.

- Nie powiedziałam im. Było mi tak strasznie wstyd...

- Przecież nie zrobiłaś nic złego.

- Nie chciałam być postrzegana jako ofiara. Wolałam, by ludzie myśleli, że byłam w związku, który się rozpadł.

- Nie miałaś nawet jednego przyjaciela, z którym mogłabyś o tym porozmawiać?

- Nie. Najlepsza przyjaciółka rok wcześniej wyprowadziła się do Aberdeen. Oczywiście powiedziałam mojej siostrze Jackie, ale ona wtedy mieszkała już we Francji z mężem. Chodziłam na psychoterapię i to pomogło... Tak bardzo, że sama zdecydowałam się przekwalifikować na psychoterapeutkę.

- A twoi rodzice? Mówiłaś, że nie byli zbyt pomocni.

- Pomocni? - Jenny zaśmiała się gorzko. - Byli okropni. Kiedy zorientowali się, co zamierzam zrobić.

- Przecież to absolutnie nie była twoja wina ani dziecka.

- No cóż, nie są ludźmi o zbyt szerokich horyzontach. Martwili się, że będą plotki i że w jakiś sposób będą napiętnowani... Podejrzewam, że bardziej martwili się o siebie niż o mnie. Może po prostu nie potrafili sobie z tym poradzić - ciągnęła - więc nie chcieli, by pozostał fizyczny dowód, który by im o tym przypominał. Namawiali mnie usilnie, bym pozbyła się ciąży... mimo swojej religijności, oczywiście - dodała z pogardą. - Mama mówiła, że nigdy się z tego nie otrząsnę, jeśli się zdecyduję urodzić. Ale ja czułam, że tylko w ten sposób mogę sobie pomóc. Poznali Grace dopiero kiedy miała prawie dwa lata, i to pod naciskiem mojej siostry. Tak naprawdę nigdy im tego nie wybaczę, tak jak nie wybaczę jemu.

- A ile dostał?

- Osiem lat. To wysoki wyrok. Użycie przemocy i groźba zabójstwa. Policja nigdy nie znalazła noża, więc dowodem w sądzie były tylko moje słowa.

- Przyznał się do winy?

- Nie. Twierdził, że to było za moją zgodą. Że podeszłam do jego samochodu i zapytałam prowokacyjnie „czy mnie obsłuży”. Ale przysięgli tego nie kupili; jednogłośnie uznali go za winnego.

- Robił to już wcześniej?

- Nie. Władze więzienne twierdzą, że okazał „skrucę”, gdy go zamknęli. Siedzi w Wormwood Scrubs. Ledwie pięć kilometrów stąd. - Zadrzała.

- Kiedy wychodzi?

- W przyszłym roku wyjdzie warunkowo i zostanie automatycznie zwolniony rok później, w sumie po sześciu latach.

- Wiedział, że jesteś w ciąży?

- Nie. Poprosiłam, żeby stanowisko dla świadków było osłonięte, by nie mógł mnie widzieć. Ale przysięgli widzieli. To wszystko - powiedziała cicho. - Teraz już wiesz.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej.

- Czasami chciałam. Ale łatwiej mi jest, kiedy o tym nie mówię.

Powiedziałam ci teraz tylko dlatego, że nie mam pojęcia, co powiedzieć Grace. Jestem psychoterapeutką, Anno, doradzam ludziom, a samej sobie nie potrafię udzielić rady w najważniejszej kwestii w moim życiu. Bo ilekroć wyobrażam sobie rozmowę z Grace na ten temat, natychmiast on staje mi przed oczami i ogarnia mnie taki gniew, że nie mogę nawet myśleć, a co dopiero szukać właściwych słów. Więc... - spojrzała na mnie.

- Co ty byś powiedziała?

Pokręciłam głową.

- Naprawdę nie wiem. To jest niesłuchanie trudne. Świadomość, że własne dziecko przyszło na świat w wyniku... - Ścisnęło mnie w gardle. - Doskonale rozumiem twoje pragnienie przemilczenia tego albo stworzenia jakiejś historyjki.

- O tak. - Jenny westchnęła. - Człowiek zrobiłby wszystko, byle ukryć prawdę.



- Więc... co ja bym powiedziała? Hm, może po prostu mogłabyś powiedzieć Grace, że jej ojciec nie był dla ciebie miły, więc jesteś na niego zła i na razie nie chcesz go widzieć.

- Ja w ogóle nie chcę go widzieć.

Spojrzałam na nią.

- Oczywiście, że nie chcesz.

Zostałam jeszcze chwilę; po prostu siedziałam z Jenny, oszołomiona tym, co mi powiedziała. Tak długo nosiła w sobie tę straszną tajemnicę. Rozpaczliwie pragnęłam jej jakoś pomóc, ale w jej sytuacji nie było prostych rozwiązań ani właściwych odpowiedzi. Wiedziałam, że do końca życia będzie się z tym borykać.

To, co spotkało Jenny, dało mi wiele do myślenia na temat różnych sposobów, w jaki mężczyzna może zostać ojcem: w trakcie długiego małżeństwa czy krótkiego związku, w wyniku jednorazowej przygody lub przepełnionego brudną żądzą aktu, albo przez zapłodnienie zaaranżowane przez klinikę i bank spermy, albo przez kontrolowane połączenie gamet w probówce. Może zostać ojcem przez adopcję, albo nieświadomie w wyniku zdrady partnerki, albo przejmując obowiązki rodzicielskie *in loco patris* wobec dziecka innego mężczyzny, tak jak tata w przypadku Marka. I oczywiście mogą zostać ojczymami - jakim zapewne któregoś dnia zostanie Patrick dla Milly, rozmyślałam, przygotowując rzeczy do spakowania do St Mawes.

- Kochanie, chcesz pooglądać DVD, kiedy ja będę pakować? - zapytałam Milly. - Patrick ci włączy.

- Jasne, że tak - powiedział Patrick.

- Bestię! Chcę oglądać bestię, mamusiu.

- *Piękna i bestia*, według życzenia. - Włożył płytke do odtwarzacza, a ja poszłam na górę, by wszystko przygotować. Mieliśmy wyjechać po śniadaniu następnego dnia.

Patrick przyjechał ze swoją dużą skórzaną torbą. Przywiózł też walizkę z Myszka Miki dla Milly - typowy dla niego miły gest - którą zdążyła już napełnić zabawkami, kredkami i książeczkami.

Wyciągając swoje rzeczy z szafy, myślałam o tym, jakie mam szczęście, że jestem z nim. Okazywał nam tyle serca. Tolerował Xana, chociaż wiele go to kosztowało, i był wobec mnie wyrozumiały. A ja często zbyt mało dbałam o jego uczucia. Powinnam bardziej go doceniać.

Milly cieszyła się na wyjazd do Kornwalii, ale nie rozumiała, dlaczego jedziemy z Patrickiem, nie z Xanem.

- Jedziemy z Patrickiem - wyjaśniłam jej poprzedniego dnia - bo to on wymyślił, że byłoby miło urządzić ci wycieczkę nad morze, i dlatego, że jest specjalnym przyjacielem mamusi, kochanie.

- Nie. Jamie - poprawiła mnie, nie podnosząc głowy znad malowanki.

- Tak, Jamie jest specjalnym przyjacielem mamusi, ale w innym sensie, bo on pracuje z mamusią, prawda? Robimy...

- Ogrody - przerwała mi radośnie.

- Tak. Robimy razem ogrody. - Choć już niedługo, pomyślałam żałośnie. Jamie postanowił wrócić do Australii, kiedy skończymy bieżące zlecenia. - Ale Patrick jest moim specjalnym przyjacielem - spróbowałam jeszcze raz.

- Nie - upierała się Milly. - Jamie.

- Niech ci będzie - westchnęłam zrezygnowana.

Wyciągając z szafy letnie sukienki, kardigany i dżinsy, usłyszałam, że Patrick idzie na górę.

- Wszystko w porządku na dole? - zapytałam. - Muszę jeszcze tylko przygotować rzeczy Milly i zrobić kolację.

- O nic się nie martw. - Schylił się, żeby mnie pocałować. - Jest grzeczna jak aniołek. - Usiadł na rogu łóżka, a ja składałam rzeczy i chowałam do walizki. - Kiedy ostatnio miałaś wakacje?

Wyprostowałam się.

- Dawno temu. Spędziłam weekend w Bretanii, kiedy Milly miała półtora roku. Jeśli chodzi o wyjazdy, nie použíwała sobie.

- Będziemy ją zabierać na piękne wakacje. - Przytulił mnie i pocałował. Wrócił na dół, a mnie zrobiło się ciepło koło serca na myśl o naszej wspólnej przyszłości.

Przeszłam przez korytarz do pokoju Milly i wyjęłam jej rzeczy: koszulki, szorty, skarpetki, letnie sukienki, płaszczek przeciwdeszczowy w biedronki i kostium kąpielowy, bo choć wiedziałam, że woda w morzu będzie dla niej za zimna, hotel miał podgrzewany basen.

Zadzwoił telefon. Cassie chciała pogadać o siedemdziesiątych urodzinach taty, dziewiątego września.

- Powinnyśmy mu urządzać przyjęcie niespodziankę.

- Nie - odparłam. - Nie jest w imprezowym nastroju. Zaplanujmy raczej ciche, miłe spotkanie w jakiejś dobrej pobliskiej restauracji.

- Najlepiej w porze lunchu, żeby Milly też mogła być.

- Tak.

- A ile osób powinniśmy zaprosić?

- Około dziesięciu? Zapytamy tatę, kogo chciałby zaprosić.

- I zapłacimy pół na pół - zaproponowała Cassie. - Co ty na to?

- Jasne. Chętnie dorzucę nawet więcej, jeśli akurat brakuje ci pieniędzy.

- O, wiedzie mi się całkiem dobrze. Chyba po raz pierwszy w życiu jestem przy forsie. Prawdę mówiąc, los się wreszcie do mnie uśmiecha.

- Rozumiem, że wydarzyło się coś ważnego?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparła enigmatycznie. - Niech ci wystarczy, że ciężko pracowałam nad pewnym wyjątkowym projektem i moje wysiłki niedługo zaowocują. - Załamalam rękę, bo nie miałam wielkiej wiary w „projekty” Cassie. Ale zanim zdążyłam ją zapytać o coś więcej, wróciła do tematu przyjęcia dla taty. - To może Belvedere?

- Może być. Albo Julie's. Moglibyśmy wziąć duży stół przy oknie na piętrze. Ale powinniśmy już się tym zająć. Zostały ledwie trzy tygodnie.

Potem zadzwonił Xan, zaniepokojony kwestią fotelika dla Milly. Czy został prawidłowo zamontowany w aucie Patricka? Zapewniłam go, że tak i że Patrick jest rozsądnym kierowcą. Potem Xan chciał powiedzieć Milly dobranoc, więc zniosłam jej słuchawkę na dół. Rozmowa była krótka, ale i tak wytrąciła ją z równowagi.

- Tatus - powiedziała z błyszczącymi oczami, kiedy się rozłączyliśmy.

- Zobaczysz go bardzo niedługo - odparłam. - W przyszłym tygodniu. - A zaraz potem wyjedzie do Nowego Jorku, pomyślałam smętnie.

- Chcę do tatusia!

- Będiesz się świetnie bawić w Kornwalii, szkrabie. Kupię ci małą siatkę do łowienia rybek. Różową. Chcesz?

- Tak. Chcę różową siatkę. I różowe wiaderko. I różową łopatkę.

- I nałapiemy różowych rybek - dodał Patrick. - I różowych krabów.

- Milly się uśmiechnęła. - I na pewno znajdziemy parę różowych muszelek. Fajnie by było, prawda?

Kiwnęła głową.

- Chcę do taty.

Przygotowałam jej kubek ciepłego mleka usadowiłam z powrotem z Patrickiem do oglądania *Pięknej i bestii* i wróciłam na górę, dokończyć pakowanie. Chowałam do walizki ostatnie rzeczy, kiedy usłyszałam jej pisk.

- Proszę, nie rób tego, Milly - upomniął ją łagodnie Patrick.

- Nie! - wrzasnęła. - Idź sobie!

- Bądź grzeczną dziewczynką, Milly - Najwyraźniej robiła coś, czego nie powinna, ale wyglądało na to, że Patrick dobrze sobie radzi.

- Zejdź stamtąd- powiedział, już głośniej. Widocznie weszła na stół. - Proszę, złaż stamtąd, Milly.

- Idź sobie! - pisnęła. - Ja cię nie lubi.

- Wiem, że wcale tak nie myślisz. No złaż, Milly... - Postanowiłam, że pozwolę Patrickowi to załatwić. Ostatecznie on też był ojcem, a ja nie

chciałam wyjść na panikarę czy okazać mu braku zaufania. Poza tym zależało mi, żeby Milly dostrzegła w nim „dobrotliwy autorytet”.

- Idź sobie!

- No tak. - Westchnęłam. Pora wkroczyć do akcji. Zdjęłam walizkę z łóżka i zaciągnęłam ją na podest schodów.

- Bardzo cię proszę, Milly, zejź stamtąd - usłyszałam Patricka, schodząc na dół. - W tej chwili!

- Idź sobie!

- No już, Milly. Nie chcę, żebyś spadła i zrobiła sobie krzywdę, skarbie.

- Idź sobieeee!

- Masz mnie posłuchać, Milly. Proszę ostatni raz. Liczę do trzech.

Jeden...

Byłam już w połowie schodów; gdy zeszałam niżej, zajrzałam w okrągłe lustro na dole - wisi trochę pod kątem, więc „zagląda” do kuchni. Zobaczyłam Milly stojącą na blacie koło mikrofalówki. Widocznie wlaźła tam po krześle.

- Dwa...

Patrick próbował skłonić ją do zejścia, ale nie słuchała. Tańczyła w miejscu i miała go w nosie.

- Trzy.

Jego prośby nie odniosły skutku, więc podszedł, by ją zdjąć na podłogę. Wyciągnął ręce, by ją złapać pod pachy, ale nagle Milly odwróciła głowę i ugryzła go w rękę. Mocno. Krzyknął z bólu. Byłam przerażona jej reakcją, choć zdawałam sobie sprawę, że agresywne

zachowanie może się też wiązać z niedawnymi zmianami, które wywołały zamieszanie w jej życiu - to nagłe pojawienie się Xana i jego częste wizyty, jego konflikt z Patrickiem; wiedziała też, że Luisa wkrótce nas opuści. Ostatnie tygodnie nie były dla niej łatwe. Mimo to gryzienia nie mogłam tolerować.

Już miałam wkroczyć na scenę, gdy zobaczyłam, że Patrick zsadza Milly na podłogę. Nagle szarpnął ją za rękę do góry i trzasnął w gołą nogę z głośnym, ostrym klaśnięciem.

Dźwięk jakby zawisł w powietrzu na kilka sekund. Ale już po chwili Milly odchyliła głowę do tyłu i wrzasnęła wniebogłosy; buzię miała zaróżowioną z bólu, zalaną łzami, usta wygięte w żalną podkówkę.

- Uderzyłeś ją- wyrzuciłam jednym tchem. Trzęsłam się z gniewu. Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. - Uderzyłeś ją. Nie waż się bić mojego dziecka! - wykrzyczałam mu w twarz, tuląc Milly w ramionach. - Nie waż się! Rozumiesz? Nigdy więcej! - Ledwie rozpoznawałam własny piskliwy głos.

- Ugryzła mnie - tłumaczył. Wyciągnął rękę, by pokazać mi czerwony ślad, jakby oczekiwał współczucia. Parsknęłam pogardliwie, wzruszając ramionami.

- Nie obchodzi mnie, co zrobiła! Ma trzy lata. To małe dziecko. Małych dzieci się nie bije, Patricku. Tym bardziej trzeba trzymać ręce przy sobie, kiedy nie ma się do nich żadnych praw - wycedziłam lodowatym tonem.

Zabrałam Milly do salonu i posadziłam sobie na kolanach, kołysząc dla uspokojenia. Wciąż szlochała, bardziej z powodu szoku niż z bólu, jak

przypuszczałam. Przymknęłam oczy i zobaczyłam znów, jakby w zwolnionym tempie, tę scenę: Patrick z podziwu godną wprawą szarpie ją za rękę i daje klapsa w nogę. Nagle pojęłam: robił to już wcześniej.

- Już dobrze, kochanie - szeptałam. - Już dobrze.

- Moja rączka - wyszłochała Milly, przyciskając ją do siebie. - Boli.

Gdy ją całowałam, żeby nie bolało, czułam, że Patrick stoi obok mnie. Nie spojrzałam na niego.

- To z zaskoczenia - odezwał się. Milly wciąż siedziała na moich kolanach, wtulona we mnie. Zanosila się płaczem. - Bałem się, że spadnie. Nie chciałem stracić panowania nad sobą- dodał bezradnie.

- Ale zdarza ci się, co? - Patrzyłam na niego wrogo.

- Dzieci trzeba uczyć dyscypliny - mruknął. - A gryzienie jest niedopuszczalne.

- To prawda, ale nie można tak po prostu... walić na odlew.

W przebłysku olśnienia, zobaczyłam inną scenkę, z innym dzieckiem - małym chłopcem.

- Przepraszam - bąknął. - Nigdy więcej tego nie zrobię.

- Nie - powiedziałam cicho. - Nie zrobisz.

Patrick wyniósł się w pół godziny. Wciąż powtarzał, że należy porozmawiać o tym incydencie. Uznałam, że taka rozmowa jest zbędna. Chciałam zwrócić połowę kosztów odwołania rezerwacji za hotel, ale odmówił.

- Moim zdaniem przesadzasz - stwierdził, wnosząc do domu samochodowy fotelik Milly.



- Nie - odparłam zimno. - Nie przesadzam. - Kiedy wyszedł, poszłam do kuchennego kredensu, wyjęłam słoik miodu Dobra Pszczółka i wyrzuciłam do kosza.

Milly spojrzała na mnie.

- Co robisz, mamusiu?

- Wyrzucam to. Bo nie lubię miodu i nigdy nie lubiłam.

Potem wyłączyłam *Piękną i bestię*. Milly poszła ze mną na górę. Wyjaśniłam jej, że jednak nie pojedziemy nad morze.

- Bo Patrick dał mi klapsa?

- Tak. Właśnie dlatego. Boli cię jeszcze rączka? - Potarła ją i pokręciła głową. - Ale jeszcze cię kiedyś zabiorę nad morze, okej?

- I kupisz mi różową siatkę?

- Tak.

- I różowe wiaderko?

- Tak. I różową łopatkę, i różowe... wszystko.

Milly się rozpromieniła. Położyłyśmy się na moim łóżku i przeczytałam jej *Gruffalo*, co przywiodło mi na myśl Jamiego. On przenigdy nie uderzyłby Milly. A ona wtulała we mnie swoje małe, miękkie ciało, odwracając kartki z pełnym ekscytacji pośpiechem, jak zawsze pędząc przez historyjkę:

- .. Domek z bali... sowie lody... to Gruffalo!... straszne zębiska... czarny jęczol... a orzeszek był pyszny - koniec! To już koniec, mamusiu! - wrzasnęła.

Pomyślałam o Patricku.

- Tak, Milly - powiedziałam. - To już koniec.

## *Rozdział 1 6*

Jak się bawisz w Kornwalii? - zapytała Jenny następnego wieczoru, kiedy do niej zadzwoniłam.

- Nijak. Kornwalia została odwołana. - Wyjaśniłam jej, dlaczego.

- Co za... podlec - mruknęła. - Domyślam się, że to koniec.

- Tak. Choć pod pewnymi względami trochę mi smutno.

- Ale nigdy nie byłabyś w stanie mu zaufać.

- Nie. Nie mogłabym. Za każdym razem, kiedy wspominam ten incydent, robi mi się niedobrze.

- Ale nie zrobił jej krzywdy, co?

- Nie. Ale ręka ją bolała przez jakiś czas.

- Myślisz, że robił to przedtem?

To było absolutnie niezamierzone. To był wypadek, wypadek...

- Naprawdę nie wiem...

- No cóż, bardzo mi przykro - ciągnęła Jenny. - Wydawał się taki przyjemny... ale mówiłaś, że ma w sobie wiele negatywnych emocji.

- I raczej się nie myliłam...

„Pszczelarstwo jest lepsze od wszelkich terapii. Nie ruszaj się! Powiedziałem już, że nie przyjdę! Proszę, puść mnie, Patrick...”

- Powiesz Xanowi?

- Nie. I poprosiłam Milly, żeby nie mówiła. Nie ma sensu, on mógłby wpaść w szal. Powiedziałam mu tylko, że w ostatniej chwili rozmyśliłam się co do tych wakacji.

- Pewnie jest zachwycony.

- Tak.

Przypomniałam sobie, że Xan nie ufał Patrickowi. Przypisywałam to zazdrości, ale on najwyraźniej wyczuwał coś, co mnie umknęło. Nagle usłyszałam ogłuszający jazgot telewizora.

- Milly! - zawołałam. - Przepraszam, Jen, Milly właśnie włączyła telewizor, ciągle się bawi pilotem.

- Grace też to robi.

- Proszę cię, wyłącz to, skarbie. - Zajrzałam do salonu. Leciał *Czynnik X*. Na ekranie chudy chłopak w czerwonej czapce z pomponem czekał zdenerwowany na werdykt jury.

- Andy - mówił do niego Simon Cowell - masz chyba najdziwniejszy głos, jaki w życiu słyszałem. Jesteś bajecznie koszmarny. Nie ma mowy, żebym cię przepuścił do następnej rundy.

- Milly, proszę cię, wyłącz to - powtórzyłam, chcąc wrócić do rozmowy z Jenny. - Wciśnij czerwony guzik.

- Tom - mówił Simon Cowell do następnego uczestnika. - Jesteś gruby. Jesteś paskudny. Jesteś nieskoordynowany. Ale śpiewasz świetnie. Więc powiem ci... tak.

- Milly, proszę cię bardzo, wyłącz to albo ściszej, kochanie.

- Kolejną osobą, która pragnie usłyszeć „tak” - powiedział prezenter - jest...

- *Mira!* - usłyszałam mamrotanie Milly. ... Luisa Vanegas z Kolumbii.

- Luisa w telewizji, mamusi!

- Chwileczkę, Jenny. - Weszłam do salonu, wciąż trzymając słuchawkę przy uchu, i zagapiłam się na ekran.

- Dwudziestotrzyletnia Luisa jest au pair, ale marzy jej się kariera gwiazdy. - Zobaczyłam Luisę siedzącą w przypominającej hangar poczekalni wraz z setkami innych niedoszłych gwiazdorów.

- Luisa jest w *Czynniku X*- rzuciłam bez tchu.

- Czekaj, włączę telewizor - usłyszałam Jenny. - Boże święty.

Faktycznie. Nie mówiła ci o tym?

- Nie. Ostatnio rzadko ją widywałam.

Kamera zrobiła najazd na Luisę. Miała na sobie czerwoną sukienkę z aksamitu... i siedziała, popijając herbatę. Po długości jej włosów poznałam, że program był nagrywany w czerwcu, ze dwa tygodnie przed tym, jak przyłapałam ją na śpiewaniu w metrze.

- Świetnie wygląda, nie sądzisz? - zauważyła Jenny.

- Jak długo tutaj czekasz, Luiso? - pytał ją prezenter.

- Jestem tu bardzo długi... pięć godzina.

- No cóż, twoja kolej Luiso. Powodzenia.

Luisa zerwała się z krzesła i uśmiechnęła nerwowo do kamery.

Potem zobaczyłyśmy, jak wchodzi do pokoju przesłuchań i staje przed trójką jurorów.

- Co nam zaśpiewasz, Luiso? - zapytał ją Louis Walsh.

- *All the Way from America* Joan Armatrading. Sharon Osbourne skinęła głową.

- No to słuchamy.

Luisa skupiała się przez chwilę, i w końcu zaczęła śpiewać:

- *Zadzwonileś z dalekiej Ameryki i powiedziałeś: nie rezygnuj z miłości, dziewczyno. Ale mijały tygodnie, miesiące, ły, a ja nie mogłam znieść ciężaru...*

- Śpiewa obłądnie - odezwała się Jenny.

- *...tej obiecannej miłości, tak daleko od Ameryki.*

Simon Lowell siedział rozparty na krześle, z założonymi ramionami, z głową przekrzywioną na bok.

- *Zadzwonileś z dalekiej Ameryki i powiedziałeś: niedługo wrócę, dziewczyno. Ale mijały tygodnie, miesiące, ły, a ja nie mogłam znieść ciężaru tej obiecannej miłości, tak daleko od Ameryki, tak daleko od Ameryki... \**

- Okej, to wystarczy! - krzyknął nagle Simon.

- Cholera, nie spodobała mu się - powiedziałam. Luisa wyglądała na załamana.

- Tyle nam wystarczy - przytaknął mu Louis Walsh.

- Więc teraz czas na werdykt Simona - powiedział prezenter.

- Luiso - zaczął Simon - to było raczej: *All the Way from Latin America*. Wymowę masz gównianą. Musisz popracować nad angielskim... Ale masz potężny głos. Jesteś przekonująca. Dobrze wyglądasz. .. Iz radością dam ci zielone światło.

- Dzięki Bogu - szepnęłam, patrząc na ekstatyczny uśmiech Luisy.

- Z całą pewnością masz w sobie czynnik X - mówił teraz Louis. -

Więc choć nieczęsto zgadzam się z Simonem, ja też mówię „tak”. - Luisa złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Ale czy Sharon się z nimi zgodzi? - powiedział prezenter.

- Luiso - zaczęła Sharon. - Masz niesamowity głos. Jesteś równie dobra jak Joan Armatrading... Szczerze mówiąc, jesteś tak dobra, że zastanawiałam się, czy nie upchnęłaś za stanik magnetofonu, ale przy tym twój głos jest bardzo charakterystyczny. Przeszłaś.

Odetchnęłam z ulgą.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła Jenny. Milly popiskiwała radośnie. Luisa posłała jurorom całusy i wybiegła z sali, promieniejąc szczęściem.

- I jak się teraz czujesz, Luiso? - zapytał ją prezenter. Odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała.

- Czuję po prostu... *maravilloso!*

Chcesz szybko kogoś pozdrowić, skoro jesteś na antenie?

- Tak - odparła Luisa. - Chciałam pobiedzić *hola* do mojej kochanej angielskiej rodziny, Anny i Milly, jak to oglądają.

- To rodzina, w której pracujesz?

- *Si*. Anna jest cudobna osoba, a Milly *es una niña fantastica*. *Adoro a Milly!* - Posłała całusa do kamery.

- *Y yo adoro a Luisa* - powiedziała Milly.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej i zesłam na dół, by napić się kawy. Gdy czajnik stał na gazie, podniosłam gazetę z dywanika i spostrzegłam, że dostałam „Sunday News” sąsiadów, zamiast mojego „Observera”. Było za wcześnie, żeby pójść się wymienić, więc siadłam przy kuchennym stole i zaczęłam przeglądać część z newsami. Jak zwykle w takich szmatławcach było o imigracji, podwyżce podatków, kamerach drogówki i cellulicie sław, a do tego porcja specjalnych ofert wakacyjnych.

Usłyszałam, że na górze otwierają się drzwi pokoju Luisy. Dziś się wyprowadzała; miałam tyle na głowie, że nie myślałam o tym aż do tej chwili. Zrobiło mi się smutno.

*Miliony z waszych podatków idą na lajburzystów!* — zatytułowano artykuł na drugiej stronie. *Otyłość ma związek z utratą pamięci* - krzyczał nagłówek poniżej. Na trzeciej stronie była historia pod tytułem *Diana - nowe dowody*. Zajrzałam na czwartą stronę. *Dziennikarka „Sunday News” traci dom w pożarze*.

Wyprężyłam się jak struna.

„Felietonistka »Sunday News« Citronella Pratt i jej rodzina wyszli bez szwanku z pożaru, który zniszczył ich weekendowy dom we wschodnim Sussex. W piątek ogień zrównał z ziemią starą parafię w Aldingly koło Hastings”.

Spojrzałam na pomocne zdjęcia przed i po pięknego, otulonego różami georgiańskiego domu, i wielkiej kupy dymiących zgliszczy.

„Pani Pratt, jej drugi mąż i ich trzyletni synek Erasmus wyszli po południu na spacer, zostawiając w domu trzynastoletnią córkę z pierwszego małżeństwa pani Pratt, Siennę. Pożar najprawdopodobniej zaczął się w sypialni chłopca, gdzie, jak sędzi straż, ulubiony miś zajął się ogniem...”

Otworzyłam kolumnę Citronelli na stronie osiemnastej.

„W piątek spłonął nasz piękny wiejski dom we wschodnim Sussex. Ale ja, zamiast pławić się w smutku, zdaję sobie sprawę, jakie miałam szczęście. Bo nie tylko - co najważniejsze - nie ucierpiał nikt z mojej rodziny, ale też nie straciliśmy nic, co miałoby dla nas wartość sentymentalną: na przykład miś, który się zapalił, choć lubiany, nie był na

szczęście ukochanym Steiffem Erasmusa, którego trzymamy w Londynie. A poza tym mój mąż i ja rozważaliśmy rezygnację z wiejskiego życia, jako że miejscowość, w której stał nasz dom, leży zbyt daleko od nowej szkoły, do której Sienna zacznie uczęszczać we wrześniu - wspaniałej instytucji dla wyjątkowo pomysłowych młodych ludzi, która, jak sądzimy, zapewni naszemu genialnemu dziecku rozwojowe, stawiające wysokie wymagania środowisko, jakiego Sienna potrzebuje. Tak więc rezygnacja z naszej wiejskiej idylli nie jest żadnym poświęceniem, jeśli dzięki temu łatwiej nam będzie zdążyć na »porę odwiedzin«, jak to zabawnie nazywa szkolny personel".

Więc Citronella miała poważne problemy z nie do końca idealną Sienną. Może to był właśnie robak, który ją toczył. Ale zazdrościłam Citronelli jej hartu ducha. Nawet gdyby spadła jej na głowę bomba atomowa, ona potrafiłaby to przedstawić jako „błogosławieństwo": „Na szczęście wyparowałam w mgnieniu oka... co szczęśliwie oznacza, że nie zostawiłam niegustownej plamy w krajobrazie Axminster..."

Usłyszałam, że Milly się obudziła, ale zamiast poszukać mnie na dole, poszła na górne piętro, przyciągnięta śpiewem Luisy:

*- I co teraz? Kolejna walizka w kolejnym przedpokoju. I co teraz? Zdejmij swój obrazek z kolejnej ściany... \**

- Co robisz? - Idąc na górę, usłyszałam oburzone pytanie Milly.

- Ja pakuję - odparła Luisa. - Odchodzę dzisiaj.

- Nie chcę, żebyś odchodziła - zaprotestowała Milly. - *Quiero que usted permanezca.*



- Muszę iść - powiedziała Luisa. - Ale bróćę i cię zobacze, *mi caramelo*. - Poznałam znajomy odgłos całusa w policzek Milly.

Zapukałam do drzwi Luisy i uchyliłam je. Na podłodze leżała nowa czerwona walizka, którą sobie ostatnio kupiła. Milly siedziała w środku.

- Luiso, szkoda, że mi nie powiedziałaś o swoim występie w *Czynniku X*.

- Ja bardzo zaskoczona też. Nie wiedziała, że oni pokaże moje przesłuchanie na telewizji.

- Dziękuję za te miłe słowa o Milly i o mnie.

- Ja tak czuję, Anna. - Wyjęła z komody dwie bluzki.

- I przepraszam, że ostatnio prawie nie rozmawialiśmy.

- Ty miałas bardzo zajęte, Anna.

- Tak... miałam dużo na głowie. Ale czy naprawdę masz nową parę au pair, Luisa?

- Nie - odparła. - Ja nie znajde rodziny, co mi spodobala. To ja znowu zamieszka u kolezanki w Shepherd's Bush.

Spojrzałam na Milly, która pracowicie wyjmowała rzeczy Luisy z walizki i upychała je z powrotem do szuflad. Pomyślałam, jak bardzo mała kocha Luisę i jak bardzo kocha Xana, który wyjeżdża za dwa tygodnie, i jak kocha Jamiego, który wkrótce też wyjedzie do Australii. Za dużo było tych zmian w tak krótkim czasie.

- Bo widzisz, Luiso, ja nie mam nowej niani... Szczerze mówiąc, nawet nie szukałam, więc pomyślałam sobie... - Przysiadłam na łóżku. - Proszę, nie odchodź, Luiso. Było wspaniale mieć cię tutaj; przepraszam za tamtą awanturę...

- Ja ci nie dzibię, Anna - przytaknęła Luisa. - Ja by zrobiła tak samo.

- Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. I możemy zobaczyć, jak nam to wyjdzie.

Luisa spojrzała na mnie zdezorientowana.

- Byjdzie?

- *Podriamos improvisar* - podpowiedziała Milly.

- To ty nie chcesz ja szła? - Pokręciłam głową. - No... Nagle Milly objęła jej kolana.

- Zostań ze mną.

Luisa podniosła ją i ucałowała.

- *Si.*

Tak więc nasze życie wróciło w utarte tory. Luisa zaczęła chodzić do szkoły językowej Nowe Horyzonty w Notting Hill, gdzie jej angielski szybko się poprawił. Milly wróciła do Pachnącego Groszku, a Jamie i ja skończyliśmy ogród starej parafii.

- Teraz go uwielbiam - powiedziała Pippa, kiedy sprzątaaliśmy z Jamiem ostatniego dnia. - Przedtem wydawał się taki... cmentarny, a teraz jest radosny.

Ogród grał światłem i kolorem; rabaty mieniły się pastelowymi barwami różowych i białych róż, francuskiej lawendy i błękitnego geranium, co nadawało im niemal prowansalski wygląd. Była też altana do siedzenia ze skrzyniowymi ławami, jadalnia na wolnym powietrzu osłonięta przez cztery drzewka oliwne, a na środku nowego trawnika zgrabne drabinki z huśtawką i zjeżdżalnią.

- A co o nim myśli pani mąż? - zagadnął Jamie, podsadzając Jacka na huśtawkę.

- Jest zachwycony - odparła Pippa. - Twierdzi nawet - dodała z uśmiechem - że teraz podoba mu się bardziej niż za dawnych czasów.

- No, to jest komplement - stwierdził Jamie, popychając Jacka na huśtawce. - Przepraszam, że mnie tak poniosło - dodał. - Miałem wtedy fatalny dzień.

Pippa się uśmiechnęła.

- Więc czym się teraz zajmujecie? - zapytała. - Wyobrażam sobie, że jesteście bardzo zajęci.

- Kończymy jeden mały ogródek w Maida Vale - odpowiedziałam. - A potem zajmę się wielkim wiejskim ogrodem w Hampshire należącym do mojego dawnego szefa. Niestety, Jamie nie będzie przy nim pracował - dodałam.

- Dlaczego? - Była zdumiona.

- Jadę do Australii - wyjaśnił.

- Na jak długo?

- Kilka miesięcy. Może dłużej. Nie jestem pewien.

- To znaczy, że może pan nie wrócić? Wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem.

- Wielka szkoda. Taki z was zgrany zespół.

- To fakt - odparł Jamie. - Ale potrzebuję sobie zrobić wolne. Można powiedzieć, że jestem trochę na życiowym rozdrożu. - Zsadził Jacka z huśtawki.

- Więc ja będę pracować ze Stefanem - oznajmiłam z fałszywą wesołością.

- Świetny wybór - pochwalił Jamie. - Stefan jest bardzo dobrym budowląncem.

- Owszem, jest dobry - zgodziłam się. Ale to już nie będzie to samo, co praca z Jamiem...

Ósmego września Xan wyjechał do Nowego Jorku. Powiedzieliśmy o tym Milly dwa tygodnie wcześniej, by dać jej czas na przyzwyczajenie się do myśli, że nie będzie się z nią spotykał tak często. Nienawidziłam pożegnań na lotnisku, więc Xan przyjechał do nas w drodze na Heathrow.

- Będę cię odwiedzał - mówił do Milly łamiącym się głosem. -I może ty i mama przyjedziecie kiedyś mnie odwiedzić.

- Polecimy do taty samolotem - powiedziałam. - Chciałabyś, Milly? Kiwnęła głową.

Xan schylił się, by przytulić ją na pożegnanie.

- Do zobaczenia niedługo, kochanie. - W jego oczach wezbrały łzy. - Do zobaczenia niedługo.

- Niedługo, tatusiu - powtórzyła, obejmując jego szyję. Nie tak znów niedługo, pomyślałam smutno. Potem stałyśmy w oknie i machałyśmy, dopóki taksówka nie zniknęła nam z oczu.

Następnego dnia były urodziny taty; zarezerwowałyśmy lunch w Belvedere, bo było najbliżej jego mieszkania - musiał tylko przejść przez Holland Park. Cassie przyszła do mnie rano, żeby przeciwiczyć krótką mówkę, którą miałyśmy wygłosić we dwie.

O wpół do dwunastej rozległ się dzwonek do drzwi. Nie spodziewałam się nikogo.

- Elaine! - wykrzyknęłam. Uściskałam ją serdecznie, jak zwykle, kiedy ją widzę, bo była pierwszą osobą, która zajmowała się moim dzieckiem, więc zawsze trochę się wzruszam na jej widok.

- Dzwoniłam dwa razy, ale cię nie było - powiedziała, wchodząc do domu. - Właśnie odwiedziłam Jamiego, więc pomyślałam sobie, że wpadnę zobaczyć ciebie i Milly w drodze do metra.

- Jak tam Jamie? - zapytałam. - Wszystko u niego w porządku?

- Właściwie... tak. Ale wy wyglądacie, jakbyście się zbierały do wyjścia. Przyszłam w nieodpowiednim momencie?

- Och, nie - skłamałam. - Chociaż... rzeczywiście zaraz wychodzimy. Mój tata kończy siedemdziesiąt lat i wydajemy dla niego lunch, ale zostań chociaż te kilka minut, tak miło cię widzieć. Znasz moją siostrę Cassie?

- Chyba nie. - Elaine się uśmiechnęła. - Ale poznaję cię ze zdjęć i wiele o tobie słyszałam. - Zaczęła gawędzić z Cassie, tymczasem ja przygotowałam dzbanek kawy i skończyłam ubierać Milly. Elaine spojrzała na zegarek.

- Jest za dziesięć dwunasta. - Wstała i pogłaskała Milly po głowie. - Przyjdę kiedy indziej, gdy będziesz miała więcej czasu, Anno. Dzięki za kawę. Miło było cię poznać, Cassie.

- A może pójdziesz z nami na ten lunch? - zaproponowała nagle Cassie.

Elaine miała zdziwioną minę; ja też byłam lekko zaskoczona.

- Ależ nie mogę.

- Dlaczego nie? - zapytała Cassie ze swoją zwykłą bezpośredniością.

- Cóż - wyjąkała Elaine - nie chcę być intruzem, no i nie jestem odpowiednio ubrana.

- Ależ oczywiście że jesteś. Wyglądasz ślicznie - powiedziała Cassie. Wzruszyła mnie jej serdeczność.

- Na rodzinną uroczystość nie wypada... - protestowała Elaine. - Przecież nawet nie znam waszego taty.

- Och, nie musisz się martwić, to kulturalny człowiek - odparła Cassie. - Robimy bardzo skromną imprezę. Aha, przypomniałam sobie, że jeden z przyjaciół taty zadzwonił rano, że nie może przyjść, więc jest wolne miejsce.

- Ale...

- Więc załatwione - oznajmiła Cassie, zanim Elaine zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Dziwił mnie upór mojej siostry; przecież nawet nie знаła Elaine. Ale Elaine, lekko speszona, zgodziła się w końcu. Szłyśmy więc przez Holland Park w skośnych promieniach wrześniowego słońca, ściskając w garściach kwiaty i prezenty i zatrzymując się od czasu do czasu, by pokazać Milly wiewiórki i czarne króliki.

Mieliśmy stół na górze, przy rozsuwanych przeszklonych drzwiach wychodzących na taras. Travisowie byli już na miejscu, i Bill French, z którym tata kiedyś pracował, i jego żona Jane, i siostra taty Kay, i jej mąż Ted. Tata nie krył wzruszenia, gdy wygłosiliśmy krótką mowę, chwając go, jakim jest wspaniałym ojcem i dziadkiem.

- A gdyby była tutaj mama, powiedziała by też, jakim wspaniałym byłeś mężem - dodała żarliwie Cassie, bo знаła już całą historię z Markiem.

W tym momencie wino lało się już obficie i po wszystkich tych stresach, jakie przeżywałam przez ostatnie tygodnie, wypiałam o wiele więcej niż zwykle.

W pewnej chwili Elaine zaczęła mówić o Jamiem. Wyjeżdżał do Australii w następnym tygodniu.

- Będzie ci go brakowało, Anno. - Pokiwała głową.

- Brakowało? - odstawiłam kieliszek. - Ja nie wiem, co bez niego zrobię.

- Jamie jest specjalnym przyjacielem mamusi - wyjaśniła Milly, kolorując malowanekę. Zamoczyła mazak w mojej szklance wody.

- Wiesz co, Milly, masz rację - powiedziałam. - Ja też tak uważam. - Poczułam nagły przyływ uczucia. - Jamie to najmilszy, najlepszy, najbardziej honorowy, pracowity, utalentowany i godny zaufania człowiek...

- Kiedyś ci mówiłam, że nigdy cię nie zawiedzie - przypomniała Elaine.

- I miałaś rację. Nie zawiódł mnie. Do tej pory. Nie chcę, żeby wyjeżdżał - dodałam ponuro. - Będzie mi brakowało naszej współpracy i rozmów dwadzieścia razy na dzień, i kłótni, i sadzenia z nim roślin, budowania, i jeżdżenia z nim jego zdezelowanym pikapem. - Przeklełam w duchu Theę.

- Jamie potrzebuje побыć jakiś czas w domu - mówiła Elaine. -  
Przeżywa ciężkie chwile. A poza tym od pięciu lat nie widział się z rodziną.

- Myślisz, że wróci? - zapytała Cassie.

- Hm... nie wiem. - odparła. W końcu, by zmienić temat, zapytała Cassie, czym się zajmuje.

- Och, chwytam się różnych zajęć - wyjaśniła Cassie. - I, niestety, Anna nie pochwała większości z nich.

- Nie pochwalam niektórych - sprostowałam. - Ale z pewnością jesteś pomysłowa, Cassie, to ci muszę przyznać. - Uniosłam kieliszek w siostrzanym pozdrowieniu.

- Owszem, ostatnio byłam dość pomysłowa. - Sięgnęła do torebki i wyjęła numer magazynu „The Bookseller”.

- Dlaczego go kupiłaś? - zapytałam, gdy mi podała. - Będiesz teraz pracować w branży wydawniczej? To by było dobre posunięcie, Cassie. Jestem za. Wreszcie przyzwoita profesja.

- Zajrzyj na stronę ósmą - powiedziała.

*Wydawnictwo Random House odkrywa nowy talent-* głosił nagłówek.

„Wydawnictwo Random House podpisało wart 200 000 funtów kontrakt na dwie książki z nieznaną pisarką Cassie Temple. Debiutancka powieść byłej krupierki, *Czas morderców*, trafi na półki w maju; jest to pierwszy z serii komediowych thrillerów. Bohaterka, prywatny detektyw Delilah Swift, była krupierka i fotomodelka, zostaje poproszona o rozwikłanie sprawy tajemniczych zabójstw trzech marszandów antycznych zegarów z londyńskiej Portobello Road...”



- Brawo, Cassie! - wykrzyknęła Elaine. - To fantastyczne!

- Rzeczywiście. - Byłam zaskoczona. - Nie miałam pojęcia, że coś piszesz. Kiedy to robiłaś?

- Przez ostatnie trzy miesiące. Pracowałam wieczorami, jak wiesz, ale dni miałam w zasadzie wolne. I któregoś dnia ta postać, Delilah Swift, po prostu wskoczyła mi do głowy, więc zaczęłam o niej pisać. I kiedy miałam kilka rozdziałów, pokazałam je jednej dziewczynie z Plot przy Drutach, która pracuje w agencji wydawniczej. Spodobało jej się i bingo! Więc teraz jestem pisarką.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać - powiedziałam.

Tata przeszedł na nasz koniec stołu, by Cassie mogła mu opowiedzieć coś więcej o swojej książce, więc ja przesiadłam się na jego miejsce i pogawędziłam z Travisami, którzy są bardzo mili, nawet jeśli niezbyt rozrywkowi; Milly bawiła się pod stołem swoją lalką Fifi Niezapominajką; po chwili zauważyłam, że Cassie rozmawia z wujkiem Davidem i ciotką Glendą, a Elaine z tatą. Usłyszałam fragment rozmowy; doszli do wniosku, że nie poznali się do tej pory tylko dlatego, że tata zawsze odwiedzał mnie w niedzielę, kiedy ona miała wolne. Potem zaczęła mu opowiadać o zawodzie opiekunki położniczej - jak bardzo kocha maleńkie dzieci, że ma lekki sen, że rozwiodła się przed rokiem, ale czuje, że życie ma dla niej jeszcze wiele niespodzianek... W końcu Milly usnęła mi na kolanach. Cassie i ja podziękowałyśmy wszystkim za przybycie. Spojrzałam na tatę, ale on wciąż gawędził z Elaine, jakby znali się od lat. Patrząc tak na nich, na ich niewymuszoną bliskość, ich pochylone ku sobie głowy, zastanawiałam się, czy Cassie myśli to samo,

co ja; i nagle zrozumiałam, że oczywiście myśli to samo, i właśnie dlatego zaprosiła Elaine. Zrobiła się już czwarta i restauracja opustoszała; został tylko bardzo cierpliwy maitre d'hotel oraz tata i Elaine - wciąż pogrążeni w rozmowie, gdy wychodziłyśmy.

RS

## *Epilog*

Pięć miesięcy później tata i Elaine wciąż siedzą w tym samym miejscu przy tym samym stoliku, w tej samej sali na górze w Belvedere. Głowy wciąż mają pochylone ku sobie i wciąż śmieją się i rozmawiają, ale dziś są ubrani inaczej. Tata wygląda bardzo wytwornie w popielatym garniturze i bladobłękitnym krawacie - który wcale nie jest bajerancki - a Elaine ma na sobie jedwabną sukienkę w tym samym odcieniu błękitu, a jej po-pielatoblond włosy są uczesane we francuski warkocz i przystrojone białą kamelią. Promienieje radością jak wszystkie panny młode. Oboje z tatą uśmiechają się, gdy fotograf pstryka im zdjęcia. Milly w swojej bladobłękitnej sukience jest tak podekscytowana, że cały dzień nic nie jadła. Pierwszy raz w życiu jest druhną i gdy patrzę na Marka, który przyjechał na ślub taty ze swoją narzeczoną Marilyn, mam nadzieję, że niedługo może znów będzie miała okazję.

Mark znów jest po prostu... Markiem. Kocha swoje życie w San Francisco. Kocha swoją przyszłą żonę. Ale mówi, że kocha i nas, a ślub dał mu doskonałą okazję, by zrobić to, co, jak twierdzi, chciał zrobić od bardzo dawna - przyjechać do domu.

- Miałem pewne obawy - wyznaje, gdy siedzimy obok siebie przy stole. - Kiedy przyszło zaproszenie na ślub taty, Marilyn powiedziała, że po prostu muszę pojechać i spędzić trochę czasu z rodziną. Więc... - Wzrusza ramionami.

- Tęskniłam za tobą - mówię. - Ale teraz przynajmniej rozumiem. Mark ściska moją dłoń.

- Ja też za tobą tęskniłem. Tak długo byłem wściekły. Teraz i ja widzę to wszystko inaczej. - Patrzy na tatę. - Wiem, że człowiek, który mnie wychował, jest moim ojcem.

Kelnerzy wnoszą tort; tata kładzie dłoń na dłoni Elaine, gdy kroją go razem przy wtórze oklasków. Potem wygłasza krótką mowę o tym, jakie to szczęśliwe walentynki i jaką wspaniałą osobą jest Elaine, i że nie mógł wiedzieć, jaką przysługę ostatecznie sobie wyświadczył, kiedy zatrudnił ją jako swoją opiekunkę. Cassie krzyczy, że to był jej pomysł, a tata uśmiecha się i posyła jej całusa.

Kiedy kelnerzy napełniają nam kieliszki, ja znów nie mogę się nadziwić, że pracująca kiedyś u mnie opiekunka położnicza właśnie została moją macochą i przyszywaną babcią Milly. Ta myśl ogromnie mnie cieszy.

- Więc jesteśmy teraz spowinowaceni - mówi Jamie z uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie będę musiał teraz nazywać twojego taty „wujkiem Colinem”.

Jamie ma na sobie ciemny garnitur z białym bukietkiem w jednej klapie i jedną z naklejek Milly z małą syrenką na drugiej. Milly siedzi obok niego i nagabuje o pomoc przy obrazku, który właśnie rysuje. Podając mu kredki, mówi, że jej tatuś niedługo przyjedzie. Xan tęsknił za małą tak bardzo, że ostatnio zamienił Nowy Jork na Brukselę, by móc się z nią widywać co drugi weekend. A ja, choć jestem sama, nie czuję już bolesnej tęsknoty za Xanem. Po prostu współpracujemy ze sobą jako rodzice i przyjaciele.

Przemówienia się kończą i wszyscy wznosimy toast za tatę i Elaine. Nad weselnym tortem i kawą rozmowa staje się bardziej ogólna. Wszyscy są ciekawi wychodzącej wkrótce książki Cassie.

Kiedy czytałam po raz pierwszy *Czas morderców* z jego ekscentryczną, ale zabawną fabułą, w której przewijają się dziewczyny podpuszczalskie, kasyna i alfonsi od seks telefonów, dostrzegłam, jak prawdziwe było to, co powiedziała kiedyś Cassie: „Żadne doświadczenie nie idzie na marne, poniżające czy nie”. Szczególnie jeśli czyimś przeznaczeniem jest zostać pisarzem, co, jak widzę teraz jasno, potwierdziło się w wypadku Cassie. Gdy skończyłam ostatnią stronę rękopisu, pojęłam, jak pochopnie ferowałam swoje sądy. Cassie po prostu przeżywała życie po swojemu, i ze wszystkich tych dziwacznych, pozornie niewiążących się ze sobą doświadczeń utkała inteligentną i bardzo zabawną książkę.

- Miałam bielkie szczęście - słyszę głos Luisy rozmawiającej z wujkiem Tedem. - Poziom w *Czynniku X* był tak bysoki, że nie sądziłam, bym miała jakąkolwiek szansę dotrzeć do finału. Kiedy się dobiedziałam, kompletnie mnie ogłuszyło. Byłam w szoku, że beszałam do finałowej trójki. Nie, nie mam jeszcze kontraktu z firmą fonograficzną... Chyba w snach! Ale w ciągu najbliższych tygodni mam kilka przesłuchań. Och, ogromnie przepraszam, ale chyba jestem potrzebna.

Stoliki są odsuwane pod ściany, by zrobić miejsce na „część artystyczną”. Luisa wychodzi na środek i śpiewa wiązanek przebojów. Najpierw

*Starry Stany Night*, co przypomina mi dzień, kiedy u nas zamieszkała. Potem *Another Suitcase In Another Hall* i przepiękną *From a Distance*. Kończy występ, śpiewając *Do You Know Where You 're Going To?*, a ja myślę sobie, że nie zawsze jest źle, jeśli się nie wie\*\*. Cassie nie wiedziała, dokąd zmierza, ale wygląda na to, że i tak wylądowała w całkiem niezłym miejscu. Postanawiam, że trochę sobie odpuszczę i popłynę z prądem.

Potem zaczynają się tańce i Jamie tańczy z Milly, kręcąc ją w kółko, ja tańczę z tatą a Mark z Elaine.

Nagle tata klepie go w plecy i obaj wybuchają śmiechem.

- Strasznie mi miło, że Mark jest tutaj - mówię do Jamiego, kiedy wracamy do stołu.

- A że ja tu jestem, też ci miło? - pyta Jamie.

- Wspaniale, że jesteś. Nie byłam pewna, czy wrócisz.

- Tęskniłem za Londynem... i za tobą.

- I stąd te wszystkie SMS-y i maile? Kiwa głową.

- Nie podobało mi się, że nie mogę z tobą porozmawiać.

Przyzwyczailem się. Więc chciałem utrzymać kontakt. A potem musiałem przyjechać na ślub Elaine, nie?

- Więc zostajesz? - Czuję, jak puls mi lekko przyspiesza.

- Zostaję. Ale pewnie nie ma szans, żebym mógł z tobą pracować, co? - pyta po kolejnym łyku szampana.

- Myślę, że jest bardzo wiele szans.

- Jutro masz urodziny - mówi nagle.

- Tak. Kończę trzydzieści siedem lat - dodaję, krzywiąc się.

- Staruszka! Mam dla ciebie mały prezent.
- Naprawdę? - Wyciągam rękę.
- Dam ci go jutro. Wpadnę na śniadanie, okej?
- Okej.

Następnego ranka budzę się lekko skacowana, ale szczęśliwa. O dziesiątej słyszę dzwonek i tupot Milly zbiegającej po schodach.

- To Jamie! - wrzeszczy, wyglądając przez kolorowe szkło. Pędzi do pudła z książkami i wraca z *Kopciuszkiem*, *Ślimakiem i wielorybem* i *Małpią zagadką*.

- Wszystkiego najlepszego, Anno - mówi Jamie. Uśmiecha się, jak to zwykle on, aż robią mu się kurze łapki.

Luisa jeszcze śpi, ale wieczorem zostawiła na stole kwiaty i swoje bezjajeczne ciasto, które wcinamy do kawy.

- No dobra - mówię. - Nie mogę się już doczekać. Co dla mnie masz?
- Zamknij oczy - mówi Jamie. -I wyciągnij rękę.

Robię to i czuję, jak ląduje w nich coś bardzo lekkiego. Patrzę. W złożonych dłoniach mam paczuszkę nasion z obrazkiem delikatnych fioletowych kwiatów.

- *Aquilegia?! - mruczę. - Cudownie. - Jamie wręcza mi kolejną paczuszkę ze zdjęciem białych pióropuszy. - Astilbes? - mówię. - Uwielbiam je.*

- Wiem. - Teraz daje mi nasiona błękitnego *Delphinium*, potem białoróżowej naparstnicy i cytrynowego łubinu, potem szkarłatnego *Sedum*, a potem pomarańczowego wilczomlecza. To wszystko kwiaty, które uwielbiam, i, jak zauważam, odporne byliny. -I ostatnia. - Jamie wręcza mi

paczkę nasion pomidora. - O, przepraszam - mówi, szczerząc zęby, i zamienia je na nasiona błękitnofioletowych niezapominajek.

- Kocham niezapominajki. To były ulubione kwiatki mojej mamy. Ale Jamie... - Zaczynam się śmiać. - Z tym prezentem jest pewien problem. Mój ogród jest maleńki.

- Spokojna głowa. O tym też pomyślałem. - Wręcza mi kopertę. W środku jest dokument z nagłówkiem Zachodniolondyńskiego Stowarzyszenia Ogrodników i Działkowców. To umowa najmu działki numer 27 w Duke's Meadows w Chiswick, wystawiona na moje nazwisko.

- Dajesz mi działkę? Kiwa głową.

- To całkiem niedaleko. - Wstaje. - No to chodź.

- Co? Teraz?

- Tak, teraz - mówi. - Dlaczego nie?

Więc wkładamy kurtki, potem wskakuję w zielone kalosze, które dostałam na pożegnanie od kolegów z Arden, a Jamie pomaga Milly włożyć jej kalosze w biedronki. Wsiadamy do pikapa i jedziemy do Chiswick.

- Kiedy to załatwiłeś? - pytam, gdy parkujemy. Jest zimno, nasze oddechy widać w mroźnym powietrzu poranka.

- Zainteresowałem się tym już w czerwcu zeszłego roku - mówi, pomagając Milly wysiąść z fotelika.

Spoglądam na niego, zdziwiona.

- W czerwcu? - Nasze kroki chrzęszczą na mokrej żwirowanej ścieżce.



- Kiedy napelnialiśmy ziemią donice w ogrodzie Edwardsów. Powiedziałaś, że chciałabyś mieć własną wielką rabatę, którą zapełniłabyś, czym chcesz. Powiedziałaś to z taką tęsknotą w głosie, że pomyślałem sobie: taką jej sprawię. O, numer dwadzieścia siedem. Jesteśmy na miejscu.

Działka jest wielka. Stoi na niej mały, trochę zaniedbany letni domek.

- Wynająłeś to dla mnie w czerwcu? - Gardło mi się ściska na myśl o troskliwości Jamiego i przychodzi mi do głowy, że mama na pewno by go polubiła.

- Zapisałem się na listę oczekujących - wyjaśnia. - A kiedy wróciłem z Australii w zeszłym tygodniu, właśnie przysłali mi umowę.

- Niesamowity prezent. - To chyba sen. - Dałeś mi ogród.

- Marzyłem, żebym mógł sprawić ci „pachnącą” niespodziankę. Dać ci ogród, który zagospodarujesz sobie tak, jak ci się podoba.

Nagle staje mi przed oczami wizja całej działki buchającej kolorami kwiatów. Grzechoczę nasionami w kieszeni.

- To odpowiednia pora, żeby je zasiać.

- Owszem. I możesz wysiać pachnący groszek - zastanawia się na głos Jamie - i warzywa. Możesz tu mieć pnącą fasolę, pory i botwinę. Możesz sobie urządzić własne dożynki.

Uśmiecham się, ale czuję lekki niepokój.

- Jest cudowna, Jamie. Masz kapitalne pomysły. Ale to będzie tyle pracy - mówię skonsternowana.

- Fakt. - Moje serce zamiera. - Nie musisz robić wszystkiego sama. -  
Sięga po moją dłoń. - Ja ci pomogę. - Ogarnia mnie fala ulgi pomieszanej  
z dziwną euforią. - Popracujemy razem, a kiedy skończymy, możemy  
przywieźć parę ogrodowych krzeseł i wpadać tu w letnie wieczory z  
butelką wina. Milly dąży do posiadania małej grządki. Chciałabyś, Milly  
sadzić roślinki? Mogłabyś wyhodować parę słoneczników. - Milly jest  
zajęta zaglądaniem pod kamień i nie odpowiada. - Pomyślałem sobie, że w  
ogóle moglibyśmy uprawiać to poletko razem - mówi Jamie.

- Razem - powtarza nagle Milly.

- Tak - odpowiadam Jamiemu z uśmiechem. - I pewnie tak będzie.

RS